

LINDA

HOWARD

Anioł śmierci

Tytuł oryginału

Death Angel

RS

*Loganowi Chance'owi Wiemannowi,
za wszystkie uśmiechy,
oraz Susan Bailey z Banku Exchange,
za to, że odpowiedziała na wszystkie moje pytania
dotyczące przelewów elektronicznych*

Rozdział 1

Nowy Jork

Świetna robota - mruknął Rafael Salinas, zwracając się do zabójcy, który stał po przeciwnej stronie pokoju, tuż obok drzwi. Albo nie lubił być zbyt blisko innych, albo nie miał za grosz zaufania do Salinasa i zostawiał sobie drogę ucieczki, na wypadek gdyby spotkanie szlag trafił - co znaczyło, że jest sprytny. Ci, którzy zachowali czujność w kontaktach z Salinase, zazwyczaj dłużej cieszyli się życiem niż ci, którzy mu ufali. Drea Rousseau zwinięta w kłębek przy boku Rafaela Salinasa miała gdzieś, dlaczego zabójca zachowuje się tak, a nie inaczej, dopóki trzymał się z dala od niej.

Zdawało się, że w ogóle nie mruga - aż ciarki chodziły jej od tego po plecach. Widziała go już raz i podczas tamtego spotkania dał wyraźnie do zrozumienia, że przeszkadza mu jej obecność. Gapił się na nią tym płaskim, nieprzerwanym spojrzeniem tak długo, że zastanawiała się nawet, czy aby to nie zawodowa rutyna - eliminowanie ludzi mogących go zidentyfikować, oczywiście z wyjątkiem zleceniodawców, a niewykluczone, że również ich, kiedy dostał już kasę do garści albo na konto, czy jak tam płatni zabójcy odbierają wynagrodzenie. Nie miała pojęcia, jak on się nazywa i nie chciała wiedzieć, bo choć prawda ma podobno wyzwalającą moc, w tym wypadku mogłaby okazać się zabójcza. Myślała o nim jako o mordercy pracującym dla Salinasa, chociaż tak naprawdę nie należał do bandy jego zbirów; wolny strzelec, świadczył usługi każdemu, dla kogo cena nie grała roli. Przynajmniej dwukrotnie Rafael zdołał sprostać jego wymaganiom finansowym.

Żeby na niego nie patrzeć, a może raczej żeby nie odkryć na sobie jego irytującego wzroku, Drea z niezadowoleniem przyglądała się paznokciom u stóp. Pomalowała je tego ranka purpurowym lakierem, bo wydawało się jej, że będą interesująco kontrastować z kremową bielą jedwabnego kompletu, który miała teraz na sobie, ale purpura z odcieniem fioletu była zbyt krzykliwa. Szkoda, że nie wybrała delikatnego różu, czegoś prawie przezroczystego, co podkreślałoby kolor ubrania, zamiast się od niego odcinać. Trudno, człowiek uczy się na błędach.

Kiedy zabójca nie odpowiedział, nie zaczął gwałtownie zapewniać, że praca dla Salinasa to zaszczyt, jak z pewnością zrobiliby inni, Rafael niecierpliwie zabębnił

palcami o udo. Nerwowy tik, mały, zdradliwy gest, przynajmniej zdaniem Drei, świadczył o zdenerwowaniu. Od dawna Studiowała nastroje Rafaela, jego przyzwyczajenia. Właściwie nie do końca bał się, ale on także odczuwał niepokój, a to znaczyło, że w tym pokoju są dwaj rozsądni faceci.

- Zasłużyłeś na premię - mówił Rafael. - Chciałbym dorzucić ci dodatkowe sto tysięcy. Co ty na to?

Drea nawet nie podniosła wzroku, ale szybko przemyślała znaczenie tej oferty. Bardzo się starała, żeby nigdy nie okazywać najmniejszego zainteresowania interesami Rafaela; kiedy czasami zadawał jej jakieś niewinne i jednocześnie podchwytliwe pytanie, udawała, że nie wie o co chodzi. Dlatego Rafael nie uważał przy niej tak bardzo, jak może powinien. Sądził, że nie interesuje Drei nic, co nie byłoby bezpośrednio związane z nią, i właściwie miał rację, choć nie do końca. Zakładał, że nie obchodzi jej, kogo zabójca dla niego sprzątnął, że skupia całą uwagę jedynie na swoim wyglądzie, na ciuchach i fryzurze. Czy jest tak seksowna i olśniewająca, jak to tylko możliwe. Czy dzięki niej Rafael jest lepiej postrzegany przez otoczenie.

Zwłaszcza to ostatnie było dla Drei istotne; kiedy Salinas czuł, że dobrze wypada w oczach innych, robił się szczodry. Wylewny. Drea przyglądała się platynowemu łańcuszkowi z diamentem na kostce prawej nogi; cieszyło ją, jak diamentowy wisiołek odbija promienie słoneczne, jak platyna błyszczy na tle opalanej skóry. Łańcuszek, prezent od Rafaela, zresztą nie jedyny, dostała tylko dlatego, że Salinasowi dopisał humor. Miała nadzieję, że zadowolenie z dobrej roboty zabójcy przełoży się na kolejne świecełko; przydałaby się platynowa bransoletka do kompletu - choć nigdy by tego Rafaelowi nie zasugerowała. Bardzo się pilnowała, żeby go o nic nie prosić, a tylko głośno zachwycać się każdym podarkiem, choćby nie wiadomo jak brzydkim, bo nawet najkoszmarniejszy szajs można przecież sprzedać.

Nie miała żadnych złudzeń co do trwałości jej związku z Rafaelem. Teraz panowała nad sytuacją, była dość dojrzała, żeby być kobieca, a jednocześnie dość młoda, żeby nie myśleć o siwych włosach czy zmarszczkach. Ale kto wie, co się zdarzy za rok, czy dwa?

W końcu Rafael znudzi się nią, a wtedy powinna mieć już dobre zabezpieczenie na przyszłość, głównie w postaci biżuterii. Drea Rousseau doskonale wiedziała, co to bieda i nie chciała jej już nigdy więcej doświadczyć. Odcięła się od dziewczyny, którą była kiedyś, małej Andie Butts z białych slumsów, obiektu paskudnych

żartów, tak z powodu nazwiska, jak i wszystkiego innego*; zmieniła imię - Andrea, wymawiane jako anDREYa, gdyż brzmiało z francuska; Rousseau pasowało do francuskiej wymowy.

- Ona - powiedział zabójca. - Mam ochotę na nią.

To przyciągnęło uwagę Drei - o kim rozmawiali? Podniosła wzrok...i poczuła pustkę w żołądku. A na sobie zimne, nieruchome spojrzenie zabójcy, które pamiętała. Szok uderzył w nią jak fala przyływu; w pokoju nie było żadnej kobiety prócz niej, nikogo innego nie mogli mieć na myśli. Mówili o niej. Lodowate dreszcze przepelżyły jej po kręgosłupie, ale ochłonęła ze strachu, zdrowy rozsądek wziął górę i się odpreżyła. Dzięki Bogu, że Rafael jest zaborczym mężczyzną; nigdy nie oddałby...

- Zadanie nie do spełnienia - odparł Salinas leniwie; objął dziewczynę ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie. - Nie mógłbym oddać mojego talizmanu. - Pocałował ją w czoło, a Drea uśmiechnęła się do niego promiennie. Prawie obezwładniona ulgą, starała się nie okazać, że jeszcze przed momentem odchodziła od zmysłów z przerażenia.

- Nie chcę tej kobiety na zawsze - rzucił zabójca lekceważąco; ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. - Chcę ją tylko przelecieć. Jeden raz.

Zdecydowana odmowa Rafaela dodała dziewczynie otuchy, przywróciła pewność siebie; Drea się roześmiała. Zabrzmiało to uroczo, jej śmiech był melodyjny niczym dźwięk dzwonek. Rafael powiedział kiedyś, że Drea przypomina mu anioła obdarzonego długimi, kręconymi złotymi włosami, ogromnymi błękitnymi oczami i perlistym śmiechem. Miała zwyczaj śmiać się z rozmysłem, jak gdyby to była jej broń, jak gdyby w ten sposób przypominała Rafaelowi, że jest jego aniołem, talizmanem.

Dźwięczny śmiech wyostrzył zmysły zabójcy; wpatrywał się w nią tak intensywnie, że prawie czuła jego spojrzenie na skórze. Gdyby się nad tym zastanowiła, musiałaby powiedzieć, że do tej pory był czujny, ale teraz wzmogło się to, skoncentrował na niej uwagę tak bardzo, że jego spojrzenie niemal paliło jej skórę. Śmiech Drei ucichł nagle, jakby stłumiła go dłoń zaciśnięta na gardle.

- Ja się z nikim nie dzielę. - Rafael starał się panować nad emocjami, ale nutka irytacji zadawała kłam spokojnemu tonowi. Przewodnik stada nigdy nie dzieli się z innymi swoją kobietą; gdyby to uczynił, straciłby pozycję i szacunek podwładnych. Zabójca musiał o tym wiedzieć. Byli tu sami, w ogromnym apartamencie na szczycie wieżowca i bez żadnych świadków tego, co Rafael zrobi bądź czego nie zrobi. Może dlatego ten człowiek sądził, że dostanie wszystko, czego zażąda.

* „Butts” - „tyłek” lub jakakolwiek wariacja tego słowa (przyp. tłum.).

Morderca nie odezwał się ani słowem, nawet nie drgnął, ale atmosfera w pokoju stała się napięta. Drea przytulona do Rafaela poczuła, że zadrżał, jakby on też wyczuł zmianę nastroju.

-Dajże spokój. - Salinas zmienił ton na łagodny, pojednawczy, ale Drea знаła go za dobrze; był zdenerwowany i bardzo starał się to ukryć. Omal nie zerknęła na niego z przestachem, ale zdołała się w porę powstrzymać. Zajął się paznokciami, udając, że odprysnął lakier. - To mnóstwo pieniędzy... Nie warto rezygnować z nich dla czegoś tak zwykłego. Seks jest tani. Za te sto tysięcy kupisz go, ile chcesz...

Zabójca czekał w milczeniu. Przedstawił już swoje żądanie i jedyne, co mu zostało, to przekonać się, czy Rafael je spełni. Nie marnując ani słowa, dał jasno do zrozumienia, że nie przyjmie oferowanych mu pieniędzy; prędzej odszedłby z pustymi rękami. W najlepszym razie Salinas nie mógłby już korzystać z jego usług, kiedy zechce kogoś sprzątnąć. W najgorszym - Drea nie chciała nawet myśleć o tym, jaki byłby, mógłby być najgorszy scenariusz. Z takim mężczyzną wszystko jest możliwe.

Rafael obrzucił Dree chłodnym, taksującym spojrzeniem. Okazywał demonstracyjnie lodowatą obojętność. Gwałtownie wciągnęła powietrze, zszokowana tak nagłą zmianą w jego zachowaniu. Czy naprawdę rozważał ten pomysł, zastanawiał się nad konsekwencjami odmowy?

-Z drugiej strony - mówił z namysłem - może i mnie przekonałeś. Seks naprawdę jest tani, a mnie przyda się te sto kawałków. - Cofnął ramię, którym obejmował Dree, i wstał, poprawił spodnie wyćwiczonym gestem, sprawiając, że mankiet załamał się nad butem pod idealnie prostym kątem. - Jeden raz, tak? Mam coś do załatwienia po przeciwnej stronie miasta, zajmie mi to około pięciu godzin... Tyle ci chyba wystarczy? - Zawahał się, po czym dodał lekko: - Tylko jej nie uszkodź. - Nie obdarzywszy Dree nawet jednym spojrzeniem, przeszedł przez salon, w stronę drzwi.

Co takiego? Drea poderwała się na nogi, a mózg odmówił jej posłuszeństwa. Co on powiedział? Co on zrobił? To chyba żart, tak? Tak?!

Patrzyła z desperacją i niedowierzaniem na plecy Rafaela, kiedy szedł ku drzwiom. Nie mówił poważnie. Nie mógł mówić poważnie. Już za moment odwróci się i roześmieje, dumny z siebie, że tak nabrał zabójcę. Nieważne, że omal nie przyprawił jej o zawał serca. Wszystko jedno, że śmiertelnie się przestraszyła, nie powie mu jednego złego słowa, jeśli tylko zatrzyma się i spyta: „Czy naprawdę sądziłaś, że mówię poważnie?”

Nie ma mowy, żeby oddał ją zabójcy, nie ma mowy...

Rafael doszedł do drzwi, otworzył je... i wyszedł.

Ledwie zdolna oddychać, z płucami ściśniętymi szponami narastającej paniki, która groziła, że zaraz ją udusi, Drea wpatrywała się w drzwi niewidzącym wzrokiem. Zaraz je otworzy i roześmieje się. Za moment wróci.

Nie spojrzała na zabójcę, nie poruszyła się, nie mrugnęła nawet, skostniała z przerażenia. Słyszała huk krwi w uszach, bicie serca przypominające grzmot. To, co Rafael zrobił, było tak szokujące, że nie potrafiła tego przetworzyć. Zdrętwiała i na chwilę straciła jasność umysłu, lecz gdy pierwszy szok minął, pojęła, że Rafael rzucił bezbronną kobietę na pożarcie lwu, a potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

Kątem oka dostrzegła mordercę: cicho podszedł do drzwi i zamknął je - przekręcił wszystkie zamki, zasuwę, wsunął na miejsce łańcuch. Teraz nikt tu nie wejdzie bez jego wiedzy, nawet jeśli ma klucz.

Odzyskała władzę w nogach i rzuciła się do ucieczki, stukając dziesięciocentymetrowymi obcasami po marmurowej podłodze. Popędziła korytarzem, a potem zatrzymała się gwałtownie, kiedy wróciła jasność umysłu. Korytarz prowadził do sypialni, a to było ostatnie miejsce, w którym chciała się znaleźć.

Rozejrzała się wokół siebie z rozpaczą. Kuchnia... Tam są noże, tłuczek do mięsa - może zdoła się obronić...

Przed nim? Każdą próbę obrony on pewnie skwituje śmiechem -albo, co gorsza, wpadnie w złość, może nawet we wściekłość dostatecznie wielką, żeby zabić. W jednej chwili lista jej priorytetów uległa zmianie: nie chodziło już o to, żeby uniknąć gwałtu, lecz żeby przeżyć. Nie chciała umierać. Jakkolwiek brutalnie ją potraktuje, bez względu na to, co jej zrobi, nie chciała umierać.

Nie było tu żadnego schronienia, ani jednego bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby się schować. Nie miała dokąd uciekać, nie wiedziała, jak go powstrzymać... Wybiegła na balkon wiszący wysoko ponad miastem. Dotarła do ściany i nie było mowy, żeby iść dalej; chyba że spróbowałaby odlecieć... Lecz instynkt samozachowawczy był zbyt silny, nie pozwoliłby jej na taki krok. Póki oddycha, zrobi wszystko, co tylko możliwe, by utrzymać ten stan rzeczy.

Wyciągnęła ręce na oślep i dotknęła żelaznej balustrady osadzonej na szczycie muru; zacisnąwszy palce wokół poręczy, wpatrywała się w przestrzeń. Pod nią rozciągał się Central Park, chłodna, zielona oaza pośród nieprzebytej gęstwiny stalowych i betonowych konstrukcji Manhattanu. Niżej szybowały ptaki, a nad nią tłuste białe chmury snuły się leniwie po czystym błękitnie nieba. Gorące promienie słońca dotknęły jej twarzy, nagich ramion, delikatny wiaterek bawił się jej lokami.

Ale ona była gdzieś poza tym wszystkim, nie odbierała tego, miała wrażenie, że nie jest rzeczywiste, nawet ciepło słońca na policzkach.

Wyczuła, że podchodzi do niej, i staje za plecami. Nie słyszała go, nie była świadoma żadnego dźwięku poza szelestem wiatru i cichymi odgłosami miasta daleko w dole; mimo to wiedziała, że on jest krok od niej. Każdy nerw w ciele Drei krzyczał z przerażenia, podpowiadał, że Śmierć zaraz wyciągnie do niej rękę.

Zabójca położył dłoń na jej nagim ramieniu.

Ogarnięta paniką uniemożliwiająca działanie czy logiczne myślenie nie potrafiła zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Stała, drżąc gwałtownie, gdyż nie była w stanie zrobić nic, ani więcej, ani nawet mniej.

Gładził jej ramię powolnym ruchem, jakby delektował się fakturą jej skóry. Rękę miał twardą i ciepłą, koniuszki palców i dłoń szorstkie, zgrubiałe, lecz dotyk kontrolowany, nawet... łagodny? Spodziewała się brutalności, przygotowana na nią tak skoncentrowała się na zwyczajnym przetrwaniu, że nie pojmowała pieśczoły. Zakręciło się jej w głowie; była kompletnie oszołomiona.

Zsunął dłoń po ramieniu, dotarł do palców wciąż zaciśniętych na balustradzie, musnął je, a potem wolno powędrował w górę. Minał bark, przesunął palcami po karku, gdzie odgarnął burzę loków i prześlizgnął dłonią po szyi, krzywiźnie szczęki. Dotknął cienkich nitek mięśni i ścięgien, a wtedy Dree przeszył rozkoszny dreszcz. Uniósł szerokie ramiączko jedwabnego topu: bawił się nim, wsunął palec pod spód, podążył za linią materiału niżej. Jeżeli do tej pory nie wiedział, że Drea nie miała na sobie stanika, teraz mógł się o tym przekonać.

- Oddychaj - szepnął. Pierwszy raz odezwał się do niej. Jego niski, nieco chropawy głos sprawił, że to jedno słowo zabrzmiało jak rozkaz.

Wzięła wielki haust powietrza. Dopiero kiedy poczuła ulgę w płucach, zdała sobie sprawę, iż wstrzymywała oddech tak długo, że jeszcze trochę, a straciłaby przytomność.

Powoli, ciągle bardzo powoli, przesunął dłonią po jej boku. Dotyk palił gorącem przez cienki jedwab. Potem ręka wpełzła pod elastyczny pas cienkich, łopocących na wietrze spodni i zsunęła się niżej. Już odkrył, że Drea nie miała też na sobie majtek. Przełknęła z trudem ślinę i zaciśnęła mocno powieki.

Zamknęła oczy instynktownie: chciała odepchnąć go od siebie i oderwać się od wszystkiego, co działo się teraz. To sprawiło jedynie, że pozostałe zmysły jeszcze bardziej się wyostrzyły. Morderca niespiesznie przesunął dłoń wyżej. Nic już nie rozpraszało Drei i skupiła się na jego dotyku całą sobą. Czuła skurcz mięśni i

napięcie w całym ciele aż do bólu, gdy wędrował dłonią w górę; czekała, znowu wstrzymując oddech.

Ręka mężczyzny zamknęła się wokół lewej piersi. Gładził ją, obejmował, jak gdyby ważąc w dłoni. Drażnił kciukiem sutek, aż delikatny wzgórek nabrzmiał i wyprężył się; podobnemu zabiegowi poddał prawą pierś.

Znowu zakreśliło się jej w głowie. Ta pieszczota sprawiała tyle przyjemności, że Drea nie myślała już o niczym innym, z trudem chwytając powietrze i usiłowała złapać się czegoś, co zakotwiczyłoby ją w rzeczywistości. Czegokolwiek by się po nim spodziewała, to nie było... to.

Pochylił się i całował jej szyję, przywierając całym ciałem do jej pleców. O Boże, jakie było od niego gorąco. Było jej zimno, lecz on parzył swoim ciepłem. Przygotowała się na brutalny atak, ale morderca prześlizgnął się pod jej murem obronnym - dotyk tego mężczyzny przynosił wyłącznie rozkosz.

- Nie zrobię ci nic złego - zamruczał, muskając wargami jej skórę. Wsunął rękę pod bluzkę, bawił się piersiami, gładził je, drażnił sutki. Czuła jego oddech na karku i to dziwne podniecająco przyjemne napięcie w dole brzucha; jakby nagle znalazła się w kolejce górskiej, unosiła się i opadała, dała się porwać szalonej zmysłowej fali.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stali, wiedziała tylko, że niepokojąca rozkosz trwa i trwa. Była bezradna, na otwartym morzu bez kompasu. To wszystko tak daleko wykraczało poza granice jej doświadczenia i oczekiwania, że zupełnie się pogubiła. Rozkosz? W ich związku z Rafaelem to ona zaspokajała jego; jej rozkosz nie mieściła się w tym równaniu. Zaakceptowała to, robiła wszystko, żeby czuł się szczęśliwy. Kiedy ostatnio jakiś mężczyzna choćby starał się zaspokoić ją fizycznie? Wspomnienie było rozmyte, zagubione w przeszłości. Jak dawno temu przestała oczekiwać jakiegokolwiek fizycznej przyjemności? To, że poczuła ją teraz, dostała z rąk - dosłownie - zimnego mordercy, oszołomiło ją.

Pociągnął sutki, uszczypnął delikatnie, a ona od razu zrobiła się wilgotna między nogami. Bezwiednie wyciągnęła ręce w górę, a ciało wygięło się instynktownie. Przyłgnęła do zabójcy i objęła jego kark, twardy i umięśniony; cicho mruzczała z rozkoszy. Poczua twarde wybrzuszenie w spodniach mężczyzny i potarła o nie pośladkami. Mięśnie brzucha znowu skurczyły się, tym razem w niecierpliwym oczekiwaniu, więc spróbowała zmienić pozycję.

Zabójca powstrzymał ją, stała więc twarzą do barierki, a miasto rozciągało się przed nimi i wokół nich. Drea poczuła, jak pociąga niecierpliwie elastyczny pasek jej spodni. Potem gwałtowny powiew schłodził nagie pośladki, kiedy jedwab zsunął się do połowy uda.

Drea była zmieszana i przerażona. Tutaj? Na balkonie, na widoku, gdzie każdy mógłby ich zobaczyć? Ulica znajdowała się zbyt daleko w dole, żeby ktokolwiek mógł ich zauważyć, ale co z ludźmi w sąsiednich budynkach? Lunety stały się bardzo popularne w tym mieście, tysiące ludzi szpiegowało sąsiadów, wpatrywało się w budynki po przeciwnej stronie ulicy. Poza tym FBI czy Agencja Antynarkotykowa, czy ktoś, z pewnością obserwował Rafaela, czyli obserwowali także ją... A on chciał się z nią kochać tu, na balkonie...

Znów przysunął się do niej i zamruczał cicho, uspokajająco. Przytulił się do jej nagiego ciała; wsunął dłonie pomiędzy nich. Usłyszała cichy zgrzyt zamka błyskawicznego. Włożył dłoń na moment między pośladki, drażnił knykciami rowek, wrywając z niej stłumiony okrzyk. A potem myślała już tylko o tym, że wszyscy wokół mogą ich zobaczyć... i czuła twardość jego członka.

- Pochyl się trochę.

Położył dłoń na karku Drei i pilnował, żeby była mu posłuszna. Rozsunął jej nogi tak szeroko, jak tylko pozwalały na to zsunięte spodnie. Ugiął kolana, pochylił się nieco i pomagając sobie drugą ręką, pocierał o nią nabrzmiętym członkiem, rozprowadzając wilgoć po nich obojgu. Potem napaął w górę, do środka, powoli i z trudem.

Drea wiała się... Mięśnie ud zaciskały się i rozluźniały, drżały. Objął ją, przycisnął do siebie i trzymał mocno. Potem wycofał się z wolna i znów pchnął. Lewą dłonią sięgnął do delikatnych warg w dole. Zacisnął palce na miękkim cieple, podczas gdy gruba kolumna ruszała się wewnątrz niej... Nabrzmiały, długi członek dotykał czegoś w niej – może punktu G, kto wie? - Boże, Drea sama nie miała pojęcia, wiedziała tylko, że szybuje ku orgazmowi jak rakietą. Nie była w stanie myśleć. Wstrząsnęły ją spazmy, szczytowała mocno, jej wewnętrzne mięśnie dołyły go, z gardła wydobywały się ochryple, zwierzęce dźwięki.

Przechyliła się przez balustradę i spadłaby, gdyby jej nie przytrzymał. Wysunął się z niej i obrócił ją do siebie, tuląc, aż przestała dyszeć i drzeć, aż ustał płacz. Dlaczego płakała? Nigdy przecież nie była do tego skora, nie, naprawdę. Teraz policzki miała mokre, oddech urywany. Walczyła o odzyskanie kontroli, a kiedy wreszcie zdołała otworzyć oczy i spojrzeć na niego... znowu straciła oddech.

Wcześniej zdawało się jej, że zabójca ma brązowe oczy, ale myliła się. Teraz zobaczyła w nich nie tylko brąz i zieleń, i złoto, ale także błękit, i szarość, i czerń zmieszane ze sobą, a potem poprzecinane białymi rysami. Z bliska ich barwa przypominała ciemny, pełen zaskakujących odcieni opał. Jego wzrok nie był też lodowaty; poczuła, jak parzy ją gorąco, gorączkowe pożądanie, które dostrzegła. Ani

trochę nie ostygł. Z doświadczenia wiedziała, że kiedy facet dostanie, czego chciał, traci zainteresowanie zabawą. Ale on pozostał twardy, nadal gotowy i...

-Ty jeszcze nie... - wypaliła zaskoczona, nagle wszystko rozumiejąc.

Poprowadził Dree w stronę otwartych przeszklonych drzwi, a raczej poniósł, żeby nie przewróciła się o spuszczone do połowy ud spodnie.

-Jeden raz, pamiętasz? - Oczy mu błyszczały. - Dopóki ja nie skończę, to wszystko liczy się jako jeden raz.

Rozdział 2

W budynku stojącym pod kątem prostym do tego, w którym mieszkał Rafael, pewien agent FBI przyjrzał się lepiej monitorowi i aż zamrugał. Potem rzucił z niedowierzaniem:

- Hej, nasza cizia ma kochanka.

- Co takiego? - Starszy agent podszedł do monitora i przez chwilę obserwował parę na balkonie. Zagwizdał. - To ci dopiero szybka akcja. Salinas właśnie w tej chwili wyszedł z budynku. - Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na dwie postaci. - Nie pamiętam, żebym faceta kiedykolwiek widział. Możemy go zidentyfikować?

-Nie wydaje mi się. Przynajmniej nie w tej chwili. Jak dotąd nie dał nam szansy.

- Pomimo to palce pierwszego agenta, Xaviera Jacksona, już tańczyły po klawiaturze. Starał się poprawić rozdzielczość obrazu. Salinas doskonale wybrał swój apartament; kąt, wysokość, odległość, wszystko to sprzysięgło się, żeby co najmniej utrudnić obserwację, a jakkolwiek zły byłby podgląd i tak był o niebo lepszy niż podsłuch, jeśli w ogóle udałoby im się coś złapać. Nie tylko apartament został wyciszony, Salinas kazał dodatkowo zainstalować bardzo wyszukany sprzęt, który udaremniał wszelkie próby podsłuchiwania jego rozmów. Nie mieli zezwolenia na założenie podsłuchu na którąkolwiek z jego linii telefonicznych, co zdaniem Jacksona świadczyło, że jacyś wysoko postawieni sędziowie siedzieli w doskonale skrojonej kieszeni Salinasa. Cholernie go to wkurzało, gdyż kłóciło się z jego poczuciem sprawiedliwości, tego, co właściwe, a co nie. Sędziowie to też tylko ludzie;

mogli być głupi, niepewni, albo zwyczajnie źli, ale, cholera, nie powinni być skorumpowani.

Zatrzymał klatkę z obrazem pary i wysłał do programu do rozpoznawania twarzy, chociaż nie robił sobie zbyt wielkich nadziei.

Starszy agent nazywał się Rick Cotton; pracował w Biurze od blisko dwudziestu ośmiu lat i zdążył już osiwieć podczas służby. Był cichym człowiekiem, kompetentnym w swej pracy, lecz nie miał ani dość talentu, ani dość politycznego sprytu, żeby osiągnąć więcej niż obecne stanowisko. Za rok czy dwa odejdzie na emeryturę, będzie odcinać kupony i nie zostawi po sobie żadnej większej wyrwy, ale ci, którzy z nim pracowali, będą wspominać go jako dobrego agenta.

Podczas swoich sześciu lat w FBI Jackson pracował z wieloma geniuszami, będącymi jednocześnie skończonymi dupkami, albo, co gorsza, leniami wyjątkowo genialnymi w podlizywaniu się, więc co do Cottona nie miał zastrzeżeń. Na tym świecie było sporo rzeczy znacznie gorszych niż praca z przyzwoitym, kompetentnym człowiekiem.

-To może być nasza szansa - odezwał się Cotton, kiedy czekali czy program komputerowy zdoła dopasować odpowiednie nazwisko do twarzy nieznanego mężczyzny. Aż do tej pory nie udało im się znaleźć choćby rysy w murze ochrony Salinasa, lecz sfilmowanie jego dziewczyny z innym facetem dawało im przewagę, którą mogli wykorzystać przeciwko niej. Dobranie się do kogoś wewnątrz byłoby dla nich niesłychaną szansą. Nie żeby Cotton dostał dzięki temu medal. Z pewnością trafi się jakiś śliski, choć sprytny komputerowiec, który wykombinuje, jak przywłaszczyć sobie zasługę. Cotton pewnie nawet nie będzie protestować, tylko pójdzie spokojnie dalej w charakterystyczny dla siebie sposób.

Xavier pomyślał, że równie dobrze on może okazać się tym podstępny dupkiem, bo prędzej szlag go trafi, niż pozwoli, żeby ktoś inny cieszył się chwałą. Zbyt wiele kosztownie długich, nudnych godzin spędzili z Cottonem nad tą sprawą. Ale przecież nie zostawi go w tyle; facet zasługuje na coś lepszego.

Jackson wpatrywał się w podzielony ekran i próbował znaleźć lepszy kąt, ale wyglądało na to, że sukinsyn doskonale zdawał sobie sprawę z ich pozycji, bo ani razu nie pokazał im więcej niż tylko fragment twarzy. Prawe ucho - Jacksonowi udało się uchwycić rewelacyjny obraz jego prawego ucha. Uszy były dobre; ludzie różnili się ich kształtem, wielkością, wewnętrznymi zwojami, osadzeniem na głowie. Przestępcy, którzy stosowali charakteryzację, zwykle zapominali o uszach.

Program do identyfikacji twarzy poddał się, nie znalazł właściwego obiektu, co było do przewidzenia.

-No, dalej, odwróć się do nas - zamruczał do mężczyzny na balkonie. - Strzelimy ci fotkę i po krzyku.

Tak bardzo skupił się na zadaniu, że dopóki Cotton nie odkaslnął z zażenowaniem, Jackson nie zdawał sobie sprawy z tego, czemu się przygląda.

- Rany - mruknął. - On ją obrabia na balkonie, w pełnym słońcu.

Nie żeby mogli cokolwiek naprawdę zobaczyć, lecz pozycja i ruchy pary nie pozostawiały wątpliwości.

Potem nieznaną mężczyzną obrócił ich oboje i pokazał kamerze plecy, na wpół poprowadził, na wpół zaniósł dziewczynę do apartamentu i zasunął przeszkłone drzwi.

Ani razu nie mieli okazji zrobić mu dobrego zdjęcia.

Po jaskrawym, gorącym blasku skapanego w słońcu balkonu apartament wydawał się niebiańsko chłodny, mroczny i przytulny. Drea trzymała się kurczowo zabójcy; mięśnie jej nóg przypominały rozgotowany makaron, a mózg beużyteczną papkę. Morderca pochylił głowę i całował wolno szlak w dół jej krtani, w poprzek obojczyka.

- Są tu pluskwy? - spytał tym charakterystycznym, niskim, na wpół słyszalnym głosem. Czują ruch jego ust na barku, kiedy mruczał słowa tuż przy skórze. - Jakies kamery?

- Nie, teraz już nie - odparła Drea, a potem, pod gwałtownym naporem mieszaniny pożądania i strachu, żołądek skurczył jej się boleśnie.

Ciężko pracowała na to, żeby ludzie postrzegali ją jako ozdobę, kobietę zapatrzoną w siebie i więcej niż tylko trochę głupią: krótko mówiąc, niezagrażającą. Taki wizerunek dawał Dree ogromną przewagę... ale zabójca wcale nie zdawał się jej nie doceniać, co pochlebiło jej, ale i przeraziło. Jeśli on dopatrywał się mózgu za słodką fasadą, inni też mogą. Jednocześnie to, z jaką łatwością założył, że ona zna odpowiedź na tak istotne pytanie zaspokoilo jakąś potrzebę, o której istnieniu nie wiedziała, potrzebę bycia traktowaną jak gdyby była równa innym.

Tak czy inaczej, teraz już za późno, żeby nadal grać idiotkę. Lekkomyślnie dodała:

- Kiedyś były tu kamery, ale Rafael uznał, że nagrywanie czegokolwiek mogłoby być dla niego niebezpieczne.

Na początku ich znajomości Salinas kazał śledzić Dree, dokądkolwiek się udawała, a ukryte kamery rejestrowały każdy jej ruch, nawet w sypialni i w łazience. Nie miała żadnej prywatności, ale zwyczajnie płynęła z prądem, dbając o

to, żeby wszystko, co robi, było nieszkodliwe i nudne. Znali się prawie pięć miesięcy, kiedy podsłuchiła, jak Rafael mówi Orlandowi Dumasowi, specowi od elektroniki, żeby pozbył się kamer i mikrofonów i spalił taśmy. Orlando nie zawracał sobie głowy wyjaśnieniem mu, że nagrania są cyfrowe, i że nie ma żadnych taśm, lecz ona nieźle się w duchu uśmieła.

Jeśli Rafael chciał wiedzieć, jak często Drea robi sobie paznokcie, czy włosy, świetnie, niech traci czas i każe ją śledzić. Chodziła na zakupy, oglądała telewizję, nałogiem stało się przesiadywanie w pobliskiej bibliotece, gdzie wertowała ilustrowane książki geograficzne o innych krajach. Uważnie oglądała zdjęcia i rozmyślnie wolno czytała Rafaelowi na głos wybrane fragmenty dotyczące zwyczajów czy osobliwości krajoznawczych, aż pewnego dnia stracił cierpliwość i powiedział, że nie interesują go ani fretki, ani lemury, i że ma gdzieś, który wodospad jest najwyższy na świecie. Drea zrobiła lekko urażoną minę i od tej pory zachowywała te informacje dla siebie. Wkrótce potem przestał ją śledzić.

Drea jednak nie zachłysnęła się swobodą i zachowywała tak, jak gdyby nadal miała ogon. Naprawdę często odwiedzała gabinet kosmetyczny, mnóstwo czasu pochłaniały jej zakupy, zarówno w sklepach, jak i przez Internet. Telewizor w sypialni nastawiony był na kanał z zakupami, a obok telewizora zawsze leżał notes, w którym zapisywała numery katalogowe przedmiotów - numery, które często przekreślała i zmieniała, na wypadek gdyby Rafael kazał komuś je sprawdzać. Cyferki odpowiadały prawdziwym artykułom w katalogach, bo i to mógł skontrolować. Właściwie robiła to, czego spodziewał się po niej Rafael.

Jednak od czasu do czasu pozwalała sobie na coś zupełnie innego. Rafael był bezwzględny i sprytny, ale nie podejrzewał, że ona jest dość inteligentna, żeby coś przed nim ukrywać. Dlatego całkiem sporo rzeczy mogła robić tak, że nikt o tym nie wiedział.

Natomiast mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, przejrzał misternie skonstruowaną przez nią fasadę, zajrzał pod pozory i dostrzegł prawdę. Zrobił to szybko i gładko, tak samo jak załatwił sprawę na balkonie. Patrzyła w zwięzione źrenice mordercy i zastanawiała się, co jeszcze odkrył. Czy jej sekret był u niego bezpieczny? Czy to raczej karta przetargowa, której powinna użyć w strategicznym momencie? A jeśli zamierza wyciągnąć od niej więcej informacji o Rafaelu? Cokolwiek morderca zechce, będzie musiała spełnić żądanie, nie miała wyboru. Łatwo powzięła decyzję, gdyż ten mężczyzna był jednym z niewielu, na którego by stawiała w rozgrywce przeciwko Salinasowi.

Te myśli wyrwały ją spod kurateli przeładowanych doznaniem zmysłów. I wraz z jasnością rozumowania, powróciła panika. On jeszcze z nią nie skończył. Na razie jej nie skrzywdził - prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie - ale to nie oznaczało, że jest bezpieczna. Może tylko drażnił się z nią? Próbował nakłonić do opuszczenia gardy, odprężenia. Może podniecały go ciosy poniżej pasa.

- Za dużo myślisz - usłyszała. - Znowu jesteś spięta.

Myśl! - rozkazała sobie, siłą woli opanowując strach. Musiała myśleć, odzyskać kontrolę. Boże, jak mogła być taka głupia? Zachowywała się jak idiotka, która nie wie, do czego służy jej własne ciało, a powinna posłużyć się nim, zrobić to, co robi najlepiej, czyli sprawić, by mężczyzna poczuł się jak ktoś wyjątkowy.

Przyglądała się swoim dłoniom, palcom kurczowo wpijającym się w twarde mięśnie na jego ramionach. Spróbowała zmusić się do działania. Postarać się ugłaskać go zarówno słowami, jak i czynami. Najlepiej zrobić to ustami, dać mu rozkosz, a potem - Boże, błagam - on pójdzie sobie, ona zaś będzie mogła wykorzystać resztę czasu, żeby zdecydować, co robić dalej. Powinna robić mnóstwo rzeczy, ale jakoś wszystkie zdawały się być poza jej możliwościami.

- Gdzie jest sypialnia? - spytał; podniósł głowę, rozejrzał się czujnie po pokoju.
- Nie tam, gdzie z nim śpisz. Jakiś inny pokój.

- My nie... my nie śpimy razem - wymamrotała, znów zaskoczona, że powiedziała prawdę. Jego oczy jeszcze bardziej się zwęziły, a ona zadrżała, wyczuwając groźbę w każdym ruchu zabójcy. - My nie śpimy razem. Mam własny pokój.

Serce waliło Drei w piersi, on zaś odczekał chwilę, zanim powiedział:

- Ty chodzisz do jego pokoju.

Padło stwierdzenie, nie pytanie, jak gdyby i Salinasa rozpracował z niesłychaną precyzją. Skinęła głową. Rzeczywiście, chodziła do pokoju Rafaela, kiedy tylko miał ochotę na seks. Tak to już było; ludzie przychodzili do niego, on nigdy nie chodził do nich. Potem zawsze wracała do swojej sypialni, urządzonej celowo bardzo kobieco, słodko i ozdobnie, żeby pasowała do osobowości Barbie, którą pokazywała światu.

- Gdzie jest twój pokój? - ponaglił ją. Drea zerknęła w prawo.

- Tam, w głębi korytarza.

Pochylił się i ściągnął jej spodnie do kostek.

- Noga w górę - zakomenderował, a ona posłuchała i wystąpiła z białej, delikatnej tkaniny rozlanej po podłodze. Nie zdążyła poczuć się nieswojo, ubrana tylko w bluzkę i buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Poderwał ją w górę

tak, że musiała otoczyć mu biodra udami, chcąc znaleźć punkt zaczepienia, kiedy niósł ją do sypialni.

Twardy jak skała penis przy każdym kroku drażnił rowek między jej pośladkami i lekko nabrzmiało wewnątrz. Drea zacisnęła uda i pocierała się o cały członek, zostawiając na nim swoją wilgoć; starała się popchnąć mężczyznę poza granice samokontroli. Już raz miała orgazm, więc nie przypuszczała, że znowu może poczuć podniecenie. Cholera, w ogóle nie spodziewała się podniecenia. Nic w tym dniu nie było zgodne z jej oczekiwaniami i choć starała się odzyskać panowanie nad sytuacją, on cały czas zwał ją z nóg.

Kiedy dotarł do drzwi jej pokoju, zdołała powiedzieć: „Tutaj” zduszonym głosem, lecz nie dotknęła klamki. Sam otworzył drzwi, przyciągnął Drea jeszcze bliżej do siebie. Podtrzymując jej pośladki jedną ręką, drugą pociągnął za klamkę. Ten ruch zmienił ich pozycję wystarczająco, żeby nabrzmiały członek wsunął się w nią nagle; poczuła gorące mrowienie wzdłuż każdego nerwu. Jęknęła, miała wrażenie, że napięte mięśnie pękają. Instynktownie wznosiła się i opadała. Pragnęła wziąć go jak najgłębiej w siebie, lecz ograniczał jej ruchy uściskiem. Pod tym kątem ocierała się o zaledwie dwa, może sześć centymetrów członka, i choć gruba krawędź główki posyłała serię mini eksplozji, nie wystarczało jej to. Chciała więcej, chciała wszystko, głęboko, mocno, szybko.

Rytm jego oddechu zmienił się nieco, lecz poza erekcją tylko to świadczyło, że jest choćby trochę podniecony. Drea nie mogła znieść upokorzenia - mimo że pragnął seksu, nie wykazywał żadnego zainteresowania nią samą; była pod ręką, i tylko na tym polegała jej użyteczność. Znowu poczuła łzy pod powiekami i zamrugała gwałtownie, żeby się nie rozpłakać.

Co się dzieje? Przecież nie zwykła tracić kontroli; seks był dla niej sprawdzoną metodą manipulowania mężczyznami, żeby dostać od nich to, na co miała ochotę. Co się z nią działo, dlaczego temu jednemu mężczyźnie tak dała się zastraszyć, że wszystkie jej mury obronne runęły? Zgoda, był sobie może królem wśród zbirów, ale ona radziła sobie z takimi, i nieraz się przekonała, że kiedy mała główka podnosi się i przejmuje dowodzenie, duża głowa przestaje myśleć.

Jak na razie to się nie potwierdziło w jego przypadku, lecz jeśli tylko będzie mieć okazję, potrafi sprawić, by stracił panowanie nad sobą; wiedziała, że potrafi. Chciała, żeby był równie bezradny jak ona w tej chwili, żeby był zawzięty, rozpalony i drżący, na jej łasce. Zapanuje nad nim. I nie okaże mu litości, na pewno nie więcej, niż on okazał jej.

Podszedł do łóżka i po chwili Drea wylądowała na sprężynującym materacu. Do czasu, kiedy przestała podskakiwać, on już zdążył prawie całkiem się rozebrać. Aż wstrzymała oddech, przyglądając się, jak zdejmuje resztę ubrania. Nagi składał się z samych twardych mięśni; nie był mocno zbudowany. Klatkę piersiową miał lekko owłosioną, musiał długo i często przebywać na słońcu, na co wskazywała równomierna opalenizna. Z jakiegoś powodu myśl o nim, nagim i odprężonym, rozleniwionym słońcem sprawiła, że zadrżała z podniecenia.

Pochylił się i delikatnie zdjął z niej bluzkę; teraz została tylko w tych zabójczych szpilkach. Ciemne, opalizujące spojrzenie zatrzymało się na jej piersiach i było tak przepelnione czysto męskim zainteresowaniem, że sutki od razu stwardniały, zupełnie jakby je polizał. Walczyła z niewytłumaczalną chęcią, żeby skrzyżować ramiona na piersiach i osłonić je. Kiedy na nią patrzył, czuła się jeszcze bardziej obnażona, bardziej bezbronna i bardziej naga.

Koniuszkiem palca obwiodł oba sutki, potem ssał po kolei każdą pierś tak delikatnie, że Drea bardziej czuła gorąco niż nacisk.

Oddychała urywanie, wiała się, każdą komórką ciała wołała o więcej.

Desperacko szukała dłońmi jego członka, pewna, że wyrefinowana pieśczość da jej władzę nad tym mężczyzną. Już zamknęła palce wokół grubej kolumny, lecz ułamek sekundy później morderca szybkim, zdecydowanym ruchem odsunął jej dłoń.

- Nie - powiedział tak spokojnie, jak gdyby zaproponowała mu kawałek grzanki.

- Tak. - Znow sięgnęła po niego. - Chcę cię poczuć w ustach. - Z jej doświadczenia wynikało, że żaden mężczyzna nie jest zdolny oprzeć się temu.

Ale twarde linie warg zabójcy skrzywiły się tylko w lekkim rozbawieniu, i wciąż trzymał jej dłoń w żelaznym uścisku.

- Żebyś mogła doprowadzić mnie do końca? Tak szybko chcesz się mnie pozbyć?

Drea patrzyła na niego przytłoczona nawałnicą pożądania, wściekłości i strachu tak bardzo, że aż dygotała.

Przesunął się nad nią, przytrzymał także jej drugą rękę i nie zwalniając uścisku, wziął to, na co miał ochotę.

Godziny, które potem nastąpiły, były pełne pożądania, seksu i zmęczenia, z wyjątkiem kilku chwil odpoczynku. Po trzecim orgazmie odsunęła się od niego. Wyczerpana, przeładowana wrażeniami, miała dość wszystkiego.

- Zostaw mnie w spokoju - powiedziała płacząco i uderzeniem odtrąciła jego dłoń, gdy je wyciągał. Zareagował śmiechem.

Naprawdę się roześmiał.

Przyglądała się wygiętym ustom, połyskującym bielą zębom i już się spodziewała, że mięśnie jej brzucha skurczą się, poczuje pustkę i popędzi znów w dół ciemnej jaskini tęsknoty, którą on w niej odkrył. Do tej pory żaden mężczyzna nie przywiązywał tyle uwagi do jej potrzeb; żaden nie trawił tyle czasu nad jej ciałem, obdarzając wolnymi pieścizotami i gorącymi pocałunkami. Orgazmy stały się dla niej czymś, co udawała przed partnerem i dostarczała sobie, kiedy była sama. Po części to jej wybór - nie potrafiła skoncentrować się na dostarczaniu maksymalnej przyjemności facetowi, jeśli była rozkojarzona swoimi reakcjami.

On zrobił jej to, co ona zazwyczaj robiła mężczyznom: przejął jej rolę, skupił się na niej i dawał jej tak wiele przyjemności, że czuła się lekko pijana z zaspokojenia. Powstrzymywał się, wycofywał, starał się nie stracić panowania nad rozkoszą. Wreszcie widać było po nim wysiłek. Włosy miał wilgotne od potu, twarz zaciętą w wyrazie skupienia; migotał mu ogień w oczach, spojrzeniem parzył skórę.

Kiedy się roześmiał, zobaczyła go zrelaksowanego i przez moment - jeden króciutki moment - pozbawionego murów obronnych.

Nie pocałował jej w usta. Każdy skrawek ciała znaczył pocałunkiem, lecz ich wargi nigdy się nie spotkały. I nagle zapragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego twarzy, powiodła lekko palcem wzdłuż twardej linii szczęki, poczuła delikatną szorstkość zarostu i ciepło skóry. W spojrzeniu zabójcy było nieme pytanie, jakby zdumiało go to, co zrobiła. Podniosła się i przycisnęła usta do jego warg.

Znieruchomiał, a jej serce waliło w oczekiwaniu, czy odwzajemni pocałunek.

Tak się jednak nie stało, więc ostrożnie przechyliła głowę i pogłębiła kontakt. Wargi miał miękkie i ciepłe; jego gorący zapach wypełniał ją, wzywał, wyrwał z poczucia zaspokojenia, zamienił je w potrzebę. Nie otworzył ust, a ona tego właśnie pragnęła, lecz bała się prosić o więcej. Ośmieliła się na najdelikatniejsze muśnięcie językiem warg.

Niespodziewanie gwałtownie odwzajemnił pocałunek, odebrał jej kontrolę i wcisnął z powrotem w materac, przykrył swoim ciałem. Już nie hamował żądy, całował namiętnie, wiedziony jakimś prymitywnym instynktem, i z taką zachłannością, jakby chciał ją zjeść. Splatał język z jej językiem, zmuszał do odpowiedzi. Trzymała się go kurczowo, oplotła sobą, i nic już nie mogło zatrzymać nawałnicy, którą sama sprowokowała.

Wyczerpana i na wpół śpiąca uświadomiła sobie, że nie zna imienia zabójcy. Zabolało ją to gdzieś głęboko wewnątrz, gdzie nikomu nie pozwalała się dotykać.

Namiętne pocałunki dodały jej odwagi na tyle, że położyła mu ręce na klatce piersiowej; serce mężczyzny waliło szybko i mocno, czuła je pod dłonią, łącząc się tak z tym życiodajnym rytmem.

- Jak masz na imię? - spytała cicho.

Po dłuższej chwili, jakby rozważał powody, dla których mogła o to pytać, odparł spokojnie, z lekceważeniem:

- To nie ma znaczenia.

Cofnęła rękę i zwinęła się w kłębek. Powinna napierać na faceta, drażnić temat i gderać tak długo, aż powiedziałby jej wszystko, co chciała wiedzieć, ale przestrzegала zasady, jednej z wielu, które przez lata w sobie wyrobiła: nigdy nie zrzedzić, zawsze być zgodna. Ta reakcja, lub właściwie brak reakcji, była dla niej typowa: nie potrafiła nalegać. Zmroził ją, okazując aż taką nieufność. Drea czuła się chyba trochę tak, jakby między nimi nawiązała się dziwna nić porozumienia, lecz on najwyraźniej wcale tak nie uważał. Był mordercą, po prostu, i utrzymywał się w rankingu dzięki temu, że nikomu nie ufał.

Jakiś czas później podniósł głowę i zerknął na zegarek; Drea zrobiła to samo. Minęły już blisko cztery godziny.

- Teraz - powiedział głębokim, ochryplym głosem; przesunął się nad nią, rozepchnął jej kolana i nagle znalazł się w niej. Mięśnie twarde niczym skała zacisnęły się, potężny, zduszony grzmot przetoczył mu się w piersi. Drżał, wydawał gardłowe dźwięki, jak gdyby perspektywa pozbycia się samokontroli była tak intensywną przyjemnością, że granicząca z bólem.

Drea oszołomiona taką eksplozją żądz, mimo że trochę obolała, pragnęła, żeby to szaleństwo trwało.

- Mamy jeszcze godzinę. - To były jej słowa i aż wzdrygnęła się, słysząc błagalną nutę w głosie.

Wzrok mu się wyostrzył, twarz nabrała cynicznego wyrazu.

- Salinas nie uhonoruje pełnych pięciu godzin - odparł i zaczął poruszać się w niej długimi, głębokimi pchnięciami. Uwalniał moc, którą miał w sobie i powstrzymywał tak długo. Kiedy szczytował, jęk wyrwał mu się z gardła, pulsował w niej silnym rytmem. Zacisnęła uda na jego nogach i wygięła się gwałtownie, jęcząc, gdy jej orgazm dogonił jego.

Chwilę potem wyszedł z niej i szybko się odsunął.

- Wezmę prysznic, dobrze? - spytał po drodze do łazienki. Drea odzyskała głos i szepnęła:

-Jasne. - Ale było to nic niewarte przyzwolenie, gdyż zdążył już zamknąć drzwi za sobą.

Leżała na zmiętej pościeli i chociaż powinna wstać, nie mogła zmusić się do działania. Ciało miała ciężkie i bezwładne, powieki opadały jej ze zmęczenia. Pojawiały się oderwane myśli i znikaly. Wszystko uległo zmianie, lecz najbliższa przyszłość pozostawała zagadką. Na pewno przygoda z Rafaelem dobiegła końca, lub dobiega. Musi to przemyśleć, zastanowić się, jak dalej żyć. Wiedziała, co chce zrobić, ale pomysł był zaskakujący nawet dla niej.

Zabójca wyszedł z łazienki po niecałych dziesięciu minutach, włosy miał mokre, pachniał jej mydłem. Ubierał się w milczeniu, Wyraz twarzy nie zdradzał żadnych emocji. Obserwowała go, niemal pożerała wzrokiem, błagając w duchu, żeby na nią spojrział. Te parę godzin, które z nim spędziła, sprawiło, że prawie nie pamiętała, jak jej życie wyglądało przedtem; linia demarkacyjna została wyraźnie nakreślona, jakby wszystko wcześniej było w odcieniach szarości, a wszystko potem w technicolorze.

Czekała, lecz on milczał. Na pewno kiedy ubierze się, spojrzy na nią, i powie... Co? Nie wiedziała, co chce od niego usłyszeć, czuła tylko ostry ból wzbierający w piersiach. Nie mogła dłużej zostać z Rafaelem. Chciała więcej, chciała być czymś więcej, chciała... Boże, chciała tego mężczyzny tak bardzo, że sama nie potrafiła w pełni pojąć ogromu tego pragnienia.

Odwrócił się bez słowa ku drzwiom, a ona w panice usiadła wyprostowana na łóżku, przyciskając prześcieradło do piersi. Nie może zostawić jej tak, nie może postąpić tak jak Rafael, jak gdyby nic nie znaczyła, jak gdyby była nic niewarta.

-Weź mnie z sobą- wypaliła, przełykając upokarzające, gorące łzy.

Zatrzymał się z dłonią na klamce; wreszcie spojrzał na nią chłodno, marszcząc brwi.

-Po co? - spytał ze zdziwieniem, zaskoczony tak niedorzecznym pomysłem. - Raz wystarczy.

Potem wyszedł, a Drea siedziała nieruchomo na łóżku. Poruszał się bezszelestnie, nie słyszała kiedy otworzył i zamknął drzwi apartamentu, lecz poczuła jego brak, wiedziała dokładnie, w którym momencie sobie poszedł.

Otoczyła ją cisza, głęboka, martwa. Zdawała sobie sprawę, że powinna coś zrobić, ale nie miała w sobie ani siły, ani woli działania. Siedziała na materacu, ledwie oddychając, i myślała o swoim życiu, które nagle legło w gruzach. Właśnie została wydymana, i to na więcej niż tylko jeden sposób.

Rozdział 3

Kiedy zabójca wyszedł z apartamentu Salinasa, nie wszedł do windy. Klatką schodową zbiegł cztery piętra w dół. Wyjął klucz z kieszeni i otworzył drzwi do luksusowego mieszkania, które wynajął kilka miesięcy wcześniej. Musiał gdzieś mieszkać, a chociaż przenosił się często, lubił mieszkać wygodnie. Gdy zaistniała taka konieczność, potrafił - co nieraz udowodnił - znosić długie okresy koszmarnej niewygody, lecz teraz nie był w sytuacji przymusowej. Poza tym bawiło go mieszkanie pod nosem Salinasa.

Otoczyła go przytulna cisza. Tylko w samotności mógł się odprężyć - przynajmniej na tyle, na ile w ogóle się odprężał. Pokoje umeblował skromnie nie dlatego, że nie stać go było na sprzęty, lecz dlatego, że lubił przestrzeń, pustkę. Miał gdzie spać i gdzie siedzieć. Miał telewizor i komputer. I kuchnię wystarczająco wyposażoną, żeby przeżyć. Nie potrzebował nic więcej.

Kiedy wyprowadzi się stąd, wytrze wszystkie powierzchnie rozpuszczalnikiem, nie zostawi odcisków palców, a meble odda organizacji charytatywnej. Na koniec wynajmie profesjonalną ekipę sprzątającą i będzie tak, jak gdyby nigdy tu nie mieszkał.

Weźmie z sobą część ubrań; podobnie jak meble, używał je zaledwie parę razy, a potem oddawał dalej. Gdyby jakiś genialny technik znalazł nitkę, która umknęła jego uwadze właściciela odzieży, a potem uwadze firmy sprzątającej, gdyby nitka przy kolosalnym łucie szczęścia doprowadziła jakiegoś inspektora do niego, nic w jego garderobie już by do niej nie pasowało.

Komputer był jego piętą achillesową, lecz bez niego nie mógłby zbierać przed wykonaniem każdego zlecenia niezbędnych materiałów. Robił więc co w jego mocy, żeby ograniczyć ryzyko: okresowo czyścił twardy dysk, a potem usuwał go i instalował nowy. Jako ostateczne zabezpieczenie fizycznie niszczył stary dysk. Tych rutynowych środków ostrożności, mimo że zabierały mu mnóstwo czasu, nie odczuwał jako dolegliwość, stanowiły zwyczajnie część życia. Po prostu je wykonywał.

Podróżował swobodnie i szybko. Nie był sentymentalnie przywiązany do niczego, więc nie istniało nic, od czego nie mógłby odejść. Jeśli idzie o ludzi... Przypominali wszystko inne, co posiadał: byli tymczasowi. Istnieli tacy, których lubił, ale i ich trzymał na dystans, gdyż nikt nie wzbudzał w nim silnych uczuć. Nigdy nie wpadał w gniew, bo postrzegał go jako stratę czasu. Jeśli sprawa była błaha - odchodził;

jeżeli dotyczyła czegoś, czym musiał się zająć, zajmował się spokojnie i skutecznie. Nie zawracał sobie głowy roztrząsaniem tego później.

Profesja płatnego zabójcy nie przysparzała mu powodów ani do zmartwień, ani do dumy; taki miał fach i już. Znał siebie i akceptował tę wiedzę. Nie odczuwał tego co inni ludzie; emocje, zawsze przelotne, trzymał na wodzy. Dzięki temu nic nie odbierało mu kontroli nad sytuacją. Był bardzo inteligentny, fizycznie silny i szybki, z niesamowitą koordynacją wzrokowo-ruchową, którą mają doskonali strzelcy. Wszystko w nim idealnie pasowało do wybranego zawodu.

Może i nie miał standardów jako takich - standardy zdawały się sugerować jakiś rodzaj moralnego systemu wartościowania - ale miał zasady. Zasada numer jeden: nigdy nie zabijać gliniarzy. Przenigdy. W żadnych okolicznościach. Nic innego nie ściągnęłoby mu na kark pełnej furii armii wymiaru sprawiedliwości jak skrzywdzenie jednego z ich ludzi. Nigdy też nie podejmował się zadań, które miały romantyczne podłoże, bo te nie dość, że skomplikowane, rzadko przynosiły duże pieniądze. Jego najlepsze cele miały zazwyczaj powiązania z kryminalnym półświatkiem, szpiegostwem przemysłowym lub polityką. Gliniarzom tak naprawdę nie zależało na tych pierwszych, druga kategoria najczęściej bywała tuszowana, a on nigdy nie podejmował się politycznej roboty na terenie swojego kraju. Dzięki temu jego życie było schludne i tak uładzone, jak to tylko możliwe.

W sypialni zdjął ubranie, wrzucił je do kosza na brudną bieliznę w szafie i nago przeszedł do łazienki, gdzie dokładnie wydłubał z uszu lateksową masę w cielistym kolorze. Ciągłe, minimalnym nakładem, zmieniał swój wygląd, bo w teorii nie można być nazbyt ostrożnym. Z powodu tych cholernych terrorystów kamery były wszędzie. Zawsze przygotowywał się z wyprzedzeniem i lokalizował najbardziej oczywiste miejsca prawdopodobnej obserwacji. Zakładał, że będzie filmowany i wiedział, gdzie może albo nie powinien się pokazywać.

Mógł wziąć prysznic tu, zamiast w łazience Drei, lecz dziewczyna była znacznie sprytniejsza, niż pozwalała wszystkim uważać. Z wyjątkiem nagłych wypadków, ludzie nieczęsto zapominają o kąpeli po czterech godzinach seksu - chyba że wiedzą, iż w bardzo niedługim czasie, w innym miejscu, będą mogli wskoczyć do łazienki, na przykład gdzieś w tym samym budynku. Może i nie doszłaby do takiego wniosku, ale nie chciał ryzykować. Każdy, kto potrafił zamydlić oczy Salinasowi, zasługiwał na to, żeby nie traktować go lekko.

To popołudnie było... satysfakcjonujące. Bardzo satysfakcjonujące. Nie tylko dowiedział się sporo o Salinasie, ale i przetestował granice swojego opanowania, no i niezłe się przy tym bawił. Chciał się przekonać, jak bardzo Salinas go potrzebuje, a

odpowiedź nie budziła wątpliwości: bardzo. Wystarczająco, żeby zgodził się podzielić z nim swoją kobietą, co kłóciło się z podstawowymi zasadami jego wychowania, pozycji i ego. Ktoś pokroju Salinasa mógłby tak postąpić jedynie wówczas, kiedy już znudziłby się kochanką, a zdaniem zabójcy nie wchodziło to w grę.

Tożsamość jego ostatniego celu, jednego z głównych przewoźników narkotyków w Meksyku, zaostriżyła ciekawość mordercy. Salinas był głównym dystrybutorem, lecz jego operacje znajdowały się na końcu łańcucha pokarmowego. Handlarze narkotykami ciągle pozbywali się rywali, lecz żeby dystrybutor kazał wyeliminować przewoźnika?...

Dziwne. Coś tu się działo, coś, co mogło okazać się wyjątkowo lukratywne dla człowieka, który znał się na swojej robocie.

Zabójca rozważał dokładnie wszystkie możliwe implikacje i konsekwencje, starał się znaleźć sposób na zaspokojenie swojej ciekawości. Gdyby odpowiedź brzmiała: „tak”, oznaczałoby to, iż Salinas jest dość zdesperowany, żeby wkrótce znów potrzebować jego usług. Wówczas on mógłby podyktować swoją cenę. W wypadku odmowy nic złego by się nie stało. Co prawda musiałby dotrzymać niewypowiedzianej groźby i nigdy więcej nie pracować dla Salinasa, ale przecież nigdy nie brakowało mu zamówień. Tak naprawdę mnóstwo ludzi, aż za dużo, chciało, żeby kogoś dla nich zabić. Z ekonomicznego punktu widzenia nie mógł na tym stracić, a na koniec dostał jeszcze miły bonus: Dreę.

Z natury był samotnikiem, lecz nie mnichem. Lubił kobiety i seks, choć obie te sprawy postrzegał w tych samych kategoriach co własny komfort: mógł się bez tego obejść, jeśli zaistniałaby taka potrzeba. Zazwyczaj trzymał się z daleka od kobiet, które należały do innych: sytuacja mogła się zrobić nieprzyjemna, a on nie chciał ściągać na siebie zbyt wiele uwagi. Jednakże coś w Drei zainteresowało go już przy pierwszym spotkaniu.

Nie chodziło o jej urodę. Nie miał jakiegoś szczególnego typu, który faworyzował, lecz nigdy nie pociągały go chude, ociekające seksapilem, kudłate cizie. Jednak od razu poczuł pożądanie. Podejrzewał, że jakaś chemia drzemiąca tuż pod powierzchnią skóry przeważała wszystkie negatywne odczucia i sprawiła, że przyjrzał się dziewczynie dokładniej. A wtedy zrozumiał, że bez względu na to, jak wygląda, czy jak się zachowuje, z pewnością nie jest głupia.

Nie zdradziła się żadnym gestem, nic z tych rzeczy. Musiał przyznać, że miała talent aktorski. Chodziło raczej o to, jak jego zmysły wyczuły się na nią. Zawsze był z natury wspomaganą doświadczeniem doskonałym obserwatorem; drzemiący w nim instynkt drapieżnika bezbłędnie wylapywał najmniejsze zmiany w mimice czy

języku ciała. Nie potrafił wskazać jednego szczegółu, który go ostrzegł, nagle po prostu wiedział, że pod tą burzą loków kryje się nieprzeciętny mózg i że dziewczyna gra na Salinasie jak na skrzypach.

Świadomość tego podniosła zdecydowanie atrakcyjność Drei w oczach zabójcy i ocenę jej umiejętności aktorskich. Nie była naciągaczką: na pewno Salinas jest doskonale obsługiwany w zamian za pieniądze, które na nią wydaje. Mimo to ryzykowała dużo. Gdyby Rafael zaczął dziewczynę podejrzewać, kazałby ją zabić bez mrugnięcia okiem.

Zabójca żywił szacunek dla wszystkich, którzy mieli wolę życia. A Drea do nich należała. Kiedy nadarzyła się sposobność, żeby ją posiadać, nie zawahał się.

Jej pierwsza reakcja lekko go zdziwiła. Kobiety takie jak ona, które handlują ciałem i urodą, żeby dostać to, czego chcą, od mężczyzn takich, jak Salinas, zazwyczaj uważają seks za towar. Początkowo uważał, że jej niechęć to tylko gra, dopieszczanie ego Rafaela, lecz gdy uświadomił sobie, że jest naprawdę przestraszona, wzruszył ramionami i postanowił odpuścić sobie całą sprawę. Samo zachowanie Salinasa wiele mu wyjaśniło.

Kiedy Drea wybiegła na balkon, właśnie szykował się do wyjścia, lecz jakiś niewytłumaczalny impuls wysłał go za nią. Wyglądała na dość przerażoną, żeby skoczyć, a tego by nie chciał. Wyjście na balkon było ryzykowne - cholera, federalni mieli Salinasa na oku dwadzieścia cztery godziny na dobę - lecz koniec końców okazało się warte swojej ceny. Gdy dotknął jej ramienia, poczuł gorąco i dreszcz, prawie elektryczne połączenie, a po paru sekundach ona zaczęła reagować na pieśczoły, wciąż zdjeta strachem, lecz mocno pobudzona, jak on.

Nigdy się nie spieszył, lubił delektować się seksem, lecz dzisiejszy dzień był niezwykły. Kiedy Drea zapomniała już o strachu, rozpalila się tak, że prawie parzyła. Z intensywności reakcji dziewczyny wyczytał, jak bardzo łaknęła czułości. Jak bardzo chciała, żeby ktoś zauważył ją i docenił, pogłaskał. Salinas musiał być marnym kochankiem, samolubnym i leniwym, żeby doprowadzić kobietę do takiego stanu wygłodzenia.

Mimo że popołudnie okazało się szalenie przyjemne, zabójca nie planował powtórki. Jak jej powiedział: raz wystarczy. Teraz zniknie, dopóki Salinas znów się z nim nie skontaktuje; musi przeanalizować sytuację, żeby móc wykorzystać ją jak najlepiej

Czterdzieści minut później starszy jegomość o zgarbionych ramionach wyszedł chwiejnym krokiem frontowymi drzwiami budynku. Podpierając się laską, żeby nie

stracić równowagi, doszedł do krawężnika i czekał, aż portier zatrzyma mu taksówkę.

Wysoko ponad ulicą Xavier Jackson i Rick Cotton zauważyli staruszkę, lecz wcześniej często widywali go tu, i po pobieżnym dochodzeniu, które ujawniło, że mieszka w tym domu, zajęli się pilniejszymi sprawami.

Rozdział 4

Drań miał rację; Rafael wróci wcześniej.

Drea zmusiła się do wstania z łóżka; nogi miała ociężałe, nie skore do współpracy, wewnątrz obolałe. Zachwiała się i złapała łóżka dla utrzymania równowagi, szcękając zębami z zimna. Lód zakrzepnął jej w żyłach, chłód przeniknął każdą komórkę ciała i sprawił, że zlodowaciała na wskroś.

Dygotała z zimna, lecz nie mogła pozwolić sobie na luksus zaszycia się pod kołdrą. Musiała zrobić coś, co odroczyłoby katastrofę, a jedyny pomysł, który przychodził jej do głowy, niósł pewne ryzyko. Pracowicie wygładziła pościel i poduszki, pokuśtykała do kuchni i wzięła odświeżacz powietrza. Spryskała nim pościel w sypialni i posłała łóżko podwijając dokładnie prześcieradło, po czym naciągnęła jedwabną narzutę. Ułożyła dekoracyjne poduszki tak jak zwykle i spryskała dezodorantem całą sypialnię oraz łazienkę. Może to tylko wyobraźnia, lecz mogłaby przysiąc, że wciąż czuła jego zapach.

Dlaczego było jej tak zimno? Powietrze wydawało się lodowate, lecz nie mogła tracić czasu na dostrojenie termostatu. Odłożyła odświeżacz powietrza na miejsce w kuchni, zebrała rozrzucone ubranie i zaniósła do łazienki, gdzie rzuciła ciuchy jak zwykle na podłogę. Odkręciła kurek pod prysznicem, ustawiła wodę na jak najgorętszą i weszła do kabiny; namydliła się, zmyła zapach i lepkość. Przynajmniej woda trochę ją rozgrzała.

W głowie miała mętlik, próbowała zebrać myśli.

Nie potrafiła. Wściekłość bulgotała w niej niczym gęsta smoła, pokrywając mózg lodowatą czernią. Jak mogła być tak cholernie głupia? Głupia, głupia, głupia! Czuła do siebie obrzydzenie. Wiedziała, że nie powinna wierzyć w bajkowo cudownie

szczęśliwe zakończenia, ale stało się tak, że po paru godzinach spędzonych z facetem, który wiedział, jak zaspokoić kobietę, błagała go, żeby ją z sobą zabrał. I to nie „jakiegoś tam faceta”, ale człowieka, który zabijał z taką łatwością, z jaką większość ludzi myje zęby.

Politowanie dla samej siebie aż ją dusiło. Co też ona sobie ubzdurała? Że skoro kochał się z nią wolno i pewnie, zadbał, żeby miała orgazm, to zakochał się w niej? Jasne. Miał inną technikę, tyle. Jak każdy mężczyzna, z którym spała, kiedy już był zaspokojony, tracił całe zainteresowanie.

Nie mogła znieść takiego upokorzenia. Dlaczego nie potrafiła po prostu cieszyć się seksem i trzymać emocje na wodzy? Dlaczego zachowywała się jak naiwna idiotka, którą była w wieku piętnastu lat, kiedy uważała, że mężczyzna naprawi jej świat, zamiast pomyśleć, że jeszcze bardziej może go spieprzyć?

Przynajmniej wtedy była młoda, kiedy dała się otumanić, kiedy została sama i w ciąży - a potem już tylko sama - wtedy miała wymówkę dla swojej głupoty. Teraz nie. Nie tym razem.

Splukała pianę i wyszła spod prysznica. Poczuła mdłości, ale zmusiła się do wytarcia tym samym ręcznikiem, którego używał zabójca. Rafael zwracał uwagę na szczegóły, a więcej ręczników z pewnością by zauważył.

Owionął ją chłodny podmuch z klimatyzatora, drżała z zimna, wycierając włosy. Gruby ręcznik był już zbyt mokry, odrzuciła go na bok, schwyciła z wieszaka frotowy szlafrok, owinęła się nim i podeszła do marmurowej toaletki po grzebień, żeby rozczesać włosy.

W lustrze zobaczyła błyszczące na policzkach łzy. Znowu płakała. Dwa razy jednego dnia to był jej osobisty rekord.

Cholera, płacz w niczym nie pomaga. Prawie uderzyła się w twarz, tak gwałtownie ocierała łzy.

Wróciły. Patrzyła na kobietę w lustrze, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że widzi kogoś, kto zniknął przed wieloma laty. Twarz miała bladą, pustkę w oczach. Bez makijażu, z długimi włosami szczesanymi do tyłu, znów była dziewczyną, której dziecko umarło i zabrało z sobą wszystkie marzenia.

Wybiegła z łazienki. Powinna wysuszyć włosy, zrobić makijaż, sprawić, że będzie wyglądać najpiękniej i najsensowniej, ale nie potrafiła się zmusić. Przypatrywała się sobie w lustrze dość długo; nie.

Wpadła do salonu, stanęła, chwiejąc się, z pochyloną głową, niczym nakręcana zabawka, w której pękła sprężyna. Co teraz powinna zrobić? Co może zrobić?

Było jej strasznie zimno, szczykała zębami. Chłód śmierci zdawał się unosić wokół niej, przenikać przez nią. Mimo że na podłodze leżał gruby dywan, bosa stopy miała lodowate i blade, tak że ciemny lakier na paznokciach jaskrawo odcinał się od pozbawionej krwi skóry. Nienawidziła tego koloru, nienawidziła tego, jak wyglądały jej stopy, kiedy założył je sobie na ramiona...

Ochrypiły, gardłowy dźwięk wyrwał się jej z piersi, odepchnęła od siebie to wspomnienie i rzuciła się w stronę drzwi balkonowych, w ciepło, które kryło się za nimi.

Ledwie zarejestrowała kojącą temperaturę nagranych kamiennych kafli pod stopami. Na balkonie też czaiły się niechciane wspomnienia. Omijała wzrokiem barierkę, przy której wcześniej stała; teraz siedziała na posadzce, oparta plecami o ścianę. Słońce rozgrzało także cegły i upragnione ciepło przeniknęło ciało. Aż jęknęła z ulgi, przyciągnęła nogi do klatki piersiowej. Otuliła połamami szlafroka i oparła czoło na kolanach.

Zaniosła się płaczem, z żalu, gniewu, bezsilności, nie potrafiła opanować emocji; nie rozumiała też swojej reakcji. Co się dzieje? Nigdy się nie poddawała, zawsze manewrowała, kręciła, szukała wyjścia z sytuacji. Musi się pozbierać, musi uwieść Rafaela za wszelką cenę...

Nie! To słowo wydostało się z podświadomości i nappełniło echem całe ciało. Gwałtowność instynktownej reakcji wstrząsnęła Drea; nigdy nie folgowała uczuciom w taki sposób. I nagle przyszło uspokojenie - zrozumiała, że wszystko do siebie pasuje. Z Rafaelem koniec. Oddał ją, jakby nic dla niego nie znaczyła, była niczym.

Nienawidziła go, nawet bardziej niż samej siebie. Podporządkowała mu się całkowicie, zagryzała wargi, uśmiechała i zgadzała z nim, bez względu na to, czego chciał. I po co? Żeby potraktował ją jak dziwkę? Aż trzęsła się z wściekłości. Czuła prymitywną potrzebę zemsty: zranić go, bić, szarpać pazurami, zobaczyć jego krew.

W takim wypadku zbiry Salinasa albo by ją zastrzeliły na miejscu, albo pozbawiły życia w bardziej wyrafinowany sposób. Była całkiem bezradna i to szczególnie ją zirytowało.

Bezwzględnie logiczna część umysłu rozkazała Drei wziąć się w garść i stawić czoła sytuacji, lecz opanowanie szalejących emocji wydawało się niemożliwe. Przypominały gigantyczne fale uderzające o mury obronne, które zbudowała wokół siebie, i po raz trzeci tego dnia poczuła, że pękają.

Rafaël musi zapłacić. Nie wiedziała jeszcze jak, ale na pewno mu nie przebaczy. Upokorzenie jej będzie go dużo kosztować. Bez względu na to, jak bardzo życie nią poniewierało, nigdy nie zeszła do poziomu prostytutki. Zawsze postrzegała siebie

jako kochankę Rafaela, nie jego dziwkę, co może i było dzieleniem włosa na czworo, lecz według jej pojmowania dzieleniem cholernie ważnego włosa.

Teraz została pozbawiona komfortu tej iluzji. Dla Salinasa miała wartość towaru, który można wymienić za usługę. Drżała, ścisnęło ją w gardle tak, że zaczęła się krztusić, zwymiotowała, ale żołądek był pusty; łkała chwytając gwałtownie powietrze, wstrząsana spazmami.

Usłyszała, że wchodzi do mieszkania - trzasnął drzwiami głośniejsze niż zwykle, wręcz demonstracyjnie, jakby chciał pokazać, że wcale nie czuje skruchy. Zdecydował się zatrzymać zabójcę na swoich usługach, zrezygnował z niej...

Nagle wszystko stało się dla niej jasne: zatrzymał zabójcę na swoich usługach... Czyli był jeszcze ktoś, kogo chciał zabić, chciał tego tak desperacko, że przełknął dumę i odstąpił swoją kochankę innemu mężczyźnie. Można więc przypuszczać, że ceni ją bardziej, niż wskazywałoby na to jego postępowanie; w takim razie ma nad nim przewagę.

Zanim zdążyła przetrwać swoje myśli, Rafael już pojawił się w drzwiach balkonu; na widok Drei zatrzymał się.

-Co ty tu robisz?

Powiedział to tak zwyczajnie, że Drei aż pociemniało w oczach z wściekłości. Zaciśnęła pięści w fałdach szlafroka, i ledwie się powstrzymała, żeby nie skoczyć Salinasowi do gardła i wydrapać mu oczy pazurami. Złapała ogromny haust powietrza, starając się opanować i przywrócić sobie zdolność myślenia. Musi przecież coś zrobić, coś powiedzieć.

Uniosła głowę, a on aż się wzdrygnął. Drea zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda, z zapuchniętymi oczami i bladą twarzą. Nigdy wcześniej nie pozwoliła, żeby Rafael oglądał ją bez starannego makijażu czy idealnej fryzury, lecz teraz to nie miało znaczenia...

Jasność umysłu powróciła szybko, co pozwoliło Drei znów poczuć grunt pod nogami - nie miała już wątpliwości, jak powinna się zachować, grając narzuconą sobie rolę. Plan był tak bezczelny i przerażający, że gdyby się nad nim dłużej zastanawiała, mogłoby jej nie starczyć odwagi. Rafael musi zapłacić, a ona doskonale wiedziała, jak go do tego zmusić.

Wzięła długi, głęboki oddech.

-Przepraszam - wydusiła przez łyżę, bo dużo ją kosztowało zmuszenie się do przeprosin drania. - Ja nie wiedziałam... że się mną znudziłeś... - Głos jej się załamał, zakryła twarz dłońmi, szlochając.

Usłyszała jego buty szurające po kafelkach; podszedł do niej. Stał chwilę, jakby nie wiedział, co ma zrobić, a może wiedział, tylko nie chciał. Wreszcie położył jej dłoń na ramieniu.

-Drea... - zaczął.

Szarpnięciem odsunęła się od niego; nie mogła znieść nawet najzwyczajniejszego dotyku Rafaela.

-Nie, przestań - powiedziała ostro. Otarła twarz rękawem szlafroka. - Nie chcę twojej litości. - Znow popłynęły łzy. - Wiedziałam, że mnie nie kochasz - szepnęła. - Ale sądziłam, że... mam szansę, że kiedyś mnie pokochasz. Teraz już wiem, jaka jest prawda. - Usta i broda drżały jej; patrzyła przed siebie, nie ośmieliła się spojrzeć na niego, bała się, że dostrzeże w jej oczach wyraz skrytej, nieprzejednanej nienawiści. Dzięki Bogu, że te głupie łzy nie chciały przestać lecieć, nawet jeśli miałyby przekonać Rafaela, że to przez niego płacze, nie przez...

Nie. Nie płakała przez tego cholernego zabójcę. Sama nie wiedziała, dlaczego płacze, ale z pewnością nie przez niego. Może oszalała albo co. Jednak szalona czy nie, musiała rozegrać to jak najlepiej. Obstawiała ego Rafaela, zakładając, iż pochlebi mu wyznanie, że się w nim zakochała, i łyknie cały ten stek bzdur, który mu wciskała.

Była wściekła, gdy przykucnął obok i nie spuszczał z niej wzroku. Ani razu nie spojrzeli sobie w oczy, milczeli. Co chwila ocierała policzki, wciąż zapatrzona w przestrzeń. Może i nie potrafiła poradzić sobie z niczym innym, co się tego dnia wydarzyło, ale prędzej szlag ją trafi, niż nie poradzi sobie z Rafaelem Salinasem.

-Skrzywdził cię? - odezwał się wreszcie cichym, żalobnym tonem, w którym pojawiła się też nuta, jakiej nigdy w głosie Rafaela nie słyszała.

Nie miała dość czasu, żeby to teraz analizować, więc zagrała instynktownie.

- Nawet mnie nie dotknął. Trochę mi odbiło, a on... Powiedział, że szkoda na mnie zachodu, i poszedł sobie. - Roześmiała się krótko, z goryczą. - Zdaje się, że dalej jesteś mu winien te sto kawałków. Przykro mi. - Salinas był Latynosem; to, że miała innego mężczyznę, umniejszyłoby wartość Drei w oczach Rafaela. Może nawet tak bardzo, że nie starałby się jej zatrzymać. Nie mogła teraz odejść, jeszcze nie, więc musiała go przekonać, że nic się tu nie wydarzyło.

- Nawet cię nie dotknął? - dociekał uparcie i z niewiarą w głosie.

- Jest już was dwóch, co? Żadnemu na mnie nie zależało... - Nie chciała tego powiedzieć, ale była tak bardzo rozgoryczona, słowa wybrzmiały z własnej woli. Pożałowała, że tak szczerze otworzyła przed nim serce. Emocje były prawdziwe i miały sporą wagę.

„Raz wystarczy”.

A niech go szlag trafi. Jej także ten raz zupełnie wystarczy. Teraz już wiedziała, o co mu chodziło: grał w jakąś grę z Salinasem, tak subtelna, że ten nie miał zielonego pojęcia, iż powinien stanąć w szranki. W grze polegającej na seksualnej dominacji zabójca okazał się lepszy. Te parę szalonych godzin z nim sprawiło, że całkiem straciła głowę i nie chciała rozstać się z mordercą. Wydymał ją tak, że aż zgłupiała i nadal nie odzyskała rozumu, bo gdyby go odzyskała, byłaby w stanie opanować te idiotyczne łyzy.

Pochyliła głowę, przyciskając twarz do kolan, i znowu się rozplakała.

Rafael patrzył na nią bezradnie. Nic w ich związku nie przygotowało go na coś podobnego; Drea zawsze była uступliwa, uśmiechnięta, płytka i ozdobna. Nigdy nie widział jej rozszlószonej, czy nawet zirytowanej. Gotowa była iść o zakład, że za szczyt jej zmartwień uważał zakupy, fryzjera i kolor lakieru do paznokci. Z drugiej strony dokładała ogromnych starań, żeby tak właśnie ją postrzegał.

-Przyniosę ci szklankę wody - powiedział i zniknął wewnątrz mieszkania.

Wody! Jakby szklanka wody mogła jej pomóc. Cierpiała, ale nie z pragnienia. Jednak to już coś, taki gest, bo Rafael nigdy nic nikomu nie przynosił; na odwrót, wszyscy skakali wokół niego.

Nie było go znacznie dłużej, niż zajęłoby pójście do kuchni i z powrotem, więc domyśliła się, że przeszukuje mieszkanie, szuka śladów, dowodów, że skłamała. Szybko powtórzyła w myśli wszystkie swoje ruchy, zastanowiła się, czy aby czegoś nie przeoczyła.

W końcu wrócił na balkon i przykucnął obok niej.

-Masz. Napij się.

Doszła już trochę do siebie, więc uniosła głowę, otarła policzki, po czym sięgnęła po szklankę.

- Chciałam się spakować. - Mówiła tak słabym głosem - gardło miała opuchnięte - że ledwie mógł ją zrozumieć. - Ale nie mam dokąd iść. Rozejrzę się za jakimś mieszkaniem... Pozwolisz mi tu zostać jeszcze parę dni?

- Nie musisz się wyprowadzać. - Znów położył dłoń na jej ramieniu. - Nie chcę, żebyś się wyprowadziła.

- Ale już ci na mnie nie zależy - odparła, kręcąc głową; wreszcie ośmieliła się spojrzeć na niego. Oczy miała jeszcze zaszkłone łzami, głos jej drżał, lecz przełknęła ślinę i zdołała wydusić: - Oddałeś mnie jemu. Mogłeś zwyczajnie powiedzieć, żebym się wynosiła. Nie musiałeś tego robić. Może powinnam była się domyślić, że już się

mną znudziłeś, ale chyba za bardzo uwierzyłam, że możesz mnie pokochać i... - Urwała i znów pokręciła głową. - Wszystko jedno.

- Ależ ja wcale nie chcę, żebyś odchodziła - powtórzył dobitnie. - Nigdy nie zrobiłbym... Posłuchaj, nie miałem wyboru. On wiedział o tym. - Rozejrzał się, jakby oceniał czy ktoś może ich podsłuchać na balkonie. - Wejźmy do środka. Tu nie możemy rozmawiać.

Drea pozwoliła, żeby podciągnął ją na nogi i zaprowadził do mieszkania; nie protestowała, kiedy władcym gestem objął ją w tali. Już święciła w duchu triumf, rozpieierała ją radość, wyschły łzy - przynajmniej na chwilę. Tak! Kupiła sobie czas, potrzebny, żeby móc wprowadzić w życie szatański plan. Jeszcze musi ukryć przed Rafaelem prawdziwe uczucia, ale taka gra nie potrwa długo, zresztą miała w tym tyle doświadczenia, że na pewno nie wypadnie z roli.

Salinas zapłaci, słono zapłaci.

- I co ty na to? - spytał zdumiony Xavier Jackson; aż zamrugał, usłyszawszy to, co przekazał mu paraboliczny mikrofon. Jakość dźwięku nie była najlepsza z powodu wiatru, odległości i innych czynników, ale program komputerowy odfiltrował sporo zniekształceń.

- Dobrze byłoby dowiedzieć się, kim jest ten gość - odparł Cotton. - Najwyraźniej ktoś ważny, skoro Salinas oddał mu dziewczynę. Dlaczego jeszcze nie wyszedł z budynku?

- Może wyszedł, a my nie zauważyliśmy? Prawdę mówiąc, nie widziałem też, żeby wchodził do budynku. Kiedykolwiek.

- W takim razie albo ma tunel, albo nosi przebranie.

- Nie wykluczałbym tunelu - powiedział Jackson całkiem serio. Pod Nowym Jorkiem aż gęsto było od najróżniejszych zapomnianych przejść. Żaden z planów miasta nie pokazywał tunelu akurat w tym miejscu, ale to nie znaczy, że go tu nie było. Należałoby sprawdzić, choć jego zdaniem mężczyzna używał przebrania. Sprawdzi wszystkie nagrania z kamer przy wejściu do budynku i porówna je z nagraniem mężczyzny na balkonie. - Zastanawiam się, dlaczego dziewczyna stara się przekonać Salinasa, że nic między nimi nie zaszło. Przecież najwyraźniej oddał ją z własnej woli.

- A kto to wie? - Cotton westchnął i podrapał się po głowie. - W takim razie nie uda się nam wykorzystać tego przeciwko niej, bo nawet jeśli Salinas kiedykolwiek dowie się, co naprawdę kręcili, sam wysłał zaproszenie. Niech to wszyscy diabli.

Obaj wpatrywali się zirytowani w monitor, który pokazywał im właśnie to, co mieli na Salinasa: nic.

Rozdział 5

Rafael Salinas otworzył cicho drzwi sypialni Drei i podszedł do łóżka. Nieczęsto tu bywał, choć jego ludzie regularnie przeszukiwali pomieszczenie, by mieć pewność, że dziewczyna nic nie knuje. W pokoju było aż duszno od wszechobecnych koronek i falbanek, które Drea uwielbiała, on natomiast nie chciał pamiętać, że jego kochanka ma tak zły gust. Dziś wieczorem z jakiegoś powodu kiczowaty wystrój nie dość, że go nie drażnił, to, co dziwne, wzruszył. Jej pokój przypominał sypialnię młodzietkiej panienki, której kochająca matka pozwoliła zaszaleć z ozdobami; wydawał się wręcz niewinny w tej przesadzie.

Spała na boku, plecami do drzwi, zwinięta w kłębek na skraju łóżka. Wydawała mu się drobniejsza, jakby zmaląła. Światło z holu padało na wyrazisty łuk kości policzkowych, przysłoniętych splątanymi lokami. Płakała, dopóki jej to nie wyczerpało, i nawet w półmroku dostrzegł mocno zapuchnięte powieki.

Nieczęsto odczuwał wyrzuty sumienia; to dobre dla głupców i mięczaków, którzy albo nie wiedzą, co robią, albo nie mają jaj, żeby zrobić to, co chcą. A jednak po raz pierwszy od wielu lat poczuł ukłucie niepewności.

Panika, wściekłość i zdumienie skręcały mu wnętrzości. Jak to się stało? Dlaczego czuje się tak tylko wobec Drei?

Usiadł na krześle przy łóżku i przyglądał się jej ponuro. Była z nim od dwóch lat, dłużej niż jakakolwiek inna kobieta, dlatego, że nie sprawiała kłopotu. Nie miał ani czasu, ani cierpliwości, żeby użerać się z dasami, jękami czy żadaniami. W wypadku Drei, zgodnej i mało wymagającej, nie musiał się tego obawiać; miała łagodny temperament, nie za bystry rozum, interesowały ją wyłącznie zakupy i to, czy ładnie wygląda. Nie przejawiała skłonności do dramatyzowania, robienia scen czy żądania kosztownych podarków; po prostu była, uśmiechnięta i zawsze chętna, kiedy on miał ochotę na seks.

Choć gdyby zastanowił się, powiedziałby, że trzymał Dree właśnie z powodu seksu. Nie chciał jej oddawać temu draniowi, pewnie, bo żaden facet, który ma *cojones*, nie dzieli się swoją kobietą, ale on znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jeśliby uniósł się ambicją i odmówił, straciłby bardzo cenne usługi zabójcy - zamierza skorzystać z nich, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Istniało też całkiem realne zagrożenie, że zabójca weźmie odmowę do serca, i choć Rafael nie obawiał się nikogo, był dostatecznie sprytny, by wiedzieć, że z niektórymi ludźmi nie warto lecieć w kulki - a z takim właśnie człowiekiem miał do czynienia.

Zacisnął więc zęby i przystał na warunki. Gotował się ze złości całe popołudnie, wyobrażając sobie swoją kobietę nagą w ramionach innego mężczyzny, złapał się nawet na tym, że zastanawia się, czy drań ma większego niż on. Nie musiał martwić się o pierdoły, a jednak martwił się, i jeszcze bardziej go wkurzało, że przywiązuje wagę do głupstw. Dysponował pieniędzmi i władzą, a to się liczyło dla kobiet takich jak Drea.

Widział przerażenie w oczach dziewczyny, kiedy zgodził się oddać ją zabójcy, i był taką reakcją zaskoczony. W końcu za wszystko w życiu płaciła seksem. Nic wielkiego, prawda?

Przypuszczał, że gdy wróci, ona będzie robić to co zwykle: opilać paznokcie albo oglądać ten cholerny program z telezakupami, który tak uwielbiała, równie zadowolona jak zawsze. Kiedy znalazł Dree skuloną na balkonie, zapłakaną i zbolaną, poczuł się tak, jakby ktoś walnął go pięścią w brzuch. Wyglądała okropnie: włosy miała mokre, szesane do tyłu, bez makijażu, oczy zapuchnięte od płaczu, twarz ściągniętą i bladą. Była w szoku, a wyraz jej oczu...

Złamana. Jedyne słowo, które przychodziło mu do głowy, określające najlepiej jej stan. Wyglądała na zlamaną.

Początkowo myślał, że została fizycznie skrzywdzona, że drań należał do tych, których podnieca zadawanie bólu. Rafael znów poczuł, że traci grunt pod nogami zaskoczony swoją niespodziewaną reakcją: ogarnęła go czysta wściekłość, że ktokolwiek ośmielił się sponiewierać coś, co należało do niego, że prostolinijna, nieszkodliwa Drea została zraniona. Nieważne, ile go to będzie kosztować, ale zlikwiduje zabójcę.

Jednak to nie było tak. Drea zrozumiała, że on, Rafael, jej nie kocha, i właśnie straciła nadzieję, że kiedykolwiek ją pokocha. Starając się jakoś rozwiązać tę łamigłówkę, już przygotowywał się na następne uderzenie w bebechy.

Ostatni cios rozłożył go na łopatki: Ta dziewczyna go kocha.

Nie mógł tego pojąć. Miłość nie została wpisana w ich układ. Teraz Drea chce się wyprowadzić. Dlaczego? Bo nabrała pewności, że jej uczucie nigdy nie zostanie odwzajemnione. Zabójca nawet jej nie tknął. Jakkolwiek niewiarygodne by się to wydawało, nie miała powodu, żeby go okłamywać: sam wszystko zaaranżował, spodziewał się, że wylądują w łóżku. Nic się przed nim nie ukryło, nic nie musiało zostać ukryte. A jednak podejrzliwość, będąca jego drugą naturą, nakazała mu sprawdzić apartament. Żadne łóżko nie miało śladów użytkowania, Drea właśnie wyszła spod prysznic i łazienka nadal była zaparowana, ubranie leżało rozrzucone na podłodze jak zwykle, obok jeden mokry ręcznik. A więc mówiła prawdę.

Poczuł się zdradzony, gdyż Drea stała się nagle zupełnie inną kobietą, jakże różniącą się od tej, do której się przyzwyczaił. Nie była z nim z wygody, dla pieniędzy czy ochrony, ani z jakiegokolwiek innego powodu, ważnego dla kobiet takich jak ona. Była z nim, bo go kochała. Miotał się w tej niesamowitej pułapce, zdumiony, wściekły i - cholera! - pochlebiony. Nie chciał, żeby ich układ zmienił się, chciał, żeby wszystko pozostało tak jak do tej pory. Nie chciał, żeby jej miłość cokolwiek dla niego znaczyła, a jednak okazała się ważna.

Nie powinno go obchodzić, że dziewczyna zamierza się wyprowadzić; chętnych na jej miejsce nie zabraknie. Kobiety zawsze na niego leciały, a on nigdy nie musiał o nie zabiegać. Był tego pewien - pewien, a jednak na myśl, że mógłby ją stracić, spanikował. On, Rafael Salinas, przejmował się kobietą! Wystarczyło, żeby parsknął śmiechem. A jednak tak właśnie sprawy się miały: nie chciał jej stracić. Nie chciał innej kobiety. Chciał Drei. Chciał dawać jej ubrania i bućki, i pieniądze, żeby mogła pozwolić sobie na wszystkie te głupiutkie zabiegi u kosmetyczek, fryzjerek i manikiurzystek, które uwielbiała, ale przede wszystkim pragnął, żeby go kochała. Najdziwaczniejsze było to, że w ogóle obchodziło go, czy ona go kocha. Czy ktokolwiek go kocha.

Siedząc w półmroku, zaczął się zastanawiać, czy aby on się w niej nie zakochał. Niemożliwe, lecz jak inaczej wyjaśnić to poczucie paniki, ten zamęt i ten ból? Nie kochał nikogo ani niczego od czasów dzieciństwa, które spędził w najtwardszym *barrio* w Los Angeles, gdzie nauczył się, że zwyczajnie ceniąc kogoś, wkłada się wrogom broń w ręce. Musiał przestać tak myśleć, musiał natychmiast to skończyć.

Ale to uczucie już uderzyło mu do głowy, sprawiło, że serce mu łomotało, a żołądek ścisnął się i po raz pierwszy w życiu Rafael zrozumiał, dlaczego zakochani zdolni są do robienia tak głupich rzeczy. Ta dziwna mieszanka euforii i strachu sprawiała, że czuł się, jakby właśnie sztachnął się tajemniczym dragiem, tak błyskawicznie uzależniającym, że już chciał więcej.

Drea, ciągle śpiąc, poruszyła się. Kiedy na nią patrzył, ogarnęła go dziwna tkliwość; dziewczyna przekręciła się na drugi bok i znów podciągnęła kolana do piersi, jak gdyby nawet we śnie starała się chronić, ukryć, zmaleć. Potrzebuje mnie, pomyślał. Żeby stał pomiędzy nią, a światem, żeby czuła się bezpiecznie. Ktoś taki jak ona, głupiutki, słodki i łatwowierny byłby łatwym celem, gdyby został sam na świecie.

Albo nie spała aż tak twardo, albo intensywność spojrzenia Rafaela obudziła ją. Uniosła powieki i przez moment miał wrażenie, że go nie zauważa; mogła nie widzieć, siedział w mroku. Potem dostrzegła otwarte drzwi, zamrugła parę razy i przetarła oczy. Zobaczywszy go, powiedziała „och” zduszonym głosem, ciągle jeszcze ochryplym od płaczu.

Rafael pragnął zrobić coś, czego nigdy dotąd nie zrobił dla nikogo: chciał ją pocieszyć. Bez wahania zdjąłby ubranie i wsunął się do niej, pod kołdrę, przytulił i szeptał czułe słowa - wszystko, żeby tylko to puste, przygasłe spojrzenie nabrało życia. Powstrzymywała go jedynie niepewność, czy ona sobie tego życzy - coś, co nigdy wcześniej nie przyszłoby mu do głowy. Jego duma i ego mocno już oberwały tego dnia i nie chciał ryzykować, że Drea go odtrąci. Zaczeka do jutra, żeby się przekonać, czy ma szczęście.

- Chciałem tylko sprawdzić, jak się masz - powiedział cicho, starając się mówić bez zbytniego nacisku, swobodnie, naturalnie.

- Okej.

Nie zabrzmiało prawdziwie. Mówiła tak, jakby nie zostało w niej ani trochę ducha walki, jakby już nigdy nie miała się uśmiechnąć.

Coś ścisnęło go w piersi, sprawiając, że słowa uwięzły mu w gardle. Zwilżył wargi i przełknął nerwowo ślinę. To wszystko jego wina. Zranił dziewczynę tak głęboko, że zniszczył dziecianną radość, którą czerpała z życia. Wynagrodzi jej to, pomyślał z zawziętością. Jakimś cudem przekona ją, żeby została. Zawsze mógł przeszkodzić jej w znalezieniu innego mieszkania i tym samym zmusić, żeby została u niego. Nie obchodziło go, do jakiego środka się ucieknie, tak długo, jak długo ją zatrzyma.

Tego ranka, jeszcze niecałe dwanaście godzin wcześniej, pytałaby, czy czegoś nie chce, skakałaby koło niego i pilnowała, żeby wszystko było po jego myśli. Teraz nawet nie próbowała podtrzymać rozmowy, a przepaść, która ich dzieliła, zdawała się mieć tysiąc kilometrów szerokości. Gdyby tylko zrobiła scenę jak inne kobiety, pomyślał z frustracją. Wtedy on też mógłby się wściec i nie czułby się tak bezradny.

Ale Drea nigdy nie traciła panowania nad sobą; nawet nie wiedział, czy potrafi je stracić.

Powiedział kiedyś komuś żartem, że Drea ma głębię kuwety laboratoryjnej i teraz żałował, że tak nie jest.

Naśmiewał się z niej, opowiadał o niej innym i nigdy nie rozumiał, ani nie doceniał, że jest mu najzwyczajniej w świecie oddana. Jeśli kochanie kogoś to męka, to bycie kochanym jest jeszcze potworniejsze, gdyż narzuca człowiekowi subtelny ciężar troski. Dwanaście godzin wcześniej był wolny. Teraz emocje skuły go stalowymi kajdankami.

-Potrzebujesz czegoś? - spytał, wstając z wysiłkiem. Nie mógł przecież siedzieć przy jej łóżku jak jakiś idiota.

Zawahała się kilka sekund, a jemu serce zabiło żywiej. Potem usłyszał:

- Po prostu muszę się wyspać. - Zrozumiał, że pauza spowodowana była raczej wyczerpaniem niż niezdecydowaniem.

- W takim razie do jutra. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. Kiedyś, dwanaście godzin temu, przekreśliłaby głowę i spotkała jego usta wargami, ale teraz tylko leżała nieruchomo. Zanim zdążył się odwrócić, już zamknęła powieki.

Ledwie drzwi się za nim zatrzasnęły, Drea otworzyła szeroko oczy i się wzdrygnęła. Była świetną aktorką, lecz wiedziała, że nie jest dość dobra, żeby ukryć prawdziwe uczucia, gdyby chciał się z nią kochać. Nie mogłaby teraz, nie z nim.

Przynajmniej jutro Rafael otoczy się swoją świtą; tego dnia odesłał ludzi, żeby na osobności rozmówić się z zabójcą. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego planach. Wynajęte zbiry zwykle nie odstępowały go na krok i to działało jej na nerwy, ale teraz cieszyła się na myśl o ich przewidywalnym towarzystwie. Rafael będzie się starał traktować ją normalnie - nikt nie może wyczuć, że coś tu się dzieje; ego Salinasa nie wytrzymałoby wystawienia na widok publiczny. Będzie musiał zająć się codziennymi interesami. Miło byłoby, gdyby poleciał w interesach na drugi koniec kraju, ale mało prawdopodobne, zawsze wiedziała, jeżeli planował jakąś podróż.

Zachowywał się... dziwnie. Spodziewała się, że miłosne wyznanie pochlebi mu, nie przypuszczała jednak, że tak kompletnie facetowi odbije. Przynosić jej wodę, zaglądać do jej sypialni... siedzieć przy jej łóżku w ciemnościach, na miłość boską! Zachowywał się tak, jakby właśnie przeszczepiono mu serce i to ją przerażyło. Pomyślałaby, że to on się w niej zakochał, gdyby sam pomysł nie był aż tak

niedorzeczny. Rafael nigdy nikogo nie kochał. Wątpiła, czy kochał choćby swoją matkę.

Ale jeśli sądził, że kocha ją, to przynajmniej na razie dawało Drei przewagę. Niestety, kryło się w tym pewne niebezpieczeństwo. Na przykład Salinas może pragnąć mieć ją przy sobie, a to ostatnia rzecz, której by chciała. Potrzebowała nieco czasu w samotności, żeby zorganizować się i wcielić plany w życie.

Od początku związku z Rafaelem podjęła kroki, żeby zapewnić sobie przyszłość. Podarował jej mnóstwo biżuterii, ale w żadnym momencie nie zakładała, że pozwoli zabrać drogocenne precjoza, kiedy ją wykopie. Dlatego sfotografowała każdą sztukę i kazała zrobić duplikaty bardzo dobrej jakości, które kosztowały ją setki dolarów, ale warte były swojej ceny. Za każdym razem kiedy wkładała prawdziwą biżuterię, a potem oddawała ją Rafaelowi do schowania w sejfie, podmieniała prawdziwą na fałszywą. Salinas pilnował kopii, a ona, kiedy tylko mogła, wymykała się do banku, gdzie miała skrzynkę depozytową, o której istnieniu nikt nie wiedział.

Gdyby sprzedała świecełka, mogłaby żyć całkiem długo na całkiem niezłej stopie, ale to było mało. Rozwścieczyłaby go zabranie biżuterii, ale to też za mało, by poczuł się dotknięty do żywego. Poza tym otrzymała kosztowne drobiazgi w prezencie, więc należały do niej. Chciała zrobić z niego pośmiewisko, dać mu w rewanżu coś, co będzie go zżerać.

Taak, to mogło okazać się niebezpieczne. Zdawała sobie sprawę. Ale przemyślała wszystko i jeśli uda się jej wydostać z miasta, będzie miała przewagę; Rafael był człowiekiem Wielkiego Miasta. Całe życie mieszkał albo w Los Angeles, albo w Nowym Jorku. Małomiasteczkowa Ameryka była dlań równie obca co Timbuktu, ale ona wyrosła w małej miejscinie pośrodku prerii i wiedziała, jak zniknąć, jak zlać się z tłumem. Istniało wiele miejsc, w których mogła stworzyć się od zera. Nie spodziewałby się takiego numeru, gdyż uważał, że jest na to zbyt głupia. Sądził także, iż jest zbyt głupia, żeby go okraść do cna, ale wkrótce udowodni mu, jak bardzo się myli.

Musi działać szybko i nie zatrzymywać się, no i mieć alternatywny plan działania na każdy fragment drogi, gdyby sprawy potoczyły się w nieodpowiednim kierunku. Powinna spodziewać się problemów, wtedy nie wpadnie w panikę, gdy wydarzy się coś niespodziewanego.

Przy odrobinie szczęścia zyska parę godzin przewagi. Jeśli w tym czasie nie wydostanie się z Nowego Jorku, będzie po niej.

Rozdział 6

Drea zasnęła, a kiedy wreszcie zdołała zwlec się z łóżka, czuła się, jak po zderzeniu z autobusem; bolało ją nie tylko ciało, ale i dusza. W teorii cztery godziny seksu, nawet naprawdę dobrego seksu, to może i fajna zabawa, lecz nie miałyby ochotę na powtórkę. Nawet bez towarzyszącej emocjonalnej nawałnicy, której doświadczyła poprzedniego dnia. Nie mogła zaprzeczyć, przyjemność fizyczna była ważna, ale Drea lubiła trzymać ster. Wolała zachować zimną krew podczas aktu, a swoimi potrzebami zająć się później, kiedy będzie sama. Wystarczy spojrzeć, jak te kilka orgazmów ją ogłupiło. Dzięki Bogu, że nie na trwałe. Nigdy więcej nie popełni takiego błędu; jeśli ktokolwiek ma zgłupieć, to facet, nie ona.

Tego ranka nie pozwoliła sobie na „wymięknięcie” przed lustrem; zebrała się w sobie i skupiła na tym, co w nim widziała teraz, nie na odbiciu Drei sprzed lat. Przestała być tą głupią, naiwną dziewczynką, więc myślenie o niej było wyłącznie stratą czasu.

Chwila obecna jest dostatecznie zła, pomyślała krytycznie; obróciła głowę to w jedną, to w drugą stronę, przyjrzała się sobie. Twarz miała pozbawioną koloru, jeśli nie liczyć przypominających sińce cieni pod zapuchniętymi oczami; włosy tak rozczochrane, jak gdyby stadko szczurów bawiło się w nich całą noc. Może to tylko duma, ale nie chciała wyglądać żałośnie. Nie zdoła zapomnieć tego, co działo się poprzedniego dnia, lecz z pewnością może wyglądać lepiej niż teraz.

Po raz pierwszy, zanim zaczęła się rozbierać, zamknęła drzwi łazienki. Nie obchodziło jej, co pomyśli Rafael, czy mu się to podoba, czy nie.

Wzięła grzebień i zażarcie zaatakowała skołtunione włosy, potem weszła pod prysznic i wyszorowała się ulubionym, perfumowanym mydłem w płynie. Poprzedniego popołudnia nie miała czasu nałożyć odżywki na włosy, dlatego tego ranka były w tak opłakanym stanie. Teraz nie spieszyła się i wkrótce poczuła, jak gęste pukle nabierają jedwabistości.

Przede wszystkim, rozmyślała ponuro, trzeba będzie obciąć większość tego draństwa. Nie tylko że jej włosy były łatwo rozpoznawalne, ale uważała, że są za długie i zbyt pokręcone. Naturalnie wily się nieco, ale nie tak, jak te przypominające korkociąg; wymagały wielu godzin pielęgnacji i stosowania śmierdzących chemikaliów. Celowo wybrała taką fryzurę, gdyż wiedziała, że dzięki niej będzie się wydawać bardziej frywolna, nierozgarnięta, ale, szlag by to trafił, miała już tego

dość. Dość udawania, że brak jej mózgu, dość przedkładania potrzeb i chęci innych nad swoje.

Włożyła szlafrok i ciasno zawiązała pasek, po czym zaczęła się pospiesznie malować; czuła, że czas prześlizguje się jej między palcami, a zostało zaledwie kilka godzin na ucieczkę. Źle się stało, że spała tak długo, powinna była nastawić sobie budzik, ale skoro tego nie zrobiła, teraz musi ruszać się szybciej. Biorąc pod uwagę dziwaczne zachowanie Rafaela, zupełnie jakby nagle odkrył w sobie głęboką miłość do niej - aha, pewnie! - nie potrafiła przewidzieć, co on zrobi za chwilę i ta niepewność przerażała ją. Miała do czynienia z niebezpiecznym mężczyzną i sprytnym na dodatek. Musiała bardzo się pilnować. Wystarczyłoby jedno przejeżdżenie, jedna nieostrożna mina, żeby ostrzegawcza lampka zabłysła mu w głowie. Przez dwa lata wspólnego życia nie popełniła żadnego błędu, ale nigdy do tej pory nie była tak spięta. Nie ufała mu, ale nie ufała też sobie, że potrafi utrzymać wszystko w garści.

Wpadła na pewien pomysł, który mógł dać jej niewielką przewagę. Jeśli nie, to przynajmniej nie pogorszy sytuacji. Zmusiła się do kaszlu. Dźwięk początkowo delikatny, przy kolejnych kasznięciach, stawał się coraz głębszy, bardziej szorstki. Przerwała po minucie i powiedziała: "Cholera", żeby przetestować głos. Brzmiał już ochryple, lecz nie dość, więc znowu zakaszła, tym razem wyciągając odgłos z płuc, i poczuła pieczenie w gardle. Gdyby naprawdę zachorowała, miałyby doskonałą wymówkę, żeby trzymać Rafaela na dystans, jeśli chciałby się z nią kochać - miałyby też wymówkę, dlaczego wygląda tak blado. Właściwie to był tylko problem jej dumy, lecz po przejściach poprzedniego dnia potrzebowała każdego strzępka ego, jaki mogła zmobilizować. Do spółki, Rafael i zabójca, zmieszali ją z błotem.

Gdy usłyszała ciche głosy w sypialni, dreszcz przebiegł jej po plecach. Rafael! Zawirowała w miejscu, przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi, wszystko jednym ruchem, potem wyszła z łazienki spokojnie, jakby nic nie usłyszała i nie spodziewała się go tam zastać. Niemalże wpadła na niego, więc podskoczyła i pisnęła ze strachu.

- Nie słyszałam cię - powiedziała, miło zaskoczona ochryłym głosem.

Objął ją w talii i zmarszczył brwi.

- Jesteś chora? Masz koszmarny głos.

- Chyba coś złapałam. Obudziłam się z kaszlem.

Uniósł jej podbródek i uważnie przyglądał się bladej twarzy, cieniom pod oczami. Drea, stojąc nieruchomo, powtarzała sobie w duchu, że musi wytrzymać jego dotyk. Był przystojnym mężczyzną, o gęstych, czarnych włosach i szlachetnych rysach, lecz nigdy go nie kochała i prawdę mówiąc, nawet w najlepszych

momentach przebywanie z nim rzadko sprawiało jej przyjemność. Teraz nie zostało nic nawet z tej wątpliwej przyjemności, tylko nienawiść, która paliła trudnym do opanowania żywym ogniem.

Mimo to zdołała przywołać na twarz wyraz cierpienia; odwzajemniła spojrzenie Rafaela, potem przymknęła oczy i przelknęła ślinę. Wyprostowała się, delikatnie uwolniła z jego uścisku i podeszła do garderoby. Otworzyła drzwi, włączyła światło i wpatrywała się w niewielki pokoik, w buty rozrzucone po podłodze, w wieszaki uginające się pod ubraniami, poupychane bez ładu i składu.

-Muszę znaleźć pracę - szepnęła drżącym głosem. - Ale nie wiem, co mam na siebie włożyć - dodała bezradnie.

Prawda wyglądała tak, że w całej szafie nie znajdował się ani jeden strój odpowiedni na taką okoliczność i nic, czego by żałowała, gdyby jej przyszło to zostawić. Wszystkie ciuchy zostały wybrane po to, żeby podkreślić jej walory i każda szmatka była albo nazbyt krzykliwa, albo ukazywała zbyt wiele. Nie miała nic eleganckiego, żadnej spódnicy, która sięgałaby kolan - bo, jeśli już sięgała kolan, miała rozcięcie aż do... *mammamia*.

Rafael podeszedł do niej od tyłu i objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie. Pochylił głowę i przycisnął ciepłe wargi do jej skroni.

-Zdaje mi się, że masz gorączkę - mówił czule. - Powinnaś zostać dziś w domu, a kiedy poczujesz się lepiej, będziesz mogła wybierać, w co się ubrać.

Uśmiechnął się do niej lekko, pobłażliwie, jakby mówił do dziecka.

- Ja muszę... - Doskonale wiedziała, że nie ma gorączki, i że nie jest chora, ale zareagował tak, jak na to liczyła.

- Nie - przerwał. - Nie musisz się wyprowadzać, a z całą pewnością nie musisz szukać pracy. Nie musisz nic robić. Powinnaś odpocząć.

Cofnęła się i spojrzała mu w oczy z desperacją. Wargi jej drżały:

- Ale... wczoraj...

- Wczoraj byłem idiotą - odparł z przekonaniem. - Posłuchaj, dziecinko, nie wiem, ile razy chcesz, żebym to powtórzył, ale ja nie mam ciebie dość. Przysięgam, że nie chcę, żebyś się wyprowadzała. Chcę, żebyś została tu i pozwoliła mi zająć się sobą, jak zawsze. Nie dasz sobie rady sama. Nie masz kwalifikacji do żadnej pracy, potrafisz tylko ślicznie wyglądać, ale jesteś w tym świetna.

Drea pozwoliła sobie na ciężkie westchnienie, oparła mu głowę na ramieniu, pozwoliła się podtrzymać.

-Nie wiem, co mam robić. - Wzruszyła go bezbronnością, a sobie dała szansę, żeby przekonać się, jak dalece potrafi się kontrolować. Nie wierzyła własnym uszom,

że naprawdę przyznał się do błędu - po raz pierwszy w życiu - i jednocześnie była wściekła, że tak lekko potraktował jej umiejętności. Prawdę mówiąc, to drugie zupełnie nie powinno się liczyć: przecież ciężko pracowała na to, żeby tak właśnie o niej myślał, ale do diabła z logiką. Znajdowała się w centrum emocjonalnej burzy i mogła się trzymać tylko swojej wściekłości i nienawiści. Trzymała się ich, w przeciwnym razie nigdy nie zdołałaby zachować równowagi. Delikatnie, rytmicznie głaskał ją po plecach.

-Mówię ci: nic nie musisz. Wszystko będzie tak jak do tej pory. Nic się nie zmieni.

Nie miał pojęcia, jak bardzo wszystko już się zmieniło. Milczała, udając, że się nad tym zastanawia, a potem dorzuciła jeszcze napad kaszlu, tak na wszelki wypadek. Ostatnią rzeczą, jakiej było jej teraz trzeba, to żeby jej głos wrócił do normy.

Przytulił ją do siebie, uściskał.

- Odpocznij dzisiaj, zobaczymy, czy jutro poczujesz się lepiej. Może wieczorem przyniosę ci prezent, co ty na to? Na co masz ochotę?

- Nie wiem. - Znów westchnęła ciężko. - Myślę, że zostanę dziś w domu. Nie mam ochoty na zakupy. A ty co planujesz? Zostaniesz tu? - Dodała nutkę lekkiej nadziei do ochryplego głosu, jakby naprawdę chciała, żeby Rafael z nią został. Z drugiej strony czuła się dość bezpiecznie, zakładając, że tego nie uczyni: nieczęsto spędzał dzień w apartamencie. Lubił pokazywać się na mieście i, chyba że mieli iść na przyjęcie, nigdy nie zabierał jej ze sobą.

- Nie, muszę się zająć pewnym interesem. Zostawię tu kilku chłopaków, dobrze? Jeśli będziesz miała na coś ochotę, może zechcesz gdzieś pojechać, daj im znać. - Nigdy nie zostawiał apartamentu pustego; zawsze tu był ochroniarz, pilnował, żeby FBI czy ktokolwiek inny nie wślizgnął się i nie założył podsłuchu. Na początku Drea miała dwie „niańki”, które ją obserwowały; jeden facet zostawał w mieszkaniu, drugi chodził za nią krok w krok. Później, kiedy Rafael uznał, że może jej ufać, tylko jeden mężczyzna zostawał, żeby mieć oko na apartament, a ona wychodziła na miasto sama. Rafaelowi pewnie się zdawało, że daje jej bonus, niestety, utrudniał jej wykonanie planu.

- Kto ze mną zostanie? - Nie Orlando, proszę, tylko nie Orlando, modliła się w duchu. Orlando Dumas był najbystrzejszym ze zbirów Salinasa, zwłaszcza jeśli chodziło o komputery. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, to żeby ktoś, kto się zna na komputerach patrzył jej przez ramię. Kiedy tylko się wprowadziła do Rafaela,

Orlando był tym, który najczęściej jej towarzyszył - Salinas wiedział, że on najszybciej zauważy coś podejrzanego.

- A kogo byś chciała?

- Wszystko jedno - odparła apatycznie. Gdyby wskazała faceta, Rafael zacząłby się zastanawiać, dlaczego właśnie ten; nawet informacja, kogo by nie chciała, wzbudziłaby jego podejrzenia. Bezpieczniej było dać mu wolną rękę. Poradzi sobie z każdym. - Poszukam czegoś w Internecie, a jeśli poczuje się lepiej, może pojedzie do biblioteki.

- Oczywiście. - Znowu ją pocałował, tym razem w czoło. - Nie wiem, o której wrócę, więc nie czekaj na mnie z obiadem, okej?

- Okej. - Doskonale. Obiad bez niego nie należał do rzadkości. Zazwyczaj jedli razem śniadanie, dziś nie, bo zasnęła; najczęściej jednak resztę posiłków spożywała w samotności. Nigdy nie dzieliła z nim dużej części życia, teraz to rozumiała. Jak mogła oszukiwać samą siebie i sądzić, że była czymś więcej niż wygodnym źródłem seksu? Łatwo będzie ją zastąpić, łatwo zapomnieć - łatwo przehandlować.

Ale wkrótce to się zmieni. Kiedy z nim skończy, Salinas nigdy o niej nie zapomni.

Zadowolony, że zdołał opanować sytuację, która zagrażała układowi sił w jego domu, Rafael uściskał Dreeę, pocałował i wyszedł. Odetchnęła głęboko i poczuła, jak nogi uginają się pod nią z ulgi. Odgrywanie roli, kontrolowanie każdego słowa i każdej miny nigdy nie było dla niej problemem, ale teraz wymagało ogromnego wysiłku i już odczuwała tego skutki. W głowie słyszała tykanie zegara, które ostrzegało ją, że długo tak nie pociągnie.

A jednak postanowiła rozegrać wszystko ostrożnie, bo istniała szansa, że Rafael zajrzy do niej jeszcze raz, zanim wyjdzie do miasta. Nastawiła telewizor na kanał telezakupów, ściszyła dźwięk do delikatnego brzęczenia i usadowiła się w fotelu, otulając nową kaszmirową narzutą. Potem już tylko czekała, z przymkniętymi oczami, wyęzając słuch, żeby usłyszeć głos zatraskiwanych drzwi. Wyłączyłaby dźwięk w telewizorze kompletnie, gdyby tylko była pewna, że Rafael nie wróci, jednak dopóki naprawdę nie wyjdzie, ona musi zakładać, że cały czas kręci się w pobliżu. Ile życia zmarnowała, robiąc dokładnie to, rozmieszczała rekwizyty i pilnowała, żeby każdy szczegół był dopracowany, na wypadek gdyby - przypadkiem - on zauważył?

Tym razem się opłaciło. Otworzył drzwi bez pukania. Drea uniosła powieki w chwili, kiedy już podchodził do niej, i ze zdumieniem zobaczyła, że Rafael ma w ręce filiżankę kawy.

-Przyniosłem kawę. Pomoże ci na gardło.

Wezbrało w niej zniecierpliwienie i omal nie zacisnęła zębów, lecz zdołała powstrzymać się w porę. Zauważyłby napięcie mięśni na szczęce i domyśliłby się, że gra. Dobry Boże, kiedy on wreszcie pójdzie? Coś go chyba opętało, że tak się zachowuje.

-To takie miłe z twojej strony. - Zakaszła kilka razy i wzięła od niego filiżankę.
- Dziękuję.

-Ze śmietanką i trzema łyżeczkami cukru, tak?

-Tak. - Nie, powinny być dwie łyżeczki cukru i odtłuszczone mleko; wyraźnie widać jak wiele uwagi Rafael jej poświęcał. Teraz będzie musiała darować sobie porannego tosta, żeby zrównoważyć liczbę kalorii. Upiła łyżeczek zbyt słodkiej, zbyt gęstej kawy i uśmiechnęła się do niego. - Super.

Delikatny rumieniec wypełził mu na policzki i aż dech jej zapało ze zdumienia. Rafael Salinas się czerwienił? Świat, jakim go znała, musiał się skończyć, a ona nawet tego nie zauważyła, bo właśnie była sprzedawana niczym zwykła dziwka.

Oparła głowę o zagłówek fotela i westchnęła, jakby naprawdę podle się czuła. Może drań zrozumie podtekst i zostawi ją w spokoju. Musiała jednak uważać i nie przesadzić, bo może przyjdzie mu do głowy, żeby wezwać lekarza. Nie chciała też, żeby zaglądał do niej co chwila. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale dziś zrobił wiele rzeczy po raz pierwszy.

- Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

- Oczywiście.

Najwyraźniej był rozdarty pomiędzy chęcią, żeby iść już i zająć się interesami, a potrzebą zostania z nią. Nie miała żadnego pomysłu. Chciała tylko, żeby już zostawił ją w spokoju, lecz nie potrafiła wymyślić żadnego manewru, który wyprowadziłby go za drzwi. Zwinęła się więc jeszcze bardziej na fotelu i zamknęła oczy; w ten sposób, przynajmniej, nie będzie musiała na niego patrzeć.

Ale, cud nad cuda, albo to podziałało, albo on nie mógł już znaleźć żadnego pretekstu do zwłoki. Kroki do drzwi sypialni, potem szmer męskich głosów i wreszcie tak wyczekiwany błogosławiony dźwięk; trzask frontowych drzwi. Nadal słyszała telewizor w salonie i od czasu do czasu komentarze dwóch goryli, których z nią zostawił, a ci właśnie oglądali jakiś program sportowy.

Oparła się pokusie, żeby wyjrzeć i sprawdzić, kogo Rafael zostawił w apartamencie. Podobno zachorowała i miała leżeć; nie chciała wzbudzić niczych podejrzeń, wypadając w podskokach z sypialni chwilę po tym, jak za Salinasem

zamknęły się drzwi. Nie planowała z dokładnością co do minuty, lecz chciała zostawić Rafaelowi jak najmniej czasu na reakcję.

Mimo wszystko było mnóstwo rzeczy, które musiała zrobić, żeby się przygotować. Podeszła na palcach do drzwi i przekręciła zamek ukryty w klamce. Tego typu zamki były delikatne i z pewnością nawet nie spowolniłyby żadnego z ludzi Rafaela na dłużej niż kilka sekund, lecz czuła się bezpieczniej, mając świadomość, że zyska co najmniej chwilę przewagi.

Weszła do garderoby i wyciągnęła dużą skórzaną torbę. Najpierw wrzuciła do niej nowe buty na płaskim obcasie. Kiedy już wymknie się swoim opiekunom, będzie musiała szybko przebierać nogami, a dziesięcio- czy dwunastocentymetrowe szpilki, które preferowała, może i są szykowne, lecz piekielnie niewygodne do chodzenia.

Najbardziej martwiło ją, że nie wie, jak wielkie wpływy ma Rafael. W całym mieście znajdowały się kamery, które nagrywały ludzi w sklepach, na chodnikach, na peronach metra. Wszystko, co dzieje się w banku, z pewnością także jest rejestrowane. Czuła się w miarę swobodnie, pewna, że Rafael nie wie o jej skrytce depozytowej, ani nawet z którego banku korzysta. Ale jeśli wpływy Salinasa sięgały także policji czy władz miasta, będzie w stanie dostać się do nagrań ulicznych kamer i odtworzyć jej ruchy. To było ryzyko, które musiała podjąć, bo jeśli rozplynie się w powietrzu jest możliwe, nigdzie nie widziała reklam kursów przygotowawczych.

Wybrała kilka podstawowych kosmetyków, dostatecznie dużo, żeby przetrwać, lecz nie dość dużo, żeby Rafael kiedykolwiek zauważył, że coś ubyło. Resztę rozrzuciła na toaletce, jakby miała niedługo wrócić. Zwinęła czarne, obcisłe spodnie oraz czarną podkoszulkę i włożyła do torby. Czarny kolor był najmniej zauważalny w Nowym Jorku, ponieważ tak wiele osób go nosiło, nawet latem. Druga torebka, mniejsza i prostsza, także wylądowała w dużej torbie.

I to wszystko. Inne rzeczy będzie dokupować w miarę potrzeby. Poczowała satysfakcję, że nikt, kto zajrzy do tego pokoju, nie pomyśli nic innego niż to, że poszła na zakupy i wkrótce wróci. Rafael, który wiedział, jak bardzo kochała ubrania i kosmetyki, nigdy nie uwierzy, że z własnej woli zostawiła tyle rzeczy. Dzięki temu zyska odrobinę cennego czasu - taką miała nadzieję. Będzie musiała uciec skutecznie; jeśli któryś z goryli zauważy co się święci, czy spróbuje ją złapać, nie będzie miała czasu choćby na paciorek.

Nerwowo chodziła po pokoju, co chwila spoglądając na zegar. Po jakimś czasie głód wyciągnął ją do kuchni. Rafael nie miał kucharza, gdyż nie ufał ludziom spoza

najbliższego kręgu, a ogólnie rzecz ujmując złoczyńcy nie kultywują swoich zdolności kulinarnych; jedzenie dostarczano regularnie do apartamentu i zawsze było go w bród.

Zmusiła się, żeby iść powoli, jakby nie miała zbyt dużo energii. Dwaj najemnicy siedzący w salonie obrócili się ku niej. Z ulgą zauważyła, że nie ma Orlando Dumasa. Ci dwaj nazywali się Amado i Hector, a jeśli kiedykolwiek usłyszała ich nazwiska, i tak natychmiast je zapomniała. Byli okej, przeciętni w swojej grupie: nie najsprytniejsi, nie najgłupszy. Super. Z tymi mogła sobie poradzić.

-Lepiej się czujesz? - spytał Hector.

-Trochę. - Zapomniała, że powinna kasłać, ale głos nadal brzmiał ochryple. - Odgrzeję sobie coś na lunch. Będziecie jeść? - Wątpiła w to, gdyż widziała używane talerze i szklanki na stoliku przed kanapą, ponadto Amado trzymał w ręce ogromną paczkę chipsów.

-Nie, już jedliśmy. Dzięki.

Hector miał wcale niezłe maniery jak na zbira.

Drea poszła do kuchni, zagrzała miskę zupy w mikrofalówce i zjadła, stojąc przy blacie. Serce już zaczynało galopować i czuła, jak ten rytm przybiera na sile, czuła, jak adrenalina szaleje jej w żyłach. Znow spojrzała na zegar: druga po południu.

Kurtyna w górę.

Rozdział 7

Drea zamknęła drzwi sypialni, włączyła laptopa i się zalogowała. Wcześniej przeprowadziła dokładne rozpoznanie, nie dlatego, że od początku planowała wyczyścić konto Salinasa i zniknąć z powierzchni ziemi, lecz ot tak, na wszelki wypadek.

Gdyby Rafael grał z nią uczciwie, z przyjemnością zrobiłaby wszystko, żeby zachować status quo tak długo, jak on ją chciał. Potem zabrałaby biżuterię i odeszła. Spodziewała się, że tak właśnie będzie i grała swoją rolę po to, żeby przekonać go, iż osoba taka jak ona jest kompletnie nieszkodliwa. Nie chciała, żeby nie martwił się o coś, co mogła kiedyś zobaczyć czy usłyszeć.

Poza tym, co by się stało, gdyby Rafael zginął? Takie rzeczy często przytrafiały się ludziom z jego świata. Nie widziała powodu, żeby pozwolić całej tej kasie leżeć spokojnie w banku, na zamrożonych kontach, dopóki federalni nie przejęliby sprawy i nie położyli na wszystkim łapy.

Więc planowała z wyprzedzeniem swoją przyszłość.

Naprawdę nie miała pojęcia, gdzie i jak Rafael przechowywał drugi komplet ksiąg, ten dotyczący wielkiej kasy, która nie została jeszcze wyprana. Nie próbowała ich odnaleźć, oceniając realnie, że nie ma szans. Na pewno ryzyko było większe, niż ona czuła się na siłach ponieść. Jednak konto bankowe, z którego Rafael korzystał dla własnych potrzeb, dokonywał przelewów na konto, które dla niej otworzył, cóż...to już inna sprawa.

Apartament miał okablowanie i router, do którego podłączone były ich komputery; Orlando powiedział Rafaelowi, żeby korzystali z tego połączenia z Internetem, a nie z bezprzewodowego, gdyż bezprzewodowy przekaz ułatwiał przechwycenie informacji przez niepowołane osoby. Numer IP laptopa Drei różnił się od numeru IP komputera Rafaela, lecz za routerem, na drugim końcu, pokazywał się już tylko jeden numer IP. To oznaczało, że jeśli weszłaby na konto bankowe Rafaela z któregośkolwiek komputera, w ocenie numer IP i tak byłby właściwy.

Podpatrzenie hasła Rafaela zajęło jej miesiące uważnej obserwacji, łapania szczegółów, kiedy tylko mogła, podpatrywania jego dłoni na klawiaturze komputera i domyślania się, których klawiszy używał. Gdyby regularnie zmieniał hasło, nigdy by do niego nie doszła, lecz podobnie jak większość ludzi nie zwracał sobie tym głowy. Ani też jego hasło nie było nadzwyczajnie kreatywne: używał numeru swojego telefonu komórkowego. Miał dwie komórki: zakodowaną, którą Orlando zdobył dla niego, i drugą, której używał do zwykłych rozmów. Drea nie знаła numeru na ten zakodowany telefon, lecz często dzwoniła na jego zwykłą komórkę. Kiedy już odgadła trzy pierwsze cyfry hasła, szybko domyśliła się reszty.

Weszła na stronę banku, zalogowała się jako Rafael i wstrzymała oddech, dopóki informacje konta faktycznie nie pojawiły się na ekranie laptopa. Najpierw weszła w ustawienia konta i zmieniła adres e-mailowy tak, żeby wszystkie powiadomienia zostały wysłane na jej skrzynkę, zamiast na adres Rafaela. Dowiedziała się wcześniej, że bank wysyła wiadomość za każdym razem, kiedy ktoś dokonuje przelewu na nadzwyczajnie dużą sumę, a ona nie chciała, żeby Rafael dostał taki e-mail właśnie dzisiaj.

Jak dużo czasu upłynie, zanim Rafael - czy raczej, Orlando - domyśli się, żeby sprawdzić jej konto e-mailowe, nikt nie wie. Najpierw, kiedy Salinas zrozumie, że

zniknęła, sprawdzi jej pokój. Do głowy mu nie przyjdzie, że mogła zostawić wszystkie ubrania, więc pewnie będzie się martwić, czy aby coś się jej nie stało. Może nawet każe swoim ludziom rozpocząć poszukiwania. Niestety, znaczy że musi zostawić także laptopa, bo jego brak natychmiast zostałby zauważony. Wszystko jedno, nie było na nim żadnych danych, które chciałaby zachować, żadnych zdjęć, nic.

Poza tym chciała, żeby Rafael wiedział, co zrobiła - oczywiście, kiedy upłynie już sporo czasu od jej ucieczki; aby dotarło do jego świadomości, że to ona go ocyganiła. Może nie dowiedzieć się, że konto bankowe ma puste, dopóki nie wróci do niego jakiś niezrealizowany czek, a zanim to nastąpi, minie zapewne wiele dni. Taki był najbardziej optymistyczny scenariusz; zdarzało się jednak, że miewała mniej szczęścia. Tym razem nie liczyła na szczęście; zamierzała uciekać szybko i daleko. Musi zmienić nazwisko, wydać pieniądze na nowe dokumenty, które nie będą budzić podejrzeń przynajmniej przy pobieżnej kontroli. Była dobra w wymyślaniu nowych tożsamości i ta perspektywa wcale jej nie martwiła.

Załatwiwszy problem e-maila, weszła w szczegółowe informacje konta Rafaela i przede wszystkim spojrzała na dolną linijkę. Wypełniła ją dzika radość. Dwa miliony, sto osiemdziesiąt osiem tysięcy, czterysta trzydzieści trzy dolary i dwa centy. Pomyślała, że zostawi mu te dwa centy, bo chciała przelać równą kwotę.

Może powinna zabrać tylko dwa miliony, a zostawić te sto osiemdziesiąt osiem tysięcy. W ten sposób żaden czek nie wróciłby natychmiast, co mogłoby przechylić szalę na jej korzyść. Z drugiej strony, jak sam powiedział, sto tysięcy to sto tysięcy. Judaszowa cena, którą wyznaczył za jej głowę; więc najwyraźniej była warta te sto kawałków. Dlaczego miałyby ich nie wziąć?

Dwa miliony sto tysięcy dolarów. Ładnie to brzmiało. Wpisała dane swojego konta, spełniła wszystkie elektroniczne wymagania i dzięki naciśnięciu paru klawiszy w przyspieszonym tempie została milionerką. Odczekała minutę, po czym zalogowała się na własne konto i z satysfakcją przyjrzała się ślicznej, okrągłej sumie. Na wypadek gdyby Rafael jakimś cudem domyślił się, co zrobiła i nie zechciał przelać pieniędzy z powrotem na swoje konto, zmieniła hasło. Teraz nie mógł dostać się do tych pieniędzy, bo z punktu widzenia banku zostały przekazane jej i tylko ona była dysponentką.

Następny krok: przenieść wszystkie te cudne pieniądze do innego banku. Ale nie od razu; na to za wcześnie. Rutynowy e-mail powiadamiający go o przelewie to jedna rzecz, ale naprawdę nie chciała zrobić nic, co sprowokowałoby telefon. Zaczeka, aż będzie godzina, może nawet mniej do zamknięcia banku, a potem przeniesie

pieniądze na dwa osobne konta: część do banku w Elizabeth, w New Jersey, ale większość przeleje do małego, niezależnego banku w Grissom, w Kansas. Tam otworzyła swoje pierwsze konto bankowe w życiu. Tutejszy bank, według litery prawa, nie będzie mógł udzielić Salinasowi żadnych informacji, co zrobiła z pieniędzmi po tym, jak wylądowały na jej koncie.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Rafael nalegał, żeby otworzyła konto w jego banku, bo to ułatwiało przelewy, w miarę jak potrzebowała pieniędzy. Życzył sobie, żeby i jego nazwisko znajdowało się na koncie, lecz nie poszedł z nią do banku, a ona jakoś „zapomniała” ten fragment jego instrukcji. Chcąc go udobruchać, roztropnie kazała przesłać mu oświadczenie, iż ma pełne prawo do śledzenia wszystkich operacji na jej koncie. Zirykowało go to, ale nie aż tak, żeby cokolwiek zrobić, gdyż zakładał, że skoro kontroluje, kiedy i jaka ilość środków spływa na jej konto, kontroluje także ją. Mylił się wtedy, mylił się i teraz.

Przechadzała się nerwowo po pokoju, w myślach odtwarzała wszystkie swoje kroki tego dnia i starała się znaleźć coś, co mogła przegapić. Dołożyła do torby cienką, czarną chustkę na włosy, którą mogłaby nosić, zanim je obetnie. Mogłaby wziąć nożyczki i ostrzec się sama, lecz nie chciała, żeby ktokolwiek znalazł długie blond pukle w śmietniku i dodał dwa do dwóch. Jutro pójdzie do fryzjera i każe się ostrzec, w miejscu publicznym, gdzie ludzie regularnie zostawiają włosy i gdzie nikt nie zwróci na nią uwagi.

Sprawdziła stan baterii w swojej BlackBerry i wrzuciła ją do torebki, potem dodała jeszcze jedną rzecz: pusty portfel. Doszła do wniosku, że to już wszystko. Zabierała minimum, ale wszystko, czego mogłaby potrzebować. Była gotowa.

Nie, cholera, nie była. Pospieszyła do garderoby, skąd wyciągnęła kluczyk do skrytki depozytowej, który przykleiła wewnątrz satynowego pantofelka. Bez tego kluczyka nie mogłaby odzyskać biżuterii, schowanej w skrytce, ani numerów kont bankowych, które też tam trzymała. Nie mogła uwierzyć, że omal nie wyszła z apartamentu bez tego kluczyka. Byłaby bezradna, mogłaby odejść z niczym lub zaryzykować powrót. To oznaczałoby, że Rafael miałby możliwość odkrycia jej machinacji, podczas gdy ona nadal pozostawałaby w jego zasięgu. Na samą myśl aż się wzdrygnęła. Nawet gdyby nic nie odkrył, chciałby się z nią kochać tej nocy, a ona wiedziała, że nie zniosłaby tego. Nie mogła znowu udawać, dłużej ukrywać tego, co czuje i myśli.

Zakasłała kilkakrotnie, tłumiąc skutecznie dźwięk otwieranego zamka, po czym otworzyła szeroko drzwi. Poszła do salonu i zatrzymała się na progu. Amado i Hector odwrócili się do niej.

- Jest mi trochę lepiej - powiedziała ochryple. - Nie macie nic przeciwko, żebym pojechała do biblioteki?

Wiedziała, jakie mają rozkazy, ale i tak życzenie sformułowała jako pytanie. Nigdy nie była nieprzyjemna ani nie stawiała się ludziom Rafaela, zachowywała się tak łagodnie i potulnie, jak to możliwe, więc teraz nie chciała tego zmieniać.

- Pójdę po samochód. - Amado zwał się z kanapy. Brali pod uwagę taki kaprys Drei i wiadomo było, kto z nią pojedzie. To on wyciągnął krótszą słomkę. Hector miał zostać w apartamencie i oglądać sport, a biedny Amado będzie musiał znaleźć miejsce do zaparkowania w pobliżu biblioteki, a potem siedzieć w samochodzie i czekać na jej telefon.

- Przebiorę się i zaraz będę gotowa - obiecała Drea. Wiedziała, że jej nie uwierzyli, bo przygotowanie do wyjścia zajmowało jej zwykle mnóstwo czasu. Dziś jednak była sobą i zachowywała się naturalnie, w sposób sobie właściwy. Włożyła kremowe jedwabne spodnie i pasujący top, naciągnęła obcisły, różowy żakiet. Teraz tak rzuciła się w oczy, stała się tak łatwa do wypatrzenia, że kiedy się przebierze, Amado nie rozpozna jej, nawet jeśli przejdzie mu przed nosem. Będzie wypatrywać różowego żaketu i burzy kręconych włosów.

Zarzuciła torbę na ramię, rozejrzała się po pokoju ostatni raz i pożegnała się z Drea Rousseau. Ta rola miała swój sens, ale krzyżyk na drogę.

- Cześć, Hector - rzuciła, wychodząc z sypialni; podeszła do drzwi. - Do zobaczenia.

Pomachał jej w odpowiedzi, ale nawet nie oderwał wzroku od telewizora. Drea wyszła z apartamentu i wsiadła do windy. Była sama. Kiedy nacisnęła przycisk „dół” i kabina ruszyła, poczuła lekkość i ulgę, jakby opadły z niej łańcuchy. Wkrótce, szepnęła jej podświadomość. Wkrótce - zostały już tylko minuty - będzie wolna. Znowu będzie sobą. Jeszcze kilka minut udawania przed Amado i zamknie drzwi do tej części życia.

Na parterze skinęła głową portierowi, uśmiechnęła się miło, trochę rozkojarzona, jak zwykle. Kiedy tylko stanęła na ulicy, Amado podjechał do krawężnika. Zdawał się być lekko zdziwiony, że zeszła tak punktualnie, lecz wyskoczył i otworzył przed nią tylne drzwi czarnego lincolna town car. W Nowym Jorku było tysiące takich aut: wszystkie wypożyczalnie samochodów ich używały. Rafael jeździł nimi, ponieważ zlewały się z tłumem i sprawiały, że łatwiej mógłby pozbyć się ogona, gdyby ktoś chciał go śledzić.

Kiedy Drea wsiadała do samochodu wydawało się jej, że zobaczyła zabójcę. Strach ściał jej krew w żyłach, potknęła się i omal nie upadła, nogi miała jak z waty. Amado złapał ją pod ramię.

-Wszystko w porządku?

Rozejrzała się wokoło, ale nie dostrzegła go. Przez ulice przewalały się tłumy ludzi, lecz nie zauważyła nikogo o charakterystycznym kocim kroku, lub tym szczególnym sposobie trzymania głowy. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, starając się uspokoić galopujący puls.

Pozwoliła sobie oprzeć się na Amado przez najkrótszą chwilę.

-Stałam krzywo - wyjaśniła, jakby ze skruchą, bezradnie. -Przepraszam.

-Skręciłaś kostkę?

-Chyba nie. Trochę nadwreżyłam. - Ostrożnie pokręciła prawą stopą. - Wszystko jest okej. - Wsiadła do samochodu i znów rozejrzała się wokół. Nic. Zobaczyła wielu ciemnowłosych mężczyzn, lecz nikogo podobnego do niego. Przelotny widok czegoś, kogoś, przypomniawszy jej o nim, ot i wszystko. Nie było go tu. Wiedziałyby, gdyby tu był.

Drea z trudem oderwała myśli od zabójcy. Nie mogła pozwolić sobie na rozkojarzenie, nie mogła popełnić błędu, bo najmniejszy mógłby się okazać śmiertelny. Musiała się skoncentrować i działać szybko.

Zanim Amado podjechał do krawężnika przed biblioteką, zdążyła już dojść do siebie.

-Zajmie mi tu około godziny, jak przypuszczam - powiedziała wymijająco, kiedy pomagał jej wysiadać.

-Nie spiesz się. Zadzwoń, kiedy będziesz gotowa.

Po jego smętnym tonie poznała, że spodziewa się, iż zabawi tu znacznie dłużej niż tylko godzinę. Drea, którą znał, którą wszyscy znali, nie potrafiła ogarnąć pojęcia czasu, dlatego nie miała jego poczucia i notorycznie się spóźniała. Jeśli sądziła, że coś zajmie „tylko parę minut”, najczęściej trwało co najmniej godzinę, cokolwiek to było.

- Jaki jest twój numer telefonu? - spytała. - Zdaje mi się, że mam tu gdzieś długopis... - Nie dokończyła zdania, zaczęła grzebać w torebce.

- Daj mi swój telefon. - W tym momencie kilku zirytowanych kierowców nacisnęło na klaksony.

Wyciągnęła BlackBerry z małej kieszonki w torbie i podała mu. Był bardzo cierpliwy, nie westchnął, ani nic, tylko szybko wpisał swój numer telefonu do jej aparatu.

- Wiesz, jak korzystać z książki telefonicznej? - spytał, żeby się upewnić.
- Rafael mi pokazał, jak to działa. - Pokiwała głową, a jednocześnie w myślach przewróciła oczami.

Kakofonia klaksonów za nimi przybrała na sile.

-Nie spiesz się - powiedział Amado i wsunął się z powrotem za kierownicę. Mimo rosnącego zniecierpliwienia kierowców za nim, czekał i obserwował Dree, która właśnie przeszła przez ulicę i zaczęła wchodzić po schodach budynku. Trochę kuśtykała, wystarczająco, żeby zauważył. Szczegóły się liczą. Nie tylko będzie szukać jej jaskrawego, różowego żakietu, ale i nie zapomni o charakterystycznym utykaniu.

W środku od razu poszła do damskiej toalety. Zamknęła się w kabinie, pospiesznie zmieniła ubranie i buty. To, co miała na sobie, wrzuciła do torby, której chciała się pozbyć później. Wymieniła portfele, przekładając prawo jazdy i całą gotówkę z portfela Gucciego - dostała go od Rafaela - do zwykłego, który znalazła w sklepie Macy's. Karty kredytowe zostawiła w tym szykownym. Nie tylko posługiwanie się nimi graniczyło z samobójstwem, lecz jeżeli znalazłby je ktoś nie do końca uczciwy, mógłby tym bardziej pogmatwać tropy.

Mimo wszystko nie mogła zostawić go nigdzie na widoku; to byłoby za łatwe, za oczywiste. Wetknęła portfel z powrotem do torby, spuściła wodę w toalecie, jakby z niej korzystała, i wyszła z kabiny.

Dwie kobiety stały przy umywalkach. Drea nie spieszyła się, umyła ręce, uważnie pomalowała wargi i doczekała się, że kobiety wreszcie wyszły. Pospiesznie zwilżyła dłonie i zaczęła przyglądać włosy; woda nie tylko przyciemniła kolor, także wyprostowała loki. Kiedy były już dostatecznie mokre, przeczesła je, przyliżała do głowy i skręciła w kok, który przyszpiliła długopisem. Węzeł nie musiał trzymać się bardzo długo, tylko wystarczająco długo.

Jeszcze jedna rzecz. Zwilżonym ręcznikiem papierowym zmyła tyle makijażu, ile się dało. Wyszła z łazienki swoim naturalnym krokiem, jeszcze jedna zajęta, skoncentrowana i spiesząca się gdzieś mieszkanka Nowego Jorku. Nikt nie poświęci jej drugiego spojrzenia.

Pomaszerowała do wyjścia. Wyjęła z torebki portfel Gucciego, przytrzymała w opuszczonej ręce, tuż przy boku, i stanęła przy koszu na śmieci. Najniewinniej, jak tylko potrafiła, pozwoliła mu upaść, po czym czubkiem bucika wepchnęła go za kosz tak, że nie było go widać. Ktoś wkrótce go znajdzie. Uczciwa osoba odda go personelowi bibliotecznemu; nieuczciwy znalazca wyjmie karty kredytowe i pójdzie

zaszaleć. Każdy scenariusz jej pasował, choć ten drugi przysporzyłby więcej kłopotów Rafaelowi.

Przeszła szybko kilka przecznic, złapała taksówkę i podała kierowcy adres. Bezpośrednia trasa, mimo że szybsza, nie wchodziła w grę - łatwiej byłoby ją znaleźć. Kiedy wysiadła z taksówki, znów przeszła kilka przecznic i zatrzymała następną. Zanim dotarła do punktu docelowego, w Elizabeth, w New Jersey, zmieniła taksówki jeszcze trzykrotnie.

Czas szybko uciekał, popołudniowe słońce stało coraz niżej. Drea weszła do banku i poprosiła o dostęp do skrytki depozytowej. Wpisała się do księgi, wyciągnęła kluczyk z torebki, a szczupła, młoda kobieta o azjatyckich rysach wprowadziła ją do niewielkiego pokoju, wypełnionego skrytkami depozytowymi od podłogi po sufit.

Drea miała niewielką skrytkę, tuż przy podłodze. Młoda pracownica banku włożyła na miejsce klucz bankowy i obie jednocześnie przekreśliły klucze w zamkach. Drea podziękowała ściszym głosem, a młoda kobieta uśmiechnęła się i wyszła.

Wyciągnięcie tego, o co jej chodziło, zajęło tylko chwilę. Wyrzuciła ubranie z torby, a potem ze skrytki depozytowej wyjęła aksamitny woreczek z biżuterią i włożyła go na miejsce ciuchów. W metalowej szufladce została już tylko gruba, tekturowa koperta, w której były dokumenty dotyczące jej konta bankowego. To także poszło do torby. Wetknęła niechciane ubranie do szufladki, tę umieściła na miejscu i zamknęła z powrotem na klucz, po czym schowała go do torebki.

Wyszła z banku bez rozglądania się na boki, skupiona na tym, żeby jak najszybciej zniknąć z widoku. Zatrzymała kolejną taksówkę i poprosiła kierowcę, żeby zawiózł ją do porządnego motelu. Ten przytaknął burkliwie. Podczas jazdy Drea wyciągnęła BlackBerry oraz informacje dotyczące konta bankowego i zabrała się do pracy.

Pięć minut później zakończyła operację. Dwa miliony dolarów zostały przelane na jej konto w Grissom, w Kansas, a sto tysięcy pozostało na koncie w małym banku, z którego dopiero co wyszła. Było już za późno, żeby przelew został zaksięgowany jeszcze dziś, na pewno jutro, z samego rana. Zaczeka, za pomocą BlackBerry sprawdzi stan konta, a potem pozbędzie się elektronicznego urządzonek. Westchnęła; będzie jej brakować tego gadżetu.

Wyłączyła BlackBerry i z głębokim westchnieniem odchyliła się wygodnie na oparcie siedzenia. Zrobione. Działała szybko i była tak wyczerpana, jakby przed chwilą ukończyła maraton. Przy odrobinie szczęścia Amado właśnie zaczynał się

martwić i niecierpliwic. Nie zadzwonił, więc z pewnością jeszcze jej nie szukał. Niestety, nastąpi to wkrótce. Kiedy ona nie odbierze telefonu, pójdzie do biblioteki, może pomyśli, że coś tam blokuje pole sieci telefonicznej, tak jak czasem w kasynach.

Gdy nie znajdzie jej w bibliotece, bardziej się zaniepokoi. Wie, że Drea jest chora, więc pewnie poprosi kogoś z personelu, żeby sprawdzili w łazienkach. Potem zadzwoni do Salinasa.

Znając podejrzliwą naturę Rafaela, najpierw każe Hectorowi sprawdzić w jej sypialni, przekonać się, czy nie zabrała jakichś rzeczy z sobą. Dopiero kiedy ten doniesie mu, że wszystko, włącznie z kosmetykami znajduje się na swoim miejscu, laptop jest na biurku, telewizor gra, i że nie zabrała ze sobą żadnej walizki, Rafael zacznie podejrzewać, że może coś się jej stało. Wtedy każe swoim ludziom zacząć poszukiwania. Skoncentrują się na okolicy biblioteki. Jeśli jakaś uczciwa dusza znalazła portfel i oddała go komuś w bibliotece, może nawet zadzwonić na policję.

A to ci dopiero interesujący scenariusz: Rafael Salinas zwraca się do policji o pomoc. Prawie że była gotowa zaczekać i patrzeć, jak to się rozwinie.

Sprawdzi w okolicznych hotelach, czy się gdzieś nie zameldowała. Biorąc pod uwagę jak wysoko cenił jej intelekt, nigdy nie pomyśli, że mogłaby prowadzić jakąś wyrafinowaną grę, będzie się spodziewać prostych ruchów, a to powinno zadziałać na jej korzyść.

Nie przebywała zbyt daleko, jeśli liczyć faktyczny dystans, lecz była w innym stanie, a Rafael nigdy, nawet za milion lat, nie domyśli się, że pojechała do Elizabeth w New Jersey. Do głowy mu nie przyjdzie, że mogła wyjechać poza Manhattan.

Później, kiedy już odkryje, że okradła go w biały dzień, założy, że wróciła do rodzinnego miasteczka i tam przeniesie poszukiwania. Wiedziała, że przeprowadził dokładny wywiad na początku ich znajomości, że znał jej prawdziwe nazwisko, lecz to zupełnie nie miało znaczenia, gdyż nie zamierzała tam wracać. Nigdy w życiu nie chciała oglądać tego miejsca. Pewnie mieszkało tam jeszcze kilkoro jej kuzynów, lecz nie utrzymywała z nimi kontaktu, odkąd wyjechała, a teraz tym bardziej nie miała powodu, żeby się do nich odzywać.

Jimbo, jej starszy brat, ulotnił się jakiś czas przed nią i nie miała od niego żadnych wiadomości. Krzyżyk na drodze, tak czy inaczej. Był modelowym fajtlapą. Rodzice rozwiedli się i każde poszło w swoją stronę, skupione na sobie, zupełnie nie przejmując się dwojgiem dzieci. Drea z rozmysłem odcięła się także od nich. Miała tylko siebie i żyło się jej całkiem dobrze.

Taksówka podwiozła ją pod motel, który przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawał się czysty, a to już sporo. Doszła do wniosku, że jedną noc mogłaby spędzić w znacznie gorszych warunkach.

Zameldowała się pod fałszywym nazwiskiem i zapłaciła gotówką. Recepcjonista jednym tchem wyrzucił z siebie, jakich zasad ma przestrzegać i przesunął ku niej klucz. Dostała pokój na piętrze, co jej nie przeszkadzało, gdyż nie miała żadnego ciężkiego bagażu.

Wykładzina w pokoju była poplamiona i wydeptana, ale dobrze, że nie śmierdziała. Drea szukała książki telefonicznej. Kiedy ją wreszcie zlokalizowała, przytwierdzoną łańcuszkiem, przerzuciła poźółkłe stronicie i znalazła salon fryzjerski nieopodal banku; potem zaczęła dzwonić. Po czterech próbach trafiła na fryzjera, który był skłonny przyjąć ją następnego dnia o dziesiątej.

Rano wyciągnie z banku swoje sto tysięcy dolarów i pójdzie prosto do fryzjera, żeby ściąć i ufarbować włosy; wtedy będzie gotowa. Kupi jakiś używany samochód, zapłaci gotówką i ruszy na zachód.

Była wolna.

RS

Rozdział 8

Rafael starał się okazywać tylko złość; nie chciał, żeby którykolwiek z jego ludzi pomyślał, że Drea była dla niego ważna. Ale złość stanowiła tylko część tego, co czuł. Przede wszystkim zżerał go strach, ściskający żołądek lęk, nie do opanowania. Dopóki Amado nie pokazał mu portfela Drei, który jakiś dzieciak - cholerny, uczciwy gnojek - znalazł w bibliotece, za koszem na śmieci, Rafael podejrzewał, że Drea chce dać mu nauczkę; tylko że takie zagranie to zupełnie nie w jej stylu. Teraz jednak nie mógł trzymać się pierwotnej wersji, gdyż portfel bez gotówki i prawa jazdy, w którym zostały wszystkie karty kredytowe, był wystarczającym dowodem.

Głupi złodziej zabrałby i gotówkę, i karty kredytowe, a potem zaszalałby na zakupach i policja złapałaby go bez większych problemów. Sprytny złodziej wziąłby kasę, a zostawił plastik. Ale brakowało też prawa jazdy Drei. Sprzedaż tożsamości jest dobrym interesem, a ważne prawo jazdy to smakowity kąsek. Kiedy połączył

zniknięcie Drei z tym, że jej karty kredytowe, co do jednej, miał przed sobą, najbardziej prawdopodobny scenariusz nie napawał optymizmem. Na pewno nie zgarnęli jej federalni - po Drei nie mogli wiele się spodziewać, chyba że chcieliby dowiedzieć się wszystkiego o zakupach - bo oni nie ukradliby gotówki i nie wyrzuciliby portfela.

Miał wielu wrogów. Jeśli któryś z nich porwał Dree, to już po niej. Może przez jakiś czas zachowają dziewczynę przy życiu, chcąc mieć haka na niego, lecz nigdy nie zobaczy jej w jednym kawałku. W świecie Rafaela przemoc była na porządku dziennym; liczyły się tylko pieniądze i przetrwanie. Wspecjalizował się w tym modelu biznesowym, ale teraz aż robiło mu się niedobrze na myśl, że słodka, głupiotka Drea może zostać zgwałcona i torturowana.

Zebrał wszystkich swoich ludzi w apartamencie, jedynym miejscu, gdzie miał pewność, że rozmowa nie będzie podsłuchiwana. Orlando znał się na rzeczy, więc Rafael wyłożył kasę na najnowocześniejszy sprzęt, który uniemożliwiał federalnym nagrywanie jego rozmów.

- Ktoś musiał coś zauważyć. Przy wejściach są kamery, prawda? - Pytanie skierował do Orlando.

- Powinny być, ale diabli wiedzą, czy biblioteka ma system ochrony? Kto miałby się tam włamywać? Sprawdź. Może uda mi się coś znaleźć.

Zdobycie nakazu przeszukania było niemożliwe - nikt tego nawet nie sugerował. Zadzwoń po gliny? Śmiechu warte. Gliniarze zawracaliby mu dupę papierkową robotą - jeśli w ogóle zechcieliby mu pomóc. Rafael nie chciał tracić na to czasu; załatwi sprawę po swoim. Dowie się, kto zgarnął Dree, a potem przywali mu z obu łuf.

- Może zauważyła, że zgubiła portfel i poszła go poszukać - zasugerował Hector.

- Głupolu - burknął Amado. - Dlaczego w takim razie nie odbiera telefonu?

- Może ktoś ukradł jej torebkę, a ona pobiegła za nim? Zgubiła się? - Hector czepiał się brzytwy, a smutek w oczach świadczył, że sam zdaje sobie z tego sprawę. Mimo wszystko czuł się zobowiązany rozpatrzyć każdą możliwość, dopóki nie ustalą, co najprawdopodobniej zaszło.

- Nie zrobiłaby tego. - Amado pokręcił głową. - Wsiadając do samochodu, skrzyła kostkę i kulała. Nie mogłaby nikogo gonić. Poza tym gdyby ktoś złapał jej torebkę, zaczęłyby się drzeć wniebogłosy i wszyscy w bibliotece zaraz by się o tym dowiedzieli.

-Ktokolwiek ją porwał, znał się na robocie - mruknął Orlando. - Kiedy wychodziła, objął dziewczynę ramieniem, jakby byli przyjaciółmi, a drugą ręką przyłożył jej pistolet do boku. Musiała pójść z nim bez szemrania.

Jeżeli dorwali ją na ulicy, kamery mogły tego nie zarejestrować, pomyślał Rafael, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że to nie ma żadnego znaczenia. Ktokolwiek uprowadził Dreeę, odezwie się do niego. Porwanie jej i zabicie nie miało sensu; zapewne wkrótce ktoś zażąda od niego pieniędzy, albo postawi jakieś warunki. Rafael zastanawiał się, czy porywacz Drei wie, że to on zatrudnił zabójcę i jaką robotę mu zlecił. Mimo wszystko wydawało się to nieprawdopodobne. Był prawie pewien, że to niemożliwe. A nawet jeżeli tak, i teraz chciał zabić Dreeę w odwecie za to, co zrobił Rafael, będzie chciał go o tym powiadomić. Inaczej nie miało to sensu.

-Nie musimy sprawdzać kamer w bibliotece - ponuro powiedział. -Ktokolwiek ją porwał, na pewno zadzwoni.

Do tego momentu mogli tylko czekać.

Rafael nie potrafił już dłużej grać, obrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju; skierował się w dół korytarza, do jej sypialni. Popchnął drzwi, wszedł do środka i stanął, jakby nagle zatrzymała go niewidoczna ściana. Obecność Drei tak mocno zaznaczyła się w pokoju że zdawała się namacalna. Zapach jej perfum wisiał w powietrzu. Telewizor grał, a głosy prezenterów kanału z telezakupami przypominały wesołe świergotanie ptaków. Laptop pozostał otwarty, bo nigdy go nie zamykała, i choć ekran był czarny, lampka zasilania wskazywała, że znajduje się w trybie czuwania. Drzwi szafy otwarte na oścież, w środku, między szalonym gąszczem ubrań, paliło się światełko. Na blacie toaletki leżała porozrzucana sztuczna biżuteria.

Drea jak sroka uwielbiała wszystko co błyszczące i kolorowe. Była nieuważna, nieporządna i dziecinna w swoim entuzjazmie. Zasługiwała na coś lepszego niż brutalna śmierć z rąk ludzi, dla których nic nie znaczyła.

Nagle obraz mu się rozmył, Rafael poczuł łzy pod powiekami. Nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek zobaczył go w takim stanie, więc wszedł dalej do jej królestwa. Zajrzał do łazienki, gdzie na blacie szafki leżało mnóstwo kosmetyków, a w powietrzu pozostał zmysłowy zapach mieszaniny perfumowanego żelu pod prysznic, pachnących świec, olejków i kremów. Drea kocha - kochała - kobiece zabawki.

Poczuł ciężar w piersi i pustkę w środku. Ledwie mógł oddychać i zdawało mu się, że nawet serce uderza z wysiłkiem, powoli i ciężko, jakby przygniecione smutkiem. Nigdy wcześniej nie czuł takiego bólu i miał wrażenie, że nigdy nie ustanie. To nie było fair; uświadomił sobie, że kocha tę dziewczynę, tylko po to, żeby

ją utracić już następnego dnia. Czuł wściekłość, że poprzedniego wieczoru była zła na niego, zmusiła go, żeby naprawdę ją zobaczył; miał pretensję o słabość, którą w nim odkryła, i o to, że przepadła. Niech ją szlag trafi - i niech szlag trafi jego za to, że jest takim głupcem.

Drea obudziła się w środku nocy, z trudem łapiąc oddech, walczyła z prześcieradłem, jakby była to zaplątana wokół niej lina. Usiadła wyprostowana na łóżku i rozejrzała się czujnie po pokoju. Wystarczająco dużo światła wciskało się przez zasłony w oknach, żeby nie panowały tu kompletne ciemności; w nieprzeniknionej czerni pewnie dostałaby ataku serca, ale na szczęście dokładnie widziała, że jest sama.

Śniła o zabójcy, śniła, że jakimś sposobem odnalazł ją tu, w motelu, i wszedł do pokoju, a ona wiedziała, że tym razem, kiedy skończą się kochać, on ją zabije. Nie widziała go, ale wyczuwała jego obecność w mroku, świadoma, że ją obserwuje. Jak to w snach bywa, wiedziała, że dopóki nie śpi, on nic nie może jej zrobić. Lecz mimo najlepszych chęci, żeby nie zamykać oczu, odpływała coraz bardziej, aż w końcu zasnęła. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyła: śnić o tym, żeby nie spać, a jednak usnąć. Obudziła się przygnieciona jego ciężarem. Czuła go w sobie i dłonie zaciśnięte na szyi.

Wtedy właśnie naprawdę się obudziła, walcząc z widmem, paniczny strach chwycił ją za gardło i trzymał w lodowatym uścisku.

Nawet we śnie, kiedy wiedziała, że za moment umrze, czuła go w sobie tak głęboko, że była bliska orgazmu. Teraz już kompletnie rozbudzona, wściekła i upokorzona, choć nikt przecież nie wiedział, jaką jest idiotką, Drea wstała z łóżka i podeszła do umywalki, żeby napić się wody.

Włączyła światło i przyjrzała się sobie w ostrym fluorescencyjnym blasku lampy nad lustrem. Była naga, gdyż nie miała żadnych innych ubrań oprócz tych, w których przyszła. Bieliznę uprała ręcznie i rozwiesiła na wieszaku, żeby wyschła przez noc.

Zazwyczaj spała w pizamie; czy to nienaturalne spanie nago wywołało koszmar senny? Bo przecież inaczej nie można tego określić jak tylko koszmar. Choć wiedziała, że jest sama, spojrzała za siebie w lustrze, jak gdyby spodziewając się, że on tam będzie.

Rozkład pokoju był charakterystyczny dla moteli: z umywalką i niewielką szafką z lustrem w otwartej wnęce w głębi pokoju, z toaletą i prysznicem w maleńkim, osobnym pomieszczeniu. Zdała sobie sprawę, że nie ma tu tylnych drzwi; w razie

czego nie miałyby któreśdy uciec. Natychmiast poczuła, że musi wyskoczyć na zewnątrz, lecz po chwili zdrowy rozsądek wrócił. Jest tu względnie bezpieczna; nawet gdyby Rafael niespodziewanie szybko dowiedział się o stanie konta bankowego, co i tak byłoby niewyobrażalnym pechem, i gdyby jakoś zdołał dostać się do nagrania wideo ochrony z biblioteki, żeby wiedzieć, jak bardzo zmieniła wygląd, nie wytropi jej łatwo - przedsięwzięła wszelkie możliwe środki ostrożności. Przesiadała się z taksówki do taksówki dość często i dość dużo chodziła na piechotę zygzakiem; dopasowanie do siebie części łamigłówki i jej rozwiązanie zajmie draniowi trochę czasu.

Nie musi się spieszyć, może zaczekać, aż będzie mieć pieniądze w garści, aż zetnie i ufarbuje włosy, aż będzie mogła kupić ubranie i używany samochód. Nie powinna panikować. Sen ją przestraszył, ot i wszystko.

A jednak kiedy zgasiła światło, nie mogła zasnąć. Nie chciała znowu śnić o nim, nie chciała, żeby był blisko, wypychała go z podświadomości. Wpatrując się w ciemność, znosiła powolne uciekanie minut, które zwiastowały coraz bliższe nadejście świtu i nowego życia. Rozmyślanie o przeszłości nie miało sensu; zamiast tego skupiła się na tym, co przednią. Teraz była milionerką; może kupi dom, będzie jej własny. Nigdy wcześniej nie miała nawet mieszkania. Jeśli się nad tym zastanowić, nie istniało miejsce, o którym myślałaby jako o domu, przynajmniej nie od bardzo dawna.

Rano Drea ośmieliła się wyjść na śniadanie. Konała z głodu, ponieważ wieczorem zjadła tylko krakersy i chipsy z automatu w korytarzu. W maleńkiej jadłodajni panował taki tłok, że musiała stać w ogonku do stołka przy kontuarze, zamiast usiąść sama przy stoliku. Kiedy wreszcie doczekała się swojej kolejki, była wciśnięta pomiędzy dwóch zwalistych mężczyzn, którzy wyglądali jak robotnicy budowlani, albo może kierowcy ciężarówek. Unikała kontaktu wzrokowego, oni też nie zwracali na nią uwagi, zajęci pochłanianiem zawartości talerzy.

Zamówiła kiełbaski, jajka i grzanki, posiłek, jakiego nigdy by nie zjadła w towarzystwie Rafaela ze strachu, że mogłaby przytyć kilka dekagramów. Teraz nic jej nie krępowało. Tak bardzo skupiła uwagę na jedzeniu, że nawet nie spoglądała na zegar; zatraciła się w pierwszym prawdziwym posiłku, który jadła od... nie pamiętała nawet, od jak dawna. Na długo, zanim poznała Rafaela, więc... od lat. Od wielu lat nie pozwoliła sobie najeść się do syta.

Niech szlag trafi facetów. Teraz już żadnego nie potrzebuje. Jest bogata i może jeść wszystko, co się jej tylko zamarzy.

Wreszcie syta i szczęśliwa wróciła do motelu. Była już prawie pora otwarcia banku. Siedziała w swoim małym, obskurnym pokoiku i czekała aż do dziewiątej piętnaście, a potem włączyła BlackBerry. Natychmiast zabręczał dzwonek oznaczający, że ma nowe wiadomości, co Drea zignorowała i weszła na swoje konto. Nic. Przelew nie został jeszcze zaksięgowany. Księgowanie przelewów powinno być pierwszą czynnością w danym dniu. Nie było sensu sprawdzać konta w Kansas, bo Kansas znajdowało się w centralnej strefie czasowej; może się tam czegoś spodziewać dopiero za jakąś godzinę.

Czyżby coś poszło nie tak? Dreszcz przebiegł jej po plecach. Z prawnego punktu widzenia nie istniała możliwość, żeby Rafael zatrzymał jakikolwiek przelew, lecz nielegalnie... taak, urzędnikowi w banku mógłby przystawić pistolet do głowy i może zrobiliby to, gdyby się od razu dowiedział o wszystkim.

Z zasady nigdy nie wypisywał czeków, kiedy chciał coś kupić. Używał plastiku. Jeśli się nad tym zastanowić, Rafael nie wypisywał czeków nawet po to, żeby opłacić rachunki. Orlando powiedział mu, żeby nie wyrabiał sobie karty debetowej, żeby nikt nie mógł mu jej ukraść i wyczyścić konta, więc Rafael nadal płacił rachunki w staroświecki sposób, ale nie robił tego sam. Księgowy, ten legalny, robił to w jego imieniu.

Nie, była niemal pewna, że Rafael jeszcze o niczym nie wie.

Dziesięć minut później spróbowała znowu. Tym razem na jej koncie widniało sto tysięcy dolarów.

Drea aż osłabła z ulgi; opadła na łóżko i przycisnęła BlackBerry do piersi. Znowu spojrzała na kwotę i się roześmiała. Była tam, wszystko należało do niej, każdy cent.

Ona zaś, jeśli się nie pośpieszy, spóźni się do fryzjera. Wskoczyła z łóżka i zadzwoniła po taksówkę. Potem położyła klucz do pokoju oraz kilka dolarów na nocnym stoliku i wyszła na zewnątrz.

Sprawy zaczęły toczyć się nie po jej myśli od chwili, kiedy pojawiła się w banku, żeby zamknąć konto. Okazała dowód tożsamości i wszystkie dokumenty konta, po czym poprosiła o sto tysięcy w gotówce. Specjalistka w dziale obsługi klienta, kobieta w średnim wieku, o włosach koloru czerwonego wina, uniosła głowę nad papierów i spojrzała na Dree. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Nie wiem, czy możemy tyle wypłacić, przynajmniej nie całą kwotę - powiedziała przeprasząco. - Zazwyczaj kiedy zamykamy konto, dajemy klientom czek kasjerski. Z oczywistych względów nie trzymamy tu większej gotówki. Gdyby dała nam pani zlecenie z wyprzedzeniem, moglibyśmy dysponować większymi

środkami... ale... Pani pozwoli, że porozmawiam z kierownikiem banku. Zobaczę, co da się zrobić.

Drea ugryzła się w język, żeby powstrzymać cisnącą się jej na usta zgryźliwą uwagę. Bank nie trzyma większej gotówki? Jaki bank, u czorta, nie ma gotówki? Ale zrobienie sobie wroga nie było rozsądne, wtedy pewnie nie dostałaby żadnej gotówki, więc rzuciła tylko:

-Przepraszam. Wszystko stało się tak szybko... Nie pomyślałam.

Nie sprecyzowała, co się stało tak szybko, ale przeprosiny najwyraźniej ujęły kobietę. Dodała jej otuchy:

-Może uda się nam coś zrobić. Zaraz wrócę.

Zniknęła w sąsiednim biurze, a Drea czekała, analizując sytuację. Co dobrego przyszłoby jej z czeku na sto tysięcy? Mogłaby jedynie otworzyć nowe konto. A ona potrzebowała gotówki, bo tej nie ma jak wysledzić.

Spojrzała na zegarek - ma coraz mniej czasu, jeśli nie chce spóźnić się do fryzjera. Nie musi tego robić teraz, może się ostrzyć później, ale chciała zmienić wygląd, zanim pójdzie kupować samochód. Może gdyby dała bankowi parę godzin, wróciła później, po wizycie u fryzjera, mogłaby dostać więcej kasy? Ale wtedy kobieta z działu obsługi klienta wiedziałaby, że Drea zmieniła fryzurę, co z kolei pomogłoby Rafaelowi w namierzeniu jej.

Tak to nie zadziała. Musiała zmienić plan. Okej, da bankowi więcej czasu na zgromadzenie pieniędzy, może nawet jeszcze jeden dzień - Boże, jakie ryzyko podejmowałyby, zostając jeszcze jeden dzień w Elizabeth?

Ryzyko nie do przyjęcia, doszła do wniosku. Musi wyjechać jeszcze dzisiaj.

Ale zaczynało brakować jej środków, więc w jakiś sposób będzie musiała dostać choćby część pieniędzy. Nie musi mieć całych stu tysięcy w gotówce, wystarczy ze dwadzieścia, a reszta w czeku. Za dziesięć kawałków kupi wystarczająco dobry samochód, żeby dowiózł ją do Kansas, a pozostałe dziesięć wystarczy aż nadto, żeby płacić za motele i jedzenie. Jak długo będzie jechać do Kansas? Dwa dni? Trzy? Zostanie jeszcze mnóstwo pieniędzy.

Kobieta z działu obsługi klienta wróciła do biura, a po jej zmarszczonych brwiach Drea poznała, że za nic na świecie nie uda się jej wziąć tych stu tysięcy w gotówce.

- Przykro mi... - zaczęła urzędniczka. Drea pokręciła głową.

-Nie ma problemu. Może mogłabym dostać dwadzieścia tysięcy, albo piętnaście w gotówce, a resztę czekiem? To zupełnie wystarczy. Nie wiem, co też sobie myślałam. Oczywiście, że nie chcę podróżować z taką gotówką.

Twarz urzędniczki się rozjaśniła.

-Wiem, że możemy dać pani piętnaście tysięcy gotówką, ale proszę poczekać, sprawdzę co z tymi dwudziestoma...

A minuty uciekały.

-Już i tak zajęłam pani sporo czasu - przerwała jej Drea. - Piętnaście będzie super.

- Na pewno? To zajmie tylko chwilę...

- Dziękuję, ale proszę nie robić sobie kłopotu.

Wreszcie dostała swoje piętnaście kawałków i czek kasjerski na resztę. Nie wyobrażała sobie, że gotówki będzie tak dużo objętościowo, aż ucieszyła się, że nie wzięła całej kwoty. Musiałaby kupić niewielką walizkę, żeby ją pomieścić, a to mogłoby być kłopotliwe. Te piętnaście tysięcy przynajmniej zmieściło się do torebki.

Musiała podpisać kilka dokumentów, a potem wreszcie transakcja dobiegła końca.

-Bardzo pani dziękuję - powiedziała z niekłamaną szczerością. Spojrzała na zegarek i wyszła pośpiesznie z banku.

Prawie dwadzieścia minut spóźniła się do fryzjera; stylistą był niezłe wkurzony, ale rozpogodził się kiedy dotknęła blond loków, mówiąc:

-Proszę to ścinać. Chcę mieć ciemne i proste włosy. - Jak większość fryzjerów uwielbiał ścinać długie włosy i eksperymentować z drastycznymi zmianami.

Półtorej godziny później wyszła od fryzjera brunetka, krótko ostrzyżona, z włosami w nieładzie, lekko stojącymi na czubku głowy. Drea wyglądała naprawdę sztywnie i bardzo się sobie podobała. Twarz się jej zmieniła, rysy nabrały wyrazistości, a i kości policzkowe zostały podkreślone. Teraz nie była już Drea Rousseau, ale kimś innym; kobietą, która nikomu nie dawała wodzić się za nos.

Musiała zastanowić się nad nowym imieniem, które pasowałoby do nowej osobowości. Gdzieś po drodze musi załatwić sobie nowe prawo jazdy, ale o to będzie się martwić później. Teraz potrzebowała bryki.

Niecałe pięć godzin później przejechała przez granicę z Pensylwanią, kierując się na zachód. Prowadziła ciemnoczerwone camry, nieco zużyte i zardzewiałe, które miało powgniataną i podziurawioną karoserię, lecz dobre opony i zdrowy silnik.

Pomyślała, że już wkrótce przesiądzie się do cadillaca. Albo mercedesa. Za kilka dni będzie w Kansas, a stamtąd... kto wie? Może pojechać, dokąd chce, a Rafael Salinas może ją pocałować w dupę.

Rozdział 9

Rafael omal nie odrzucił połączenia, kiedy zobaczył, że dzwoni do niego bank. Całą noc nie spał, żywił się kawą i niepokojem, ale godzina mijała za godziną bez choćby jednego słowa od porywaczy Drei. Stracił już resztkę ulotnej nadziei, której i tak nigdy wiele nie miał, że może jakoś uda się zapłacić za nią okup lub wymienić na coś..

- Salinas. O co chodzi?

- Panie Salinas, mówi Manuel Flores z...

- Tak, wiem skąd pan dzwoni, mam identyfikację rozmówcy. - Chciał, żeby facet przeszedł do rzeczy i jak najszybciej się rozłączył. Był zmęczony i poirytowany i na dodatek miałby się użerać się z jakimś cholernym gryziopiórkiem. Drea leżała gdzieś pewnie martwa, a on nie mógł nawet opłakać jej w spokoju, żeby nie wyjść na mięczaka przed swoimi ludźmi.

- Ach... tak, cóż. Bank wysłał wczoraj e-mail do pana, żeby zwrócić uwagę na przelew, którego dokonano, ale chciałem osobiście sprawdzić i...

- Przelew? - Rafael był wyczerpany, ale nie tak bardzo, żeby to nie przyciągnęło jego uwagi. Usiadł wyprostowany i strzelił palcami na Orlando, wskazując na telefon, a potem na swoją sypialnię. - Jaki przelew?

Orlando przeszedł pospiesznie do sąsiedniego pokoju i sekundę później dało się słyszeć kliknięcie, kiedy podniósł drugą słuchawkę, żeby słyszeć rozmowę.

- Ach... przelew środków z pana konta, na konto pani Butts. Na konto zarejestrowane na, ahm, Dree Rousseau.

- Tak, tak. - Jak gdyby nie znał prawdziwego nazwiska Drei? Nie miał żadnego problemu z tym, że posługuje się nazwiskiem Rousseau, zamiast Butts. Cholera, kto mógłby mieć z tym problem? On z pewnością nie chciałby przedstawiać jej nikomu jako Drei Butts. - Ale ja nie robiłem wczoraj żadnych przelewów.

W głosie Floresa pojawił się niepokój.

- Wczoraj po południu dokonano pokaźnego przelewu i choć został on zweryfikowany, jako pochodzący z pańskiego numeru IP, wraz z pańskim hasłem, kwota była tak niezwykła, że zgodnie z procedurą banku, został wygenerowany e-mail informujący pana o tym przelewie. Potem, dziś rano, kiedy zorientowałem się, że wczoraj po południu wszystkie pańskie środki zostały przelane z konta panny Butts dalej, postanowiłem, iż porozmawiam z panem osobiście, żeby...

- Ja nic wczoraj nie przelewałem na jej konto! - ryknął Rafael; wstał i poszedł do sypialni, gdzie Orlando siedział już przed laptopem i sprawdzał jego konto e-mailowe. Po tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru, Rafael nie zawracał sobie głowy takimi bzdurami.

Orlando szybko przewinał wiadomości, potem spojrzał na Rafaela i pokręcił głową.

- Nie ma tu nic z banku.

- Nie otrzymałem żadnego e-maila - warknął Rafael. - Gdybym go dostał, zadzwoniłbym do was, ponieważ wczoraj nie przelewałem żadnych pieniędzy. O jakiej kwocie mówimy?

- Ach... dwóch milionach stu tysiącach dolarów.

Poczuł się tak, jakby głowa miała mu eksplodować lada moment.

- Co takiego? - O co tu, u diabła, chodzi? Czy ten, kto porwał Dreeę, zmusił ją, żeby oddała mu pieniądze ze swojego konta? Ale kto wcześniej przelał je z jego konta na jej? Drea nie znała jego hasła, on nie miał zwyczaju nigdzie go zapisywać... Nie żeby rozpoznała w nim cokolwiek innego, jak tylko numer telefonu.

- Ach...

- Jeśli powiesz pan „ach” jeszcze raz, to sięgnę przez słuchawkę i wyrwę ci tchawicę, do kurwy nędzy. - Rafael się wściekł. - Nic wczoraj nie przelewałem, a z pewnością nie przelałem dwóch milionów dolarów, nie dostałem też żadnego cholernego e-maila. Natychmiast oddajcie mi pieniądze na konto! Ktoś mnie obrobił i gównu mnie obchodzi, co bank kontroluje, a czego nie! Pozwoliliście komuś dobrać się do mojej kasy, więc teraz macie mi ją zwrócić!

- Nie możemy tego uczynić, panie Salinas. Z prawnego punktu widzenia bank ma związane ręce...

- Nie ma najmniejszej szansy, żeby ten przelew mógł zostać zrobiony z mojego komputera. Ja nie dokonałem, więc proszę mi nie mówić o żadnym prawie!

Nagle Orlando zrobił bardzo dziwną minę. Wstał gwałtownie i wyszedł z sypialni. Wrócił przed upływem minuty, niosąc laptopa Drei.

Położył go na biurku obok komputera Rafaela, odłączył ten ostatni, poczym podłączył sprzęt Drei. Otworzył jej program pocztowy i zaczął sprawdzać wiadomości. Miała ich ze dwadzieścia, większość reklam z różnych sklepów, w których kupowała przez Internet, więc przejrzenie ich nie zajęło mu dużo czasu. Orlando przestał przewijać ekran i wskazał palcem na monitor.

- Poczekaj pan - rzucił Rafael do telefonu i pochylił się, żeby popatrzeć na to, co pokazywał mu Orlando. Ten otworzył wiadomość i faktycznie, była tam informacja od banku dotycząca przelewu. Co ten e-mail robił w komputerze Drei?

- Znalazłem waszego e-maila - burknął. - Nie przyszedł do mnie, lecz do mojej dziewczyny. Nawet tego nie potraficie zrobić, jak należy...

- Zapewniam pana, panie Salinas, że e-mail został wysłany na adres, który jest podany w szczegółowych danych pana konta.

- Sam to ustalałem i jestem pewien jak niczego na świecie, że nie podawałem wam adresu e-mailowego mojej dziewczyny. Podałem swój.

- Mimo wszystko, ten adres mamy obecnie w naszych danych. Każda zmiana została zatwierdzona przez pana przy użyciu hasła, więc uznaliśmy, że takie jest pańskie życzenie.

- Mówiłem już, że nie... - Urwał. Oddychał głęboko, poczuł ciężar w żołądku porażony myślą, która nagle zaświtała mu w głowie. To absurdalne, powtarzał sobie; to nie było możliwe. Drea znała się na komputerach wystarczająco dobrze, żeby zamówić coś przez Internet, ale to wszystko, co potrafiła - nawet wtedy Orlando musiał jej pomagać, kilka razy wyjaśniać całą procedurę, dopóki nie złapała, że wystarczy stosować się do instrukcji, które wyświetla jej system. Wbiła sobie do głowy, że to, co działa na jednej stronie internetowej, będzie też działać na innych.

Rafael pamiętał, jak powtarzała bezradnie: „Przecież to nie ma sensu!” Czy teraz miał uwierzyć, że ta sama kobieta jakimś cudem zdobyła jego hasło zabezpieczające dostęp do banku i przelała prawie wszystkie jego pieniądze na swoje konto, a potem natychmiast przeniosła je Bóg jeden wie gdzie? Drea, którą znał, nie tylko nie potrafiłaby tego zrobić, ale nawet nie pomyślałaby nigdy o czymś podobnym.

Jej stosunek do pieniędzy przypominał podejście dziecka. Nigdy nie prosiła go choćby o dolara. W rozumieniu Drei, jeśli miała kartę albo książeczkę czekową, miała pieniądze. Gdyby nie kontrolował tego, co ma na koncie, tonęłaby w debetach i długach, bo sama nigdy nie zwracała uwagi na stan konta.

Zaakceptować, że mogła, potrafiła, dokonać czegoś takiego, było równoznaczne z przyznaniem, że oszukała jego i wszystkich wokół; że oszukiwała ich przez dwa lata. Odrzucił szybko taką możliwość, bo przecież nie był głupcem. Nazywał się Rafael Salinas, a każdy, kto kiedykolwiek próbował go wykołować, od dawna gryzł ziemię. Nikomu nie ufał. Kazał sprawdzić Dreę, kazał ją śledzić, co jakiś czas sprawdzał, co robi. Ani razu nie zrobiła ani nie powiedziała nic, co rzuciłoby podejrzenie, że jest czymś więcej niż tylko słodką, głupiutką maskotką.

- Oddzwonie do pana - prawie krzyknął i zakończył rozmowę z Floresem. Popatrzył twardo na Orlando, który odwzajemnił jego spojrzenie. - Powiedz mi, jak to się mogło stać. Powiedz mi, jak ktoś mógł włamać się do mojego banku i okraść mnie, kurwa, z dwóch milionów dolarów.

- Musiało to być zrobione stąd - odparł Orlando. Wyciągnął historię operacji z komputera i okazało się, czarno na białym, że ktoś, posługując się komputerem Drei, wszedł na stronę banku. - Na drugim końcu zarówno twój laptop, jak i laptop Drei wyskoczyłyby pod tym samym numerem IP, bo łączą się przez ten sam router. Jeśli miała twoje hasło, z punktu widzenia banku ty dokonałeś tego przelewu.

- Nie dałem jej hasła - ryknął Rafael. - Nigdy nigdzie go nie zapisywałem! - Nawet Orlando nie znał jego hasła.

- Jakoś je znalazła. - Wytykając ten oczywisty fakt, Orlando zdołał zachować kamienną twarz. - Jeśli kiedykolwiek robiłeś przelewy przy niej, mogła zwrócić uwagę, jak wyglądają twoje palce na klawiaturze komputera.

- Mówimy tu o Drei! Ona ledwie potrafiła poradzić sobie z prysznicem! - Okej, to była przesada, ale i tak nie rozmawiali o żadnym gigancie intelektualnym.

- Taka ilość pieniędzy to potężna motywacja, a dowód mamy przed sobą. - Orlando postukał w ekran komputera. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek ją porwał. Zdaje mi się, że zwinęła ci kasę i dała nogę.

Rafael stał i czuł, jak pali go wściekłość zmieszana z upokorzeniem. Pozwolił sobie na pokochanie jej, a dziwka tak mu odplaca! Zrobiła z niego głupca. Nigdy nie powinien był jej zaufać, ani przez minutę nie powinien był wierzyć, że zależy jej na nim. Najlepsza aktorka świata: przez dwa lata grała doskonale, ani razu nie wyszła z roli, a wczoraj zdołała wyprodukować tyle łez! On natomiast dał się nabrać; teraz go to zżerało niczym kwas. Kupił wszystko, co mu wetknęła, sam sobie wmówił, że naprawdę zakochała się w nim, a nawet, że on zakochał się w niej.

Zapłaci za to. Nieważne, ile będzie go to kosztować.

-Nie mogła uciec daleko - powiedział z obojętną miną. Chciał rozedrzeć tę dziewczynę na strzępy własnymi rękami, ale wiedział już, że należy trzymać się z daleka od samego zdarzenia, bo nawet jeśli ktoś go pokaże paluchem, będzie mógł się tego wyprzeć. Mógł pogodzić się z tym, iż sam jej życia nie pozbawi, jak długo był pewien, że ona nie żyje. Może trochę żałował, że sam nie wymierzy jej sprawiedliwości, lecz zemsta też może mieć słodki smak.

Od chwili gdy otrzymał wezwanie, zabójca odczekał trzy dni, zanim skontaktował się z Salinasem. Nie robił nic innego, ale miał ochotę odpocząć, poza

tym był wolnym strzelcem, a nie podwładnym tej świni. Cokolwiek Salinas chciał, mogło zachekać.

Nie ufał mu; skontaktował się zbyt szybko po jego popołudniu z Drea. Może Salinas zmienił zdanie co do oferty i w retrospekcji czuł, że dostał cios w swoją męskość. Dostał znacznie więcej niż tylko jeden cios, ale zabójca nie podejrzewał, że Salinas wpadł na to. Drea była zbyt dobra w tym, co robiła; na pewno trzymała język za zębami i nie wspominała o przyjemności, której dostarczyło jej to popołudnie.

Czekał więc i obserwował. Interesowały go plany Salinasa na przyszłość, lecz choć nie posiadał wielu cnót, cierpliwości akurat miał w nadmiarze. Coś tu się działo; poznał to po minach zbirów Salinasa i jego samego. Widział, jak ten wychodzi i wraca kilkakrotnie, i oczywiste było, że drań jest w parszywym humorze.

Gdy stwierdził, że Salinas czekał już dość długo, najpierw pofolgował sobie i pozwolił na długie, spokojne tournee po Metropolita Museum, które należało do jego ulubionych miejsc w Nowym Jorku. Nie przeszkadzali mu turyści ani rzesze dzieci; wystawy wynagradzały wszystko. Kiedy skończył, stanął na szerokich schodach i zadzwonił do niego.

- Przyjdź do mojego apartamentu - rozkazał Salinas. - Kiedy możesz tu być?

- Jestem nieopodal - odparł zabójca spokojnie.- Ale dzień jest taki piękny. Bethesda Terrace, za pół godziny.

Rozłączył się, po czym wyłączył telefon i wsunął do kieszeni. Nie tylko że Salinas będzie miał problem, żeby zorganizować zasadzkę w tak krótkim czasie, to jeszcze w miejscu publicznym, pełnym zarówno turystów, jak i mieszkańców miasta. Gdyby Salinas wpadł na pomysł śledzenia go, bez trudu zniknie w gęstwinie Central Parku...

Nie miał pojęcia, gdzie Salinas jest, pół godziny mogło mu nie wystarczyć. Dla niego jednak to miejsce znajdowało się w odległości przyjemnego spaceru. Jeśli Salinas przebywał w swoim apartamencie, będzie mieć mnóstwo czasu. Gdyby właśnie był po drugiej stronie miasta... trudno. Jeżeli szło o coś ważnego, skontaktuje się ponownie.

Zabójcę cieszyło, gdy w jakikolwiek sposób utrudniał draniowi życie. Chwytał radość tam, gdzie tylko mógł, więc respektując podszepty instynktu, żeby działać ostrożnie, zdołał jednocześnie dokopać Salinasowi.

Wszedł do parku, zatrzymał się, żeby kupić lody. Choć znał tę okolicę dość dobrze, mimo wszystko kupił mapę i poświęcił kilka minut na przestudiowanie jej - chciał wiedzieć, jakie ma opcje, gdyby zaszła taka potrzeba. Trzymał mapę w dłoni,

wiedząc, że Salinas z pewnością ją wypatrzy i wyciągnie wnioski, że zabójca nie mieszka w okolicy, stąd też nie zna rozkładu parku. Konkluzja ta byłaby tylko w połowie prawdziwa, gdyż on tak naprawdę nie mieszkał nigdzie; zatrzymywał się w różnych miejscach na pobyt krótszy lub dłuższy, a teraz akurat pomieszkiwał kilka pięter poniżej Salinasa.

Znalazł doskonały punkt obserwacyjny i czekał. Gdyby dostrzegł cokolwiek podejrzanego, odwołałby spotkanie. Wiedział, że Salinas nie spotka się z nim w cztery oczy; taki człowiek nie mógł pozwolić sobie na chodzenie po mieście bez asysty mięśniaków. Ale zabójca nie martwił się zbirami, których mógł zauważyć; interesowali go ci, którzy czaili się w ukryciu.

Wreszcie dostrzegł Salinasa, zaledwie kilka minut po czasie, z trzema ludźmi za plecami. Zabójca dokładnie przyjrzał się otoczeniu, lecz nie dostrzegł nic niepokojącego: wielu ludzi Salinasa znał z widzenia, więc nie musiał polegać tylko na zachowaniu obcych, żeby zdecydować, czy może podejść. Nikt nie wydawał się czaić bez powodu, nikt nie próbował zostać w cieniu. Wreszcie opuścił swoją kryjówkę i poszedł przed siebie, nadal liżąc lody.

Salinas z irytacją spoglądał na zegarek; podniósł wzrok i zobaczył zabójcę.

- Spóźniłeś się - warknął i gestem nakazał swoim ludziom, żeby się cofnęli.
- Była długa kolejka do budki z lodami - odpowiedział zabójca leniwie. - Co się dzieje?

Salinas rozejrzał się, po czym wyjął z kieszeni staroświeckie radio tranzystorowe i włączył je. Nastawione było tak głośno, że gdyby nie postąpił o krok ku niemu, zabójca by go nie usłyszał.

- Cztery dni temu Drea zwinęła mi dwa miliony dolarów i ulotniła się. Chcę, żebyś ją odnalazł i zajął się nią.

Strużka rozpuszczonych lodów ściekała po wafelku. Zabójca zlizął ją, ukrywając zaskoczenie.

- Jesteś pewien? Nie wydawała mi się dość bystra na taki ruch...choć to jakby stanowi dowód samo w sobie, co?

- Oczywiście. - Salinas uśmiechnął się ponuro. - Tak, na liście głupich rzeczy obskubanie mnie znajduje się całkiem wysoko.

Rozdział 10

Nigdy nie wkurzaj inteligentnej kobiety.

Biorąc pod uwagę ramy czasowe, nie musiał mieć umysłu geniusza, żeby zgadnąć, co się stało. Kiedy Drea upokorzona przez kochanka doszła do siebie, rozżalenie wyparła wściekłość. Reakcja dziewczyny to nie była wiadomość w stylu: „Odchodzę od ciebie”, lecz gest oznaczający: „Odchodzę i niech cię szlag trafi, draniu!” Na skali gestów ten na pewno dostawał punkty jako przyciągający uwagę.

Pomyślał tak z rozbawieniem, delektując się lodami. Skłaniał się raczej do oklasków dla niej niż polowania na nią. A jednak robota to robota.

- Złóż najlepszą ofertę, na jaką cię stać - powiedział, przeciągając słowa. - Ile to jest dla ciebie warte?

Nie potrafił zdecydować, czy podejmie się tej pracy, dopóki nie wiedział, jaka suma wchodzi w grę.

Salinas rozejrzał się i kciukiem przesunął gałkę, żeby jeszcze podnieść poziom dźwięku w radiu. Przechodnie piorunowali go spojrzzeniami, lecz miał to gdzieś.

- Tyle samo ile ona ukradła.

Dwa miliony, taak? To stawiało sprawę w innym świetle. Musiał się zastanowić, lecz nie chciał, żeby w tym czasie Salinas rozejrzał się za kimś innym. Jeśli nie weźmie tego zlecenia, jego opóźnienie da Drei większe szanse na skuteczną ucieczkę, a ta myśl napawała go satysfakcją. Nie musiał lubić swoich klientów, lecz dla Salinasa nie miał nic poza pogardą.

- Połowa z góry - powiedział. - Dam ci znać, gdzie ją przelać.

Wrzucił resztki lodów do pobliskiego kosza na śmieci i odszedł spokojnie, rozluźniony, choć jego oczy ani na moment nie przestały skanować otoczenia. Zauważył kogoś, kto z pewnością był agentem federalnym: nazbyt rzucał się w oczy w swoim garniturze i krawacie na tle tłumu. Właśnie pochylał się, żeby zawiązać sznurówkę, lecz głowę miał cały czas lekko odwróconą w stronę Salinasa. To mógł być ogon Rafaela, który właśnie go dogonił.

Zabójca jakoś specjalnie się nie przejął. Spotkanie z Salinasem zajęło nieco mniej niż minutę, niewystarczająco długo, żeby ogon dotarł na miejsce i zdążył pstryknąć jakieś fotki. W chwili gdy agent się pojawił, spotkanie już się skończyło, a on odchodził. Poszedł na drugą stronę Bow Bridge, a później w gęsto zalesione

Ramble, gdzie mógł się bez trudu schować. Tego dnia doskwierał upał, temperatura sięgała blisko trzydziestu stopni, ale pod gęstymi drzewami, w cieniu, powietrze było chłodniejsze. Poczul lekki, przyjemny powiew wiatru na skórze.

Celowo nie myślał o propozycji; będzie mieć na to dużo czasu później, kiedy upewni się, że nikt go nie śledzi. Jak zwykle skupił się na „tu i teraz” świadom każdej osoby wokół. Pilnował, czy nikt nie zachodzi go od tyłu, badał, jak zmieniają się jego potencjalne drogi odwrotu. Przywiązywanie uwagi do szczegółów utrzymało go przy życiu tak długo, więc nie widział powodu, dla którego miałby zmieniać swoje przyzwyczajenia. Dlatego bardzo szybko dostrzegł drugiego agenta; facet miał na sobie dżinsy i buty do biegania, więc to nie ten, który śledził Salinasa.

Zabójca chłodno przeanalizował sytuację. Nowy ogon miał na sobie zwykłe ubranie, co nie znaczyło jeszcze, że nie jest agentem federalnym. Znaczyło tylko, że jest lepiej przygotowany. FBI nie miało żadnego innego powodu, żeby go śledzić, jak tylko jego spotkanie z Salinasem; niewykluczone, że starali się zbadać wszystkie możliwe kontakty. Mógł to też być jeden ze zbirów Salinasa, Bóg jeden wie dlaczego... Może Salinas wkurzył się, że musiał iść do parku, i uważał, że poprawa manier w formie niezłego lania jest mu niezbędna - choć w takim wypadku powinien był posłać za nim więcej niż jednego gościa. Może chciał dowiedzieć się, gdzie zabójca mieszka. W teorii informacji nigdy za wiele.

Szedł miarowym krokiem. W górze przed nim ścieżka ostro skręcała, a pole widzenia faceta za nim będzie ograniczone przez drzewa i krzewy, przez... przeliczył, jak daleko w tyle się ciągnął... jakieś siedemdziesiąt sekund, co wystarczy aż nadto. Agent chyba także dostrzegł ten martwy punkt, gdyż przyśpieszył kroku. Zabójca nie zareagował tym samym, co w telegraficznym skrócie dałoby tamtemu do zrozumienia, że jest świadomy jego obecności. Był wystarczająco blisko, żeby nie miało to znaczenia, choć czas ograniczy mu się do jakichś pięciu sekund.

Skręcił, zawirował, zdarł przez głowę białą koszulę i zmiał w ręce, jakby to był ręcznik, a potem ruszył przed siebie pewnym, miarowym krokiem biegacza i ponownie minawszy zakręt, pobiegł w stronę, z której przyszedł.

Agent nawet nie spojrzął na niego, kiedy się mijali; facet spieszył się, żeby minąć zakręt i jak najszybciej odzyskać kontakt wzrokowy.

Powodzenia, pomyślał zabójca, przecinając ścieżkę, i zniknął w gęstym poszyciu. Był tylko kolejnym, rozebrany do pasa biegaczem pośród setek, a może i tysięcy innych, którzy spoceni kończyli codzienny trening w parku. Jego ciemnoszare spodnie na pierwszy rzut oka dostatecznie przypominały spodnie od dresu, żeby nikt nie obdarzył go drugim spojrzeniem. Zdradzały go tylko buty, bo

niby kto chodzi biegać w półbutach Gucciego? Najwyraźniej tylko on, a i to nie było coś, co by komukolwiek polecił.

Kiedy oddalił się o jakieś sto metrów, zatrzymał się i włożył koszulę. Parny upał sprawił, że skóra lśniła mu od potu, a materiał czepiał się ciała, kiedy naciągał ubranie, lecz oddech miał miarowy jak zawsze. Wyszedł z parku spokojnym, niespiesznym krokiem.

- Masz to spotkanie na zdjęciu? - spytał Rick Cotton, a kiedy słuchał odpowiedzi, minę miał obojętną.

Xavier Jackson podziwiał wyrozumiałość Cottona. Nie zapytał: "Czy przynajmniej masz to spotkanie na zdjęciu?" i nic w jego tonie nie sugerowało choćby krztyny zniecierpliwienia. Większość starszych agentów byłaby gotowa kopać dupy na prawo i lewo, ale nie Cotton. Zawsze zachowywał się fair, nawet kiedy rezultat odbiegał od oczekiwań.

Nie byli przygotowani na to, że Salinas gdziekolwiek pójdzie na piechotę, a zwłaszcza do Central Parku. Kiedy agent na ulicy wreszcie zorientował się, że Salinas nie czeka na żaden samochód, ten wraz ze świtą był już dalej o pół przecznicy. Potem, choć spieszył się tak subtelnie, jak tylko potrafił, żeby ich dogonić, złapały go światła uliczne i zmusiły do czekania, zanim mógł przejść na drugą stronę. W rezultacie spotkanie odbyło się, zanim agent zdołał na nie dotrzeć i potrafił tylko podać im przybliżony rysopis mężczyzny, z którym Salinas się spotkał. Na niewiele to się im zdało. „Jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów, sto kilogramów wagi, krótkie, ciemne włosy” mogło pasować do stu tysięcy mężczyzn w tej okolicy, jeśli nie więcej.

- Zdaje mi się, że właśnie ten sam facet był na balkonie z dziewczyną- odezwał się Cotton, kiedy już odłożył słuchawkę.

Jackson też tak sądził. Ale ważne pytanie brzmiało: gdzie jest dziewczyna? Wyszła cztery dni wcześniej i od tamtej pory się nie pokazała. Przestali ją śledzić wiele miesięcy temu, gdyż mieli zbyt ograniczony budżet i za mało ludzi. Wykorzystywanie wszystkich dostępnych środków do śledzenia Salinasa zostało uznane za bardziej produktywne. Poza tym nigdy nie robiła nic interesującego, przynajmniej do czasu sceny balkonowej.

Możliwe, że jej nieobecność była spowodowana czymś tak prozaicznym jak zerwanie z Salinasem, lecz coś się tam działo. On i jego ludzie zachowywali się tak, jak gdyby z każdym szukali zwady. Gdyby chodziło o zerwanie, Salinas mógłby być zdenerwowany, ale nie jego zbiry.

Teraz odbył spotkanie prawdopodobnie z tym samym gościem, który kochał się na balkonie z jego dziewczyną. Na coś się tu zanosilo, lecz pewnie szło o jakieś bzdurne osobiste sprawy, a to ich nie interesowało. Chyba że jakimś cudem mogliby to użyć przeciwko niemu. Życie uczuciowe Salinasa było jego problemem, nie ich.

W mieście Nowy Jork znajduje się ponad dwa tysiące trzysta widocznych kamer monitorujących ulice i Bóg jeden wie, ile ukrytych. Jeśli ktoś spaceruje ulicami miasta, istnieje duża szansa, że kamera pochwyci go, dlatego zabójca zawsze tak bardzo pilnował, żeby regularnie zmieniać wygląd. Nawet gdyby kamery go namierzyły, ślad po nim zaginie, kiedy wejdzie do budynku jako jedna osoba, a wyjdzie jako ktoś zupełnie inny. Tylko bardzo dokładna analiza połączona z ogromnym szczęściem pozwoliłaby na ponowne pochwycenie go, on natomiast bardzo starał się, zwłaszcza w tym kraju, żeby zapewnić wszystkim, iż nie jest wart takiego zachodu.

Drea także była dość sprytna, żeby zmienić wygląd; uważał to za oczywiste. Nie wiedział jednak, gdzie się przebrała ani jak wyglądała potem. Mógł spytać Salinasa, co jest mu wiadome o ruchach dziewczyny tego dnia, ale jaką miałby z tego satysfakcję? Odnalezienie jej bez pomocy Salinasa pozwoli mu pogimnastykować umysł, zupełnie jak rozwiązywanie problemów matematycznych w głowie bez użycia kalkulatora.

Komputery nie miały dla niego tajemnic, lecz w tym wypadku argumenty „przeciw” związane z hakerowaniem na własną rękę przewyższały te „za”. Nie musiał aktywować jakiegoś alarmu, jeśli mógł znaleźć to, czego szukał, w inny sposób. Rozwiązanie mnóstwa spraw znajdowało potwierdzenie w starym truizmie, że nie chodzi o to, co wiesz, tylko kogo znasz - a tak się składało, że on znał kogoś, kto pracował dla miasta Nowy Jork. Kogoś, kto miał u niego dług tak wielki, że nie do spłacenia i kto miał dostęp do sieci kamer w mieście.

Miał szczęście, że w ciągu ostatnich czterech dni nie zdarzyło się nic ważnego - tylko normalne napady i morderstwa. Nie doszło do ataku terrorystycznego, żaden motocyklista nie rzucił bomby, w ogóle nie odnotowano nic sensacyjnego. Ponieważ było tak spokojnie, nikt nie powinien zwrócić uwagi na to, że kogoś interesują zapisy kamer sprzed paru dni.

Z drugiej strony, czy chciał zadawać sobie tyle trudu, i to zanim jeszcze zdecydował się na tę robotę?

Cholera, pewnie, że tak. Naprawdę go ciekawiło, jak ona to zrobiła. Był z niej nawet trochę dumny; nie traciła czasu. Salinas poważnie ją obraził, a ona już

następnego dnia podjęła działanie. Wiedział, ile musiała mieć zabawy z bankową papierologią, wiedział, ile trzeba czekać na załatwienie niektórych spraw, bo grał już w tę grę.

Nieczęsto coś go bawiło, i nie zdarzyło się, żeby był z kogoś dumny, więc to, że teraz poczuł te dwie emocje jednocześnie, nieco go zdziwiło.

Albo i nie. Nigdy sam siebie nie oszukiwał. To, jak się teraz czuł, miało bezpośredni związek z tym, że między nimi zaiskrzyło - nie żeby takie iskrzenie mogło ocalić jej życie, gdyby zdecydował się wziąć tę robotę. Pożądanie to jedno, ale dwa miliony to dwa miliony.

Zadzwoił z telefonu na kartę. Kiedy usłyszał krótkie „Tak” z charakterystycznym dla Brooklynu akcentem, powiedział:

-Potrzebuję przysługi.

Nie przedstawił się, nie musiał. Nastąpiła długa chwila ciszy, zanim padło:

- Simon.

- Owszem.

Kolejna pauza, a potem:

-Czego ci potrzeba?

Żadnej próby, żeby go zbyć czy grać na zwłokę. Nie, żeby się czegoś takiego spodziewał.

- Dostępu do ulicznych kamer.

- Na żywo?

-Nie, sprzed czterech dni. Znam punkt startowy. Potem... - W jego głosie czuć było niewidzialne wzruszenie ramion. Potem poszukiwania mogły iść w dowolnym kierunku, choć kiedy już dowie się nieco o Drei, będzie miał większe pojęcie, co może zrobić.

- Kiedy tego potrzebujesz?

- Dziś wieczorem.

- Musisz przyjechać do mnie.

-Kiedy będzie dobra pora? - Mógł być uprzejmy. W rzeczy samej dokładał starań, żeby być miły dla każdego. Odrobina dobrej woli może pewnego dnia zrobić różnicę pomiędzy życiem a śmiercią, ucieczką lub więzieniem.

-Około dziewiątej. Dzieciaki będą już w łóżkach.

-Doskonale. - Rozłączył się, odwrócił do komputera i zabrał do pracy.

Odkrycie, że Drea naprawdę nazywała się Andrea Butts, nie zajęło mu wiele czasu. Nie zdziwiło go, że Rousseau nie jest jej prawdziwym nazwiskiem, choć „Butts” było trochę nieoczekiwane. Zdumiałby się, gdyby naprawdę nazywała się

Rousseau. Kiedy znalazł już prawdziwe nazwisko, wszedł w bazę danych urzędu komunikacji i znalazł dane z jej prawa jazdy. Numer Social Security* sprawił więcej kłopotu, lecz zidentyfikował go w ciągu godziny; potem jej życie było już niczym otwarta księga.

Miała trzydzieści lat, urodzona w Nebrasce, nigdy niezamężna, żadnych dzieci. Jej ojciec zmarł kilka lat wcześniej, a matka... matka wróciła do rodzinnego miasteczka, więc warto to sprawdzić, choć podejrzewał, iż Drea jest za mądra, żeby się tam pojawić. Ale w znajomej okolicy będzie się czuć bezpiecznie, może zechce skontaktować się z matką. Jedyny brat, Jimmy Ray Butts, w Teksasie, właśnie odsiadywał trzeci rok z pięcioletniego wyroku za włamanie; więc do niego raczej nie pojedzie.

Tyle, jeśli chodzi o najbliższą rodzinę; gdyby pogrzebał głębiej, pewnie znalazłby wujów, ciotki i kuzynów, może jakichś przyjaciół ze szkoły średniej. Jego zdaniem Drea była typem samotnika, który nie ufa nikomu poza sobą ani nie liczy na nikogo, poza sobą.

Rozumiał tę filozofię. Ze wszystkich dostępnych ta zostawiała najmniej pola na błąd.

Dokładnie o dziewiątej wieczorem nacisnął domofon, a po paru sekundach głos z brooklyńskim akcentem powiedział: „Tak” w ten sam sposób, w jaki odebrał telefon.

- Simon - odparł zabójca i drzwi zostały otwarte. Mieszkanie znajdowało się na szóstym piętrze, lecz wybrał schody zamiast windy.

Drzwi na korytarzu otwarły się, zanim do nich doszedł, a chudy niczym chart człowiek o mieszanym pochodzeniu machnięciem zaprosił go do środka.

-Kawy? - spytał w ramach powitania i zaproszenia zarazem. Scottie Jansen naprawdę miał na imię Shamar. Przez większą część życia nazywano go jednak Scottie, odkąd dzieci w szkole zaczęły wołać na niego „Shamu”, a on odmówił używania imienia Shamar.

- Nie, dzięki.

- Wchodź.

Scottie zaprowadził go do zagraconej sypialni, a w drzwiach kuchni stanęła jego żona:

-Nie zaczynaj czegoś, co zajmie ci cztery godziny, bo ja kładę się spać o jedenastej.

* Numer Social Security - numer identyfikacyjny charakterystyczny dla każdego obywatela Stanów Zjednoczonych, coś w rodzaju polskiego numeru PESEL (przyp.tłum.).

Simon odwrócił się i puścił do niej oko.

- Mnie to nie przeszkadza - powiedział, a na jej zmęczonej twarzy pojawił się uśmiech.

- Nawet nie próbuj się przymilać. To na mnie nie działa. Zapytaj Scottiego.

- Może nie działa na ciebie jego przymilanie.

Parsknęła śmiechem i wróciła do kuchni.

- Zamknij drzwi, jeśli ci zależy - mruknął Scottie; obrócił zmęczone życiem biurowe krzeselko, z siedzeniem posklejonym szarą taśmą i zaparkował na nim chudy tyłek.

- Nie chodzi mi o tajemnice państwowe - odparł Simon, a niedopowiedziane „tym razem” odbiło się echem w pokoju.

Scottie naciągnął palce niczym pianista koncertowy przygotowujący się do zagrania wyjątkowo trudnego kawałka. Zaczął wpisywać komendy, uderzając w klawisze tak szybko, że jego ruchy zlewały się ze sobą. Obrazy migały na ekranie. Od czasu do czasu zatrzymywał się, żeby się czemuś przyjrzeć, mruzczał coś pod nosem, jak wszystkie świry komputerowe mają we zwyczaju, po czym kontynuował. Po paru minutach się odezwał:

- Dobra. Jesteśmy. Gdzie zaczynamy?

Simon podał mu adres apartamentowca oraz datę i zaparkował swoje siedzenie w nogach łóżka, pochylił się, żeby lepiej widzieć. Pokoik był tak mały, że niemal ocierali się ramionami.

Jeśli nie ogląda się seksu lub przemocy różnego rodzaju, nie ma nic nudniejszego niż przeglądanie nagrań kamer ulicznych. Powiedział Scottiemu, że interesuje go kobieta o długich, jasnych, kręconych włosach i to nieco pomogło, bo mogli przewijać do przodu przez wszystkie wejścia i wyjścia osób, które nie miały długich blond loków. Wreszcie Simon dostrzegł ją:

- Tam - rzucił, a Scottie natychmiast zatrzymał nagranie i cofnął. Widział, że Drea wychodzi z budynku z ogromną, wypchaną torbą na ramieniu - dałby głowę, że miała tam ubranie na zmianę - a potem potyka się, wsiadając do czarnego lincolna town car. Scottie subtelnie zmieniał komendy i przeskakiwał od kamery do kamery, podążając za samochodem, dopóki ten nie zaparkował przed biblioteką. Drea wysiadła, kulejąc lekko, poszła po schodach, a samochód odjechał.

Simon nachylił się do ekranu i z napięciem obserwował wyjście. Tu mogła się przebrać. Pewnie zrobiła coś z włosami; musiała też pozbyć się tego jasnego żakietu. Co robi, żeby stopić się z tłumem nowojorczyków? Ubrać się na czarno, ot co. Włosy szesze do tyłu, może schowa pod bluzką na plecach albo włoży bluzę z

kapturem. Kaptur może być ciut dziwny w upalny dzień, ale ludzie zawsze noszą jakieś dziwaczne szmaty. Szukał kształtu jej ciała, torby, kogokolwiek w czarnym ubraniu - czyli praktycznie każdego - każdej kobiety o przylizanych do głowy lub zakrytych włosach.

Szybkość, z jaką ją wypatrzył, była satysfakcjonująca.

- Oto i ona - mruknał. Scottie zatrzymał film.

- Jesteś pewien?

-Tak. - Znał każdy centymetr tego ciała; spędził ponad cztery godziny całując je i głaszcząc. Nie traciła czasu; wyszła po dziesięciu minutach, pewnie zanim jeszcze kierowca znalazł w pobliżu miejsce do zaparkowania. Włosy miała ciemniejsze, możliwe, że je zmoczyła, i zaczesane do tyłu; od stóp do głów ubrana była na czarno i szła bez cienia utykania, pewnym, zamaszystym krokiem, bez kołysania biodrami.

Zuch dziewczyna, pomyślał z aprobatą. Odważna, zdecydowana, myśląca o szczegółach - dobra robota, Drea.

Nie ułatwiała życia Scottiemu. Przeszła piechotą kilka przecznic, po czym wsiadła do taksówki; gdy z niej wysiadła, znowu przeszła kilkaset metrów i zatrzymała następną taryfę. Poruszała się po mieście zygakiem, aż na koniec wjechała do tunelu Holland i sieć kamer ją zgubiła. Jednak to, że użyła tunelu Holland zamiast Lincoln, wiele mu powiedziało.

Ruszył jej tropem. Może i Drea była dobra... ale on był lepszy.

Rozdział 11

Drea była naprawdę wkurzona tym, że wyciągnięcie z banku własnych pieniędzy okazało się tak problematyczne.

Podczas drogi do Kansas nie spieszyła się, ponieważ nie chciała popełnić jakiegoś głupiego błędu ze zmęczenia; tylko tego brakowało, żeby miała teraz wypadek. Musiała być poniżej zasięgu radaru, pilnować się, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Kiedy już będzie mieć te dwa miliony, będzie mieć też więcej opcji, ale aż do tego czasu opcje były ograniczone.

Nie spieszyć się, czyli jechać trzy dni, a nie dwa, ale to było jeszcze okej, bo dobrze się bawiła. Sama, cudownie sama odpowiadała tylko przed sobą. Nie musiała zachowywać się jak bezmózga niunia, nie musiała wiecznie się uśmiechać i ukrywać najmniejszych choćby przejawów temperamentu czy zniecierpliwienia, albo nawet zbyt wyrafinowanego poczucia humoru.

Jakież to żalosne, że w ciągu ostatnich dwóch lat nie mogła spontanicznie pośmiać się z dowcipu. Jeżeli w ogóle śmiała się, musiała najpierw prosić o wyjaśnienie, jak gdyby nie zrozumiała żartu. Rafael i jego zbiry śmieli się w równym stopniu z niej, jak z dowcipów. Dranie.

Już nigdy nie będzie musiała udawać, że jest głupia, bo już nigdy nie będzie musiała być uzależniona od mężczyzn. Podczas jazdy jadła wszystko, na co tylko miała ochotę i zatrzymywała się, żeby przyjrzeć wszystkiemu, co ją zainteresowało. Kupowała ubrania, kierując się tym, czego chce, a nie tym, jaki image musi utrzymać. Zamiast starać się wyglądać seksownie, postawiła na wygodę: kupiła bawełniane spodnie, podkoszulki i sandały. W końcu większość dnia spędzała w samochodzie, a był środek lata.

Pamiętając lekcje, której nauczyła się w New Jersey, wiedziała, że nie będzie mogła wparadować do banku w Kansas i wyjść z dwoma milionami. Dostanie pewnie kolejne kilka tysięcy w gotówce, a resztę w czeku. Już miała jeden czek kasjerski na osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i co jej to dało? Jeśli nie planowała naprawdę dużych zakupów, nie miała możliwości go spożytkować. Jasne, jak gdyby mogła wydać kilkaset dolców i poprosić o osiemdziesiąt cztery tysiące osiemset dolarów reszty!

Trudność stanowiło też przenoszenie takiej ilości gotówki. Nie poradziłaby sobie. Musiała się o tym sama przekonać, więc kiedy tylko miała pierwszą wolną chwilę, pierwszej nocy w podróży, zmierzyła studolarówki, które jej zostały. Według jej obliczeń tysiąc dolarów opasane banderolą jest grube na około dwa milimetry, więc pięć tysięcy, ustawione w stosik, będzie grube na dwa i pół centymetra. A to oznaczało około dwadzieścia pięć centymetrów na każde sto tysięcy, w związku z czym milion byłby gruby na dwa i pół metra. Dwa miliony - na pięć metrów, czyli stos wysoki na ponad cztery metry - trudno by go nosić, a jeszcze trudniej ukryć. Równie dobrze mogłaby przylepić sobie plakat zachęcający do walnięcia w głowę i zabrania szmalu.

Tak więc kasa zostanie w banku, lecz chętnie zatarłaby ślad czeku kasjerskiego, mimo że według litery prawa bankom nie wolno było udzielić Rafaelowi żadnych informacji na jej temat. Co nie znaczy, że ich nie zdobędzie, tyle że musi zadać sobie

wiele trudu. A to ile trudu sobie zadawał, było funkcją tego, jak bardzo zżerała go wściekłość. Wściekłość za dwa miliony, plus cios w męską dumę pozwalały przypuszczać, że pewnie będzie skłonny wydać dwa razy taką sumę, żeby Dree odnaleźć. Tego typu zemsta może i nie jest opłacalna, lecz w ostatecznym rozrachunku da satysfakcję.

Żeby przerwać trop, w którymś momencie zamieni te dwa miliony na gotówkę, choćby tylko na czas, jaki zajmie jej przejechanie do sąsiedniego stanu i ponowne wsadzenie ich do banku. Problem polegał na tym, że banki nie lubią oddawać dwóch milionów w gotówce, nawet osobie, która jest właścicielem pieniędzy.

Pamiętając, iż bank w Elizabeth potrzebował czasu, żeby zgromadzić dużą sumę pieniędzy, drugiego dnia Drea zatrzymała się w Illinois, kupiła tani telefon komórkowy, aktywowała go, po czym wróciła do samochodu i zadzwoniła do banku w Grissom, w Kansas. Przy zamkniętych drzwiach i włączonej klimatyzacji poinformowała operatorkę, że chce rozmawiać z kimś, kto pomógłby jej zamknąć konto.

- Chwileczkę, zaraz połączę panią z panią Pearson.

Po paru chwilach rozległo się kliknięcie i usłyszała przyjemny głos:

- Mówi Janet Pearson. W czym mogę pomóc?

- Nazywam się Andrea Butts. - Drea skrzywiła się, wymawiając znienawidzone imię. W ten czy inny sposób, pozbędzie się go, na dobre. - Mam konto u państwa w banku i chciałabym je zamknąć.

- Przykro mi to słyszeć, panno Butts. Czyżby był jakiś problem, albo...

- Nie, nie o to chodzi, po prostu wyprowadzam się z tej okolicy.

- Rozumiem. Przykro nam tracić klienta, ale takie jest życie, nieprawdaż? Jeśli będzie pani tak dobra i przyjdzie osobiście, pomogę pani wszystko załatwić.

- Przyjdę jutro, chyba po południu. - Drea szacowała swój czas podróży, żywiąc nadzieję, że choćby w przybliżeniu ma rację. - Rzecz w tym, że chodzi o dużą kwotę, a ja chciałabym dostać większość w gotówce,

Nastąpiła chwila ciszy, zanim odezwała się pani Pearson:

- Czy mogłaby mi pani podać numer konta?

Drea wyrecytowała go z pamięci i słyszała klikanie klawiatury komputera, kiedy urzędniczka wyciągała jej dane. Po kolejnej długiej przerwie rozległ się zatroskany głos pani Person:

- Panno Butts, dla pani własnego bezpieczeństwa naprawdę nie polecam podejmowania wszystkiego w gotówce.

- Zdaję sobie sprawę z trudności występujących przy takiej operacji - mówiła Drea. - Ale nie zmienia to faktu, że potrzebuję gotówki i dzwonię zawczasu, żeby mogli państwo zgromadzić takie pieniądze.

Pani Pearson westchnęła.

-Ogromnie mi przykro, ale nie możemy nawet zamówić takiej kwoty, dopóki nie potwierdzimy pani tożsamości.

Drea walczyła ze zniecierpliwieniem, lecz zbyt długo sama była traktowana po chamsku, żeby teraz warczeć na kogoś, kto tylko wykonywał swoją pracę i stosował się do regulaminu banku. Nie zdołała jednak powstrzymać westchnienia.

- Rozumiem. Jak już powiedziałam, przyjdę do państwa jutro po południu. To będzie za późno, żeby dostać pieniądze, prawda?

- Właściwie to będzie za wcześnie. Jesteśmy małym bankiem, a zapas gotówki dostajemy z rezerwy federalnej tylko raz w tygodniu. Główny kasjer składa zamówienie w środy, więc nasze zamówienie na ten tydzień już wyszło. Nie złożę następnego aż do przyszłej środy.

Drea miała ochotę walić głową w kierownicę.

-Nie może złożyć specjalnego zamówienia, skoro kwota jest tak duża?

-Pewna jestem, że musiałyby mieć specjalną autoryzację.

Szybko oceniła sytuację.

-Jak długo trwa zrealizowanie zamówienia? Dostajecie pieniądze następnego dnia?

Pani Pearson znowu się zawahała.

-Chętnie omówię to z panią osobiście, ale naprawdę nie wolno nam podawać takich informacji przez telefon.

W tym wypadku też nie mogła mieć pretensji do kobiety, dla której była przecież nieznaną osobą; równie dobrze mogła planować obrabowanie ich banku, a teraz starała się wybać, kiedy mają najwięcej dostępnej gotówki.

Nic nie układało się tak, jak planowała. Zamiast zabrać kasę i dać nogę, pewnie będzie musiała zabawić w Grissom przynajmniej tydzień. W niewielkim miasteczku, jeśli pamięć jej nie zawodziła, był tylko jeden maleńki motel, a więc odnalezienie jej będzie dziecinnie proste.

Mogła ograniczyć niebezpieczeństwo, na przykład pozostając w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Grissom, cały czas w drodze, śpiąc każdej nocy gdzie indziej. Straszne z tym zawracanie głowy, ale jeśli chce zatrzeć za sobą ślady, nie ma wyboru, musi gdzieś dokonać tej operacji. Czas też ją naglił. Lepiej teraz niż później.

- Oczywiście - powiedziała. - Wiem, że to stanowi problem. Przyjadę jutro, po południu.

- Mam nadzieję, że uda się nam dojść do porozumienia – odparła pani Pearson, z zawodową uprzejmością, co zdaniem Drei należało rozumieć: „Mam nadzieję, że wróci pani rozum”.

Dotarła do banku na dwadzieścia minut przed zamknięciem; źle oceniła, ile czasu zajmie jej podróż, więc musiała wstać tego dnia o czwartej rano i jechać ostro przez cały dzień. Była skołowana po trzech dniach spędzonych w samochodzie, zwyczajnie zmordowana. Kręcone włosy miała w nieładzie, gdyż tego ranka nie miała czasu wysuszyć ich suszarką i wyprostować loków po trwałej. Przynajmniej z kręconymi włosami była bardziej podobna do osoby na zdjęciu z prawa jazdy. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, w jakie wpadłaby tarapaty, gdyby pracownik banku nie uwierzył, że jest osobą, za którą się podaje. Jak miałyby udowodnić swoją tożsamość? Poprosić Rafaela o list polecający? Jasne!

Jednak traf chciał, iż to, że marnie wygląda, zadziało na jej korzyść. Pani Pearson na pierwszy rzut oka przypominała uciekinierkę z serialu telewizyjnego „Dynastia”, lecz oczy miała łagodne, a służbowy kostium z wywatowanymi ramionami zakrywał gołębie serce. Do tego czasu Drea dopracowała już żalną historię o gwałtownym mężu, który ją nękał, lecz nie miała szansy na wypróbowanie mocy sprawczej wzruszającej opowiadki. W nocy zmarła matka menedżera banku, więc wyjechał do Oregonu i miał wrócić dopiero po pogrzebie. Nikt nie chciał go niepokoić i nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za złożenie zamówienia na tak ogromną kwotę, w dodatku w trybie przyspieszonym.

Boże w niebiesiech, pomyślała Drea z desperacją, dlaczego nie założyła konta w dużym, narodowym banku, który prawdopodobnie miał dostawy gotówki co dzień albo kilka razy dziennie, zamiast w tym burackim banku, w burackim miasteczku, które liczy sobie mniej niż trzy tysiące mieszkańców?

Mogła pojechać do większego miasta, może do Kansas City, założyć kolejne konto i przesłać na nie pieniądze, lecz większe miasta oznaczały więcej pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami, a to było równoznaczne z większymi wpływami Rafaela. Tak więc dostałaby swoje pieniądze szybciej, ale jednocześnie znajdowałaby się w większym niebezpieczeństwie.

Dziś, w późne piątkowe popołudnie, nie mogłaby założyć nowego konta, najwcześniej w poniedziałek. Nawet gdyby natychmiast przelała na nie fundusze, prawdopodobnie nie zostałyby zaksięgowane aż do wieczora tego dnia. Dopiero we wtorek próbowałaby podjąć gotówkę, ale bank mógłby, lub nie mógłby zebrać tyle

kasy w jeden dzień. Ostrożnie kalkulując, pewnie środa rano byłaby najwcześniejszym terminem, kiedy mogłaby dostać pieniądze w nowym banku; tu dostanie je dwa dni później, w piątek.

Dwa dni dłużej równa się większe niebezpieczeństwo. Żadna z opcji nie wyglądała zachęcająco, ale nie miała wyjścia. Jedyna lepsza opcja-gdyby matka menedżera została pochowana w najbliższy weekend, a on wrócił do pracy w poniedziałek - wydawała się mało prawdopodobna.

- Przypuszczam, że zatrzymam się tu na jakiś czas. - Drea uśmiechnęła się blado. - Czy może mi pani polecić jakiś motel? A może powinnam pojechać do sąsiedniego miasta?

Będzie potrzebować trzech rzeczy, myślał Simon: gotówki, samochodu i komórki. Skoro jest tak sprytna, ma pewnie gdzieś sekretne konto bankowe, gdzieś w pobliżu, więc zapewne ma też już pieniądze. Ale samochód? Gdzie znalazłaby samochód? Nie w Nowym Jorku; ostatni raz widział ją w taksówce wjeżdżającej do tunelu Holland, który prowadzi do New Jersey. Miałoby sens, gdyby chciała pojechać do innego stanu, więc sprawdził New Jersey. Gdzieś blisko, bo nie traciłaby kasy na jazdę taksówką w odległe miejsce.

Nie pojechałaby też do salonu samochodowego; będzie się starała nie rzucać w oczy, więc w grę wchodzi używany samochód, w dość dobrym stanie, na pewno nie wypasiona fura.

Włamał się w systemu komputerowego Departamentu Transportu, żeby wyciągnąć kopię jej prawa jazdy. Rdzenny mieszkaniec miasta mógłby w ogóle nie mieć prawa jazdy, ani nawet nie wiedzieć, jak prowadzić samochód, zważywszy na popularność miejskiego transportu. Ale wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy przeprowadzali się do Nowego Jorku, aktualizowali swoje prawa jazdy. Kiedy miał już zdjęcie, pobawił się nieco obrazem: przyciął jej włosy i przyciemnił. Potem wydrukował rezultat, bo wiedział, że czeka go sporo chodzenia po mieście i musiał mieć fotografię, żeby pokazywać ludziom.

W poniedziałek trafił w dziesiątkę i sto doliczając później miał już model i rocznik samochodu plus numery rejestracyjne. New Jersey wydaje dwie tablice, jedną na przedni, drugą na tylny zderzak. Wiedział, że istnieją osobnicy pozbawieni skrupułów, specjalizujący się w kradzieży przednich tablic i sprzedają je osobom, które nie zamierzają zostać w New Jersey, a potrzebują tablic tylko po to, żeby nie czepiał się jakiś nadgorliwy gliniarz, że ich samochód w ogóle nie jest oznaczony. Zdumiewające, jak wiele osób przewijało się przez New Jersey i jak wiele

potrzebowało tylko jednej tablicy rejestracyjnej. Wyjechawszy ze stanu rozsądny człowiek postawiłby wszystko na jedną kartę i starał się o krok wyprzedzić system komputerowy.

Komórka stanowiła problem. Mogła kupić aparat na kartę i nigdzie nie podawać swoich danych. Niech to szlag, pewnie ślepy zaułek.

Pozostawał urząd skarbowy.

Jak każdy człowiek nie znosił skarbówki, lecz był to jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, gdzie Drea przesłała pieniądze. Każdą transakcję gotówkową na więcej niż dziesięć tysięcy raportowano automatycznie do urzędu, dlatego on zawsze przelewał niewielkie sumy i wyłącznie do zagranicznych banków. Zajmowanie się pieniędzmi to nie lada praca.

W urzędzie skarbowym mieli cholerny system komputerowy, co wróżyło dobrze jemu, a źle Drei.

We wtorek dowiedział się, że przelała swoje dwa miliony dolarów do banku w Grissom, w Kansas.



Rozdział 12

Pomyślała sobie, że gdyby nuda mogła zabić, to ona, Drea, nie pożyłaby dostatecznie długo, żeby dostać pieniądze. Wyjechała z rodzinnego miasteczka i w końcu dotarła do Nowego Jorku właśnie dlatego, że nie chciała mieszkać w mieście takiej jak Grissom. Przekonała się, że życie w małym miasteczku nie jest dla niej.

Nie chodziło o ludzi. Ogólnie rzecz biorąc byli mili, nawet jeśli czasem wścibscy. Choć w Nowym Jorku nie posmakowała życia, jakim cieszy się tak zwany wielki świat - Rafael nie należał do grona Pięknych Ludzi, chyba że istniała podkategoria Pięknych Zbirów - i choć dużo czasu spędzała w swoim pokoju, czuła się w nim komfortowo. Nie chodziła do teatrów czy kin, ale w telewizji zawsze było coś interesującego. Tu, w maleńkim, zapyziałym pokoiku, który wynajęła w piątek wieczorem w maleńkim, zapyziałym motelu w Grissom, który zasługiwał na swą

pozbawioną wyobraźni nazwę, nie miała nic, nawet telewizora. Nie mogła iść na film, bo w mieście nie było kina.

Mała kawiarenka i fastfoodowa restauracja, w której pracowały znudzone nastolatki, raczej odstręczały, niż przyciągały. Jeśli idzie o zakupy, mieszkańcy mieli do wyboru sklep z częściami metalowymi, sklep z karmą dla zwierząt, sklep z rzeczami dla farmerów i sklep za dolara. Po inne rzeczy jeździli do sąsiedniego miasteczka, oddalonego o trzydzieści mil, które miało Wal-Mart. Wielkie mi co.

Pamiętała czasy, kiedy wyjście do Wal-Martu było dla niej wielkim przeżyciem, bo tam kupowała większość ubrań. Jeśli udało się jej uciułać dostatecznie dużo grosza, żeby kupić coś u Searsa, pękała z dumy, jakby dostała to u Saksy na Piątej Alei.

A teraz znowu chodziła w ubraniach z Wal-Martu. Różnica polegała na tym, że na koncie bankowym miała dwa miliony dolarów i wiedziała, że już wkrótce będzie mogła nosić, co tylko sobie zamarzy, i mieszkać tak, jak sobie zamarzy. Ta klita na zadupiu doprowadzała ją do szału. Będąc w Nowym Jorku, może i nie robiła zbyt wiele, ale miała szansę, żeby coś zrobić.

Zjadały ją nerwy; odnosiła wrażenie, że od tego czekania złazi jej skóra. Po nocy spędzonej w Grissom wymeldowała się z motelu, przejechała pięćdziesiąt kilometrów do miasteczka, które szczyciło się małym centrum handlowym, ale po chwili namysłu nie zatrzymała się w nim, lecz pojechała do następnego miasta. Dodatkowa odległość od Grissom sprawi, że tym trudniej będzie ją odnaleźć.

Następnego dnia wymeldowała się także z tego motelu i pojechała jeszcze dalej.

Tak robiła przez trzy następne dni. Żyła na walizkach, a właściwie na taniej walizeczce, nie zawracała sobie głowy rozpakowywaniem, ponieważ każdą noc spędzała w innym miejscu, ale głęboko w sercu czuła niepokój. Każda decyzja, którą podjęła, odkąd wyprowadziła się od matki, miała na celu tylko jedno: pieniądze, bezpieczeństwo i dom. Została milionerką, nawet jeśli na razie nie miała dostępu do pieniędzy. A dom? Za bardzo się bała, żeby pozostać w jednym miejscu dostatecznie długo, żeby choć rozpakować walizkę. Miała gdzie się zatrzymać, ale to nie było jej miejsce, takie, gdzie czułaby się u siebie, bezpiecznie. Może „dom” i „bezpieczeństwo” naprawdę oznaczają jedno i to samo - w każdym razie wiedziała, że tego jeszcze nie odnalazła.

Wstrzymywała oddech, czekała, aż będzie mogła zacząć żyć.

W środę złapała się na tym, że jeździ po krętej, zataczającej koło wokół Grissom drodze, jakby starała się ominąć jakąś dziurę. Przez wiele kilometrów nie widziała nic, poza płaskimi polami zielonymi od letnich upraw i szeroką, błękitną misą nieba

nad głową. Ruch na drodze był niewielki, gdyż droga 1-70 biegła daleko na północ, a tu, w krainie farm, jeździli po niej wyłącznie okoliczni mieszkańcy - a i to niewielu.

Może przez długie dni samotności, a może przez tę całkiem pustą drogę - raczej nie groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby się zamyśliła - Drea poczuła się... nieswojo. Tylko tak można to nazwać. Gdzieś, jakoś popełniła błąd.

W myślach odtworzyła jeszcze raz wszystkie kroki, które przedsięwzięła, przyjrzała się dokładnie każdemu. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić inaczej. Poza tym, że mogłaby przesłać wszystkie pieniądze do Elizabeth i podjąć ryzyko przedłużonego postoju w okolicy Nowego Jorku, nic nie przychodziło jej do głowy. Z drugiej strony, czy bardziej ryzykowała, tak długo pozostając w okolicy Grissom?

Czy nie za pochopnie założyła, że Rafael nie pójdzie na policję? Uważała, że będzie chciał się nią zająć na swój sposób, a to wykluczało gliniarzy. Założyła też, że Rafael, który całe życie mieszkał najpierw w Los Angeles, a potem w Nowym Jorku, nie będzie miał pojęcia, jak wytropić ją w środku Ameryki. To było jej terytorium, nie jego. Ale jeśli się myli?

Jeżeli wynajął kogoś do tej roboty?

Przebiegł ją dreszcz. To właśnie przeoczyła. Rafael nie będzie działać samodzielnie, nie wyśle swoich ludzi, żeby przetrząsnęli wszystkie chaszczki Nowego Jorku. Okradła go, zraniła męską ambicję, odrzuciła jego „miłość”. Dla niego te dwa ostatnie powody byłyby ważniejsze niż pierwszy. Za tak poważną obrazę wynająłby najlepszego.

A najlepszy był... on.

Serce zabiło jej gwałtownie, oddech przyspieszył. Zjechała na pobocze drogi i drżąc, złapała mocno kierownicę. Starła się zwalczyć atak paniki. Nie może dać się ponieść nerwom; nie może pozwolić sobie na stratę czasu. Musi myśleć.

Okej. Bank nie wyda informacji na temat jej konta nikomu, kto nie ma nakazu przeszukania, a Rafael nie zdoła go zdobyć. Ale... co z hakerami? Zabójca żył z tego, że potrafił wytropić daną osobę i w tym nie miał sobie równych, inaczej nie mógłby żądać tak ogromnych kwot za swoje usługi. Zarabiał pieniądze dlatego, że był skuteczny. A to znaczy, że albo sam jest tak cholernie dobry we włamywaniu się na strony komputerowe, które powinny być zabezpieczane, albo zna jakiegoś specę.

Drea wzięła głęboki oddech i trzymała powietrze w płucach przez kilka sekund; powtórzyła to parę razy, żeby spowolnić bicie serca. Myśl, myśl!

Żeby włamać się do systemu komputerowego banku, najpierw musiałby wiedzieć, o który bank chodzi, ale - cholerny świat - miał dobry punkt wyjścia, gdyż wiedział, z którego banku korzysta Rafael. Mógł też dostać się do systemu urzędu

skarbowego wiedząc, że każda transakcja powyżej dziesięciu tysięcy wymusza automatyczny raport. Z tego, co czytała, wynikało, że urząd skarbowy nie ma najlepszego systemu komputerowego na świecie. Ale kierując się tą samą logiką, bank Rafaela był jednym z tych ogromnych narodowych banków, które posiadają dziesiątki miliardów dolarów w środkach trwałych, więc logiczne jest, że będą mieć nie do zajechania system bezpieczeństwa.

Podczas gdy ona traciła czas, jeżdżąc w kółko, podziwiając pola i niebo, on już pewnie zdołał wyśledzić jej przelewy i będzie czekać na nią w Grissom.

Najlepszą rzeczą, jaką mogła teraz zrobić, było darowanie sobie tych dwóch milionów, przynajmniej na razie, i ukrycie się w bezpiecznym miejscu. Nadal miała czek kasjerski na osiemdziesiąt pięć tysięcy z banku w Elizabeth, więc na życie wystarczy.

Jednak kiedy tylko gdzieś zdeponuje czek, znowu pójdzie ten cholerny raport o transakcjach gotówkowych i jest prosta droga do banku, który wykorzystywała.

Musiał być czas, nawet krótki, pomiędzy transakcją w banku, a zarejestrowaniem raportu w urzędzie skarbowym. Z czekiem kasjerskim miała przewagę, gdyż będzie on natychmiast honorowany. Wystarczy, że pojedzie do dużego miasta, otworzy konto w liczącym się narodowym banku, uprzedzi, iż zamierza przelać im jeszcze dwa miliony dolarów i zaaranżuje wszystko tak, żeby przynajmniej sporą część podjąć w gotówce.

Nagle już wiedziała, jak to rozpracować. Z gotówką w ręce, otworzy kilka różnych kont bankowych, w różnych sąsiadujących z sobą miastach, lecz zawsze użyje mniej niż dziesięć tysięcy, żeby banki nie musiały wysyłać tych cholernych raportów. Potem w huraganie pracy przeleje niewielkie kwoty z banku w Grissom do wszystkich tych innych banków i pójdzie do nich, jeden po drugim, żeby zamknąć konta i podjąć pieniądze w gotówce. Dzięki temu pozostanie poza radarem. Jeśli on nie włamie się do systemu bankowego, będzie mogła spać spokojnie.

No, prawie spokojnie. Przynajmniej kupi sobie dość czasu, żeby zająć się nową tożsamością i zacząć wszystko od zera. Z nowym nazwiskiem, nowym numerem ubezpieczenia, będzie mogła zniknąć.

Wyciągnęła telefon komórkowy i sprawdziła stan sieci. Jedna kreseczka. Za mało. Musi podjechać bliżej jakiegoś miasteczka. To była kolejna irytująca rzecz, tak jak całe to otoczenie: za dużo wolnej przestrzeni, za mało osób, żadnych samochodów, żadnych domów, tylko pola i pola jak okiem sięgnąć. Kukurydzy nie potrzeba telefonu.

Jechała przez blisko godzinę, cały czas obserwując wskaźnik sieci w telefonie. Gdy liczba kreseczek podskoczyła gwałtownie do trzech, postanowiła spróbować i zjechała na pobocze.

Przy pierwszej próbie dodzwoniła się do poczty głosowej pani Pearson.

-Pani Pearson, mówi Andrea Butts. Coś się nagle wydarzyło i już nie chcę tych dwóch milionów w gotówce. Mam nadzieję, że wasz główny kasjer nie złożył jeszcze zamówienia. Muszę z panią porozmawiać, ale bardzo boję się pojechać do banku. Proszę oddzwonić do mnie. Mój numer... - Urwała, gdyż za nic w świecie nie potrafiła przypomnieć sobie nowego numeru telefonu. - To ja oddzwonię do pani - dokończyła pospiesznie i zakończyła połączenie.

Cholera, jaki właściwie miała numer? Wyłączyła go, znów włączyła i obserwowała wyświetlacz, kiedy podawał tę informację. Złapała długopis z torebki, szybko zapisała numer i zadzwoniła do pani Pearson.

Ku jej zdumieniu ta odebrała telefon.

-Witam, panno Butts, w tej chwili odsłuchiłam pani wiadomość. Właśnie kończyłam rozmowę z klientem i nie mogłam odebrać. Zaraz dam Judy notatkę, co do wysokości sumy, jaką ma zamówić. Muszę przyznać, że ulżyło mi, kiedy usłyszałam, że zmieniła pani zdanie...Ale... czy coś się stało? - Zniżyła głos. - Dlaczego boi się pani przyjść do banku?

- Chodzi o mojego byłego męża - odparła Drea zadowolona, że jej żaloszna historyjka jednak się przydaje. - Nie wiem, jakim cudem, ale przyjechał tu za mną. Wie, że mam konto w państwa banku. Boję się, że może obserwować bank i jeśli się tam pojawię, znajdzie mnie.

- Czy dzwoniła pani na policję? - Pani Pearson zawarła stosowną dozę przerażenia w głosie.

- Tyle razy, że już niemal wytarłam przyciski na telefonie. - Drea westchnęła ciężko. - Zawsze odpowiadają to samo: dopóki faktycznie czegoś nie zrobi, brak podstaw do zatrzymania. Jest sprzedawcą w dużej firmie ze sprzętem rolniczym, więc ma dobrą wymówkę, żeby właściwie przebywać wszędzie. Ja nie mam prawa przeszkadzać mu w wykonywaniu zawodu, ble, ble, ble... Zdaje się, że tyle mi się należy za to, że tak wiele razy kryłam go, kiedy mnie bił. Mówiłam, że spadłam ze schodów albo przytrzasnęłam sobie dłoń drzwiami samochodu, kiedy on złamał mi palec.

- Och, biedactwo - jęknęła pani Pearson. - Nie, oczywiście że nie powinna pani tu przychodzić. Ale... co pani zamierza?

- Nie wiem. - Wiedziała, ale nie dopracowała jeszcze szczegółów. - Jemu się wydaje, że ma prawo do połowy moich pieniędzy. Chodzi o to, że byliśmy jeszcze małżeństwem, kiedy moi rodzice umarli, a ja odziedziczyłam część ich majątku.

- Ach... Zdaje mi się, że spadek jest osobistą własnością dziedzica.

- Tak mówi prawo, ale on uważa, że zarobił te pieniądze, użerając się ze mną. - Drea wpuściła nieco goryczy do swego tonu. - Ja tylko muszę zatrzeć za sobą ślady, żeby on nie mógł mnie już znaleźć.

- Pani dane osobowe są poufne. Jak on może...

- Ma przyjaciela, który pracuje dla urzędu skarbowego w Stanach Zjednoczonych.

- Rozumiem.

Fakt, że nie musiała mówić nic więcej, powiedział Drei wiele. Czyli że miała rację, co do raportów dla urzędu skarbowego. Szlag by to.

- Muszę jakoś to rozgryźć, ale sama jeszcze nie wiem jak.

- Obawiam się, że każda transakcja, jakiej pani tu dokona, będzie musiała zostać zaraportowana - powiedziała pani Pearson z żalem. - Banki mają obowiązek sporządzać raporty dotyczące każdej transakcji gotówkowej na sumę wyższą niż dziesięć tysięcy dolarów, więc pani kwota na pewno zostawi ślad.

- Ja nie chcę mieć żadnych problemów z urzędem skarbowym w Stanach Zjednoczonych i na pewno nie unikam płacenia podatków. Po prostu muszę wydestakować te pieniądze i przenieść je w inne miejsce, zanim on mnie znajdzie.

- Najłatwiej będzie pani podjąć dużą kwotę w krótkim czasie w mieście, które ma bank rezerwy federalnej. My znajdujemy się w dystrykcie Kansas City, ale jest też oddział w Denver, które jest trochę bliżej. Problem polega na tym, że kiedy dojedzie pani do miejsca, gdzie będzie pani deponować pieniądze, ten bank także będzie musiał sporządzić raport przelewu.

Nie, jeśli bank będzie się znajdował poza granicami tego kraju, pomyślała Drea ponuro. Jeżeli kiedykolwiek zdoła dostać się do tych pieniędzy, zabierze je za granicę tak szybko, jak tylko zdoła, żeby uciec od wszędobylskich oczu rządu. Z nową tożsamością zdobędzie nowy paszport - prawdziwy - i przynajmniej pojedzie na Kajmany, na wakacje, i zabierze z sobą kasę. Miała dość tego gówna.

- Najbezpieczniejszym sposobem na przelanie takich pieniędzy jest zrobienie tego przez Internet - ciągnęła pani Pearson.

- Nie mam komputera. Czy mogę skorzystać z komputera w kafejce internetowej albo w bibliotece?

- Hm... lepiej byłoby, żeby miała pani cały czas ten sam numer IP. Czy może to pani zrobić przez telefon?

- Nie, to taniocha. Nie ma możliwości połączenia z Internetem.

- Proszę kupić taki, który ją ma. Wtedy może pani zarządzać kontem skądkolwiek. Albo proszę kupić laptop, naprawdę to polecam.

- A co mi to da?

- Wystarczy wejść na naszą stronę i stosować się do instrukcji.

- Nie muszę podpisać czegoś?

- Owszem, musi pani podpisać umowę. Prześlę ją pani e-mailem...

- Nie mam konta e-mailowego. - Drea znów czuła się tak, jakby waliła głową w ścianę.

Po chwili pani Pearson powiedziała:

-Normalnie bym tego nie zrobiła, ale jeśli zdobędzie pani laptopa z połączeniem internetowym i zadzwoni do mnie, wydrukuję umowę i spotkam się z panią gdzieś na mieście. Dla chcącego nic trudnego, panno Butts! Poradzimy sobie.

Usługa internetowa, czyli, że jej nazwisko znowu pojawi się w systemie, ale trudno, innymi metodami nie udało się nic zdziałać. No i z pewnością nie pokaże się w banku osobiście.

-Dobrze - przystała ze znużeniem. - Dziękuję. Zadzwonię, kiedy tylko wszystko zorganizuję.

Rozłączyła się i oparła głowę o zagłówek. Kto by przypuszczał, że kradzież dwóch milionów dolarów jest tak cholernie pracowita?

Rozdział 13

Czy ja oszalałam? Drea brnęła przez listę rzeczy do zrobienia z wielką determinacją. Niestety, bez względu na to, jak bardzo była zdeterminowana, ta cholerna lista wciąż się wydłużała.

Każdy krok zdawał się płodzić dwa następne, bez których pierwszy by nie zadziałał. Ponieważ nie miała kart kredytowych, musi zapłacić gotówką za najtańszy

laptop, jaki udało się jej znaleźć w sklepie, a kończyły się już pieniądze. Jeśli nie chciała ryzykować wyprawy do banku w Grissom, musiała wykorzystać swój czek kasjerski, żeby otworzyć konto w tym samym mieście, gdzie znajdował się Wal-Mart. To znowu spowodowałoby wysłanie raportu o transakcji gotówkowej do urzędu.

Czy miała inne wyjście? Potrzebowała dostępu do Internetu, żeby elektronicznie przelać te dwa miliony. Ale jeszcze przedtem potrzebowała laptopa. Żeby kupić komputer, musi mieć gotówkę.

Wszystko zdawało się kręcić w kółko. Kiedy poszła do sklepu z telefonami po kartę bezprzewodową do nowego laptopa i chciała wykupić abonament na usługę internetową, okazało się, że musi albo podać adres, na który mają przysyłać miesięczny rachunek, albo numer konta, z którego będą automatycznie pobierać należność.

- Jasne, czemu nie - mruknęła do sprzedawcy, szczupłego chłopaka o meksykańskiej urodzie. W końcu wszystkie dane o koncie bankowym otworzonym przed dwiema godzinami miała w torebce.

Mimo wszystko nadal cała jej teoria opierała się na dedukcji. Choć była pewna, że Rafael jej szuka, nie miała żadnego dowodu na to, że wynajął kogoś, by ją wyszedził. Może po prostu zlecił robotę Orlando. To był najlepszy dla niej scenariusz, bo choć Orlando dobrze sobie radził z komputerami, wiedziała, że brak mu ekspertyzy, żeby włamać się do systemu urzędu skarbowego w Stanach Zjednoczonych.

Nie tylko to: Rafael nigdy by mu na to nie pozwolił. Ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależało, to rozwścieczyć urząd skarbowy i sprowokować, żeby przyjrzeni się jego finansom. To oni w końcu zniszczyli Ala Capone'a. W ciągu ostatniego tygodnia przekonała się, jak trudno jest potajemnie przemieścić kasę. Nic dziwnego, że pranie pieniędzy to tak ogromny biznes; jak inaczej handlarze narkotyków mieliby przynosić ogromne kwoty do legalnego obiegu i spokojnie je wydawać?

Nawet gdyby Rafael wynajął kogoś do wysledzenia jej, może nie chce narażać się na koszt zatrudniania zabójcy. Ten był kosztowny, szalenie kosztowny. Rafael musi zdawać sobie sprawę, że nie odzyska swoich pieniędzy. Chyba jest świadom trudów, jakie sobie zadała, i tego, że kiedy już zaksięgują tę kwotę na jej koncie, on nigdy się do niej nie dobierze. Czy był skłonny dodać koszt wynajęcia zabójcy do dwóch milionów, które już stracił?

Nie miała wątpliwości, że odpowiedź jest twierdząca. Rafael zaślepiony wściekłością może być zdolny do wszystkiego. Natomiast biorąc pod uwagę jego

profesję, zabójca będzie znać wszystkie chwyt i zagrywki związane z przenoszeniem dużych sum pieniędzy i zamienianiem ich na gotówkę.

Tego jednego nie zbadala dokładnie, tu kryła się słabość jej planu. Zareagowała pochopnie, zbyt emocjonalnie i teraz płaciła za to. Czy nigdy się nie nauczy? - zastanawiała się zła na siebie. Emocje tylko zacierają jasność obrazu i sprawiają, że wszystko jest trudniejsze. Powinna była machnąć ręką na to, co zrobił Rafael; wytrzymać jeszcze trochę i lepiej wszystko zaplanować. Powinna była zaczekać, zaaranżować coś za granicą, jak najdalej od wścibskiego urzędu skarbowego w Stanach Zjednoczonych i wtedy zadziałać.

Nadal trzymała w torbie biżuterię, którą mogła zlikwidować, ale najbardziej opłacało się sprzedać świecidełka na e-Bayu, a to wymaga trochę zachodu. Z drugiej strony teraz, kiedy miała już laptop, mogła się do tego zabrać. Nie była splukana i bezradna, nie jak za pierwszym razem. Teraz miała opcje.

Nie miała jednak czasu. Minęło sporo dni, od kiedy uciekła z Nowego Jorku, wystarczająco, żeby on zdołał ją wysledzić. Chyba że byłaby skłonna darować sobie te dwa miliony, nie ruszać ich na razie. Ale kiedy ona poczuje się dość bezpieczna, by je zgarnąć? Za rok? Dwa lata? Pięć? Musi działać szybko.

Teraz nie miała nawet tych osiemdziesięciu pięciu tysięcy, przynajmniej w garści. Dostanie się do nich wiązało się z takim samym ryzykiem jak dostanie się do dwóch milionów. Miała trochę gotówki i biżuterię, lecz choć mogła się z tego utrzymać, nie zdoła załatwić nowej tożsamości, żeby zniknąć. Nie ma co marzyć o domu, własnym domu. Będzie musiała znaleźć gdzieś pracę na czarno, prawdopodobnie jako kelnerka w jakiejś dziurze. Żyła już tak wcześniej i nie zamierzała do tego wracać.

Uznała, że bez względu na ryzyko, musi działać.

Zadzwoniła do pani Pearson:

- Mam wszystko. Laptop i bezprzewodowy dostęp do Internetu.

- Doskonale. Przygotowałam już umowę, wychodzę z pracy o piątej. Mogę spotkać się z panią w... Gdzie by pani pasowało?

- Nie wiem. Muszę się zastanowić. - W miasteczku wielkości Grissom nie było dobrego miejsca. Kawiarenka odpadała. Drea nie chciała znaleźć się na niewielkiej przestrzeni, „na piechotę”, z jedynym wyjściem przez kuchnię. Była w tej kawiarence. Kelnerki wydawały talerze zza wielkiej lady, na tyłach znajdowały się drzwi, które prowadziły może do ubikacji, a może do kuchni, nie sprawdziła tego. Jeśli nie chciała ryzykować ucieczki przez kuchnię, a to mogło być ryzykowne, kawiarenka odpadała.

Kolejny przykład, jak niedokładnie przygotowała swój plan. Powinna była wszystko sprawdzić, bo jej życie może od tego zależeć. Teraz już będzie zakładać, że on depcze jej po piętach i zachowywać się stosownie do niebezpieczeństwa. Nie odetchnie, dopóki nie zatrze za sobą śladów, a to zajmie trochę czasu.

-Może na parkingu sklepu za dolara - zasugerowała w końcu. Miał więcej niż jeden wjazd; co ważne, znajdował się na rogu, więc miała więcej niż tylko jedną ulicę do wyboru. No i nikt, kto ją znał, nie szukałby jej w sklepie za dolara.

To przypomina grę w szachy, myślał Simon, rozkoszując się chwilą. Przyjemnie było stawić czoła komuś takiemu jak Drea. W większości przypadków ofiary nie wiedziały, co je czeka, nawet ci, którzy powinni byli wiedzieć lepiej. Osoby będące jego celami przedsiębrały środki ostrożności, lecz właśnie dlatego w pewnym momencie czuły się nazbyt bezpiecznie, odpuszczali sobie. Wielki błąd. Śmiertelny błąd. Żeby zostać przy życiu, nie wolno pozwolić sobie na relaks, nigdy nie wolno zakładać, że jest się bezpiecznym.

Przyleciał samolotem poprzedniego dnia po południu, wynajął pikapa, żeby złączyć się z tłumem okolicznych farmerów, i przejechał samochodem całą drogę do Grissom. Miał na sobie džinsy, czarne buty za kostkę i granatową koszulę z krótkimi rękawami, która przypominała ubrania mechaników samochodowych. Nad lewą kieszenią koszuli miał wyszyte imię „Jack”. Każdy znał jakiegoś Jacka. Jack mieszka wszędzie i jest to tak popularne imię, że nikt nie zwraca na nie uwagi. Poplamiona czapka bejsbolowa, okulary przeciwsłoneczne i parodniowy zarost dopełniały kamuflażu.

Miał nieco ograniczone pole manewru, jeśli chodziło o przebranie, bo w tak małym miasteczku nie udałby mu się numer z wózkiem inwalidzkim. Ludzie zatrzymywali się, żeby mu pomóc, pytaliby, gdzie mieszka, zastanawiali się, dlaczego wcześniej go tu nie widzieli. Mimo wszystko był zadowolony ze swojego wyglądu; zlewał się z tłumem, a o to przecież chodziło.

Jeśli wcześniej Drea nie przekonała się, jak trudno jest podjąć dużą sumę w gotówce, z pewnością wiedziała już o tym teraz. Możliwe, że jak większość jego celów założy, że jest bezpieczna w tej dziurze, bo nie korzystała ze swojej karty kredytowej i jechała samochodem, zamiast lecieć samolotem. Podejrzał jednak, że jest na to za mądra.

Jak na razie rozegrała wszystko bardzo sprytnie, ale pewnie już odkryła słabość swojego planu i zrozumiała, jak można ją wytrapić. Znała Rafaela dość dobrze, żeby

go wywieść w pole, a to znaczyło, że z niezłą dokładnością potrafiła przewidzieć, jak się zachowa.

Będzie potrzebować dostępu do Internetu, żeby przelać pieniądze elektronicznie, a żeby uruchomić tę procedurę, będzie musiała podpisać umowę z bankiem. Czyli najpierw dostęp do Internetu. Poprzedniej nocy długo surfował po stronach firm, które dostarczają takie usługi w tej okolicy, lecz nigdzie jej nie namierzył. Dopóki nie zdobędzie nowego dokumentu tożsamości, musi posługiwać się własnym nazwiskiem, a nowe dokumenty kosztują więcej gotówki, niż zapewne ma przy sobie. Dopóki nie zmieni nazwiska, nie zdoła się go pozbyć.

Siedząc w pikapie z laptopem na kolanach, jeszcze raz przeszukał dane abonamentów internetowych, zaczynając od największych firm - i oto ona! Jak można się było spodziewać po skutecznych firmach telekomunikacyjnych, Drea znów została wrzucona do sieci.

Teraz przyjdzie jej się zmierzyć z bankową papierologią- albo musi udać się osobiście do banku, albo już zdołała zawrzeć znajomość z kimś z pracowników, kto przyniesie jej stosowne dokumenty. Ponieważ chodziło o Dreę, stawiał na to drugie rozwiązanie.

Pracownik banku nie wyjdzie z budynku frontowymi drzwiami; wszyscy wychodzą przez służbowe drzwi z boku. Zaparkował tak, żeby mieć je na oku; każdy, kto wyjdzie przed czasem zamknięcia banku, będzie dla niego podejrzany.

Nie mężczyzna, zrozumiał natychmiast. Drea nie ufała mężczyznom i miała po temu powody. Pogardała tymi, którymi potrafiła manipulować, a nie ufała innym. Wyeliminowanie mężczyzn z listy niewiele dawało, gdyż w banku pracowały głównie kobiety.

Przypuszczał, że będzie to kobieta w średnim wieku, ktoś z wyższego personelu. Starsza kobieta prędzej pospieszy z pomocą komuś w wieku Drei. Będzie też mieć z sobą dokumenty, w ręce, w neseserku, lub dużej torbie na ramię. Ustaliwszy te parametry, czekał i obserwował.

Zauważył ją od razu. Przede wszystkim wyszła punktualnie o piątej, a to sugerowało, że miała jakiś cel. Równie dobrze mogło to być przygotowanie kolacji, lecz miała ze sobą tekturową teczkę na dokumenty. Niech jej Bóg błogosławi, pomyślał z lekkim rozbawieniem. Chciała pomóc, lecz kompletnie nie znała się na rzeczy. Czy można robić coś bardziej otwarcie?

Wsiadła do beżowego chryslera. Nienawidził beżowych samochodów; nie wyróżniały się w tłumie. Przynajmniej na ulicy nie było zbyt wielkiego ruchu.

Pytanie za dziesięć punktów brzmiało, dokąd jedzie? Grissom nie miało zbyt wiele miejsc publicznych. Może umówiła się z Drea na spotkanie u siebie w domu, a to mogło okazać się ryzykowne w kontekście śledzenia jej.

Nie włączył się natychmiast do ruchu, lecz pozwolił, żeby inny pracownik banku wjechał między niego a chryslera. Trzymał się z tyłu, nie chcąc jej spłoszyć, choć wiedział, że to mało prawdopodobne.

Przejechała dwie przecznice, a na drugim rogu skręciła w prawo i wjechała na parking przed sklepem za dolara. Simon nie dotknął nawet hamulców, nie spojrzał na chryslera, kiedy przejeżdżał obok niego, lecz kątem oka obserwował parking, wypatrując samochodu, w którym ktoś czekał. Czy Drea wsiądzie do chryslera, czy pani z banku podejdzie do niej? Gotów był iść o zakład, że to kobieta z banku opuści schronienie samochodu; Drea była zbyt inteligentna, żeby paradować w miejscu publicznym, kiedy spodziewała się, że ktoś jej szuka.

We wstecznym lusterku zobaczył, jak kobieta z banku wysiada z samochodu, waha się moment, i po chwili idzie pewnie przez parking.

- Bingo - mruknął cicho. - Twój tyłek jest już mój, kochanie.

Rozdział 14

Drea poczuła dreszcz na plecach i gwałtownie obróciła głowę, rozglądając się we wszystkie strony. Miała wrażenie, że grozi jej niebezpieczeństwo; strach sprawił, że chciała natychmiast wrzucić bieg i docisnąć gaz do dechy. Nie dostrzegła nic nadzwyczajnego, lecz jaszczurczy fragment jej umysłu krzyczał: „Zwiewaj!” i aż zadrżała z wysiłku, żeby pozostać na miejscu. Nie ma go tu. Wiedziała, że go tu nie ma. Jeszcze tylko pięć minut i wszystko będzie załatwione. Wyjedzie. Ruszy do Denver i wkrótce dostanie swoje dwa miliony w gotówce, a potem zniknie; nawet on nie będzie w stanie jej odnaleźć.

Sprawdziła parking, kiedy tu przyjechała, przed piętnastoma minutami, choć nikt nie miał prawa wiedzieć o jej spotkaniu z panią Pearson. Jedynym pojazdem, w którymś ktoś siedział, był obdrapany, czterodrzwiowy chevy. Silnik pracował, żeby

klimatyzacja działała, bo na dworze panował trzydziestostopniowy upał. Na przednim siedzeniu siedziała starsza kobieta o twarzy naznaczonej siecią zmarszczek i zmęczenia; w foteliku na tylnym siedzeniu więziony był zapłakany maluch. Żadne zagrożenie, chyba, że dzieciak ucieknie.

Zobaczyła panią Pearson, gdy starsza kobieta wjechała na parking, potem skierowała wzrok na jadące ulicą samochody. Zaraz za panią Pearson jechał czerwony sedan prowadzony przez kobietę, potem facet w pikapie. Drea przyglądała mu się długo, ale nie widziała go wyraźnie, gdyż słońce odbijało się od przedniej szyby samochodu. Dostrzegła, że ma na głowie czapkę bejsbolową, lecz był tak zajęty drogą, że nawet nie odwrócił się, żeby spojrzeć w kierunku pani Pearson.

Czerwony sedan i pikap pojechały dalej. Kiedy pani Pearson, z teczką w dłoni, szła pospiesznie przez parking, Drea czujnie obserwowała ulicę za nią i zastanawiała się, co ją tak przeraziło. Jeszcze jeden samochód, znowu kobieta za kierownicą. Pani Pearson sięgnęła do klamki.

Drea pospiesznie odblokowała drzwi i wpuściła ją. Kiedy tylko drzwi się zatrzasnęły, zamknęła je od wewnątrz. Każdy samochód miał swoją martwą strefę, a ona nie chciała, żeby ktokolwiek ją zaskoczył, wsiadł na tylne siedzenie i przyłożył jej pistolet do głowy.

-Widziała go pani? - spytała pani Pearson, rozglądając się wokoło.

- Nie, jeszcze nie. - Ale był gdzieś w pobliżu. Wiedziała to. Mrowienie na kręgosłupie, jaszczurcze przeczucie niebezpieczeństwa potwierdzało tylko jego bliskość. Kamery w sklepie z telefonami na pewno ją zarejestrowały, więc musiała zakładać, że jej wygląd nie stanowi już tajemnicy.

Może przypisywała mu zbyt wiele władzy i umiejętności, lecz nie sądziła, że się myli. Jeśli posiadała jakiś talent, było to wyczuwanie mężczyzn, a instynkt podpowiadał Drea, że on potrafi ją znaleźć. Podpowiadał także, że jest najbardziej niebezpiecznym człowiekiem, jakiego w życiu poznała, choć w swoim czasie miała kontakt z kilkoma bezlitosnymi mordercami - na ich widok krew ścinała się w żyłach. On jednak bił ich na głowę, a w niej budził paniczny strach.

Pani Pearson otworzyła teczkę i wyciągnęła kilka kartek papieru.

-Proszę to wypełnić i podpisać, niedużo formalności.

Drea wzięła od niej dokumenty i jeszcze raz powiodła wzrokiem wokół.

-Proszę się rozglądać, kiedy ja będę to czytać. On jest wysoki, ma ze sto osiemdziesiąt centymetrów, przystojny, w świetnej formie. Krótkie, ciemne włosy. - Ten pobieżny opis wydawał się mało adekwatny w stosunku do człowieka, który zdawał się wypierać powietrze z pokoju, w którym przebywał, jak gdyby miał władzę

nie tylko nad własną przestrzenią życiową, ale i należącą do innych. Lecz jak miała opisać sposób, w jaki się poruszał, jego grację i szybkość? A ten kamienny spokój? Powiedzenie, że oczy miał jak ciemne opale, nic nie dawało, bo ten kolor można dostrzec tylko z bardzo bliska - wtedy byłoby już za późno.

Pani Pearson potraktowała prośbę swojej klientki szalenie poważnie; gdy Drea skupiła się na dokumentach, ona nic nie mówiła, lecz cały czas rozglądała się po parkingu. Ludzie kręcili się bez przerwy, lecz najczęściej były to zaganiane matki, wykończone upałem, najczęściej z dziećmi, które ciągnęły się za nimi przy wtórze kłapek uderzających o chodnik.

Wypełnienie dokumentów zajęło ledwie kilka minut. Drea naskrobała swój podpis i włożyła wszystko z powrotem do teczki.

- Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna za to, co pani dla mnie zrobiła. - Oddała teczkę pani Pearson i znów rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nic niepokojącego, ale po plecach wciąż przebiegały dreszcze.

- Nie powinna pani żyć w strachu. - Pani Pearson patrzyła na nią ze smutkiem.
- Mam nadzieję, że uda się pani w końcu uwolnić.

- Ja też - szepnęła Drea.

Kiedy pani Pearson poszła sobie, Drea jeszcze przez kilka minut obserwowała ruch uliczny. Nie zaparkowała przy krawężniku, lecz wewnątrz parkingu, żeby nie musiała tracić czasu na wycofywanie się, gdyby przyszło jej odjeżdżać stąd w pośpiechu. Ze swojego miejsca widziała wejście do sklepu i pusty plac porośnięty chwastami, który odgradzał sklep od budynków mieszkalnych. Czy to ślepa uliczka, czy też może wykorzystać ją, żeby włączyć się do ruchu w innym miejscu?

Znowu czegoś nie sprawdziła; ogarnęła ją furia. Jak może się spodziewać, że wyjdzie z tego cało, jeśli nie zacznie przywiązywać większej wagi do szczegółów? Powinna była kupić mapę miasteczka w chwili, gdy do niego wjechała, przestudiować ją, zaznajomić się z każdą uliczką i drogą. On pewnie wiedział dokładnie, gdzie się kończy każda ulica.

Przyglądała się pustemu placowi, zastanawiając się przelotnie, ile potłuczonego szkła kryje się w wysokich chwastach, po czym otrząsnęła się i wrzuciła bieg. Kierując się na tył sklepu, przejechała między dwoma zaparkowanymi samochodami, należącymi pewnie do sprzedawców, podskoczyła na jednym z tych ruchomych betonowych progów, które kiedyś blokowały końce miejsc parkingowych, ale teraz były na wpół zepchnięte w bok i ruszyła przez plac. Samochód podskakiwał na nierównym podłożu, a wysokie chwasty objęły się o drzwi. Poderwał się dwukrotnie, gdy przeskoczyła przez krawężnik, tylne koła

poślizgnęły się lekko, kiedy starały się złapać przyczepność. Potem guma przyłgnęła do nawierzchni, a samochód nabierał już prędkości i gnał w kierunku końca uliczki, gdzie - alleluja! - znajdował się znak stopu i kolejna ulica.

Z miejsca, gdzie zaparkował w połowie przecznicy, niedaleko sklepu, Simon obserwował jak dziewczyna okrąży budynek, przecina pusty plac i rusza na północ, przez boczne uliczki. Ciężarówka miała już wrzucony bieg, więc tylko pobieżnie sprawdził, co się dzieje na ulicy - nic - odpuścił hamulec i oderwał się od krawężnika; zawrócił w niedozwolonym miejscu i pojechał na zachód.

Boczna uliczka kończyła się po kilku przecznicach i Drea mogła pojechać albo na wschód, albo na zachód. Stawiał na zachód. Najbliższy bank rezerwy federalnej znajdował się w Denver. Nie tylko to: im dalej na zachód pojedzie, tym mniej ludzi spotka na drodze, przynajmniej dopóki nie dojedzie do Zachodniego Wybrzeża. Ludzie nieraz znikali w tych ogromnych połaciach kraju, ale byli to najczęściej ci, którzy żyli poza systemem, nie mieli kont bankowych, telefonów komórkowych, ani nawet elektryczności, chyba że podpięli się do czyjegós generatora. Nie potrafił wyobrazić sobie Drei tak żyjącej. Postawił na komfort.

Jeśli się przeliczy i dziewczyna pojedzie na wschód, namierzenie jej może mu zająć kilka dni, lecz nie było tu w okolicy zbyt wielu bocznych dróg, którymi mogłaby pojechać. Nie to, żeby nie istniały, ale prowadziły zakrętami przez wiele kilometrów i nagle się urywały, więc trzeba było albo wracać po swoich śladach, albo jechać na skróty przez pola; a wtedy lepiej, żebyś bracie wiedział, co robisz i lepiej, żebyś miał napęd na cztery koła i wytrzymałe zawieszenie. Jej samochód, kilkuletni, z pewnością nie zniósłby wycieczki krajoznawczej, a Drea miała rozum na tyle, żeby tego nie próbować.

Może zdecyduje się pozbyć tego wozu i nabyć bardziej wytrzymały, oczywiście jeśli ma przy sobie tyle gotówki. Szedłby o zakład, że tak właśnie zrobi. Kiedy tylko dotrze do Denver; tam poczuje się bezpieczniej, mogąc łatwiej zlać się z tłumem, i wtedy zmieni samochód?

Z pełnym bakiem paliwa gotów był jechać w każdym kierunku, który się jej spodoba. Ale na ile starczy jej benzyny? Jeśli miałyby tankować samochód, pewnie zatrzyma się na stacji Exxon na zachodnim krańcu miasteczka. Mała stacja znajdowała się na skrzyżowaniu autostrad; miała po cztery pompy z każdej strony budynku, więc Drea będzie się czuć bezpiecznie.

Nadal nie wiedział, co robi. Niezdecydowanie nie leżało w jego charakterze, ale to nie była zwykła praca. Może dlatego, że bawiła go jej beczelność i odwaga, to, w

jakim stylu ogołociła Salinasa; a może było to z powodu tego popołudnia pełnego namiętnego seksu? W tej chwili tropił ją dlatego, że do momentu, aż podejmie decyzję, co robić, nie chciał jej zgubić. Może po prostu bawił go pościg, zastanawianie się, jak go będzie zwodzić?

Z drugiej strony dwa miliony to dwa miliony i w przeciwieństwie do Drei on miał już konto za granicą - a nawet kilka - więc nie dotyczyłyby go problemy, które teraz ją nękały.

Zdawał sobie sprawę, że w którymś momencie będzie musiał podjąć decyzję i że ta chwila zbliża się błyskawicznie. Wypuścić dziewczynę czy zgarnąć dwa miliony? Wypuścić ją czy ryzykować zdjęcie kogoś w Stanach? Niejedno morderstwo nigdy nie zostało wyjaśnione, lecz on ani na moment nie zapomniał, że sprawy tu wyglądają inaczej niż w krajach trzeciego świata.

Zerknął na system nawigacyjny. Na drodze nie brakowało skrzyżowań, gdzie musiała ustąpić pierwszeństwa przejazdu, a to ją spowolni. On jechał główną ulicą, która miała dwa skrzyżowania ze światłami w centrum - jakiegokolwiek to centrum było - a reszta tylko znaki stopu. Dojedzie na stację benzynową kilka minut przed nią.

Znalazłszy się na miejscu, zaparkował przed kompresorem i wysiadł; bez względu na to, do których dystrybutorów podjedzie Drea, będzie mógł przesunąć się tak, żeby schować się za pikapem. Możliwe, że ma pełny bak i nie będzie się zatrzymywać, ale to nie robi różnicy; nie odjedzie tak daleko, żeby nie mógł jej dogonić, nie w ciągu kilku sekund, które zajmie mu powrót do samochodu.

Zauważył ją, kiedy podjeżdżała ku niemu z kontrolowaną prędkością; nie za szybko, ale i nie ociągając się. Kiedy zbliżyła się, przesunął się tak, żeby kabina pikapa zawsze choćby częściowo go zasłaniała, na wszelki wypadek, gdyby spojrzała w jego stronę.

Nie wjechała na stację. Zatrzymała się na skrzyżowaniu, rozejrzała w obie strony i przejechała na wprost na zachód, w kierunku Kolorado.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał z aprobatą. Już napełniła bak, zamiast zostawiać coś tak ważnego na ostatnią chwilę. Obszedł pikapa i wsiadł do kabiny; wjechał na autostradę zaledwie kilkaset metrów za nią.

Rozdział 15

Drea zerknęła w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy nikt nie dojeżdża do niej od tyłu, i dostrzegła mężczyznę wsiadającego do pikapa. Serce się w niej szarpnęło, zabiło gwałtownie, krew zlodowaciała w żyłach. Droga rozmyła się jej przed oczami. Był zbyt daleko, żeby mogła przyjrzeć się jego twarzy, lecz widziała, jak się porusza, знаła tę grację i śmiertcionośną siłę. Zauważyła, jak trzyma głowę, jak wyprostowane ma ramiona i już wiedziała, wyczuła go. Chłód przeszył ją do szpiku kości.

Ten pikap. Widziała go wcześniej, albo inny, bardzo podobny. Był tego samego koloru i rocznika jak samochód, który przejechał obok zaraz po tym, gdy pani Pearson wjechała na parking. To był on i już wtedy ją obserwował. Jakoś wpadł na to. Ta świadomość przeraziła ją. Był stanowczo zbyt dobry w tym, co robił; niby jak miała mu teraz uciec?

Wystarczyło jej opanowania na tyle, że nie wcisnęła gazu do dechy, lecz stopniowo zwiększała prędkość, dopóki prędkościomierz nie począł chwiać się w okolicach stu czterdziestu kilometrów na godzinę, a przód samochodu nie zaczął się lekko kołysać; wtedy trochę odpuściła. Jediną nadzieją było oddalenie się od niego na tyle, żeby móc zjechać w boczną drogę, lub schować się za czymkolwiek. Nie zdołała tego jednak zrobić, jeśli samochód się rozpadnie.

Topografia Kansas też jej nie sprzyjała. Może nie było tu całkiem płasko, ale niewiele brakowało. Nie było sposobu...

Znowu oddychała za szybko, serce waliło jak oszalałe, miała mętlik w głowie. Nie może pozwolić, żeby dopadł ją w ten sposób; musi uważać, myśleć i nie panikować.

Wzięła się w garść i zmusiła do zdjęcia nogi z gazu, dopóki samochód nie zwolnił do nieco rozsądniejszej prędkości. Nie mogła go prześcignąć; nawet głupio byłoby próbować. Pikap był pełnowymiarową ciężarówką ze znacznie potężniejszym silnikiem niż sześciocylindrowy samochodzik, którym jechała. Zabójca siedział wyżej niż ona, więc mógł wypatrzeć ją z nawet dużej odległości; nie da rady odjechać na taką odległość, żeby zniknąć mu z oczu choćby na kilka sekund.

Czy będzie chciał złapać ją teraz, kiedy pola rozpościerają się aż po horyzont i każdy nadjeżdżający pojazd czy farmer pracujący na polu może go dostrzec? Czy też zadowolony się śledzeniem jej i zaczeka, aż noc użyczy mu zasłony?

Powinien zrównać się z nią jeśli chciał mieć pewny strzał. Pewnie zmusi ją do zjechania z drogi, lecz w przeciwieństwie do tego, co widać na filmach, samochody nie wybuchają i nie stają w płomieniach podczas wypadku. Dzięki kombinacji pasów bezpieczeństwa i poduszek powietrznych osobom w środku udaje się przeżyć. Oczywiście, jeśli zepchnie ją z drogi, samochód tak się poobija, że pewnie nie będzie się nadawał do dalszej jazdy - wtedy będzie mógł do niej strzelać do woli. Jednak jeśli nie walnie w słup telegraficzny czy coś podobnego, zepchnięcie jej z drogi niewiele mu da. Przeorze pole pszenicy, ale to byłoby tyle w zakresie zniszczeń.

Na jej korzyść pracowała niewiedza zabójcy - czy ścigana jest uzbrojona. Nie jest, cholera, broń palna nigdy nie należała do jej arsenału. Seks i przebiegłość były jej bronią, wraz z makijażem i perfumami, ale on nie mógł wiedzieć, czy nie kupiła już pistoletu, i będzie musiał zachować ostrożność.

Zerknęła na wskaźnik paliwa i zastanawiała się, jakie spalanie ma pikap. Sześciocyldrowy silnik jej samochodu był z pewnością bardziej ekonomiczny niż jego potwór. Może mogła przejechać więcej kilometrów na jednym baku. Gdyby skończyło mu się paliwo... nie, marna szansa... nie dopuściłby do tego. Ale gdyby musiał zatrzymać się i zatankować, miałaby szansę uciec, skręcić w boczną drogę i schować się, pojechać do Denver inną trasą.

Przecież domyśliliby się tego. Jeśli zacznie brakować mu paliwa, zmusi go to do podjęcia działania. Może ona mogłaby zatrzymać się na stacji benzynowej, wbiec do środka, poprosić o pomoc. Cholera, miała przecież komórkę; mogła zadzwonić na policję i powiedzieć, że ktoś ją śledzi.

Tylko że... tylko że lepiej nie zwracać na siebie uwagi policji, a każdy gliniarz zatrzymałby ich oboje. Tablice rejestracyjne jej wozu nie były koszerne. Ukradła dwa miliony dolarów i choć nie miała gotówki z sobą, nie chciała, żeby jej nazwisko znalazło się w policyjnym systemie komputerowym. Nie tylko to: on jechał za nią i zawsze mógł powiedzieć, że nie ma pojęcia, o czym mowa... że on tylko jedzie autostradą. Nie znała nawet jego nazwiska, więc nie mogłaby twierdzić, że to były narzeczony, czy coś w tym stylu.

Znów zerknęła we wsteczne lusterko. Cały czas tam był, bliżej niż poprzednio. Zbliżał się niespiesznie, nieustannie.

Czy zdążył się zorientować, że go namierzyła? Nie wykonała żadnych podejrzanych manewrów, lecz jeśli nie chciała zatrzymać się na poboczu, pognać w pole pszenicy i czołgać na kolanach przez najbliższe pięćdziesiąt kilometrów, jej możliwości były mocno ograniczone.

Mimo wszystko nie chciała się poddać. Jechała samochodem, on też, więc szanse na celny strzał były minimalne. Nieraz słuchała, jak Rafael i jego ludzie komentowali filmy akcji i twierdzili, że takie rzeczy są niemożliwe. Tylko po to, żeby się przekonać, czy wiedza, o czym mówią, znalazła co nieco w Internecie i dowiedziała się, że przynajmniej w tej kwestii mieli rację. Nawet najlepsi snajperzy na świecie musieli oddawać strzały z pewnej pozycji, a i tak szczęście miało większe znaczenie niż umiejętności.

Na razie jest bezpieczna, dopóki on nie spróbuje zepchnąć jej z drogi. Gdyby zaczął się gwałtownie przybliżać, będzie wiedziała, że zdecydował się na ruch. Nie pozwoli sobie na panikę, bo wtedy byłoby po wszystkim. Jak długo zachowa trzeźwość myślenia, ma szansę.

Namierzyła go. Wiedział to w tej samej chwili, gdy jej samochód przyspieszył niczym zając uciekający przed ogarami. Wiedział też, kiedy opanowała narastającą panikę i znowu zaczęła myśleć, bo zdjęła nogę z gazu i zwolniła do jakichś stu kilometrów na godzinę.

Spokojnie wycofał się i jechał tak, żeby nie tracić kontaktu wzrokowego. Kilometry przelatywały pod ich kołami i po godzinie przejechali granicę Kolorado, lecz ta część stanu była równie płaska jak Kansas, więc nie miała żadnej szansy, żeby go zgubić. Obserwował zegary i poziom paliwa. Pikap miał większy bak niż jej samochód, ale zużywał znacznie więcej benzyny, więc można było tylko zgadywać, które z nich pierwsze będzie musiało zjechać na stację.

Zdaży jeszcze działać; im dalej na zachód, tym okolica będzie bardziej surowa, a noc bliższa. Nie może jej pozwolić na oddalenie się na tyle, żeby mogła zgasić światła i skręcić w boczną drogę – ryzykowny manewr, lecz nie miał wątpliwości, że byłaby nań gotowa. Im będzie ciemniej, tym bliżej niej musi jechać i jeśli zacznie zjeżdżać na stację benzynową, kiedy wskaźnik w samochodzie pokaże poniżej jednej czwartej baku, tym samym zmusi go do wykonania ruchu.

To, co robi, zależało od niej. Mogła być uzbrojona. Jeśli wyciągnie broń, nie da mu wyboru i będzie musiał ją zdjąć. Jego pistolet, Glock 17, leżał na siedzeniu obok prawego uda. Nie martwił się, że ktoś go złapie z tą zabawką: posiadał federalne pozwolenie, które przeszłoby inspekcję zarówno stanowej, jak i lokalnej policji. Pozwolenie było fałszywe, lecz żeby do tego dojść, trzeba by przegryźć się przez kilka warstw kamuflażu. Pistolet nie miał numeru seryjnego, nie mógł zostać namierzony ani przypisany do niego, gdyby musiał pozbywać się go w pośpiechu.

Wielkimi krokami nadchodził moment, kiedy będzie musiał podjąć decyzję. Zlikwidować ją czy odpuścić sobie i wrócić do Nowego Jorku? Dlaczego zadawałby sobie tyle trudu, jeśli nie chciał podjąć się tej roboty? Rozbawienie i ciekawość nie są wystarczająco dobrymi powodami. Zbyt wiele czasu i pieniędzy poświęcił na odszukanie jej, jeśli miałby nie zgarnąć nagrody na końcu szlaku.

Żaden z jego poprzednich celów nic dla niego nie znaczył; nie miał nic przeciwko nim, ale ich nie lubił. W teorii życie ludzkie znaczyło dla niego tyle samo ile życie muchy bzykającej w mieszkaniu. Jego zabójstwa nie były motywowane poczuciem prawości, polityką, religią, miłością, nienawiścią czy czymkolwiek poza pieniędzmi, które na nich zarobił. Ale Drea... była inna. Znał ją, nie tylko w fizycznym znaczeniu, choć ich wzajemne przyciąganie było silniejsze niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczył.

Cenił w tej dziewczynie inteligencję, odwagę i determinację. Była wojownikiem, zwycięzcą. Nigdy nie widział jej odprężonej, zrelaksowanej, ale podejrzewał, że od lat nie wychodziła z roli. Zdecydowała, co musi zrobić i dążyła do celu, nie oglądając się za siebie.

Nie pochwalał tego, że przykleiła się do kogoś takiego jak Salinas, ale nie wiedział do końca, czym się kierowała. Może związek z nim oznaczał dla prowincjonalnej dziewczyny awans, jakkolwiek trudno to sobie wyobrazić. Salinas był zwykłym zbirem; sprytniejszym niż większość, ale nadal zbirem. Utrzymanie się w roli bez jednego fałszywego kroku przez tak długi czas wskazywało na poziom samokontroli Drei, którego nigdy wcześniej nie widział - wyjąwszy u siebie samego.

Czy dlatego tak długo się waha? Bo dostrzegł w niej jakieś wspólne cechy? Nie brak emocji, bo Drea miała uczuć za nich dwoje, ale to, co ukrywała przed Salinasem, a co on dostrzegł, podobało mu się. Może dlatego nie podjął jeszcze żadnego działania? Z drugiej strony nie powiedział jeszcze Salinasowi, dokąd ma posłać zaliczkę, a nie podejmie się roboty, dopóki nie zweryfikuje, że suma znalazła się na podanym koncie.

Wszystko wracało do tego samego: tak czy nie? Wykonać zadanie czy odjechać? Wypuścić ją czy zgarnąć dwa miliony?

Gdyby on nie podjął się roboty, Salinas przysłał kogoś innego. Miała jednak sporą przewagę na starcie i kiedy już zamieni ukradzione dwa miliony na gotówkę, jej opcje będą praktycznie bezgraniczne. Gdyby ją złapali, to tylko dzięki łutowi szczęścia. Jedynym sposobem zapewniającym jej bezpieczeństwo była śmierć samego Salinasa.

Mógł puścić dziewczynę, wziąć pieniądze i powiedzieć Salinasowi, że wykonał zadanie, ale nigdy dotąd nie oszukiwał w ten sposób. Jego niezawodność i skuteczność zapewniły mu dobrą opinię.

Z drugiej strony, gdyby kiedykolwiek miał wyrolować klienta, to właśnie Salinasa. Pogardzał sukinsynem.

Zerknął na niebo. Miał pewnie jeszcze godzinę, może półtorej jasnego dnia, lecz teren stawał się coraz bardziej chropawy, ziemia marszczyła się i wznosiła coraz bliżej ku Góróm Skalistym. Właściwe góry znajdowały się jeszcze daleko, ale nie wznosiły się pośrodku niczego; ziemia falowała coraz wyżej, unosila się, a potem wypiętrzała gwałtownie. Im dłużej czekał, im ostrzejszy krajobraz, tym większe szanse miała, żeby mu się wyslizgnąć.

Docisnął pedał gazu i pikap zaczął pochłaniać dystans dzielący zabójcę od Drei.

Rozdział 16

Pikap zbliżał się do niej. Drea od kilku minut nie zerknęła w lusterko wsteczne, gdy przyglądała się drodze, która nie dość, że była coraz bardziej kręta, to jeszcze biegła raz w górę, raz w dół. Właśnie wspinała się na niewielki grzbiet górski, a po prawej stronie drogi grunt uciekał w dół; rozpadlina nie była bardzo stroma czy wysoka, ale co rusz pojawiał się ostry zakręt i Drea czuła się jak kierowca rajdowy. Mimo że cały zeszły tydzień spędziła w samochodzie, odzwyczaiła się od prowadzenia, a i tak do tej pory jeździła głównie po płaskim terenie.

Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz widziała jakikolwiek znak informujący o numerze drogi, którą jechała, i martwiła się, czy aby nie przegapiła jakiegoś ważnego zjazdu. Droga wyraźnie zwęziła się i od dobrych pięciu minut nie pojawił się żaden samochód. Czy to nadal droga do Denver? Przecież nie mogła zjechać na pobocze i sprawdzić na mapie; po pierwsze, nie było tu pobocza, a po drugie, płatny zabójca siedział jej na ogonie.

Gdy ośmieliła się spojrzeć we wsteczne lusterko, zobaczyła, że pikap znajduje się ledwie pięćdziesiąt metrów za nią i pożera tę odległość w zastraszającym tempie.

Serce wlało jej do gardła, a dłonie zacisnęły się na kierownicy tak bardzo, że aż knykcie jej pobielaly. Na pewno zdecydował, że nadszedł właściwy moment, droga jest dostatecznie wyludniona i nie chce mu się dłużej czekać. Miała nadzieję, że noc złapie ich wcześniej, miała nadzieję...

Sama nie wiedziała, czym się łudziła. Że zaczeka i da jej szansę, żeby mu się wysliznęła? Jasne, tylko o tym marzył! Powinna była się tego spodziewać.

Zmniejszył dzielącą ich odległość o następne dwadzieścia metrów i był tak blisko, że widziała go wyraźnie w kabinie pikapa. Zauważyła nawet to, że ma ciemne okulary.

Ile Rafael mu zapłacił? Może mogłaby zaoferować więcej. Może... Dlaczego zawraca sobie głowę takimi bzdurami, skoro i tak nie będzie w stanie z nim negocjować? Nie popełniłby błędu, rozmawiając z nią; zabije ją i da nogę - trzydzieści sekund, góra.

Niech to szlag! Nagle Drea poczuła wściekłość na siebie, na niego, na Rafaela, na wszystko! To nie może się tak skończyć, nie pozwoli na to. Rafael nie będzie przyczyną jej śmierci! Miał ją na własność przez dwa lata, znosiła bzdury, które pieprzył, uśmiechała się, choć wolałaby dać mu w gębę, robiła mu loda, udając, że sprawia jej to przyjemność. Jaki pieprzony idiota mógłby tak uważać? Miał u niej dług za to, że oddał ją innemu, za to, że potraktował ją jak kurwę i sprawił, że poczuła się jak kurwa.

I niech szlag trafi tego innego mężczyznę za to, że był nim, za to, że nie potraktował jej jak kurwy, że był czuły i dobry. Że dał jej tak nieziemską rozkosz na moment przed tym, jak odszedł bez jednego spojrzenia z tym cynicznym: „Raz wystarczy”. Może był jej karą za tych wszystkich mężczyzn, którymi manipulowała, których wykorzystywała? Jakże to ironiczne, że ten jeden raz, kiedy naprawdę sądziła... Wszystko jedno, co sądziła; musi zapomnieć, jak błagała go, żeby ją wziął z sobą. Bez względu na to, co się jej wydawało, ich myśli nie biegły tym samym torem.

Wzięła zakręt zbyt szybko i tył samochodu zatańczył; pejzaż, tak przejrzysty w gorącym, jaskrawym świetle dnia, teraz się rozmywał. Oczy piekły ją od powstrzymywanych łez. Już dość się przez niego napłakała. Nauczyła się nigdy nie oglądać za siebie, nigdy nie dawać drugiej okazji losowi, żeby ją kopnął w zęby.

-Pieprzę cię - powiedziała do odbicia we wstecznym lusterku, do beznamietnego człowieka w ciemnych okularach.

Droga wiała się niczym korkociąg; następny zakręt nadszedł szybciej, niż go dostrzegła. Zanim zorientowała się, jak jest ostry, było już za późno. Nadepnęła na

hamulec i poczuła, że tylne opony znowu tracą przyczepność, ściągają ją wprawo, tam, gdzie nawierzchnia spada w nicość.

-Zwolnij - rzucił ostro, wiedząc, że ona go i tak nie słyszy. Obserwował, jak tył jej samochodu tańczy. Zdjął nogę z gazu, żeby pikap sam zwolnił, zanim wpadnie w serię zakrętów. Może, jeśli się wycofa, Drea nie będzie tak ostro mijać następnych; ciężarówka i tak nie dawała rady brać ich w tym tempie co jej samochód.

Tylne opony jej auta zsunęły się z asfaltu, wyrzucając w powietrze fontannę żwiru. Obserwował to w bezsilnej złości, wiedząc, że i tak nic nie może zrobić.

Kiedy samochód zsunął się w stronę krawędzi, serce Drei zakołatało i ogarnęło ją obezwładniające poczucie bezradności: siły grawitacji miały ją w swoich szponach i nie może nic zrobić, żeby im się wyrwać.

Znajdowała się w najostrożniejszym punkcie zakrętu, z pustą przestrzenią przed sobą i po prawej stronie. Czas zatrzymał się na moment, a potem przesunął się do następnego kadru i następnego, jakby oglądała pokaz slajdów, a ktoś inny kontrolował pilota. Wiedziała, co będzie na każdym poszczególnym obrazku, choć jej myśli pędziły znacznie szybciej niż pojawiające się klatki filmu.

Pierwsza klatka: w tej chwili wiedziała, że jeśli spróbuje wyciągnąć samochód z poślizgu, wypadnie z drogi i polecą w naszpikowaną drzewami przepaść pośrodku dwóch kolejnych esowatych zakrętów. Nawet jeśli by to przeżyła, każdy wypadek był dla niej wyrokiem śmierci, bo on deptał jej po piętach i miałby czyste pole do oddania strzału.

Druga klatka: w ułamku sekundy, kiedy opony sunęły coraz bliżej krawędzi, samochód zaczął się przechylać w tył. Drea poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, jakby siedziała w kolejce górskiej w lunaparku. We wstecznym lusterku dostrzegła ogromnego pikapa i mężczyznę w środku, a wtedy uderzył ją ból tak dotkliwy, że oszalałe serce prawie przestało bić. Nie chciał jej. Gdyby tylko wtedy wyciągnął do niej rękę, kiedy błagała, żeby wziął ją z sobą. Ale nie zrobił tego i już nigdy nie zrobi.

Trzecia klatka: tylne opony nagle odzyskały przyczepność, wgrzyły się w pokruszoną krawędź drogi i wyrzuciły ogromne łuki żwiru w tył. Kierownica szarpnęła w bok, obróciła się, jak gdyby powodowana własnym życiem i wyrwała z uścisku jej pobielających dłoni. Samochód wystrzelił w przód i zabrał ją poza krawędź urwiska. Może wrzasnęła, może krzyczała przez cały czas, ale świadoma była jedynie wszechobecnej ciszy.

Czwarta klatka: przez długie, pełne agonii sekundy samochód zdawał się zawieszony w powietrzu. Popatrzyła na drugą stronę rozpadliny, gdzie droga wiła się łukiem, i pomyślała, że gdyby to był film, samochód przeskoczyłby nad przepaścią i wylądował na drugiej stronie, podskakując szaleńczo, może gubiąc zderzak, ale poza tym, cudownym sposobem, w jednym kawałku. To jednak nie był film i chwila dobiegła końca. Ciężar silnika pociągnął przód wozu w dół i zobaczyła drzewa niczym gigantyczne lance pędzące ku niej.

Zajęło to tylko ułamki sekund, a jednak widziała wszystko z krystaliczną jasnością. Myśli miała jasne, była przytomna. To już koniec. Rozmyślała wcześniej o śmierci; w przeciwieństwie do większości młodych ludzi spotkała się z nią, kiedy w dwudziestym drugim tygodniu ciąży oderwało się łożysko. Mało brakowało, a nie wyszłyby z tego; umarło natomiast jej dziecko, nadal wewnątrz niej. Potem zostało wyrwane z jej ciała, jeszcze ciepłe i nieruchome, zabierając z sobą wszystkie jej marzenia. Przepęniały ją ból i intensywna miłość. Taki maleńki, delikatny, bezwładny, i robił się siny, mimo że ona wciąż płakała i błagała Boga, czy kogoś tam, żeby dał mu życie. Prosiła, żeby wzięli ją w zamian, bo on jest niewinny, a ona nie, bo on miał przed sobą nieskończone możliwości, ona natomiast była nic niewarta; ale targ musiał się nie spodobać, jej dziecko nie przeżyło.

Ona sama żyła dalej, tak jakby. Wszystko wykonywała automatycznie. Przetrwiała, bo w gruncie rzeczy miała naturę wojownika, choć wiedziała, że nigdy nie będzie mieć innego dziecka. Nigdy potem nikogo nie pokochała, nie poczuła nic do nikogo, aż niecały tydzień temu on, bezimienny on, przebił się przez jej skorupę.

A teraz ją zabił.

Pierwsze uderzenie sprawiło, że przednia szyba wypadła, odskoczyła jak sztuczny paznokieć. Jeśli w czasach nowości samochód miał poduszkę powietrzną, teraz już jej nie miał. Żadna ogromna biała chmura nie rąbnęła Drei w twarz, mimo że siła uderzenia pozbawiła ją zmysłów i tylko maleńki ogieniek świadomości czepiał się kurczowo, bo był najsilniejszy.

Brak poduszki powietrznej niewiele znaczył, bo to pierwsze uderzenie nie zabiło jej. Zabiło ją drugie.

-Cholera! - warknął wściekle Simon, nadepnął na hamulec i walczył, dopóki pikap nie zatrzymał się w chmurze palonej gumy; wrzucił bieg na pozycję parkowania i wyskoczył, mimo że samochód nadal się kołysał. - Kurwa!

Zatrzymał się przez moment na osypującym się poboczu, oceniając, którą drogę powinien wybrać. W karkołomnym tempie pobiegł na ukos w dół zbocza, chwytając się krzaków, czasami sunął na kolanach, czasami wbijał pięty w miękką ziemię.

-Drea! - wrzasnął, choć nie spodziewał się odpowiedzi. Zatrzymał się na moment i nasłuchiwał. Nie usłyszał nic poza delikatną wibracją powietrza, wrażeniem raczej niż dźwiękiem, jak gdyby gwałtowność wypadku nadal odbijała się echem wśród gór.

Lot był zbyt długi, a w dole rosło zbyt wiele drzew. Przy starciu samochodu z drzewem to ono zazwyczaj wygrywało. A może jednak przeżyła; może tylko straciła przytomność. Każdego dnia ludzie wychodzili cało z wypadków samochodowych, nawet takich, które wyglądały koszmarnie, podczas gdy wgnieciony błotnik nieraz sprawiał, że czyjs kręgosłup pękał i to był koniec. Chodziło o pozycję, o odpowiednią chwilę; cholera, wszystko zależało od szczęścia.

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego serce mu waliło, a żołądek wypełniał się lodem. Wiele razy widział śmierć z bliska, na własne oczy, w większości przypadków będąc jej sprawcą. Przejście było szybkie, mgnienie oka, lot kuli i pstryk: światło gasło. Wielkie mi co.

Ale teraz to wyglądało inaczej. Czuł - Boże, sam nie wiedział, co czuje. Panikę może. Albo ból, choć dlaczego miałby coś takiego czuć, nie miał pojęcia.

Przedzierał się przez gęste poszycie, stracił grunt pod nogami i zjechał kilka metrów na tyłku. Samochód znajdował się na prawo od niego, na wpół ukryty pośród połamanych drzew i krzaków: góra pomiętego metalu, z której unosił się kurz. Wszędzie leżało rozprysnięte szkło z reflektorów i szyb - igielki czerwonego, białego i bursztynowego szkła błyszczące w słońcu. Jedno koło odpadło zupełnie, opona eksplodowała pod wpływem uderzenia; poskręcane, ostre kawałki metalu walały się wokół.

Najpierw dotarł do tylnej części samochodu. Dostrzegł czubek jej głowy, tuż nad zagłówkiem; nadal siedziała za kierownicą. Drzwi nigdzie nie było widać. Zobaczył jej lewe ramię zwisające bezwładnie. Z czubków palców powoli skapywała krew.

-Drea - powiedział cicho.

Żadnej odpowiedzi. Przecisnął się przez rumowisko, aż znalazł się obok niej. Zamarł.

Boże. Młoda sosenka przeszła przez otwór po przedniej szybie i utkwiała w piersi Drei. Siedziała prosto tylko dlatego, że była przyszpilona do fotela, który już zdążył pociemnieć od krwi. Wyciągnął rękę, lecz zaraz upuścił. Nic nie mógł zrobić.

Wiatr zaszumiał w drzewach, kilka ptaków już zaczynało wieczorne pieśni. Gorące promienie zachodzącego słońca paliły mu plecy i ramiona, wszystko wokół tonęło w czystym, złotym świetle, pozostając w absolutnym bezruchu. Miał wrażenie, że to nie rzeczywistość, lecz jakaś zamknięta abstrakcyjna wizja w obrazie. Musiał się upewnić, dla siebie samego. Wsunął się nieco do samochodu i wyciągnął dłoń, żeby sprawdzić puls na jej szyi.

Jak to się czasem zdarza, jakimś cudem na jej ślicznej twarzy było ledwie kilka skaleczeń. Błękitne oczy miała otwarte, a głowę przekreconą tak, jakby patrzyła na niego.

Klatka piersiowa unosiła się w rytm powolnych, płytkich oddechów. I nagle przebiegł go dreszcz, aż po same stopy. Drea naprawdę go zobaczyła. Uciekała już, uciekała szybko, lecz na pewno dostrzegła go i rozpoznała.

-Boże, kochanie - szepnął, nagle przypominając sobie, jak smakowała, jak miękkie i jedwabiste miała piersi, jak słodko, naturalnie pachniała pod niepotrzebnymi perfumami. Pamiętał, jak leżała w jego ramionach, tak bardzo spragniona czułości; jak była ciasna i śliska, kiedy w nią wchodził, i jaka strasznie zagubiona, kiedy ją zostawił samą. Przypominał sobie jej śmiech jak dźwięk dzwonek i zrozumiał, że już nigdy go nie usłyszy. Ból w sercu pozbawił go tchu.

Nie wydawało mu się, żeby go usłyszała. Minę miała spokojną i pogodną, jakby już odeszła, a twarz porcelanowo błądą. Jednak wzrok utkwiała w nim i powoli jej twarz złagodniała, wypełniła się błogością. Wargi jej się poruszyły, tworząc jedno słowo... a potem umarła. Niebieskie oczy zaszły mgłą, zmatowiały. Jej ciało automatycznie zaczerpnęło jeszcze jeden oddech, nadal walcząc o życie, które już z niego uszło, a potem także zamarło w bezruchu.

Wietrzyk bawił się kosmykiem włosów, pocierając nim blady policzek. Simon wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, teraz prostych i ciemnych, lecz nadal równie jedwabistych jak wtedy, kiedy były złote i kręcone. Wygładził je, wsunął zbłąkany kosmyk za ucho, pogłaskał ją po policzku. Musiał zrobić kilka rzeczy, ale w tej chwili mógł tylko stać obok niej, patrzeć na nią i dotykać jej. Obserwował ją, czekając, mając nadzieję, że jeszcze odetchnie, lecz odeszła. Wiedział to. Nic nie zostało.

Wciągnął kilka urywanych, głębokich oddechów, a potem wyprostował się z wysiłkiem. W jego życiu nie było miejsca na sentymenty, nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek lub cokolwiek miało dla niego znaczenie, przedarło się przez jego emocjonalne i psychiczne bariery.

Poruszając się pospiesznie, zrobił to, co musiało zostać zrobione. Rozglądał się, dopóki nie namierzył jej torebki, leżącej kilka metrów dalej. Szybko wyciągnął z niej telefon komórkowy, wyjął prawo jazdy z portfela i wsunął do kieszeni. Nie miała żadnych kart kredytowych ani innego dowodu tożsamości, więc włożył portfel z powrotem do torebki i rzucił ją na podłogę. Laptop leżał na tylnym siedzeniu, lecz dostać się do niego było znacznie trudniej. Wreszcie dosięgnął go i wyciągnął.

Jeszcze jedna rzecz: umowa kupna samochodu. Przeszedł na drugą stronę pojazdu i przy użyciu scyzoryka otworzył skrytkę przed fotelem pasażera. Wyciągnął umowę, zatrzymał się i zastanowił, czy coś jeszcze nie pomogłoby w zidentyfikowaniu jej. Nie, miał wszystko.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, było wykonanie zdjęcia z telefonu komórkowego. Okropne, lecz konieczne.

Z laptopem pod pachą wspiał się z powrotem na drogę. Od chwili wypadku minęło może pięć minut, może mniej. Nie nadjechał żaden samochód, lecz w końcu to nie była autostrada stanowa. Otworzył drzwi pikapa, w którym nadal pracował silnik, położył komputer na siedzeniu pasażera.

Sprawdził, czy telefon Drei ma zasięg. Niewielki, ale był; pewnie go zrozumieją. Wstukał 911, a kiedy usłyszał głos operatora, powiedział:

-Chcę zgłosić wypadek samochodowy, z ofiarą śmiertelną, na autostradzie...

Podał wszystkie istotne informacje, a kiedy operator zaczął zadawać pytania, rozłączył się.

Zaczeka, aż usłyszy syrenę. Będzie czuwać nad jej ciałem, strzec jej... i dotrzymywać towarzystwa, dopóki nie przekona się, że nie nadjeżdża ktoś, żeby się nią zająć.

Stał jedną stopą na podeście samochodu, opierając się ramieniem o dach i obserwował zachód słońca nad górami, purpurowy zmierzch zwiastujący nadejście nocy. Wreszcie usłyszał zawodzenie karetki, niosło się z daleka w czystym, suchym powietrzu i kilka kilometrów dalej dostrzegł migające czerwone światła.

Wsiadł do pikapa i siedział przez chwilę z ramionami skrzyżowanymi na kierownicy; rozpamiętywał, jak spojrzała na niego, jak jej twarz rozpogodziła się, jak powiedziała to jedno słowo:

-Anioł...

I umarła.

Zaklął i rąbnął pięścią w kierownicę. Wrzucił bieg i odjechał.

Rozdział 17

Drea nie czuła bólu; pomyślała, że pewnie powinna go odczuwać, ale nie. Właściwie, to dobrze, bo nie przepadała za bólem.

Wszystko wydawało się odległe i nierealne. Wiedziała, że powinna spróbować wstać, że był jakiś pilny powód, żeby uciekać, ale nie czuła najmniejszej ochoty, żeby się ruszać. Poza tym poruszenie się nie wchodziło na razie w grę. Może spróbuje za jakiś czas.

Nie, nie mogła okłamywać samej siebie, zwłaszcza nie w tej chwili. Umierała. Wiedziała o tym, ale właściwie to dobrze. Gdyby miała jakiś wybór, próbowałaby żyć nadal, ale wybór został jej odebrany. Mogła sobie wszystko odpuścić i odetchnęła z ulgą. Czuła, jak umiera, jak każdy następny oddech przychodzi coraz wolniej. Bicie serca - czy jeszcze biło? Zupełnie go nie czuła. Może już się zatrzymało. Okej, od chwili śmierci dziecka i tak nic w nim nie czuła. Poza tym zmęczyła się już udawaniem.

Jej synek... Nie dała mu imienia. Była w szoku z powodu utraty krwi, sama bliska śmierci, gdyż lekarze nie mogli zatrzymać krwotoku. Zabrali jej to maleńkie ciało. Nikt nigdy nie przyniósł jej żadnych formularzy aktu urodzenia do wypełnienia, bo on nie zaczerpnął nawet jednego oddechu. Martwo urodzony. Taki jest termin medyczny. Był martwy, kiedy wyjęli go z jej ciała, mimo że jeszcze godzinę wcześniej zabawiał się kręcąc salta w jej brzuchu i kopiąc ją po żebrach. A potem poczuła gwałtowny, kłujący ból i w mgnieniu oka jej ubrania przesiąkły krwią. Nie miała samochodu, nie miała nawet prawa jazdy, bo dopiero za miesiąc kończyła szesnaście lat. Była sama w domu. Dotarła do szpitala za późno. Jej dziecko nigdy nie miało imienia.

Wspomnienia nabrały takiej wyrazistości, jakby wszystko przeżywała od nowa. Tylko że tym razem widziała jego maleńkie ciało i wiedziała, że już niedługo dołączy do niego w nicości śmierci. Już niedługo, kochanie, obiecała mu.

Mroczyki latały jej przed oczami, lecz nagle tuż przed sobą zobaczyła twarz, znajomą twarz. Widziała ciemne opale oczu, które były dla niej spełnieniem wszystkich marzeń i wszystkich koszmarów; mocno zarysowane kości policzkowe, miękkie, delikatne wargi, które знаła. Wcześniej śmiertelnie się go bała, ale teraz już nie. Teraz chciała sięgnąć i dotknąć dłonią jego szczęki, poczuć drapanie zarostu,

chłód jego skóry nałożony na ukrop mięśni, lecz jej ramiona nie chciały działać. Nic nie działało.

Czy naprawdę tu był? Czy przywołała go we wspomnieniach jak wcześniej swojego synka? Usłyszała cichy dźwięk, dziwne echo obietnicy, którą sama złożyła przed chwilą. Patrzyła na niego i niespodziewanie pojawiło się uczucie, które, jak myślała, nigdy nie wróci. Chciała powiedzieć, próbowała powiedzieć... ale ciemność zgasila jej wzrok i przestała go widzieć.

Potem pojawiło się światło; jaskrawe, jasne światło za jego plecami, które zdawało się rozbłyskać z coraz większą mocą, aż on wydawał się tylko cieniem na jego tle. Dostrzegła coś pięknego i koszmarnego zarazem, i wiedziała, że to coś przyszło po nią.

- Anioł - szepnęła i umarła.

Śmierć nie miała tak wyglądać. Miała być nicością. Drea zdawała się unosić w powietrzu, spoglądać w dół; obserwowała, jak on wyciąga coś z jej torebki, zabiera laptop, lecz nic to dla niej nie znaczyło. Potem jakaś niesamowita siła odciągnęła ją, przeniosła gdzieś indziej, i Drea poczuła się tak, jakby już nie była sobą; w jednej chwili stała się kimś innym, a już za moment - jeszcze innym. Była to osobiwa przemiana.

Czekała na ciemność. Czekała na nicość, choć zastanawiała się, jakim cudem to wie, skoro tylko umysł może pojąć jej brak. Czekała, żeby jej mózg się poddał. Cały czas miała świadomość swojego istnienia. Wszystko to było nieprzeniknioną tajemnicą.

Może więc nie ma tu pustki, tylko coś. Może śmierć to naprawdę przemiana, nie koniec. Cóż, jeśli to prawda, to dlaczego nie znalazła się gdzieś? Czy pozostanie sobą? A może będzie gdzie indziej, kimś innym?

W takim wypadku, czy nie powinna widzieć jakiegoś tunelu, jasnego światła na jego końcu? Nie powinna spotkać wszystkich ludzi, którzy ją kochali, czekających na nią po drugiej stronie? Owszem, widziała jaskrawe światło i coś, co wzięła za anioła, lecz nigdy wcześniej nie widziała anioła, więc skąd mogła mieć pewność, że to naprawdę on? Nie było tunelu, nie było ogonka ludzi czekających, żeby ją powitać. Poczula niepokój.

- Gdzie są wszyscy? - spytała z irytacją, a jej głos wydawał się dziwnie płaski, jak gdyby nic nie powiedziała, ani nic nie usłyszała. To nie trzymało się kupy. Jeśli istniała, musiała istnieć w jakimś miejscu, a zdawało się, że jest... nigdzie. Nic wokół nie widziała, nic ani nikogo.

Jeśli śmierć miała się okazać brakiem istnienia, nie brakiem świadomości, to żaden interes.

- Gdzie ja jestem? - warknęła. Całe lata udało się jej nie okazywać zdenerwowania, a teraz nie żyła od paru minut i już traciła panowanie nad sobą.

- Jesteś tu - odpowiedział kobiecy głos i nagle Drea znalazła się tam, w prawdziwym miejscu, choć nadal nie wiedziała, co to i gdzie to. Stała na sfalowanej murawie, czuła pachnącą, miękką trawę pod stopami. Powietrze miało zapach wiosny, i temperaturę idealną, ani zbyt wysoką, ani zbyt niską, prawie nieodczuwalną. Słyszała bzyczenie pszczół i nie mogła się napatrzeć na ogromne klomby, z mnóstwem przepięknych kwiatów, bajecznie kolorowych. Były drzewa i niebieskie niebo z białymi chmurami, i słońce. Panowała tu absolutna harmonia, tak idealna, że aż wzruszała do bólu. Drea nie widziała tylko, choć słyszała głosy, ludzi.

- Nie widzę was - powiedziała.

- Ach, poczekaj chwilę. Przyszedł tu bardzo szybko. Pozwól, żeby czas cię dogonił. - To mówiąc, kobieta weszła w jej pole widzenia. Była mniej więcej w wieku Drei, szczupła i promieniejąca zdrowiem; ciemne włosy miała niedbale upięte. Wyglądała naprawdę fajnie. Niepokojący był tylko sposób, w jaki się pojawiła; bo choć nie objawiła się nagle, z niczego, niewiele brakowało. Wydawało się, że pociągnęła za zasłonę i stanęła na scenie przed Drea.

Zjawili się inni, także jak gdyby wkraczając na scenę, i z każdą sekundą Drea widziała więcej i więcej osób, niektórych tuż przy sobie, innych spacerujących wspólnie, zajętych swoimi sprawami. Do niej i kobiety dołączyło jeszcze dziewięć osób. Byli prawdziwi, czy to tylko halucynacja w jej umierającym mózgu? Dotknęła się, żeby sprawdzić, czy nadal ma ciało. Może to tylko pamięć komórkowa tego, co niegdyś posiadała. Ku jej zdziwieniu, choć zmysł dotyku działał dziwnie, zdawało się, że nadal ma ciało fizyczne.

Dziwne było też niemal namacalne wrażenie... spokoju; tylko to słowo przychodziło jej do głowy. Spokój. Stopniowo poczuła się uspokojona, pocieszona i bezpieczna.

Z wolna zauważyła coś w grupce otaczających ją osób. Wszyscy wydawali się być w jej wieku, około trzydziestki, w doskonałej formie, atrakcyjni, choć przynajmniej połowa z nich miała rysy twarzy, których za ich życia z pewnością nie określiłaby jako piękne. Teraz wyglądali atrakcyjnie. To było tak proste. Jej oczy potrafiły odróżnić urodę od brzydoty, lecz umysł nie. Czy to oznaczało, że oczy działały niezależnie od mózgu? Chyba nie. Wychodziło na to, że mózg nadal potrafił

zrozumieć różnicę między pięknem, a brzydotą. Czy w takim razie jej umysł oddzielony był od mózgu? Zawsze sądziła, że są jednym i tym samym, ale... chyba jednak nie.

I jeszcze jedno. Kiedy patrzyła na tych ludzi, potrafiła wyczuć, jacy byli wcześniej, ale to cholernie pogmatwane, bo niektórzy z nich teraz zmienili płęć. Kobieta, która pierwsza do niej podeszła, najmniej zdumiewała, gdyż jej obraz pozostał jakimś cudem bardziej rzeczywisty, mniej rozmyty przez nakładające się wcielenia. Jak gdyby od dawna nie była niczym innym niż teraz. Drea skoncentrowała się na niej, bo dzięki temu jej umysł i oczy mogły nieco odpocząć. Czuła się zmęczona i przekopanie się przez kilka sprzecznych z sobą warstw przerastało jej możliwości.

- Widzisz ich - odezwała się kobieta z lekkim zdziwieniem w głosie, gdyż przez „ich” rozumiała nie tylko inne osoby, lecz także inne warstwy istnienia.

- Owszem - odparła Drea. Zachodziło tu całe mnóstwo komunikacji, wykraczających znacznie poza to, co było mówione.

- Tak szybko. Jesteś szalenie spostrzegawcza.

Musiała być, żeby przeżyć. Odkąd pamięta, obserwowała, uczyła się, rozważała najlepsze podejście, żeby dostać pierwsza wszystko, czego potrzebowała. Najpierw chodziło o jedzenie. Później, kiedy była starsza, obserwowała ludzi z rozmysłem, chcąc wiedzieć, jak nimi manipulować, żeby dostać to, co chciała.

- Dlaczego ona się tu znajduje? - spytał jakiś mężczyzna, nie niemiło, ale ze szczerym zdumieniem. - Nie powinno jej tu być. Popatrzcie tylko na nią.

Drea spojrzała po sobie, choć naprawdę nie potrafiła powiedzieć, w co jest ubrana. Ubrania, owszem, ale szczegóły były tak rozmyte, że tylko zdawała sobie sprawę z ich istnienia. A może on widział płamy jej życia nałożone na nią tak, jak ona widziała ich poprzednie wcielenia? Przypomniała sobie wszystkie szczegóły i zobaczyła je jak warstewkę kurzu przylegającą do wszystkiego, co robiła i czym była. Rozgorzała w niej wściekłość; robiła wszystko, co w jej mocy, żeby przetrwać i jeśli jemu to się nie podoba...

Jej złość znikła równie gwałtownie, jak się pojawiła, i zdominowana przez poczucie wstydu. Nigdy nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy. Niezwykle zręcznie manipulowała mężczyznami; była doskonała w łóżku, posługiwała się seksem jak bronią. Kłamała, kradła i choć robiła to wszystko bardzo dobrze, żadnej decyzji nie podjęła, kierując się tym, co najlepsze. Z wyjątkiem może lepszego z dwóch złych rozwiązań. Z pewnością nigdy nie szukała dobrego wyjścia z sytuacji.

Spojrzała mu prosto w oczy, starając się go odczytać. Zobaczyła, że wcześniej był grabarzem; utrzymywał się ze śmierci. Pomagał rodzinom zmarłych przejść przez cały ten tradycyjny proces. Widział wszystko: przygotowywał ciała noworodków i staruszek. Zajmował się ludźmi, których kochały i oplakiwały tysiące, i tymi, po których nie płakał nikt. Śmierć nie miała dla niego żadnych tajemnic; nie lękał się jej. Była częścią naturalnego porządku rzeczy.

Ponieważ widział tak wiele, stracił wszelkie złudzenia i teraz postrzegał ludzi takimi, jakimi byli naprawdę, a nie takimi, jakimi chcieli być postrzegani.

Widział ją prawdziwą i wiedział, że jest nic niewarta. Nic niewarta. Bez żadnej wartości. Nie miała nic na swoją obronę. Skłoniła głowę, akceptując, że nie powinna znajdować się w tym miejscu spokoju. Nie zasługiwała na nie. Wszystko, co zrobiła, wszystko, czego się dotknęła, zostało zatrute przez jej brak poszanowania kogokolwiek, poza samą sobą.

- Dlaczego tu się znalazła? - odezwała się kobieta. Wyglądała na równie zdziwioną jak tamten mężczyzna. - Kto ją tu przyprowadził?

Rozejrzeli się po sobie, szukając odpowiedzi, lecz najwyraźniej nie potrafili żadnej znaleźć. To był... jakby trybunał, pomyślała Drea, choć nieformalny trybunał. Może lepszym określeniem byłoby „strażnicy bramy”. Dzisiaj to oni strzegli wejścia i prowadzili ludzi tam, gdzie ich miejsce.

Tylko że to okazało się miejscem nie dla niej. Ogarnęła ją rozpacz. Nigdy nie zrobiła nic, żeby zasłużyć na ten odpoczynek. Bycie niechcianą tu okryło Dreę hańbą. Zzerało ją poczucie wstydu. Znalazła się w dobrym miejscu, lecz nie pasowała tu, bo nie była dobrą osobą. Ale przecież nie przyszła tu celowo. Może i zrobiła z siebie idiotkę, lecz naprawdę nie miała pojęcia, jak się tu dostała, ani jak miałyby stąd odejść.

Rozsądną konsekwencją myśli, że to jest miejsce, które się jej nie należy, była świadomość, że zasługuje na złe miejsce. Może wielką nicość, której się spodziewała, prawdziwy koniec bez żadnej formy istnienia; ale może to tylko pobożne życzenia i istnieje naprawdę złe miejsce, z ogniem i siarką, o którym mówią niektórzy kapłani. Nigdy nie modliła się. Nawet jako dziecko myślała: „Aha, pewnie!”, gdyż jej życie stanowiło dowód, że nie czuwa nad nią żaden dobry duch.

Może to nie było takie niebo, o jakim mówi Kościół, może nie wszystkie szczegóły się zgadzały, ale z pewnością czuło się tu dobro i spokój; więc może jednak znalazła się w niebie. Albo jest to następne życie, lecz należało się tylko tym, którzy udowodnią swoją wartość. Dla innych, jak ona, nie było żadnej trwałości, żadnej ciągłości duszy czy umysłu.

Ponownie przyjrzała się swojemu życiu, rozważyła je i doszła do wniosku, że nie ma czym się chwalić.

- Jeśli tylko pokażecie mi którędy, pójde sobie - szepnęła zdruzgotana.

- Z chęcią, ale miałaś przewodnika i musimy się dowiedzieć...

- To ja ją przyprowadziłem - odezwał się jakiś mężczyzna, podchodząc dziarsko do grupy, która stała wokół Drei. - Przepraszam za spóźnienie. Wszystko potoczyło się strasznie szybko.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Alban - mruknęła kobieta. - Taak, masz rację. - Drea zastanawiała się, czy Alban to imię, czy forma pozdrowienia. - Czy są jakieś okoliczności łagodzące?

- Owszem - odparł z powagą. Spojrzał na Dree i uśmiechnął się do niej słodko; jego ciemne oczy przebiegały po jej twarzy, jak gdyby starał się ją zapamiętać lub odświeżyć jakieś stare wspomnienia.

Przyglądała mu się przekonana, że nigdy wcześniej nie widziała go, ale miał w sobie coś tak dojmująco znajomego, że czuła, iż powinna go poznawać. Jak wszyscy tu wyglądał na około trzydziestki, jak gdyby najlepszy wiek był granicą, za którą nikt tu nie wychodził. Szukała tych warstw, które powiedziałyby jej o nim coś więcej, lecz podobnie jak kobieta wolny był od zniekształcających przeszłych istnień. Jakoś ją przyciągał. Chciała być blisko niego, chciała go dotknąć, a jednak w tym pragnieniu nie było nic cielesnego. Wezbrała w niej czysta miłość, przejmująca w swojej prostocie. Drea nieświadomie wyciągnęła ku niemu rękę.

Uśmiechnął się i ujął jej dłoń, a wtedy już wiedziała. Ponad wszelką wątpliwość, ponad rozsądek, zwyczajnie wiedziała.

Łzy spływały jej po policzkach, lecz nadal uśmiechała się i ścisnęła dłoń syna. Uniosła ją do ust i delikatnie przesunęła wargami po jego knykciach. To było jej syn. Miał na imię Alban.

-Ach - szepnęła kobieta. - Już rozumiem.

Drea nie wiedziała, co tamta ma na myśli, i w tej chwili w ogóle jej to nie obchodziło. Po wszystkich tych latach bólu trzymała syna za rękę, patrzyła mu w oczy i widziała duszę, która przez krótki moment zamieszkiwała w maleńkim ciałku jej dziecka. Ono nie miało by tej formy; to nie takie rysy miałby, gdyby dorósł, lecz najważniejsza część jego osobowości... Tak, to było jej dziecko, które jednak żyło, choć w innym świecie.

- Kochała mnie - powiedział Alban, nadal uśmiechając się tym doskonałym, promiennym uśmiechem. - Czułem to, a sami widzicie, jak czysta jest jej miłość.

Kiedy zostawiałem ją, żeby wrócić do domu, starała się mnie ocalić, oferując swoje życie w zamian.

- To gówny nigdy nie działa - mruknął grabarz zmęczonym, nieco cynicznym, lecz pełnym współczucia tonem. Wyglądał na kogoś, kto widział tę rozdzierającą serce scenę wiele razy i zawsze z tym samym rezultatem.

- Gregory! - napomniała go kobieta głosem, w którym dźwięczała nagana pomieszana z rozbawieniem, Drei wyjaśniła: - Jest tu od niedawna, tym razem, więc...

- Nadal wiele pamięta - dokończyła za nią Drea. Nie potrafiła przestać się uśmiechać, bo Alban trzymał ją za rękę i też się uśmiechał. Bez względu na to, co się stanie, wreszcie jest wszystko w porządku.

- Mówiła poważnie - powiedział Alban i powtórzył gest matki: uniósł jej dłoń do ust i pocałował palce. - Miała zaledwie szesnaście lat, ale kochała mnie tak mocno, że chciała poświęcić siebie dla ratowania mnie. Dlatego właśnie ją tu przyprowadziłem. Bo choć w jej życiu wiele było mroku, nie zabrakło też najczystszej miłości, a to zasługuje na drugą szansę. Jestem świadkiem.

- Potwierdzam - rzekła wysoka, kształtna, jasnowłosa kobieta. - Była tam miłość, nadal ją nosi. Potwierdzam.

- I ja - dodał jakiś mężczyzna. Jego warstwy świadczyły, że niejedno przeżył, poprzednie ciało, okropnie zdeformowane, przykuło go do wózka inwalidzkiego prawie na całe życie; tu jednak był wysoki, silny i wyprostowany. - Potwierdzam.

Z jedenaściorga otaczających ją osób trzy uważały, że nie ma sensu dawać jej drugiej szansy, lecz mówiły to bez cienia złośliwości. Po prostu nie pasuje tu. Nie miała do nich pretensji, bo w tym wypadku nie byłoby to na miejscu, choć ewidentnie było miejsce na posiadanie innego zdania.

Kobieta stała chwilę nieruchomo z twarzą uniesioną ku niebu i przymkniętymi oczyma, jak gdyby słuchała jakiejś, tylko dla niej słyszalnej pieśni. Potem odwróciła się do Drei.

- Twoja matczyna miłość, najczystsza forma miłości, ocaliła cię. - Dotknęła dłoni Drei, tej samej, którą trzymał Alban. - Zasłużyłaś na drugą szansę. Wróć i nie zmarnuj jej.

Sanitariusz pakował torbę, gdyż nic więcej nie mógł tu zrobić; nic nie mógłby zrobić, nawet gdyby był na miejscu w chwili wypadku. Niebieskie i czerwone światła błyskały na autostradzie, podczas gdy oślepiająco białe reflektory zostały tak ustawione, żeby oświetlać wrak. Ludzie rozmawiali, radia trzeszczały, a pod tym

wszystkich słyhać było basowy pomruk silnika zniszczonego samochodu. Mimo to dosłyszał coś dziwnego, coś, co sprawiło, że zatrzymał się i przechylił głowę, nasłuchując.

- Co takiego? - spytał jego partner, który też przystanął i rozglądał się wokół.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem.

- Niby co?

- Nie wiem. Jakby... coś takiego. - Pokazał, o co mu chodzi, oddychając szybko, płytko, przez usta.

- W całym tym hałasie usłyszałeś coś takiego?

- Aha. Poczekaj, znowu jest. Nie słyszysz?

- Nie. Nic.

Rozejrzał się wokół. Na pewno coś usłyszał, i to dwukrotnie. Tylko co? Dochodziło z lewej strony, od wraku samochodu. Może jakaś gałąź złamała się pod naporem karoserii czy co.

Przykryli ciało kobiety kocem, drapując go na niej najlepiej, jak potrafili, zważywszy na to, że była przyszpilona do siedzenia przez cholerne drzewo. Boże, to było naprawdę paskudne. Starał się nie rozmyślać nad tym za dużo, ale wiedział, że prędko nie zapomni tego widoku. Nie chciał znowu na nią patrzeć, ale - niech to szlag - po raz trzeci usłyszał ten sam dźwięk. Na pewno dochodził z tej strony.

Wstał, pochylił się nad resztkami samochodu i wyteżył słuch. Tak, coś tu szemrało... zobaczył ruch pod kocem, jakby materiał zapadał się, a potem unosił.

Zamarł. Był tak zaskoczony, że przez kilka sekund dosłownie nie mógł się ruszyć.

-Cholera! - wykrzyknął, kiedy wreszcie zdołał się odezwać; zerwał koc z jej twarzy.

-Co jest? - Jego partner skoczył na równe nogi.

To niemożliwe. Nieprawdopodobne, do jasnej... Mimo to, kiedy przycisnął palce do jej szyi, wyczuł puls. Czuł go, choć gotów byłby przysiąc, że jeszcze parę minut wcześniej nic nie czuł. Teraz pod jego palcami biło życie, delikatne i przyspieszone, ale biło.

- Żyje! - wrzasnął. - Boże! Dawajcie helikopter! Mamy żywą ofiarę!

Rozdział 18

Odzyskiwała świadomość na trochę i znów pogrążała się w mroku. Wolała mrok, bo wtedy nie czuła bólu. Ból był uporczywy. Największa upierdliwość, z jaką kiedykolwiek musiała sobie radzić, a prawie zawsze i tak przegrywała. Czasem, gdy leki przeciwbólowe przestawały już powoli działać, tłumiąc jeszcze ból, ale już nie myśl, wiedziała, że to cena, którą musi zapłacić za drugą szansę. Magiczne leki nie istniały, podobnie jak łatwa, szybka droga do wyzdrowienia. Musiała się uśmiechać i znosić ból.

Każda jej decyzja i krok podjęte w życiu doprowadziły ją wprost do tej opuszczonej szosy i wypadku. W tym momencie wysiadła, ale wróciła dokładnie w to samo miejsce. Nie ma drogi na skróty, nie ma objazdu, żeby wydostać się ze szponów śmierci do świata tryskającego zdrowiem.

Nawet środki przeciwbólowe nie zdołały przyćmić wspomnień tego, co przytrafiło się jej po śmierci. Rzeczywistość się rozmywała. Czasami słyszała rozmowy pielęgniarek stojących w jej pokoju na oddziale intensywnej terapii, ale ich słowa przepływały obok niej. Choć zdarzało się, że rozumiała je i potrafiła logicznie powiązać, równie często nie miały żadnego sensu. Kiedy wreszcie pojęła, o czym rozmawiają, zareagowała obojętnym zdziwieniem: drzewo przebiło jej klatkę piersiową? Co za bzdura. Ale czy nie spoglądała w dół i nie widziała czegoś podobnego? Wspomnienia tej chwili były mgliste. Jeśli faktycznie miała drzewo wbite w ciało, to wyjaśniałoby, dlaczego czuła się tak fatalnie i dlaczego ból w piersi zdawał się wdzierać do każdej komórki ciała. Nie miała poczucia czasu, nie wiedziała, jaki jest dzień; znała tylko swoje łóżko, na którym toczyła nieustanną walkę z Wielką Suką - Bólem.

Pielęgniarki mówiły do niej, wyjaśniając ciągle od nowa, co się stało, co robią i dlaczego. Nic jej to nie obchodziło, jak długo dostarczały jej środków przeciwbólowych koniecznych do trzymania Wielkiej Suki na dystans. Oczywiście nadszedł czas - zdecydowanie za szybko, jej zdaniem - kiedy chirurg zalecił zmniejszenie dawki. Nie on leżał w agonii z mostkiem rozlupanym na dwoje, więc co go to obchodziło? On bawił się piłą i skalpelem, a nie był przedmiotem tych igraszek. Ledwie kojarzyła, która z odwiedzających ją osób jest chirurgiem, ale w przebłysku jaśniejszego myślenia, zaczęła zapamiętywać sobie najbardziej pieprzne kawałki, żeby mu później wygarnąć. No, dobrze, może i musiał przeciąć jej mostek na pół, ale czy musiał tak drastycznie zredukować dawkę leków? Drań.

Jeśli wszystko, co widziała i czego doświadczyła, miało uczynić z niej słodką i cierpliwą duszyczkę teraz, kiedy już dostała drugą szansę, to już zdołała zawalić test. Nie miała duszy przepełnionej słodyczą ani cierpliwością. Czuła się jak ktoś, komu przecięli mostek na pół, wyrwali serce i grali nim w nogę.

Gdy wreszcie wyszła już z wywołanej lekami mgły, przez jakiś czas nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o Wielkiej Suce. Zastanawiała się nad tym, jak zdoła przetrwać kolejną godzinę bez pomocy leków. Teraz pielęgniarki wyganiały ją z łóżka parę razy dziennie, przenosząc ją na wózek inwalidzki, żeby mogła siedzieć - jakby szpitalne łóżko nie miało funkcji podnoszenia górnej części do pozycji siedzącej - ona zaś dusiła w sobie ryk bólu, powodowany każdym ruchem. Wystarczyłoby, żeby nacisnęły guzik i górna połowa łóżka podjechałaby gładko w górę, a ona mogłaby sobie spokojnie siedzieć.

Ale nie, musiała wstawać. Musiała spacerować, jeśli taki sposób poruszania się w ogóle można nazwać chodzeniem. Ona nazywała to „zgie-tym-wpół-z-bólu-szuraniem”, którym ledwie mogła się przemieszczać. Przesuwała stopy po podłodze, bez podnoszenia ich, lecz jednocześnie musiała uważać na wszystkie te rurki, igły, sączki i dreny wystające z ciała. Zakrywanie tyłka stało się kolejnym problemem, bo na razie mogła nosić - znowu, jeśli to jest noszenie ubrania - jedną z tych cieniutkich, bawełnianych szpitalnych koszulek. Na dodatek nie była nawet zawiązana na plecach, tylko zarzucona na nią; jedną rękę zdołała przewlec przez rękaw, i to tyle. Bardzo szybko pozbyła się resztek wstydu, gdyż szpital nie jest miejscem, w którym można pozwolić sobie na prywatność.

Pielęgniarki cały czas do niej mówiły, zachęcały do każdego kolejnego kroku, czy były to tylko dwa kroki do wózka przy łóżku, czy samodzielne napięcie się wody ze szklanki; czy choćby zjedzenie łyżki musu jabłkowego, kiedy w końcu pozwolili jej jeść normalne jedzenie. Bez końca zasypywały ją pytaniami, starały namówić do rozmowy, próbowały wyciągnąć od niej jakiegokolwiek informację, lecz wraz z tą cudowną drugą szansą, zdarzyło się jej coś innego: przestała mówić.

Gdy była przytomna, jej mózg cały czas pracował - może i wolno, ale bez przerwy. Kiedy chirurg zaczął odstawiać ją od leków przeciwbólowych miała wrażenie, że myśli kotłują się jej w głowie, jakby było ich więcej, niż czaszka może pomieścić. Z początku niepokoiła się brakiem połączenia między mózgiem a językiem, ale kiedy stopniowo przejaśniało jej w głowie, zrozumiała, że milczenie nie jest wynikiem jakiegoś uszkodzenia mózgu, lecz że to tylko przeładowanie informacjami. Dopóki sama sobie wszystkiego nie poukłada, ta chwilowa awaria wymowy ją chroniła.

Musiała się zastanowić nad wieloma rzeczami. Chyba nie wiedzieli, kim jest, bo pielęgniarki z każdej zmiany pytały ją o imię. Dlaczego nie wiedzieli? Gdzie była jej torebka? W portfelu miała prawo jazdy. Czy ktoś ją okradł? Mało prawdopodobne. Pamiętała, a przynajmniej tak się jej wydawało, że on - ten mężczyzna, zabójca - podniósł jej torebkę, a potem wrzucił do samochodu. Czyżby wyjął z niej prawo jazdy? Po co mu ono, na Boga? Lecz choć nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia, możliwe, że właśnie z powodu braku jej dokumentów nie wiedzieli, kim jest. Czy niechcący wyświadczył jej przysługę?

Nie była pewna, kim jest; Drea, stworzenie, które wymyśliła, nie żyło. Nie była pewna, kim jest teraz. Nazwisko... Czy imiona miały jakiegokolwiek znaczenie? Dla Drei miały ogromne; zwyczajna Andie została porzucona w pyle drogi, a fantazyjna Drea zajęła jej miejsce.

Nie ma nic złego w fantazji, ale w Drei było wiele złego. Leżąc w klitce bez okien, nieświadoma, czy jest dzień, czy noc, czas odmierzały zmiany pielęgniarek, przyglądała się sobie, swojemu poprzedniemu ja w ostrym świetle nowej rzeczywistości.

Była bezdennie głupia. Zdawało się jej, że wykorzystuje mężczyzn takich jak Rafael i widziała w tym powód do dumy, lecz naprawdę to oni wykorzystywali ją. Pragnęli tylko jej ciała i dostawali to, co chcieli. Byli skłonni płacić, a ona była skłonna przyjmować od nich kasę. I zrobiła z siebie dziwkę, choć przysięgała, że nigdy tak się nie stanie. Żadnego z nich, a już na pewno nie Rafaela, nie interesowało, czy ma choćby odrobinę oleju w głowie, co czuje, co lubi, co myśli. Żaden z nich nie widział w niej człowieka, mieli ją gdzieś. Była dla nich tylko zabawką: liczyły się tylko usługi seksualne.

Nie szanowali jej, bo nie szanowała siebie. Nigdy nie ceniła siebie, nie starała się wspiąć wyżej, nie zastanawiała się, co jest dobre, a co złe. Dokonując wyboru, nie zwracała sobie głowy oceną moralną swojej decyzji, zawsze wybierała to, co się najbardziej opłacało, co przynosiło największą korzyść. To było jedyne kryterium. Może większość osób właśnie tak do tego podchodzi, ale kierują nimi szlachetne pobudki, na przykład chcą pomóc przyjaciom; albo rezygnują ze swoich zachcianek, żeby zabezpieczyć byt dzieciom czy starym rodzicom, albo oddają pieniądze biednym. Ona nie. Troszczyła się tylko o Dree, zawsze.

Teraz przypatrywała się sobie bezlitośnie. Zobaczyła wszystkie swoje wady, przede wszystkim nieuczciwość, która kierowała jej życiem. Jeden raz, jedyne raz zdarzyło się, że nic nie udawała - tego popołudnia z zabójcą. Nie grała przed nim ze strachu, poza tym on i tak zdążył ją przejrzeć. Był jedynym mężczyzną, któremu to

się udało. Czy to dlatego tak emocjonalnie odbierała go, i zatraciła się z nim, aż do utraty zmysłów? Nie mogła powiedzieć, że złamał jej serce. Nie kochała go, cholera, nie znała nawet jego imienia! Ale to, że ją odrzucił, zabolalo bardziej niż cokolwiek innego, poza stratą dziecka. Więc coś musiało być na rzeczy. Nie wiedziała co - ale najwyraźniej coś.

Alban. Głupawe imię; nigdy nie nazwałaby tak syna. Ale w tamtym miejscu to imię pasowało do niego idealnie. Nie miała pojęcia skąd, ale wiedziała że to prastare imię, sprzed wielu stuleci. A kobieta... Nie przedstawiła się, ale miała na imię... Gloria. Wróciła myślami do tych jedenaściorga osób, które podejmowały decyzję, czy należy się jej druga szansa... i nagle znała ich imiona. Zupełnie jakby nosili na piersi plakietki. Gregory, grabarz. Gloria mówiła do niego po imieniu, więc tu było łatwo. A co z Taddeusem? I Leilą? I wszystkimi, których imiona i twarze przepływały przez jej pamięć?

W myślach dryfowała zawieszona między tym światem a tamtym. Nie chciała go opuszczać i z pewnością nie chciała znajdować się w tym, w towarzystwie jedynej stałej towarzyszki, Wielkiej Suki. Jej druga szansa nie polegała na tym życiu, lecz na tym, że mogła spróbować zasłużyć na tamto. Jeśli chciała tamtego, musiała znieść to.

Wszystko sprowadza się do podjęcia dobrej bądź złej decyzji, pomyślała. Złe decyzje były wszędzie. Podjęcie jednej z nich jest równie łatwe jak podniesienie owocu z ziemi. Dobre decyzje są zazwyczaj tymi trudnymi, jak wspinanie się po owoc na wierzchołek drzewa. A jednak czasami właściwa decyzja leżała tuż przed tobą, wystarczyło się schylić... Do tej pory jednak zawsze wybierała spośród tych złych - czasami nawet zadając sobie więcej trudu. Była aż tak uparta.

Podjęciem właściwej decyzji nie zapewni sobie świętości. Dzięki Bogu, bo nawet z całą nowo nabytą wiedzą nie miała pewności, że spełni swoją misję. Właściwie cały ten interes zaczynał ją drażnić. Dobrze, spróbuje. Będzie się starać ze wszystkich sił, bo pragnęła wrócić do tamtego miejsca i znów zobaczyć Albana. Tam nie była jego matką, rozumiała to, ale przez zbyt krótką chwilę czuli tę szczególną więź, jaka może być tylko między matką i dzieckiem: dała mu życie i chciała znowu poczuć echo tej miłości.

Rozmyślania były przerywane przez personel szpitalny, który coraz bardziej niepokoił się jej brakiem mowy. Pielęgniarki ciągle zadawały pytania, mówiły do niej, a nawet przyniosły zeszyt i długopis, żeby przekonać się, czy potrafi pisać. Mogłaby, ale nie zrobiła tego. Nie miała ochoty nic pisać, tak samo jak nie miała

ochoty nic mówić. Wpatrywała się w długopis włożony do ręki, dopóki się nie poddały i go nie zabrały.

Chirurg, do którego nadal miała ogromne pretensje, świecił jej jaskrawym światłem w oczy i zadawał pytania, na które nie odpowiadała. Nawet nie przywalała mu, choć stał tak blisko. A rozważała to.

Chirurg wezwał neurologa. Zrobili jej EEG i odkryli, że synapsy, czy co tam, strzelają jak dzikie, zrobili też skan mózgu, szukając wytłumaczenia dla utraty mowy. Rozmawiali o jej przypadku tuż za szklanymi drzwiami pokoju, jakby nic nie mogła usłyszeć.

- Sanitariusze popełnili błąd - powiedział spokojnie neurolog. - Nie mogła być martwa. Tak długie pozbawienie tlenu, w dużo większym stopniu uszkodziłoby mózg. Przyjmując nawet najbardziej szaloną wersję, a obaj widzieliśmy wiele dziwnych przypadków, jeśli nie miała pulsu ani tlenu przez blisko godzinę, na miłość boską, niemożliwe, żeby wyszła z tego bez szwanku! Nie widzę nic, co mogłoby wytłumaczyć utratę mowy. Może już wcześniej nie mówiła. Może jest głucha. Próbowaleś ASL*?

- Gdyby była głucha, posługiwałaby się językiem migowym, próbowałaby porozumieć się z nami - odparł chirurg sucho. - Nie próbuje. Nie używa żadnego innego języka, nie próbuje pisać, ani rysować, ani nawet nie pokazuje, że nas słyszy. Gdybym miał to z czymś porównać, powiedziałbym, że taki brak komunikacji jest symptomatyczny dla autyzmu. Nie sądzę jednak, żeby tak było w tym wypadku, bo ona nawiązuje kontakt wzrokowy i robi wszystko, co poleca pielęgniarki. Rozumie, co do niej mówimy. Współpracuje. Po prostu nie chce się z nami komunikować. Musi mieć jakiś powód.

- Żadnego nie widzę. - Usłyszała, jak neurolog wzdycha ciężko. - Patrzy na ludzi... jakbyśmy byli obcą formą życia, którą obserwuje. My nie próbujemy komunikować się z bakteriami. To chyba tak.

- Jasne. Uważa nas za bakterie.

- Nie byłaby pierwsza. Posłuchaj, uważam, że powinieneś skonsultować się z psychologiem. To, co przeszła, było traumatyczne, nawet według naszych standardów. Może potrzebować pomocy, żeby się z tego otrząsnąć.

Traumatyczne? Doprawdy? To, co wydarzyło się przedtem, było cholernie traumatyczne, ale sama śmierć... nie. Nie pamiętała tego, jak drzewo przyszpiliło ją do fotela. Wiedziała, że to się stało, pamiętała wszystko jak przez mgłę, ale ogólnie

* ASL - American Sign Language - amerykański język migowy (przyp. tłum.).

rzecz biorąc, cieszyła się, że umarła. W przeciwnym razie nie zobaczyłaby Albana. Nie poznałaby tego cudownego miejsca, nie wiedziałyby, że naprawdę jest jeszcze coś po tej drugiej stronie. Kiedy ludzie mówią o śmierci jako o odchodzeniu, mają rację. Jej duch odszedł na ten inny poziom istnienia. Świadomość tego była najbardziej pocieszającą rzeczą na świecie.

Psycholog, doktor Beth Rhodes, przysłała do niej kilka razy. Poprosiła, żeby mówić jej po imieniu. Była atrakcyjną kobietą, lecz w jej małżeństwie źle się działo i tak naprawdę bardziej przejmowała się tym niż swoimi pacjentami. Drea/Andie - a może Andie/Drea? Która była teraz pierwsza? - Doktor Beth powinna wziąć trochę wolnego i skoncentrować na tym, co było dla niej ważne. Szczerze kochała męża, a on kochał ją, mieli dwoje dzieci, więc powinni wziąć się za siebie i rozwiązać problemy. Wtedy doktor Beth będzie mogła w pełni poświęcić uwagę swoim pacjentom.

Gdyby mówiła, to by właśnie powiedziała. Ale nie czuła potrzeby odpowiadania na pytania doktor Beth, przynajmniej nie w tej chwili. Nadal miała wiele spraw do przemyślenia.

Na przykład: nikt nie wiedział, kim jest. Dla świata Drea Rousseau/Andie Butts nie istniała. Nic jej nie groziło, nie musiała obawiać się Rafaela ani zabójcy. Naprawdę mogła zacząć od nowa, wybrać, kim chce być. Lecz to nie takie proste - jedną z osób, które regularnie przychodziły, do jej pokoju, był gliniarz. Nie prowadził dochodzenia przeciwko niej, natomiast ciekawiło go, dlaczego prowadziła samochód, mający tablice rejestracyjne inne, niż powinien mieć; nie żadne straszne przestępstwo, ale coś, co jednak należałoby wyjaśnić. Oficjalnie została zarejestrowana pod nazwiskiem Jane Doe, a on był równie zainteresowany ustaleniem jej tożsamości jak personel szpitala.

Nadszedł dzień, żeby przewieźć ją z intensywnej terapii na zwykły oddział. Kiedy pielęgniarki przygotowywały ją do podróży, usuwając rurki i mówiły, że świetnie sobie radzi i że wszyscy tu będą za nią tęsknić, Drea/Andie nagle skupiła uwagę na jednej z nich. Dziewczyna miała na imię Dina i była najcichsza z całego szwadronu; w pracy nigdy się nie spieszyła i zawsze wszystkim przejmowała.

Dina będzie mieć wypadek. Andie/Drea widziała to. Niezbyt wyraźnie, bo wizja była mglista, ale widziała, że Dina upada na jakichś schodach... na klatce... betonowe schody, przypominające te w hotelu albo... szpitalu. Tak. Dina spadnie ze schodów tu, w tym szpitalu. Złamie kostkę i będzie mieć z tego powodu nie lada

kłopot, bo jest matką dziesięciomiesięcznego dziecka, które potrafi czołgać się z prędkością światła.

Sięgnęła i złapała Dinę za rękę. Po raz pierwszy zainicjowała kontakt z którąś z nich. Pielęgniarki spojrzały na nią ze zdumieniem.

Zwilżyła wargi, bo po tak długim czasie milczenia wypowiedzenie słowa stało się problemem. Narządy mowy jakby straciły naturalną zdolność wytwarzania artykułowanych dźwięków. Musiała jednak ostrzec Dinę, więc zawzięła się i wreszcie zdołała wydusić:

- Nie... idź... schodami.

Rozdział 19

Słyszałem, że zaczęłaś się odzywać.

Głos dobiegł od nóg łóżka. Andie otworzyła oczy i przez moment oscylowała między snem a jawą, rzeczywistością a... inną rzeczywistością. Jej postrzeganie czasu, przestrzeni i tego, co prawdziwe, zostało radykalnie zmienione, granice zatarte. Może kiedy już nie będzie przyjmować leków przeciwbólowych, odzyska ostrość widzenia teraźniejszości. Choć nie chciała też tracić więzi z tym drugim miejscem.

Teraz musiała dogadać się z chirurgiem, doktorem Meechamem, który siedział wygodnie rozparty na krześle, obok jej łóżka, w nogach. Rękawy lekarskiego kitla miał podwinięte i było widać ogromne, umięśnione i włochate ramiona; trzymał je założone na piersi, co od razu jej podpowiedziało, że trudno będzie go zbyć.

Ignorowała doktora, gapiąc się w okno. Słońce przenikało do środka przez lustrzane szkło, które sprawiało, że niebo wyglądało tak, jakby właśnie nadciągała burza. Na wpół przezroczysta tafla zapewniała dostęp światła, jak i prywatność. Miło było mieć prawdziwy pokój, jasny, przytulny, a jeszcze milej odrobinę intymności, chociaż pielęgniarki, co było szczególnie irytujące, zazwyczaj zostawiały otwarte drzwi. Już niedługo powie im, żeby zamykały je za sobą.

Ale nie teraz. Nie dziś. Nie potrafiła zmusić się, żeby rozmawiać. Odezwała się do Diny powodowana wyższą koniecznością i ten wysiłek wyczerpał ją. Odpowiadanie na pytania chirurga nie uważała za aż tak ważne.

Poza tym obciął jej dawkę leków niezbędnych do pomocy w walce z Wielką Suką. Niech sobie da na wstrzymanie.

- Pewnie zainteresuje cię, co się przydarzyło Dinie - kontynuował.

Zainteresuje? Jasne, że tak. Obchodziło ją to na tyle, żeby zmusić się do mówienia. Spojrzała na doktora.

Lubiła go, mimo że tak drastycznie zmniejszył jej dawkę leków. Miał powołanie do swojego zawodu. Co dzień podejmował walkę o ludzkie życie; robił wszystko, żeby pacjenci z powrotem stanęli na nogach. Więc lepiej jeszcze przez parę dni mieć pomoc w zwalczaniu bólu; zważywszy wszystko inne, wołała raczej cierpieć, niż uzależnić się od leków. Może jednak mu wybaczy.

Z drugiej strony naprawdę nie powinien aż tak folgować emocjom. Miał żonę.

-Dina poszła schodami - ciągnął, bacznie ją obserwując. Oczy miał bystre. - Powiedziała jednak, że po twoim ostrzeżeniu czuła się nieswojo, więc zachowała szczególną ostrożność. Wpatrywała, czy ktoś się nie czai na schodach i mocno trzymała poręczy. Zazwyczaj zbiega ze schodów, lecz tym razem szła powoli. Była na trzecim półpiętrze, kiedy się poślizgnęła. Gdybyś jej nie ostrzegła, gdyby się nie trzymała, spadłaby na sam dół i niezłe się poobijała. A tak ma tylko lekko zwichniętą kostkę.

Więc podziałało. Dobrze.

Milczał dłuższą chwilę; zapewne dawał jej szansę przemówić, gdyby miała na to ochotę. Nie miała.

Zrezygnował z tej taktyki, opuścił ramiona, pochylił się i wpatrywał w nią z napięciem. Chciał coś powiedzieć, najwyraźniej zakłopotany potarł szczękę dłonią. Andie obserwowała go z lekkim zaskoczeniem. Zachowywał się tak, jakby coś go niepokoiło; chyba nie wstrząsnęło nim to, że wreszcie zaczęła mówić?

-Jakie to uczucie? - spytał cichym, niepewnym głosem.

Aż otworzyła usta ze zdumienia i zamrugła gwałtownie, a on, widząc jej zaskoczenie, poczerwieniał.

-Wszystko jedno - mruknął, wstając z krzesła.

Czy mówił o tym drugim miejscu? Przecież nie był prostakiem, żeby pytać tak obcesowo, jakie to uczucie mieć serce przebite przez drzewko. Poza tym dla chirurga drastyczne obrażenia nie są czymś wyjątkowym.

Na pewno umarła, sanitariusze się nie pomylili. A jednak skoro teraz żyła, oddychała, chodziła - no, czasami, kiedy ją do tego zmusili - zdarzył się cud. To, że ostrzegła Dinę, musiało jakoś podpowiedzieć mu, że była w tym drugim miejscu. Może on sam widział je wcześniej. Może powiedział mu o nim jeden z pacjentów i teraz zżerała go ciekawość. Może chciał usłyszeć od niej, że nic nie pamięta, bo wtedy mógłby bez reszty zaufać nauce, dzięki której mógł czuć twardy grunt pod nogami.

Zatrzymała go gestem dłoni i uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

-Piękne - zdołała powiedzieć, a to jedno słowo zmusiło ją do tak ogromnego wysiłku, że aż się wzdrygnęła.

Zatrzymał się w pół kroku. Przełknął ślinę, podszedł i stanął tuż obok łóżka.

-Co pamiętasz? Opowiesz mi?

Patrząc na niego, odniosła wrażenie, że chciałby usłyszeć coś, co pozwoli mu odrzucić jej nadziemskie wizje będące li tylko wytworem mózgu pozbawionego tlenu, a jednocześnie pragnął uwierzyć w coś więcej.

Chciała mówić. Musiała dojść ze sobą do ładu, żeby nie miotać się między światem tym w umyśle a światem na zewnątrz, lecz łączyć roztropnie oba te byty. Rozpadlina między nimi była przydatna, dała jej czas konieczny, by przyzwyczaić się do rzeczywistości. Teraz nadszedł moment całkowitego powrotu do świata tu, bo poza nim nie miała nic innego.

Kiedy to sobie uświadomiła, wszystkie szczegóły otoczenia, kiedyś całkiem rozmyte, nagle wyostrzyły się. Zrozumiała, że właśnie podjęła ostateczną decyzję: zostanie tu i postara się zasłużyć na miejsce w tym drugim świecie.

Rozmowa nagle przestała być tak trudna - teraz już Mission Possible - choć nadal wymagała wysiłku.

-Wszystko pamiętam.

Na jego twarzy odmalowała się ulga.

-Był tam tunel? Ze światłem na końcu?

Opisanie tego drugiego miejsca nie będzie proste, bo słowa nie są w stanie oddać nieskończonego spokoju i radości, czystego piękna. On jednak nie pytał, dokąd się udała, lecz jak wyglądał sam proces.

- Światło. Bez tunelu. - Przegapiła coś, czy mówiła za szybko?

- Tylko światło, tak? Hm.

No proszę, mamy wątpliwość; instynktowne wycofanie się do znajomego świata nauki. Jaskrawe światło można wytłumaczyć eksplozją umierającego mózgu. Zastanawiała się, jak on pogodził się z brakiem jakichkolwiek uszkodzeń w jej

mózgu. Ponieważ nie chciała wprowadzać go w błąd, i nadal miała do niego pretensję, zwerbalizowała myśl, która wcześniej przeleciała jej przez głowę.

-Przestań zdradzać żonę.

Poblądł, a potem zaczerwienił się gwałtownie.

-Co takiego?

- Jeśli nie przestaniesz, ona się dowie. - Szarpnęła kołdrę i podciągnęła do piersi, jak gdyby chciała się odciąć od niego. - Jeśli jej nie kochasz, to się rozwiedz, ale do tego czasu trzymaj wacka na wodzy. Zachowuj się jak dojrzały mężczyzna.

- Co...? Co takiego? Co? - powtarzał w kółko, a usta otwierały mu się i zamykały jak u złotej rybki.

- Teraz mi wierzysz? - Zmierzyła go złym spojrzeniem. Opadłaby na drugi bok i odwróciła do niego plecami, lecz opadanie na bok na razie nie wchodziło w grę. Więc tylko zmrużyła oczy i przyglądała mu się z cichym wyzwaniem, żeby ośmielił się zaprzeczyć. Bardziej prawdopodobne było, że każe jej zająć się swoimi sprawami.

Widziała, jak walczy ze sobą, żeby tego nie robić. Miał blisko pięćdziesiąt lat, całe życie spędził, doskonaląc umiejętności, które ratowały ludziom życie. Jak większość chirurgów miał zdrowe poczucie własnej wartości, co jest eufemizmem na przerośnięte, olbrzymie ego. Wykonywanie jego zawodu wymagało dużej pewności siebie i przywykł do dyrygowania innymi. To, że kobieta, której uratował życie, i która pewnie była mu winna fortunę za świadczone usługi, nagle wezwała go na dywanik, będzie trudne do przełknięcia.

Zaczął coś odburkiwać, lecz osadziła go spojrzeniem.

-Nie wątp we mnie tylko dlatego, że nie widziałam tunelu. Może niektórzy go widzą. Ja nie. Wbiło się we mnie drzewo... nie za duże, ale jednak... i umarłam bardzo szybko. Wielkie mi co.

Ponownie założył ramiona na piersi i zakołysał się na piętach; nigdy się nie poddawał.

- Jeżeli naprawdę przeżyłaś śmierć kliniczną, powinnaś obudzić się szczęśliwa i pogodna.

- Nie przeżyłam „śmierci klinicznej”, przeżyłam śmierć. Umarłam - powiedziała spokojnie. - Dostałam drugą szansę. O ile mi wiadomo, nie jest to równoznaczne z tym, że mam udawać dobry humor. Chcesz wiedzieć, co pamiętam, to posłuchaj: pamiętam, jak patrzyłam w dół i widziałam, jak jakiś facet przeszukuje moją torebkę i kradnie mojego laptopa. Zabrał wszystkie pieniądze?

Jakże łatwo było odczytać, co chodzi mu po głowie, nawet teraz, kiedy próbował panować nad mięśniami twarzy.

-Nie, jeżeli pamięć mnie nie myli, miałaś w torebce sporą sumę, ale żadnych dokumentów. Żadnych kart kredytowych.

Kart kredytowych nie miała już wcześniej, ale nie powiedziała mu tego. Brakowało prawa jazdy? Dziwne. Dlaczego zabrał prawo jazdy, nie pieniądze?

-Nie było też dokumentów rejestracyjnych twojego samochodu. Detektyw Arronson chce o tym z tobą porozmawiać.

I o fałszywej tablicy rejestracyjnej. O to będzie martwić się później. Na razie odsunęła myśl od siebie.

- Jeżeli pieniądze były w torebce, mogę zapłacić za szpital i leczenie. Nie jestem przypadkiem charytatywnym.

- O to się nie martwię...

- Ty może nie, ale szpital tak.

- Skoro jesteś w tak gadatliwym nastroju, powiesz mi, jak się nazywasz?

- Andie - odparła natychmiast. - A ty?

- Travis. Nazwisko?

Nigdy nie miała problemów z improwizacją, a teraz w umyśle pojawiła się czarna dziura. Nic, absolutnie nic nie przychodziło jej do głowy. Najzwyczajniej w świecie nie potrafiła wymyślić nowego nazwiska.

- Myśle...

Zmarszczył brwi.

- Nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Daj mi chwilę. - Jeśli Rafael sądził, że nie żyje, nie ma powodu, żeby kiedykolwiek sprawdził, czy osoba o jej nazwisku nagle nie pojawiła się gdzieś. Ale lepiej dmuchać na zimne, powinna używać innego. Czy skłamanie, żeby się chronić, zupełnie zaprzepaści jej drugą szansę? Może kłamstwo jest złe, kiedy rani innych, ale wybacalne, gdy służy zbożnemu celowi?

Powinna była poprosić o krótki kurs, albo przynajmniej zestaw wytycznych.

- Andie - powtórzyła, licząc, że coś ją natchnie.

- To już wiem. Czy to skrót od Andrei?

- Tak. - Cóż innego? Nie przychodziło jej do głowy żadne inne imię żeńskie, które zaczynałoby się od A-n-d. Bez względu na wszystko nie zamierzała wyjawiać mu, że ma na nazwisko Butts. Wreszcie poddała się, wzruszyła ramionami. - Może jutro.

Wyciągnął długopis, naskrobał coś w jej dokumentacji medycznej.

- Nie mam uszkodzonego mózgu - powiedziała oskarżycielsko, poirytowana. - To wszystko wasza wina. Jestem tak naćpana, że ledwie mogę myśleć, ale nie dość,

żeby mnie nie bolało. Czy kiedykolwiek choć przez chwilę zastanawiałeś się, jakie to uczucie, kiedy rozcinają ci klatkę piersiową, rozrywają na strzępy i bawią się twoim sercem? Co? Mam w sobie tyle zszywek, że mogłabym zbudować z nich dom. A ty co robisz? Obcinasz mi przydział leków przeciwbólowych! Powinieneś się wstydzić.

Urwała zaskoczona swoim brakiem opanowania. Jeszcze nigdy na nikogo tak nie naskoczyła. Zawsze uśmiechała się, była słodka. Dlaczego teraz zrobiła się z niej jędza? Urwała także dlatego, że on się śmiał. Śmiał się.

Mogłaby się z nim zaprzyjaźnić.

- Usiądź - zaprosiła. - Opowiem ci o tym innym miejscu.

Simon całe życie opierał się pokusom, ale ta jedna go zmęczyła. Myśl tkwiła mu w mózgu, nie dawała spokoju i nie potrafił się jej pozbyć.

Nie mógł zapomnieć śmierci Drei, jej twarzy i tego, jak nagle, zanim umarła, rozjaśniła się z radości. Nie umiał zapomnieć o niej. Jej odejście wywołało w nim ból, którego ani nie potrafił wyjaśnić, ani się pozbyć.

Pokazał Salinasowi zdjęcie zrobione telefonem, pokazał mu prawo jazdy Drei. Zbir aż się wzdrygnął na widok zdjęcia, siedział w milczeniu dłuższą chwilę, zanim powiedział:

- Powiedz mi, gdzie mam ci przelać kasę.

-Zapomnij o tym - odparł Simon. - Nie miałem w tym udziału; po prostu wypadek. - Wytropił ją jednak, a doszło do wypadku tylko dlatego, że jechała za szybko, żeby uciec przed nim. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, przyjąłby zapłatę bez wahania. Choć sam jej nie zabił, z pewnością był przyczyną jej śmierci; a jednak po raz pierwszy w życiu nie umiał zgarnąć kasy za odebranie komuś życia.

To było... inne.

Nie chciał, żeby było inne. Nie chciał czuć się tak, jak gdyby w jego życiu otworzyła się nagle ziejąca pustką dziura, jak gdyby stracił coś ważnego i nie potrafił nawet wyobrazić sobie głębi tej straty. Chciał zapomnieć zdumiewający spokój, z jakim wyszła naprzeciw śmierci.

Nie dał rady. W ciągu tych tygodni, które upłynęły od jej śmierci, czuł coraz bardziej uporczywe pragnienie, żeby odnaleźć jej grób. W portfelu miała dość pieniędzy na przyzwoity pochówek. Czy policja starała się ją zidentyfikować, czy trzymali ciało w kostnicy i powolutku rozglądali się za rodziną? A może sfotografowali ją, pobrali próbki DNA i pochowali w pośpiechu?

Jeśli to pierwsze, może uda mu się zabrać jej ciało. Kupiłby najpiękniejszą, najspokojniejszą kwaterę cmentarną, jaką zdołałby znaleźć, i pochował ją tam.

Granitowa płyta nosiłaby świadectwo początku i końca jej istnienia. Położyłby tam kwiaty, odwiedzał ją raz na jakiś czas.

A jeżeli została już pochowana, dopilnowałby, żeby postawili jej pomnik i też przyniósłby kwiaty.

Odnalezienie jej nie będzie trudne. Wiedział, gdzie wydarzył się wypadek, więc wystarczyło sprawdzić gazety z tej okolicy. Ofiara wypadku, niezidentyfikowana kobieta - pięć minut, góra, i wszystko jasne.

Poddał się pokusie i usiadł do komputera. Odnalezienie Drei zajęło mu dwie minuty i siedem sekund.

Przeczytał wszystko dwukrotnie i pokręcił głową z niedowierzaniem. To niemożliwe. Brak rzetelności dziennikarskiej, nic nadzwyczajnego.

Sprawdził w wydaniu z następnego dnia, żeby przeczytać sprostowanie. Zamiast sprostowania, artykuł był o tym samym. Nieznane nazwisko, Jane Doe, ale...

Boże. Czuł się tak, jakby schwycił w dłoń przewód pod napięciem i dostał takiego kopa, że obudził się w piekle. Szok. Pole widzenia zawęziło mu się, dopóki nie widział wyłącznie ekranu komputera. To nie było możliwe. Patrzył, jak umiera, widział, jak jej oczy matowieją, a źrenice nieruchomieją. Nie wyczuł pulsu na jej szyi. Ale coś się wydarzyło. Jakimś cudem sanitariuszom udało się przywrócić dziewczynę do życia i podtrzymać funkcje organizmu tak długo, aż dowieźli ją do szpitala. Nie wiedział, jakim cudem, ale był to cholerny cud. W tej chwili, „jak” nie miało znaczenia.

Drea nie umarła.

Rozdział 20

Tej nocy Simon poleciał do Denver. Miał ze sobą tylko jedną niewielką torbę, więc mógł od razu przejść do bramki, zamiast męczyć się jeszcze z szaleństwem odbioru bagażu. Nie miał przy sobie żadnej broni, bo nie była mu potrzebna. Po prostu chciał na własne oczy zobaczyć Dree i upewnić się, że to naprawdę ona. Chciał też dowiedzieć się, co się zdarzyło.

Musiała zajść jakaś pomyłka. Kobieta w szpitalu to prawdopodobnie wcale nie Drea. Trudno uwierzyć w tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności, żeby w jednym szpitalu przebywały dwie niezidentyfikowane Jane Doe, jedna martwa, jedna żywa; ale żywa na pewno stanowiłaby ciekawszy temat dla pismaków. Do wypadku doszło z dala od miasta, można powiedzieć na odludziu; raport o bezimiennej ofierze wypadku mógł nawet nie dotrzeć do lokalnej gazety.

Albo, najgorszy scenariusz, medycy jakimś cudem przywrócili Dree do życia, lecz albo jej mózg obumarł, albo funkcjonował źle, tyle tylko, że pracowały jeszcze płuca i serce. Chociaż nie miał pojęcia, jak jej serce mogło bić po tym, co się stało. Nie wyobrażał sobie, żeby jakikolwiek chirurg był w stanie naprawić takie spustoszenie, a jeśli nawet potrafił tego dokonać, to czy zajmowałby się przypadkiem pacjentki z martwym mózgiem, wegetującej jak roślina.

Dlatego właśnie nie wierzył, że ta kobieta to Drea. Nie chciał, żeby to była ona, nie z takimi uszkodzeniami mózgu, jakie z pewnością musiała odnieść.

Ale jeśli to była ona, jeśli jakiś idiota podtrzymywał ciało przy życiu mimo że umysł nie funkcjonował, zajmie się nią. Znajdzie dla niej miejsce najlepsze w całym kraju, gdzie jej ciało będzie otoczone czułą troską. Może czasem ją odwiedzi, choć patrzenie na nią w takim stanie byłoby jeszcze gorsze niż przyglądanie się jej śmierci. Nie miał żadnych prawnych podstaw do podejmowania decyzji w jej sprawie, ale do diabła z tym. Posiadał dość pieniędzy, żeby i to załatwić, a gdyby ktokolwiek stanął mu na drodze, zwyczajnie ją zabierze. Żył z tego, że potrafił wejść tam, gdzie nikt go nie chciał, i robił rzeczy, których nie powinien robić.

Zameldował się w hotelu na jedną noc. W ciągu dnia w szpitalu będzie więcej odwiedzających, a dzięki temu łatwiej wtopi się w otoczenie. Dni były wypełnione ludźmi, pacjentami z zewnątrz, odwiedzającymi to wchodzącymi, to wychodzącymi, dostarczycielami kwiatów i gazet, jedzenia i artykułów medycznych. Będzie jeszcze jedną twarzą w tłumie. Z doświadczenia wiedział, że osoby pracujące na nocnej zmianie stanowiły mniejsze grono i bardziej przyglądały się obcym.

Najpierw będzie musiał sprawdzić, czy Jane Doe nadal przebywa w szpitalu. Minęło ponad dwa tygodnie; jeśli kobieta, o którą chodzi, to nie Drea, mogła już zostać wypisana - albo wyjść o własnych siłach. Ludzie nieposiadający dowodów tożsamości najczęściej mają coś do ukrycia. Jeżeli już wyszła, to najwyraźniej nie była Drea. Wtedy on wróci do domu. Jeśli miała obrażenia na tyle poważne, że musiała pozostać w szpitalu, będzie musiał odwiedzić ją i przekonać się, czy jest, czy nie jest Drea. W dawnych czasach, zanim szpitale zrobiły się tak upierdliwe w kwestii prywatności pacjentów, mógłby zwyczajnie zadzwonić i dowiedzieć się

wszystkiego co trzeba przez telefon. Teraz jednak informacji udzielano wyłącznie najbliższej rodzinie. To, oczywiście, nie oznaczało, że nic się nie dowie, tylko że będzie to ciut trudniejsze.

Dotarł do szpitala następnego ranka trochę przed szóstą rano i czekał, aż się zmieni dyżur. Możliwe, że część personelu pracowała na dwunastogodzinnych zmianach, od szóstej do szóstej, albo od siódmej do siódmej - nie wiedział jeszcze, kto będzie jego celem. Musiał działać szybko; w zależności od tego, jak bardzo czujna będzie ofiara - a schodząc z dwunastogodzinnej zmiany, ludzie najczęściej nie są zbyt czujni - może mieć do dyspozycji kilka godzin albo nie więcej niż trzydzieści minut. Zmiana dyżuru była najlepszą porą do działania, gdyż wtedy panuje największe zamieszanie.

Wszedł przez drzwi na ostry dyżur, gdzie zawsze kręciło się wiele osób, po czym zlokalizował windy i mapkę szpitala. Oddział intensywnej terapii znajdował się na siódmym piętrze. Zmęczona kobieta o twarzy porysowanej zmartwieniem wpadła do windy w chwili, kiedy drzwi już się miały zamknąć. Prawdopodobnie wracała z kafeтерии, gdyż w ręce niosła duży kubek kawy. Nacisnęła guzik czwartego piętra i tam wysiadła.

Przeszklona poczekalnia na intensywnej terapii pełna była ludzi o zaczerwienionych oczach, koczujących w maleńkim pokoiku. Niektórzy naprawdę mieli ze sobą śpiwory, jedzenie, książki i wszystko, co tylko mogło im uprzyjemnić długie godziny czekania. Na stole stał ekspres do kawy: bulgotał, wypluwając świeży napój. Tuż obok niego piętrzyły się stopy polistyrenowych kubeczków.

Ciężkie drzwi prowadzące na intensywną terapię otwierane przyciskiem na ścianie, znajdowały się dokładnie na wprost poczekalni. Dzięki szklanym ścianom mógł je obserwować z wnętrza poczekalni. Czekając na zmianę dyżuru, będzie mógł spróbować wydostać nieco informacji od ludzi, którzy czuwali tu przez całą noc, desperacko czepiając się nadziei, że ich ukochani przeżyją, lub też ze stoickim spokojem czekając na koniec. Wspólne przesiadywanie w poczekalni oddziału intensywnej terapii przypominało wspólne siedzenie w lisiej norze; wszyscy przeżywali tu jakiś kryzys i informacje płynęły nieprzerwanie niczym potok.

Znalazł wolny fotel, z którego mógł bez przeszkód obserwować oddział, usiadł, pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Język ciała sugerował rozpacz, emocje, z którą wszyscy tu obecni byli na ty. Głowę miał opuszczoną tak nisko, jak tylko mógł bez tracenia szklanych drzwi z oczu.

Nie starał się nawiązać kontaktu wzrokowego, nie rozglądał się wkoło; po prostu siedział tam jak wcielenie rozpacz. Nie minęła minuta, a siwowłosa kobieta po jego lewej ręce spytała głosem pełnym współczucia:

- Ma pan tu kogoś z rodziny?

Myślała o oddziale, rzecz jasna.

- Tak, matkę - odpowiedział z napięciem w głosie. Na intensywnej terapii nie brakowało starszych osób, więc wybrał bezpiecznie, poza tym udawanie oddanego syna zawsze dawało najwięcej punktów, - Udar. - Przełknął z trudem. - I to ciężki. Myśla... myśla, że może mózg przestał w ogóle działać.

- Och, to koszmarne. Bardzo mi przykro - odparła. - Ale proszę nie porzucać nadziei. Mój mąż pracuje na budowie. Miesiąc temu spadł z wysokości czterech pieter, połamał prawie wszystkie kości. Już myślałam, że go stracę. - Głos jej zdrzął na to wspomnienie. - Staralam się namówić go, żeby przeszedł na emeryturę, a kiedy wreszcie mi obiecał, że zrobi to już w przyszłym roku, stało się coś takiego. Wiedziałam, że nic nie wyjdzie z tych wszystkich wycieczek na łowy i na ryby, które planował z naszym synem. Nikt nie wierzył, że się z tego wyliże, ale on cały czas trzyma się życia i może już w przyszłym tygodniu przeniosą go na zwykły oddział.

- To świetnie - mruknął, spoglądając na swoje dłonie. - Cieszę się. Ale moja matka... - Urwał, pokiwał głową. - Za późno ją znalazłem. - Dodał nieco poczucia winy, żeby wywar szybciej się gotował. - Przeprowadzają teraz wszystkie możliwe badania, ale jeśli mózg umarł...

- Nawet najlepsi lekarze nie znają wszystkich tajemnic ludzkiego organizmu - wtrącił się przysadzisty facet o czerwonej twarzy, który siedział po drugiej stronie siwowłosej kobiety. - Kilka tygodni temu przywieźli tu kobietę. Miała wypadek samochodowy, zjechała z drogi i walnęła w drzewo. Gałąź przebiła jej klatkę piersiową.

Na to właśnie czekał. Nie musiał już nawet wchodzić na oddział. Simon zapanował nad mięśniami twarzy, kiedy jego uwaga została przyciągnięta w tak bolesny sposób. Facet mówił o Drei. Ponad wszelką wątpliwość mówił właśnie o niej. Ulga odbiła się niczym kolejka górską w jego wnętrzościach, a potem gwałtownie skamieniała ze strachu. Może i Drea przeżyła wypadek, ale czy kiedykolwiek jeszcze będzie funkcjonować? Chodzić, mówić, rozpoznawać ludzi? Chciał coś powiedzieć, lecz gardło ścisnęło mu się tak bardzo, że ledwie oddychał.

Siwowłosa kobieta poklepała go po ramieniu, najwyraźniej odgadując, że zaraz się rozplacze. Prosty, przepełniony współczuciem gest zaskoczył go. Ludzie nigdy nie

dotykali go tak zwyczajnie, tak łatwo. Zawsze miał w sobie coś, co kazało innym trzymać się na dystans, coś zimnego i śmiertelnościanego, na co ona była najwyraźniej uodporniona. Drea też go dotykała; położyła mu dłonie na piersi, tuliła się do niego i całowała go; usta miała tak delikatne i wygłodniałe, jak gdyby nie potrafiła się powstrzymać. Na to wspomnienie przełknął konwulsyjnie, dzięki czemu gardło mu się nieco rozluźniło:

- Zdaje mi się, że czytałem coś o tym - skłamał. Miał wrażenie, że słowa go duszą.

- Sanitariusze mówili - odezwał się przysadzisty - że zginęła na miejscu. Właśnie wszystko pakowali, kiedy jeden z nich usłyszał jej rzeźnię. Przysięgali, że nie mogli wcześniej wyczuć u niej pulsu, ale nagle wróciła do życia. Musieli odciąć gałąź, żeby ją tu przywieźć. Bali się, że jeżeli zaczną ją wyciągać na miejscu, mogą tylko zrobić większą krzywdę. Poza tym ta gałąź dociskała do aorty czy coś i dlatego dziewczyna nie wykrwawiła się na śmierć. - Potężny jegomość skrzyżował ramiona na ogromnej piersi. - Uważali, że jej mózg z pewnością już umarł, ale okazało się, że nie. Chirurdzy łatali ją ponad osiemnaście godzin, ale potem... Kiedy to? Trzy dni temu, przenieśli ją na zwykły oddział.

- Dwa dni temu, przedwczoraj - odparła siwowłosa kobieta, przejmując watek. - Przenieśli ją na zwykłą salę. Słyszałam, że ma się dobrze. Ale podobno nic nie mówi, więc może jednak ma jakieś uszkodzenie mózgu.

- Już zaczęła mówić - wtrącił ktoś inny. - Powiedziała coś do jednej z pielęgniarek. Wszyscy tu o tym opowiadali.

- Zdumiewające - odezwał się Simon, a jego żołądek, tym razem wraz z sercem, wykonały radosne salto. Poczul, że zaraz zemdleje... a może zwymiotuje. Albo i jedno, i drugie. Miała się dobrze. Rozmawiała.

- To cud, nie ma dwóch zdań - powiedział ten przysadzisty. - Nazywali ją Jane Doe. Nie miała żadnych dokumentów, nikt jej nie szukał. Nie potrafili jej namówić, żeby napisała swoje nazwisko czy cokolwiek innego. Teraz jednak już mówi, więc pewnie wie, kim jest.

Nie, raczej nie, pomyślał Simon. Drea była zbyt sprytna, żeby im cokolwiek powiedzieć. Pewnie podała im zmyślone imię, co znowu stawiało jego w kłopotliwej sytuacji: bo jak miałby ją teraz znaleźć? Nawet gdyby zdołał włamać się do komputera, a bez wątplenia podołałby temu zadaniu, nie wiedział nawet, jakiego nazwiska szukać. Zły pomysł. Trzeba podejść do tego od innej strony.

- Kto był jej lekarzem prowadzącym? - Nie miał powodu, żeby zadawać takie pytanie, ale ludzie w szpitalnych poczekalniach rozmawiają o najróżniejszych

rzeczach. Rozmawiają, żeby zabić czas, żeby przestać o czymś myśleć, żeby nawiązać znajomości, które mogą nie przetrwać dłużej, niż pobyt ukochanej osoby na intensywnej terapii. Lecz zamknięci w tej szklanej celi śmiali się i płakali, pocieszali wzajemnie, opowiadali sobie o rodzinnych imprezach i przepisach - wszystko, żeby tylko przetrwać.

- Meecham - padła natychmiastowa odpowiedź. - Kardiochirurg.

Chirurdzy co dzień robili obchód. Kiedy ktoś doznał tak straszliwych obrażeń jak Drea, ego chirurga było uzależnione od tego, jak sobie pacjent radzi, zwłaszcza kiedy pacjent pokonał wszystkie przeciwności i ozdrowiał. Odnalezienie doktora Meechama nie będzie trudne; śledzenie go także.

Pacjenci nie byli przypisywani do łóżek na chybił trafił; różne piętra miały różne przeznaczenie, co porządkowało konkretne rodzaje leczenia dzięki skoncentrowaniu pacjentów. Było tu piętro położnicze, ortopedyczne i piętro opieki pooperacyjnej - tam najpewniej znajdzie Dreeę.

Drzwi do pokoi chorych często stały otworem, czy to przez nieuwagę, czy z powodu pośpiechu, czy dla wygody pielęgniarek. Miał co najmniej pięćdziesiąt procent szans, że znajdzie Dreeę, zerkając do każdego pokoju. Jeśli jej nie znajdzie, pójdzie tropem doktora Meechama. W ten czy inny sposób odszuka ją. Co było dla niego najważniejsze.

Nigdy wcześniej nic go nie obchodziło, a już na pewno nie tak bardzo, żeby nie mógł o tym zapomnieć. Nie podobało mu się to, ale nadal nie potrafił sobie odpuścić. Drea to jego słaby punkt; Salinas, czy każdy, kto domyśli się, że jego zbroja nie jest w stu procentach szczelna, może to wykorzystać.

Po przeciwnej stronie korytarza podwójne drzwi na oddział intensywnej terapii otworzyły się i kilka osób z personelu pomocniczego, mężczyzn i kobiet, wyszło na zewnątrz. Nie zamierzał teraz tam wchodzić, więc nie podążył za nimi. Gdyby okazało się, że musi zwinąć plakietkę z identyfikatorem, żeby dostać się do kontrolowanych miejsc, zrobi to, lecz najpierw spróbuje zlokalizować Dreeę łatwiejszym sposobem.

Była tu, żywa, nawet rozmawiała.

Nagle poczuł, że nie wysiedzi w poczekalni ani minuty, ani sekundy dłużej; nie mógł już udawać i kłamać, że przejmuje się nieistniejącą matką. Potrzebował zaszyć się w jakimś kącie i odczekać chwilę, uspokoić nerwy.

- Przepraszam - powiedział, wtrącając się do rozmowy, która toczyła się obok i bez niego; wstał i wyszedł pospiesznie z poczekalni. Rozejrzał się, zauważył toaletę i

niemal galopem ruszył w tamtą stronę. Dzięki Bogu, była jednomiejscowa; zamknął drzwi na klucz i stał, drżąc pośrodku maleńkiej kabiny.

Co tu się dzieje, do diabła? Całe dorosłe życie, a i parę lat wcześniej, spędził na doskonaleniu opanowania. Sprawdzał samego siebie, uczył się swoich ograniczeń, a potem starał się je pokonać. Nigdy nie tracił kontroli, nigdy się nie załamywał. Wszystko, co robił, robił z rozmysłem, działając tak, żeby reakcja bądź rezultat były zgodne z jego oczekiwaniami.

Poradzi sobie z tym. Wiadomość, że ona żyje i przynajmniej jest w stanie funkcjonować - to był szok, ale nie taki, żeby go złamać. Jeśli uda mu się porozmawiać z nią - tak, żeby nie przerazić jej na śmierć - powie, że nie ma się czego obawiać z jego strony. Że jeśli idzie o Salinasa, to Drea Rousseau nie żyje; że może teraz robić, co chce. Ale nie teraz; nadal będzie zbyt słaba fizycznie i nie chciał robić nic, co mogłoby osłabić jej serce. Bóg jeden wie, jakie obrażenia odniosła.

Poza tym zawsze istniała szansa, że naprawdę nie pamięta, kim jest, a w takim wypadku nie będzie pamiętać także jego. Tylko dlatego, że rozmawia, nie znaczy, że wyszła z tego wszystkiego bez szwanku. Musi wziąć się w garść i dowiedzieć więcej, zamiast puszczać wodzy wyobraźni.

Cholera. Wyobraźnia. Czyżby u niego działała? Zajmował się suchymi faktami, twardą rzeczywistością, tym, co istniało. Rzeczywistość była przewidywalna. Mógł na niej polegać, ufać, że będzie zimną, twardą suką. Ale to mu nie przeszkadzało, bo sam był zimnym, twardym sukinsynem. Stanowili dobraną parę.

Wziął kilka głębokich oddechów i otrząsnął się z tego diabelstwa, które prawie go rozkleiło. Musi tylko odnaleźć Dree i przekonać się na własne oczy, w jakim jest stanie; wtedy będzie mógł wracać do Nowego Jorku. Miał sprawy do załatwienia, poza tym wystarczająco długo przebywał w jednym miejscu i najwyższa pora, żeby się przeprowadzić. Sprawdzi, co z Drea, a jeśli wszystko w porządku, odwróci się i odejdzie na dobre.

Rozdział 21

Sala pooperacyjna oddziału chirurgicznego znajdowała się piętro niżej, więc Simon poszedł schodami. Wolał schody, dawały mu dwie drogi ucieczki, podczas gdy winda stanowiła metalowe pudełko-pułapkę i stosowała się do elektronicznych poleceń w takim porządku, w jakim je otrzymała. Jeżeli jechała w dół i już otrzymała wezwanie z niższego piętra, nie mógł nacisnąć przycisku na wyższe i zmusić ją, żeby jednak pojechała w górę.

Szpital miał kształt gigantycznej litery T, lecz raczej leżącej niż stojącej. Wszedł na końcu długiego korytarza i zaczął systematycznie przemierzać piętro. Każdy pokój miał na zewnątrz niewielką plakietkę z nazwiskiem pacjenta oraz nazwiskiem lekarza prowadzącego, co było dla niego szalenie wygodne.

Pokój pielęgniarek usytuowany był na skrzyżowaniu T, lecz żeby zobaczyć, co się dzieje w korytarzu, pielęgniarki musiałyby wyjść zza kontuaru. W tej chwili, tuż po zmianie dyżuru i w trakcie roznoszenia porannego posiłku, na korytarzu wrzało jak w ulu, a on doskonale wtopił się w ten harmider. Szedł, niespiesznie zaglądając do tych pokoi, które miały otwarte drzwi, lecz tylko oczy poruszały się, a głowa pozostała nieruchomo. Chodziło o to, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że interesują go pacjenci.

Do prawie połowy pokoi broniły dostępu zamknięte drzwi, a tam gdzie udało mu się zajrzeć, Drei nie było na pewno. Idąc w dół korytarza, zwracał szczególną uwagę na te sali, przy których plakietki identyfikowały doktora Meechama jako prowadzącego, i rejestrował je na trójwymiarowej mapie otoczenia, którą zawsze nosił w głowie.

Potem dostrzegł nazwisko „Doe” i omal się nie potknął.

Pokój numer 614. Meecham jako lekarz prowadzący.

Mimo zamkniętych drzwi wiedział, że właśnie ją odnalazł. Była tu, po drugiej stronie. Wiedział, że to ona. Na pewno istnieli ludzie, których prawdziwe nazwisko brzmiało „Doe”, ale jakie jest prawdopodobieństwo, że któreś z nich znajdowałoby się właśnie na tym piętrze w tym czasie pod opieką doktora Meechama?

Zacisnął dłoń na klamce ułamek sekundy wcześniej, nim zdał sobie sprawę z tego, co robi.

Powoli, ostrożnie zmusił się do rozluźnienia uchwytu. Gdyby wszedł do jej pokoju, jej krzyk postawiłby na nogi cały szpital - zakładając, że rozpoznałaby go. Nie wiedział, jak funkcjonuje jej mózg.

Nazwisko „Doe” nic mu nie mówiło. Jeśli obudziła się i była przytomna, mogła wykorzystać sytuację i nie podać im prawdziwego nazwiska. Jeśli miała uszkodzony mózg, co wielce prawdopodobne, nie zna go.

Za późno zauważył znak na drzwiach „Zakaz odwiedzin”.

Istniały dwa poziomy tego przekazu. Pierwszy dość oczywisty: zakaz odwiedzin. Drugi zaś: dlaczego? Kto go tu umieścił? Szpital, z powodu wścibskich, natrętnych poszukiwaczy przygód i/lub dziennikarzy, którzy irytowali/denerwowali/gapili się, co źle wpływało na pacjentkę? Czy może to ona sama poprosiła o wywieszenie tego znaku? Drea z pewnością nie życzyłaby sobie mediów. Chciałaby też trzymać gliniarzy na dystans, przynajmniej dopóki nie wykombinuje wiarygodnej historyjki i nie poczuje się dość silna, żeby poradzić sobie ze wszystkimi.

Teraz miał już jej nazwisko i numer pokoju. Będzie w stanie dowiedzieć się wszystkiego, co zechce. Nie musi jej nawet widzieć osobiście; nie musi z nią rozmawiać. Może bezpiecznie zignorować ten dziwaczny przymus.

Spoglądając w dół korytarza, trzy sale dalej dostrzegł ogromny wózek załadowany tacami z jedzeniem. Drzwi do pokoju obok Drei także były zamknięte, więc poszedł dalej i oparł się o ścianę tuż obok nich, jak gdyby pielęgniarzka lub technik właśnie weszli do środka, a jego poprosili, żeby poczekał na zewnątrz. Wzrok miał wbity w podłogę.

Pani z kafeterii pracowała szybko, roznosząc tace z jedzeniem. Podepchnęła wózek bliżej niego i zatrzymała się tuż za drzwiami pokoju Drei. Podniósł wzrok, gotów uśmiechnąć się szybko, uprzejmie, gdyby spojrzała na niego, lecz ona zignorowała go, jakby był meblem. Personel szpitalny widuje wiele osób opartych o ścianę w korytarzu.

Wyciągnęła tacę, na której stały tylko galaretka pomarańczowa, sok owocowy, kawa i mleko. Czyli że Drea jest w stanie jeść sama; nie karmią jej przez rurkę. Kobieta z kafeterii zastukała szybko do drzwi i weszła, nie czekając na odpowiedź.

-To prawdziwe jedzenie? - usłyszał naburmuszony głos Drei.

Pani z kafeterii się roześmiała.

- Awansowałaś do galaretki. Jeśli twój żołądek poradzi sobie z nią bez problemów, może jutro dostaniesz gotowane ziemniaki. Ja tylko przynoszę to, co kazał lekarz.

Po chwili przerwy Drea powiedziała:

- Pomarańczowa! Lubię pomarańczową galaretkę.

- Chcesz dwie?

- A można?

- Jasne. Jeśli tylko chcesz czegoś więcej, od razu mów.

- W takim razie chcę drugą galaretkę. Konam z głodu.

Podczas gdy Drea rozmawiała z kobietą i koncentrowała się na jedzeniu, Simon wyprostował się i przeszedł szybko obok jej drzwi, nie obracając głowy, żeby na nią spojrzeć.

Przez chwilę szedł na oślep i nie zauważył młodej kobiety, która wychodziła z jakiegoś pokoju, aż na nią wpadł.

-Przepraszam - powiedział automatycznie, nawet na nią nie spojrzął i nie zatrzymał się.

Ocknął się w windzie, wciśnięty w kąt, bez świadomości tego, jak się tam znalazł. On, który zawsze wiedział nie tylko, co sam robi, ale także, co robią wszyscy wokół, który studiował nawet publiczne toalety, żeby znaleźć z nich dogodną drogę ucieczki, zanim do nich wszedł, teraz tak się zamyślił, że nie zwracał uwagi na to, co robi ani dokąd idzie.

Wysiadł na parterze, lecz nie była to ta sama winda, którą wjechał na górę. Nie stał przy wejściu na ostry dyżur, lecz w przestronnym korytarzu o wysokim na dwa piętra atrium, w którym rosły prawdziwe figi.

Oszołomiony, z ociężałym umysłem, poszedł ku najbliższemu wejściu, dopóki nie przypomniał sobie, że jego samochód z wypożyczalni stoi zaparkowany od strony ostrego dyżuru. Zatrzymał się i rozejrzał, lecz nigdzie nie dostrzegł żadnych znaków, któreby mu tam doświadczyły.

Wreszcie niezawodna orientacja w przestrzeni podpowiedziała mu, że powinien skrócić w lewo, w korytarz, i tak zrobił. Miał ochotę wybuchnąć śmiechem, a przecież nigdy się nie śmiał. Ulga bulgotała mu w żyłach jak szampan, czuł się jak na lekkim rauszu. Serce waliło mu w piersi, żebra rozsadzały klatkę, która wydawała się na nie za ciasna, zaciskała się na sercu i na płucach, krępując je.

Dyskretnie umieszczony znak przyciągnął jego wzrok; Simon zatrzymał się. Powodowany niewytłumaczalnym impulsem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Kiedy tylko zamknął je za sobą, miał wrażenie, że jest w pomieszczeniu dźwiękoszczelnym; cisza dzwoniła w uszach. Odgłosy szpitalnego życia zatrzymały się na tych drzwiach. Stał przez chwilę; chciał wyjść, lecz coś zmuszało go do pozostania tu. Nigdy nie tchórzył. Bez względu na to, jak paskudna była rzeczywistość, a często doprawdy obrzydliwa, zawsze radził sobie z nią i w niej. Pojęcie litości nie istniało dla niego, nie miał jej ani dla siebie, ani dla innych. Niektórzy oszukiwali sami siebie, ale nie Simon. Był tym, kim był, gdyż życie, własne czy cudze, nie przedstawiało dla niego żadnej specjalnej wartości.

Aż do teraz.

Aż do Drei.

W pomieszczeniu panował półmrok. Powietrze było chłodne i wonne, przepojone zapachem świeżych kwiatów stojących na stoliku przed niewielkim ołtarzem. Podświetlony od tyłu panel witrażu rzucał na ściany kolorowe, ciepłe refleksy. Z boku stały trzy tapicerowane ławki, każda dostatecznie duża, żeby zmieściły się na niej cztery osoby, lecz w tej chwili był tu sam.

Usiadł w środkowej ławce i zamknął oczy, oddając się kojącej, balsamicznej ciszy. Żadnej muzyki. Gdyby tylko usłyszał organy, wyszedłby natychmiast, lecz nic tu nie zakłócało ciszy i absolutnego spokoju.

Drea żyła. Nadal nie potrafił pojąć, co to znaczy, nie potrafił zaakceptować faktu, że ziemia rozwarła mu się pod stopami. Teraz musiał wydostać się na powierzchnię. Przez chwilę pozwolił sobie na relaks; łagodne światło z witraża kładło mu kolorowe cienie na powieki. Zapach kwiatów zachęcał, żeby oddychać głębiej, więc wciągał chłodne powietrze głęboko do płuc, rozładowując napięcie.

Nie mógł zapomnieć o tym, co widział na własne oczy, czego był pewien. Drea umarła. Słyszał jej ostatni oddech, widział jak światło gaśnie w jej oczach. Martwe ciało natychmiast zaczyna stygnąć. Jej miękka skóra straciła gorąco, straciła życie. Na głębszym poziomie odczuł jej nieobecność, brak osoby, ducha, duszy, czy jakkolwiek by to nazwać.

Został z nią tam za długo, żeby teraz uwierzyć, że się pomylił. Nie miała pulsu, nie oddychała. Kiedy karetka dojechała na miejsce, minęło co najmniej pół godziny, może więcej. Nie mogli jej odratować; mózg zaczyna umierać już po czterech minutach. Jej mózg nie powinien już funkcjonować, mimo najbardziej heroiczych prób przywrócenia do życia. Facet w poczekalni powiedział, że sanitariusze właśnie się pakowali, kiedy ona zaczęła dyszeć. Czy w ogóle próbowali reanimacji? Trzeba jeszcze i to dodać do czasu, kiedy była martwa.

A jednak siedziała w szpitalnym łóżku, najwyraźniej żywa, rozmawiała normalnie i cieszyła się, że dostała pomarańczową galaretkę do jedzenia.

Samo to, że żyła, to już zakrawało na cud. Że wyszła z tego wszystkiego najwyraźniej bez szwanku, to drugi, jeszcze większy cud. Simon nie wierzył w cuda. Jeśli w ogóle wyznawał jakąkolwiek filozofię życiową, była ona podobna do tego klasycznego „Wszystko się może zdarzyć”. Najczęściej zdarzały się złe rzeczy, czasami dobre, ale zawsze na oślep. Żyłeś, a kiedy nadchodził koniec, umierałeś. To wszystko.

Ale to... to było coś, czego nie potrafił wyjaśnić. To złapało go za gardło i za jaja, i nie chciało wypuścić, a on nie próbował stawiać temu czoła.

Coś przywróciło ją do życia.

Otworzył oczy i wpatrywał się w witraż, zupełnie go nie widząc.

Czyż może istnieć coś pomiędzy narodzinami a śmiercią, coś więcej niż tylko organizm zbliżający się do kresu vitalności? Czyżby istniało coś tak potężnego, że może oddać życie stygnącemu ciału? Jeśli tak, to... to znaczy, że istnieje coś po śmierci; śmierć nie jest końcem.

Jeśli istnieje życie po śmierci, w takim razie musi istnieć inne miejsce, inne tu i teraz. Jeżeli śmierć to faktycznie przekraczanie granicy tego drugiego miejsca, wynika z tego, że to, jak się żyje tu, ma znaczenie.

Dobro, zło - nigdy wiele dla niego nie znaczyły. Był kim był, robił, co robił. Przeciętna osoba na ulicy nie miała się czego obawiać z jego strony. Nie chciał nikogo skrzywdzić, nikim nie pogardzał; czasami, w bardzo ogólnym zarysie, lubił nawet społeczność ludzką, gdyż szła przed siebie bez względu na cokolwiek. Pracowali, wracali do domów, jedli obiady, oglądali telewizję, szli spać, wstawali i znowu szli do pracy. Całe armie postępowały zgodnie z tą rutyną i dzięki niej ten świat się kręcił.

Pogardzał tymi, którzy żerowali na zwyczajnych obywatelach. Tymi, którzy uważali, że mogą zawłaszczyć owoce pracy innych. Tymi, którzy sądzili, że tylko głupcy i idioci pracują uczciwie. Z jego perspektywy nie było nic złego w zabijaniu szumowin.

A jednak, jeśli zastanowić się nad tym głębiej, jego życie było znacznie gorsze niż ich - nie w sensie materialnym, lecz w takim, że jego dusza przypominała jałowy step.

Czarna przepaść ziejąca właśnie pod jego stopami jest tym, co go czeka, tym, na co zasłużył. A jednak właśnie otrzymał szansę zmienienia siebie. Dzięki Drei zobaczył coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegął; zaakceptował, że istnieje coś więcej. Może naprawdę Bóg? Czy to o to chodzi?

Dzięki Drei zobaczył, że idzie pod rękę ze Śmiercią. Jeśli dalej będzie tak żył, Śmierć zaczeka na niego za rogiem. Ale jeżeli zdoła osądzić samego siebie, porzucić takie życie, czy zmieni ostateczny rozrachunek?

Wszystko to wydawało się proste, lecz koncept wymagał całego morza zmian.

Przepelił go ogromny, dławiący ból i gardło ścisnęło mu się z dźwiękiem zranionego, bezradnego, cierpiącego zwierzęcia.

Drzwi w bocznej ścianie, których on nawet nie zauważył, otwarły się; skucha nie do wybaczenia, taki brak uwagi mógłby go kosztować życie.

-Nie chcę przeszkadzać, ale usłyszałem... - zaczął cichy głos. Usłyszał niski skowyt agonii. Simon się nie poruszył.

- Jeśli chce pan porozmawiać... - dodał tamten, lecz odpowiedź nie padła.

Simon wstał powoli; był znużony, jakby nie spał od wielu dni, czuł się poobijany jak po upadku z wysokiego urwiska. Odwrócił się i spojrzał na niewielkiego mężczyznę w średnim wieku, który miał na sobie zwykły garnitur, bez szat liturgicznych czy choćby koloratki na szyi. Nie dostrzegł w nim nic nadzwyczajnego, szczupły, łysiejący, lecz emanowała z niego energia, która nie pozwalała go ignorować.

- Właśnie dziękowałem za cud - powiedział po prostu i otarł łzy z policzków.

Rozdział 22

Siedem miesięcy później

Andie! Zamówienie!

Andrea Pearson zerknęła pospiesznie przez ramię na okno wybite w ścianie, które prowadziło do kuchni. Na wysokim do ramienia barze Glenn ustawiał talerze załadowane wysokimi stosami hamburgerów i parującymi, gorącymi frytkami. Andie wróciła do zestawiania ciężkich talerzy z tacy. Glenn, właściciel i kucharz w Przystanku dla Ciężarowców Glenna, nakładał jedzenie na talerze tak szybko, jak tylko potrafił. Był piątkowy wieczór i kierowcy ciężarówek zjeżdżali do domu; jadłodajnia pękała w szwach. Ciężką pracę rekompensowały sute napiwki, a Glenn płacił jej pod stołem, co było jeszcze lepsze.

- Zaraz wrócę z dolewką - powiedziała do trzech mężczyzn, którzy siedzieli przy stoliku, i pobiegła po nowo nałożone jedzenie, póki nie wystygło. Rozłożywszy je na właściwe stoliki, załadowała tacę dzbankami z kawą i z zimną herbatą, i okrążyła salę, napelniając filiżanki oraz szklanki. Inne kelnerki także zwijały się jak w ukropie, opierając ciężkie tace na biodrach i tanecznym krokiem wymijały krzesła i stoliki.

- Hej, Andie - zawołała jakaś kobieta kierowca. - Przepowiedz mi przyszłość.

Miała na imię Cassie i jasne włosy o ciemniejszych odrostach; nosiła obcisłe dżinsy, buty na wysokim obcasie, i robiła za mocny makijaż. Cieszyła się sympatią szczególnego grona kierowców; ci bardziej rodzinnie usposobieni zostawiali ją w spokoju. Tego wieczoru spędzała jednak czas z innymi kobietami-kierowcami i wszystkie ignorowały mężczyzn.

-Ty nie masz przyszłości - odparła Andie, nawet nie zwalniając kroku.

Kiedy przechodziła obok nich następnym razem, Cassie gestem poprosiła ją o rachunek. Wszystkie śmiały się i żartowały, przerzucając się historyjkami o mężczyznach, dzieciach i zwierzakach, choć Andie nie wiedziała tak naprawdę, która historyjka dotyczy której z tych kategorii. Gdy zaniósła im rachunek, Cassie spytała:

-Co to znaczy, że nie mam przyszłości? Chodzi ci o to, że nie poślubię przystojnego bogacza i nie spędzę reszty moich dni w luksusie?

Kobiety parsknęły śmiechem, ponieważ w ich świątku takie rzeczy się nie zdarzały.

-Nie - powiedziała Andie spokojnie. - Nigdy nie będziesz bogata. Ale jeśli nie zaczniesz podejmować lepszych decyzji, skończysz splukana i będziesz jeść kocie żarcie z puszki, żeby tylko dożyć do końca miesiąca.

Grupka zamilkła, gdyż ton Andie nie był wcale żartobliwy.

- Lepsze decyzje? - Cassie nie pojęła. - Na przykład jakie?

- Andie! Zamówienie!

-Muszę lecieć - powiedziała, spiesząc się do kontuaru; lewe ramię bolało ją od noszenia ciężkich tac przez ostatnie pięć godzin, a do końca zmiany zostały jeszcze trzy. Nie miała też czasu nic zjeść, więc nie chciała tracić cennych minut na tłumaczenie Cassie, jak ma żyć. Cholera, ile trzeba mieć mózgu, żeby wiedzieć, że nie należy gzić się z każdym spotkanym na drodze - w przypadku Cassie dosłownie - facetem? Poza tym zirytowało ją, że dziewczyna poprosiła o „przepowiedzenie przyszłości”.

Andie nie przepowiadała przyszłości. Nie miała kryształowej kuli, nie potrafiła powiedzieć, gdzie szalony wujek Harry zakopał swoją kolekcję monet ani który koń wygra i w którym wyścigu. Gdyby potrafiła, obstawiałaby konie. Czasami miewała przecucie dotyczące jakiejś osoby, to wszystko. Ostrzegała czasem, żeby ktoś się tak nie spieszył po drodze do domu albo żeby sprawdził sobie poziom cholesterolu, tego typu sprawy. Ponieważ pracowała jako kelnerka, ciągle widywała ludzi, którzy własnym głupim zachowaniem ściągali sobie kłopoty na głowę. Jeżeli ostrzegła ich, a oni jej nie posłuchali, dlaczego tak strasznie się dziwili, kiedy faktycznie - o rany

julek! - wpadali w tarapaty? Przyczyna i skutek: robisz coś głupiego, dzieje się coś złego. Wielkie mi co.

W ciągu tych paru miesięcy, kiedy pracowała u Glenna, wszyscy uważali, że jest wróżką i nic, co mówiła, nikogo nie przekonywało. Żeby wywieść ich z błędu, mogłaby przestać ostrzegać. Lecz nie potrafiła z czystym sumieniem nic nie powiedzieć kierowcy, który siedział, objadając się smażonym żarciem, kiedy była całkiem pewna, że za parę tygodni dostanie zawału.

Poszperała w Internecie i sporo znalazła na temat życia po śmierci i doświadczeń śmierci klinicznej; kilka razy trafiła nawet na informacje o kimś, kto umarł, a przywrócony do życia wrócił, widząc przyszłość, i miał wizje. Jediną rzeczą podobną do wizji była ta sytuacja, kiedy zobaczyła, jak pielęgniarka Dina spada ze schodów; wtedy była jednak naćpana prochami przeciwbólowymi i może to jakoś wpłynęło na jej umysł. Co się tyczy przepowiadania przyszłości... czy to nie powinno dotyczyć wielkich spraw jak koniec świata, zamach bombowy z jedenastego września czy zabójstwo prezydenta? Nie miała podobnych doświadczeń.

Z drugiej strony, zdecydowanie wróciła do życia z iskierką czegoś, w drobnych kwestiach - dotyczących wszystkich wokół, nigdy jej samej. Co się tyczyło jej osoby, nie miewała żadnych przeczuć. Zmuszona była brnąć na oślep i czasami zdawało się jej, że nie wybiera najlepiej. Albo że przynajmniej wybiera najmniejsze zło. W ten sposób nie nabiera zbyt wielu punktów.

Na przykład te dwa miliony dolarów. Za żadne skarby nie potrafiła zdecydować, co ma z nimi zrobić. Odesłanie ich do Rafaela nie wchodziło w grę. Owszem, ukradła mu je, ale on zarobił je, handlując narkotykami, po czym przepuścił je przez maszynę do prania pieniędzy. Oddanie mu ich tylko umocniłoby jego pozycję w narkotykowym świecie.

Z drugiej strony nie mogła ich zatrzymać. Nie należały do niej. Część musiała wykorzystać, żeby przeżyć po tym, kiedy wypisali ją ze szpitala, bo choć przeszła kilkutygodniową rehabilitację, zanim doktor Meecham ją wypuścił, nie była w stanie choćby zacząć szukać pracy. Mogła już samodzielnie kąpać się i ubierać, miała siłę chodzić na krótkie spacerki, ale to wszystko. Zanim wydobrzała na tyle, żeby mogła poważnie myśleć o pracy, minęło wiele tygodni i kosztowało wiele fizycznego wysiłku, do którego zmuszała się, ignorując protest mięśni klatki piersiowej, które w ogóle nie miały ochoty współpracować.

Gnała ją potrzeba ucieczki, choć wcale nie czuła się ścigana przez prawo. W trudnej sytuacji pomogła jej umiejętność konfabulacji, dzięki której wprost przegalopowała przez rozmowę z detektywem Arronsem. Kiedy już zdecydowała się

na nazwisko - Pearson, w uczczeniu zasług przyjaznookiej pani Pearson z banku w Grissom - poszło z górki. W większości przypadków powiedziała prawdę. Samochód kupiła w New Jersey i nie zawracała sobie głowy rejestrowaniem go tam, bo wiedziała, że wyjedzie tego samego dnia. Chciała poczekać z występowaniem o tablice rejestracyjne w Kolorado, aż znajdzie miłe miejsce i osiadzie w nim, aż będzie miała stały adres zamieszkania.

Okej, to nie do końca prawda. Mógłby nękać ją dalej, gdyż nie miała także prawa jazdy, lecz wiele czynników wpłynęło na to, że odpuścił.

Po pierwsze, samochód nie był nigdzie zgłoszony jako skradziony. Po drugie, jeszcze pod działaniem narkotyków pytała o laptopa, lecz żaden komputer nigdy nie został odnaleziony. To otwierało drogę podejrzeniu, że ktoś buszował w jej rzeczach. Jakiś mężczyzna zadzwonił pod 911, lecz nikt nie czekał na miejscu zdarzenia na karetkę i policję, więc tenże niezidentyfikowany mężczyzna mógł ukraść jej dokumenty i sprzęt. Ponadto uczestniczyła w koszmarnym wypadku i to, że przeżyła, graniczyło z cudem, więc detektyw nie miał ochoty utrudniać jej życia. Kiedy już podała mu nazwisko, a pobieżne dochodzenie nie wykazało żadnych nakazów zatrzymania, uwierzył we wszystko.

Naprawdę przestraszyło ją to, że ktoś uregulował jej rachunek w szpitalu- oraz rachunek doktora Meechama. I anestezjologa, i radiologa, i każdego innego ologa, który się nią zajmował. Kiedy próbowała dowiedzieć się czegoś od doktora Meechama, ten tylko wzruszył ramionami.

- Płatności dokonano czekiem kasjerskim. Nie wiem, kto go przysłał. Koperta wyrzucona do śmieci, więc nie mogę ci nawet powiedzieć, skąd została nadana.

Andie podejrzewała, iż ktoś w porwywie serca miał taki gest po przeczytaniu artykułu o wypadku. Ale ta historia nigdy nie znalazła się na czołówkach gazet, najwyraźniej dlatego, że ofiara przeżyła i nie doznała amnezji. Nie było żadnego publicznego zbierania pieniędzy na jej rzecz i gdyby ktokolwiek o to spytał, powiedziałaaby, iż ma dość kasy, żeby opłacić szpitalne rachunki. Pieniędzmi Rafaela, rzecz jasna, ale tym się nie martwiła. Wiadomość, że wszystko jest już załatwione, spadła na nią jak grom z jasnego nieba.

Nie miała pojęcia, kto mógł być anonimowym darczyńcą, lecz obawiała się, że ta osoba - mężczyzna bądź kobieta - znali jej prawdziwą tożsamość. Instynkt podpowiadał, żeby jak najszybciej wynosiła się z Denver, tak więc też uczyniła.

Kupiła następny używany samochód i pojechała autostradą na północny wschód, w kierunku Nebraski, i zaraz za granicą stanu wymieniła go na inny. Przejechanie długiego dystansu było nie lada wyzwaniem, gdyż nadal łatwo się

męczyła, lecz parła naprzód, na wschód, dopóki nie dotarła do Kansas City. W tej okolicy krzyżują się trzy autostrady, dzięki czemu, gdyby chciała jechać dalej, mogła wybierać. Podobał się jej ten pomysł, ale jakoś - koniec końców - złapała pracę u Glenna. Wyłożyła kasę na nowe dokumenty na nazwisko Andrei Pearson, więc teraz miała już ważne prawo jazdy - no, na tyle ważne, na ile to możliwe przy fałszywym nazwisku. Czerwony ford explorer z 2003 roku był grzecznie zarejestrowany na nią; miała nawet ubezpieczenie i wszystko co trzeba.

Wynajęła połowę bliźniaka w zrujnowanej dzielnicy i naprawę utrzymywała się z tego, co zarobiła u Glenna. Spędziwszy większość życia na pogoni za maksimum luksusu, zdumiewająco dobrze czuła się w tym życiu, w trzech nie za dużych pokoikach, w domu o zapadniętym dachu. Przynajmniej mieszkańcy drugiej połowy nie byli ćpunami. Sama myśl o czasie, który spędziła z Rafaelem, sprawiała, że czuła się brudna.

Nadal jednak miała te dwa miliony, no, prawie. Leżały sobie grzecznie w banku. Zastanawiała się, czy nie wystawić potężnego czeku na cele charytatywne, tylko po to, żeby się ich pozbyć, ale jakoś nie mogła się do tego zmusić. A jeśli podjęcie niewłaściwą decyzję? Lecz co mogło być złego w przekazaniu pieniędzy organizacji charytatywnej, zresztą jak inaczej mogłaby rozporządzić całą tą kasą? Może wspomóc nią Amerykańskie Stowarzyszenie do Walki z Rakim albo szpital Świętego Judy. Istniało wiele wspaniałych organizacji, którym przydałyby się te pieniądze, lecz ona, mimo że często o tym myślała, nie potrafiła podjąć decyzji.

Coś jest z nią nie tak. Doktor Meecham dał jej kilka książek, z których dowiedziała się, że ludzie po operacji serca mają często problemy emocjonalne różnej natury. Jej przypadek był ekstremalny, powinna więc spodziewać się trudności w radzeniu sobie z rzeczywistością. Nie sprawiało jej kłopotu wstawanie rano, organizm dobrze znosił pracę fizyczną, mogła chodzić na zakupy i płacić rachunki, normalnie wykonywać codzienne czynności. Najchętniej spędzała czas, czytając książki z biblioteki, zwinięta na kanapie kupionej z drugiej ręki, owinięta w koc, który chronił ją przed koszmarną zimą środkowego zachodu. Decyzja, którą książkę ma wypożyczyć, była i tak trudna do podjęcia.

Kiedy skończyła zmianę w barze Glenna i brnęła przez śnieg, pomyślała, że źle się stało, że nie pojechała dalej na południe, ale, cholera, zima wkrótce się skończy.

Wiosna może i była blisko, lecz śnieg ciągle padał. Kłębiące się tumany sporych chmur na nocnym niebie zapowiadały więcej śniegu. Naciągnęła grubego wełniany szalik na głowę i zawinęła końce wokół szyi, żeby chronić się przed lodowatym wiatrem. Pochyliła głowę i dalej brnęła przez zaspy w stronę czerwonego explorera.

- Hej, Andie!

Rozpoznała Cassie, która właśnie wysiadała z kabiny swojego peter-bit. Ogromny silnik Diesla nadal pracował - zapalenie zimnego diesla w taką pogodę nie jest proste. Bez względu na koszt paliwa uruchamianie ciężarówki po kablach nie opłacało się, potem trzeba było wliczyć czas, który się straciło, jakoś go nadrobić podczas kursu... dlatego właśnie wszystkie ciężarówki stały tu z pracującymi silnikami.

Andie jęknęła w duchu. Nie chciała wdawać się w rozmowę o przyszłości Cassie, czy też jej braku, lecz jeśli nie chciała zwyczajnie odejść, nie miała wielkiego pola manewru. Właściwie to nawet lubiła Cassie, więc zatrzymała się i zaczęła na nią.

Cassie poślizgnęła się nieco na lodzie, ale zaraz podeszła do Andie.

- Chodź, odprowadzę cię do samochodu - powiedziała. - Gdzie zaparkowałaś?

- Tam. - Andie wskazała na wysypany żwirem parking, nieco z boku, żeby samochody pracowników nie przeszkadzały wielkim ciężarówkom wjeżdżającym na postój.

- Widziałam, jak jakiś facet obserwuje cię z okna. - Cassie zniżyła głos tak, żeby nikt inny nie mógł jej usłyszeć.

Andie zatrzymała się gwałtownie i poczuła, że serce ruszyło z kopyta.

-Facet? Jaki facet?

-Idź dalej - odparła Cassie spokojnie. - Teraz go nie widzę, ale pomyślałam, że dopilnuję, żebyś bez problemu wsiadła do samochodu.

Ktoś, kogo ledwie znała, poświęcił swój czas, by dopilnować, żeby nic się jej nie stało.

-Podwożę cię do ciężarówki - zdołała wykrztusić. - W ten sposób tobie też nic nie będzie grozić.

Cassie uśmiechnęła się do niej. Była wysoką kobietą, szczupłą i muskularną, i choć zmieniła pantofle na obcasach na śniegowce, i tak górowała nad Andie o dobre piętnaście centymetrów.

-My kobitki, musimy trzymać się razem, skarbie. I nie mówię tego po to, żeby cię poderwać.

Andie parsknęła śmiechem. Dostatecznie często obserwowała Cassie w akcji, dziewczynki naprawdę jej nie interesowały.

-Jak wyglądał? Ten facet? Jesteś pewna, że to mnie obserwował?

-Jasne. Obserwował cię przez dobre pięć minut, łażąc w tę i we w tę. A jeśli idzie o wygląd... - Cassie się zastanowiła. - Wysoki, w dobrej formie, ale miał na sobie

grubą kurtkę z kapturem, więc nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Ale nawet w tej kurtce wydawał się raczej szczupły.

Większość kierowców ciężarówek nie była w „dobrej formie”, lecz przyjeżdżało ich tu tylu, że jeszcze jeden mężczyzna kręcący się po parkingu nikogo by nie zdziwił. W ciągu czterech miesięcy, które tu przepracowała, Andie widziała pewnie setkę takich, którzy pasowaliby do tego opisu. Żaden z nich nie stałby jednak na śniegu, obserwując ją przez okno; wszedłby do środka, zamówił kawę i, jeżeli byłby zainteresowany, spróbował z nią porozmawiać.

Dreszcz, który nie miał nic wspólnego z pogodą, przebiegł jej po plecach. Niejasne, niemiłe przeczucie, które towarzyszyło Andie od Denver, mówiło, że ktoś podąża jej tropem. Ale kto i dlaczego? Umarła. Z wyjątkiem faktycznego rozstania się z życiem i bycia pochowaną, czego potrzebowała, żeby pozbyć się jego z karku?

Czy to mógł być on? A niby kto inny?

Ktoś wiedział, kim jest i gdzie jest.

Rozdział 23

Uciekasz przed kimś, prawda? - spytała Cassie, kiedy doszły do explorera. - Wiesz, kim jest ten facet?

- Boże, mam nadzieję, że nie - mruknęła Andie. Odblokowała i otworzyła drzwi. Światło wewnątrz samochodu zapaliło się i wspólnie sprawdziły nie tylko, co kryje się na tylnym siedzeniu, ale i w bagażniku samochodu. - Myślałam, że udało mi się go zgubić.

- W dzisiejszych czasach, słonko, trudno jest pozbyć się kogoś, kto ma motywację, żeby cię odnaleźć. Jeśli zna twój numer ubezpieczenia, znajdzie cię wszędzie.

- Nie zna - odparła Andie, tego jednego pewna. Mógł znać jej stary numer, ale nie było takiej możliwości, żeby znał nowy. Poza tym Glenn nie składał zeznań podatkowych dotyczących jej zarobków, więc nawet gdyby posługiwała się starym

numerem, nikt nigdzie by go nie znalazł. Obeszła samochód, wypatrując odcisków butów w śniegu wokół lub pod jej exploerem.

- Nie zapominaj o rachunkach telefonicznych - ciągnęła Cassie. - Jeśli dzwonisz do domu, może wejść w dane numeru twoich rodziców i w ten sposób cię wysledzić.

- Nie mam żadnej rodziny. Nie dzwoniłam do żadnych starych znajomych. - Nie żeby miała jakichś, no, może z czasów gimnazjum. Kiedy straciła dziecko, odwróciła się plecami do wszystkich emocjonalnych związków, jakie kiedykolwiek zadzierzgnęła, bo już nigdy więcej nie chciała nic czuć. Chciała tylko zapomnieć, odejść i nigdy nie oglądać się za siebie, bo oglądając się, musiałaby pamiętać ten porażający ból. Nie zniosłaby tego drugi raz, już nigdy.

Śnieg wokół forda był nienaruszony. Usiadła za kierownicą, a Cassie przebrnęła przez zaspę i usadowiła się w fotelu z drugiej strony

- Może masz jakiegoś wielbiciela - zagadnęła. - Nikt z tobą nie flirtował?

- A kto miałby czas zwracać uwagę na facetów? Cały czas gonimy pełną parą. Jeśli nikt mnie nie szczypie albo nie poklepuje po siedzeniu, nawet nie patrzę im w oczy.

- Tak, zauważyłam, jak „patrzysz im w oczy”. Zdawało mi się, że ten gnojek zaraz zemdleje. Co mu powiedziałaś?

Wiedziała doskonale, o czym Cassie mówi, bo wtedy jej głos i spojrzenie musiały wręcz telegraficznie zakomunikować kierowcy, że ma trzymać łapy przy sobie; zrobił się błądy jak ściana.

- Powiedziałam mu, że jeśli jeszcze raz mnie dotknie, wbiję mu widelec w jajka.

Stara Andie - Drea - Andrea... cholera, sama już nie wiedziała, kim jest... udawałaby, że nie zauważa klapsa czy uszczyknięcia. Byłaby słodka, może trochę nieobecna duchem, nie powodowałaby żadnych problemów, ale w środku aż gotowałoby się ze złości i pogardy, o której nikt nie miałby pojęcia. Teraz nie potrafiła już grać słodkiej idiotki. Wiele lat temu zagrzebała głęboko swój ognisty temperament, lecz w ciągu ostatnich paru miesięcy wy dostał się na powierzchnię.

Cassie odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

- Dziwię się, że nie powiedział Glennowi.

- Powiedział. Glenn odparł, że ma trzymać pieprzone łapska przy sobie albo ktoś mu przewentyluje jajka. - Andie uśmiechnęła się na to wspomnienie. To właśnie najbardziej się jej podobało w Glennie. Niektórzy faceci byliby takimi świniami, że kazaliby kelnerce trzymać gębę na kłódkę, bo nie chcieliby tracić dobrych klientów; ale nie Glenn. Jedna z jego córek zarabiała na studia, pracując w restauracji, więc miał inne pojęcie na temat tego, co kelnerki muszą czasem znosić.

Kiedy Andie ostrożnie prowadziła forda wzdłuż długiego korowodu mruczących ciężarówek, Cassie odkaszlnęła cicho i spytała z wahaniem:

-To, co powiedziałaś o podejmowaniu lepszych decyzji? O co ci konkretnie chodziło?

- O drobne sprawy. Może zamiast kupować rzucającą się w oczy bransoletkę, zainwestuj te pieniądze w konto oszczędnościowe albo w płytę CD. - Cassie lubiła biżuterię. Nie miała nic bardzo drogiego, prawdopodobnie nie zapłaciła za nic więcej niż kilkaset dolarów, ale miała mnóstwo świecidełek.

- Nie wydaję aż tak dużo... - zaczęła Cassie.

Andie stanęła przed jej ciężarówką i wrzuciła bieg „parkuj”.

-Ziarnko do ziarnka - odparła. Okiem eksperta obrzuciła to, co mogła dostrzec: kolczyki, kilka pierścionków, cztery czy pięć bransoletek. - To, co masz w tej chwili na sobie, kosztowało cię pewnie około trzech tysięcy dolarów. Powinnaś zacząć oszczędzać i zainwestować pieniądze w jakiś sposób.

Cassie zmarszczyła nos.

- Boże, to takie nudne.

- Tak, wiem - przytaknęła Andie. - Nudne i trudne, to zazwyczaj oznaki, że jesteś na właściwym kursie.

- Nic mi nie będzie. Nieźle zarabiam.

Cassie zbywała to, co słyszała, i zazwyczaj Andie postąpiłaby tak samo: darowałaby sobie. Ale Cassie zrobiła dziś dla niej coś dobrego, za co wypadało się odwdzięczyć.

- Jeden wypadek wystarczy, żeby cię rozłożyć - powiedziała, a jej głos nagle zabrzmiał głucho. - Odniesiesz obrażenia, nie będziesz mogła pracować przez pół roku. Masz ubezpieczenie na ciężarówkę, ale nie będziesz w stanie zarabiać i stracisz dom. Potem będzie już tylko gorzej. Wcale nie żartowałam o tym kocim żarcu.

Cassie zamarła z dłonią na klamce. W blasku deski rozdzielczej jej twarz wyglądała staro; co więcej, widać było na niej strach.

-Ty coś widzisz. Ty naprawdę coś widzisz, prawda?

Andie nie zamierzała wdawać się w rozmowę o tym, więc tylko machnęła ręką. To, co powiedziała, mogło wynikać ze zdrowego rozsądku.

- Jeszcze jedno: powinnaś zacząć bardziej się szanować i przestać zadawać z darmożjadami. Jeden z nich zarazi cię chorobą weneryczną. - Obróciła się twarzą do niej. - Jesteś inteligentna. Masz dobrą pracę. Powinnaś zachowywać się tak, żeby to podkreślać, nie przekreślać. Zaufaj mi, znam się na przekreślaniu życia.

- Czy to ma związek z tym facetem, który cię śledzi?

- Tak, on zajmuje pierwsze miejsce na liście głupich rzeczy w moim życiu. - Chodzący dowód jej głupoty. Choć był płatnym zabójcą i bez wątplenia zastrzeliłby ją, gdyby nie ułatwiła mu życia i nie rozwalila samochodu, w nieoczekiwanych momentach wracało do niej wspomnienie tego popołudnia, które z nim spędziła, i ból omal nie powalał jej na kolana. Była głupia, bo poszłaby za nim na koniec świata, gdyby tylko powiedział jedno słowo. Była głupia, bo nawet teraz przerażenie mieszało się w niej z tęsknotą, ściskającą serce.

Nie była jednak dość głupia, by wierzyć, że gdyby ją znowu znalazł, jeszcze raz darowałby jej życie. Roześmiała się z ulgą.

- To nie był on. Ten, który mnie obserwował.

Cassie uniosła brwi.

- Taak? A skąd wiesz?

- Bo jeszcze żyję. - Uśmiechnęła się cierpko na myśl o własnym przerażeniu. Gdyby ją odnalazł, nie przeżyłaby marszu przez parking, bez względu na to, czy Cassie jej towarzyszyła, czy nie.

- Jasny gwint! Chcesz powiedzieć, że on chce cię zabić?! - Oczy Cassie zrobiły się okrągłe, a głos piskliwy.

- Tym się zajmuje i jest w tym bardzo dobry. Wkurzyłam bardzo złych ludzi - dodała tytułem wyjaśnienia.

- Jasny gwint! No, ja myślę, skoro chcą cię zabić. I mówisz, że to ja podejmuję głupie decyzje?

- Już ci powiedziałam, że jestem w tym ekspertem. - Zabębniła palcami po kierownicy, czując nagłą potrzebę zwierzenia się Cassie, właściwie komukolwiek. Była sama, odkąd skończyła piętnaście lat, nie fizycznie sama, lecz emocjonalnie odizolowana od świata; poza doktorem Meechamem nikt nie wiedział o jej doświadczeniu ze śmiercią. Z drugiej strony nie mogła mówić o tym otwarcie, nie chciała robić publicznie striptizu; nie chciała, żeby wszyscy wiedzieli, co się jej przytrafiło. Poszła na kompromis: - Jakiś czas temu przeżyłam śmierć kliniczną. Powiedzmy, że zobaczyłam światło w tunelu...

- Śmierć kliniczną? Chodzi o ten cały interes z tunelem, zmarłymi krewnymi i przyjaciółmi, którzy wychodzą cię powitać, taki rodzaj śmierci klinicznej? - Ton Cassie sugerował, że jest ciekawa, chętna uwierzyć, że Andie jakoś daje jej nadzieję.

Andie nagle zrozumiała, że większość ludzi pragnie jakiegoś dowodu, że śmierć to nie koniec, że jakoś mogą trwać dalej. Chcieli wierzyć, że ich ukochani nadal mają się dobrze, że żyją w jakimś innym miejscu. Może i w to nie wierzą, może

odrzucają wszystko, czego nie można usłyszeć, dotknąć lub zobaczyć, ale z jakim utęsknieniem czekają na kogoś, kto ich przekona, że są w błędzie. Ona nie mogła nic udowodnić; mogła opowiedzieć, co widziała, czego doświadczyła, ale udowodnić? Niemożliwe.

- Nie widziałam tunelu. - Cassie posmutniała, a Andie nie potrafiła opanować uśmiechu. - Ale było tam światło, najpiękniejsze światło, jakie można sobie wyobrazić. Nie potrafię tego opisać. I był tam... anioł. Zdaje mi się, że to był anioł. Znalazłam się w najcudowniejszym miejscu, jakie kiedykolwiek widziałam. Światło jasne i delikatne, jak gdyby rozproszone, kojące - mówiła z rozmarzeniem - i bogactwo kolorów przepięknych kwiatów; chciałam tylko położyć się na trawie i chłonąć to wszystko. - Umilkła, oddając się wspomnieniom. Potem powiedziała już pewnym głosem: - Chcę tam wrócić. I zrozumiałam, że aby mieć na to szansę, muszę się zmienić.

- Ale ty już tam byłaś - wytknęła jej zdumiona Cassie. - Dlaczego miałabyś się zmienić?

- Bo trafiłam tam przez pomyłkę, na chwilę. Nie zdążyłam wszystkiego... przemyśleć. Potem głosowali, czy dać mi jeszcze jedną szansę. Jeśli spierniczę tę, którą mi dali, to koniec.

- O rany. To strasznie głębokie. - Cassie westchnęła ciężko; może myślała o swoim życiu i dokonaniu w nim zmian. Położyła dłoń na kłamce drzwi. - To zmusza człowieka do zastanowienia się, co? - Zawahała się przez moment, pokręciła głową, po czym otworzyła drzwi. - Mogłabym zagadać cię na śmierć, zasypać pytaniami, ale muszę wracać do domu. Uważaj na siebie. Bez względu na to, czy ten facet, którego widziałam, śledzi cię, czy nie, powinnaś być ostrożna, bo on naprawdę ciebie obserwował. Jestem pewna. To było upiorne.

- Będę uważać - zapewniła ją Andie i mówiła poważnie. Dać się znowu zabić nie jest jedyną złą rzeczą, jaka może się komuś przytrafić. Nie bała się już śmierci, ale nie wiedziała, czy dość się zmieniła, czy dość punktów zebrała, czy co tam było trzeba... Nie chciała jednak dać się zgwałcić ani obrabować, ani nic podobnego, więc jasne, że będzie uważać.

Po tym, jak Cassie wysiadła, Andie zaczekała, aż wraz z nowym potencjalnym przyjacielem wsiądzie do kabiny ciężarówki. Potem pojechała do domu. Postawiona w stan gotowości obserwowała, czy nikt za nią nie jedzie. Był śnieżny piątkowy wieczór i przez większą część podróży nie widziała nikogo w lusterku.

Kiedy dotarła do domu adrenalinowy haj już ją opuścił i ziewała ze zmęczenia. Światło na ganku paliło się tak, jak je zostawiła: ciepły, żółty krag światła w

lodowatej ciemności. Na rogu ulicy stała latarnia, lecz drzewa rosnące przy chodniku blokowały jej światło, a Andie nie zносиła wracać do domu w mroku. Zawsze zostawiała też małą lampkę w pokoju, żeby wydawało się, że ktoś jest w środku.

Bliźniak nie miał garażu, ani nawet miejsca parkingowego, więc zostawiała samochód przy ganku. Naciągnęła czapkę na uszy, zacisnęła szalik i wysiadła z forda. Śnieg natychmiast wpadł jej do butów; było go tu znacznie więcej niż na autostradzie, gdzie ciągle rozjeżdżały go ciężarówki ryczące w mrokach nocy. Westchnęła, kiedy lodowata wilgoć dosięgła jej stóp, otworzyła drzwi i weszła do ciepłego, obskurnego sanktuarium.

Dotarła bezpiecznie do domu. Ze swego miejsca na ulicy Simon obserwował, jak wchodzi do środka. Czekał tu od chwili, kiedy ta kobieta z ciężarówki zobaczyła go na zewnątrz restauracji. Nie przyjrzała mu się zbyt dobrze, poza tym miał kaptur na głowie i postawiony kołnierz grubej kurtki, ale i tak postanowił się zmyć.

Pilnował Drei - teraz kazała nazywać się Andie - odkąd wyszła ze szpitala. Zrobił, co mógł, zapłacił jej rachunki i przez jakiś czas trzymał się blisko na wypadek, gdyby potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, lecz wyłącznie jakaś koszmarna sytuacja zmusiłaby go do ujawnienia się. Za bardzo się go bała; nie potrafił przewidzieć, co może zrobić na jego widok.

Kiedy wyjechała z Denver, podążył jej śladem. Potem skontaktowała się z kimś, żeby wyrobić sobie nowe dokumenty, a on przetarł jej szlaki - po pierwsze, dzięki temu miał już jej wszystkie nowe dane, włącznie z numerem ubezpieczenia, a po drugie dlatego, że nie podobał mu się drań, do którego poszła. Dopilnował, żeby jej nie oszukał i żeby wiedział, że Andie ma opiekuna.

Kupiła też nowy telefon komórkowy i jedynym ryzykiem, jakie podjął, było włamanie się do jej mieszkania i zainstalowanie lokalizatora GPS w jej telefonie. Założył też jeden z explorerze, lecz prędzej wymieni samochód niż telefon.

Potem właściwie zostawił ją w spokoju. Raz na miesiąc sprawdzał, czy wszystko u niej w porządku i trzymał ucho przy ziemi, na wypadek gdyby jakimś cudem Salinas dowiedział się, że dziewczyna żyje. To wszystko.

Włączył silnik i niespiesznie odjechał. Nawet jeśli to usłyszała, minęło dostatecznie dużo czasu, żeby nie przyszło jej do głowy, że ktoś siedział w samochodzie na ulicy, kiedy ona podjeżdżała do domu.

Wyglądała dobrze, znacznie lepiej niż kilka miesięcy temu. Kiedy wypisali ją ze szpitala, była w kiepskim stanie, wychudzona i blada jak ściana, ledwie opanował

pokusę, żeby zgarnąć ją z ulicy tylko po to, żeby sama nie prowadziła samochodu. Na początku zdołała jechać zaledwie przez pół godziny, potem stawała na odpoczynek w najbliższym motelu. Przebywała tam dzień lub dłużej, zanim ruszała dalej, co sprawiało, że martwił się, czy cokolwiek je w tym czasie.

Kilka razy rozważał, czy nie zamówić pizzy do jej pokoju, ale to by Andie na pewno przeraziło. Trzymał się z daleka i czekał, mając nadzieję, że już niedługo dotrze do celu swej podróży i znajdzie stałe miejsce, zanim siły kompletnie ją opuszczą.

Dotarła do Kansas City; nie miał pojęcia, czy planowała tu właśnie osiąść, czy też dojechała tu, chciała tylko odpocząć chwilę, lecz ostatecznie postanowiła zostać na dobre. Kiedy wynajęła mały, obskurny bliźniak, odetchnął z ulgą.

Przybrała na wadze i wyglądała dobrze; ważyła więcej niż w Nowym Jorku, ale wtedy uważał, że jest za szczupła. Schudła jeszcze po wypadku, a nie była to strata, na którą mogła sobie pozwolić. Obserwował ją w pracy i wiedział, że tempo jest zabójcze, lecz musiała jeść wystarczająco dużo, bo na ramionach uwidoczniły się mięśnie, które wyrobiła sobie, dźwigając cały dzień ciężkie tace.

Miała dwa miliony dolarów w banku w Grissom, a jednak mieszkała w okolicy, która ledwie kwalifikowała się na coś więcej niż slumsy. Pracowała jako kelnerka w knajpie dla kierowców ciężarówek. Ironia polegała na tym, że wiedział, dlaczego tak robi: wiedział, dlaczego nie chce tknąć tej kasy.

Salinas ponownie się z nim skontaktował, więc podejrzewał, że nadszedł czas na kolejny ruch, który zaplanował w swym kryminalnym światku. Nie odpowiedział na jego wezwanie. Od siedmiu miesięcy nie podjął się ani jednego zlecenia, choć czasem zastanawiał się, czy nie jest mu pisany jeszcze jeden strzał: wkurzało go, że Salinas nadal oddycha.

Będzie się musiał nad tym zastanowić. W tym czasie wszystko w Kansas City było okej.

Rozdział 24

Czy psie jedzenie jest niezdrowe dla dzieci?

Andie zatrzymała się jak wryta i popatrzyła na dwie kobiety siedzące przy stoliku. Obie były młode, ubrane w dżinsy i swetry, z włosami ściągniętymi w kucyk, z niemalże identycznymi minami, jakie mają osoby zagonione, robiące wszystko w pośpiechu. Zupełnie nie były do siebie podobne, lecz znajdowały się w takiej samej sytuacji: młode matki, kilkoro dzieci, niemożliwy natłok zajęć w ciągu dnia. To, że siedziały u Glenna o trzeciej po południu, we wtorek, znaczyło, że właśnie zdołały wydrzeć odrobinę czasu dla siebie, podczas gdy ich pociechy spędzały czas w przedszkolu lub u babci.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - powiedziała Andie, bezwstydnie podsłuchując. Kelnerki słyszały w przelocie mnóstwo interesujących informacji, lecz ta ją rozśmieszyła.

Jedna z kobiet wzięła frytkę, zanurzyła ją w keczupie i westchnęła ciężko.

- Mój najmłodszy ma rok. Odkąd zaczął chodzić, za każdym razem kiedy karmię psa, przybiega i próbuje wyjeść mu jedzenie. Nie pozwalam, ale wystarczy, że się odwrócę, a on znowu siedzi przy misce. Naprawdę lubi iamy - zakończyła bezradnie.

- Przynajmniej to nie najtańsza marka - odparła druga, wzruszając ramionami.
- Moje dzieci jedzą ziemię. Ciesz się z tego, co masz.

Śmiejąc się w głos, Andie poszła dalej do kontuaru objuczona brudnymi talerzami i sztućcami. Telewizor zawieszony na ścianie miał wyłączony dźwięk, lecz kiedy ich mijiała, jeden z kierowców siedzących przydługim barze powiedział:

- Hej! Pogłośnij telewizor. Właśnie leci prognoza pogody.

Przenosząc ciężar tacy na biodro, Andie podniosła pilota od telewizora i nacisnęła guzik. W tym samym momencie głos jednego z lokalnych meteorologów wypełnił pomieszczenie i rozmowy ucichły, kiedy wszyscy odwrócili się, żeby spojrzeć na ekran.

- Stacja pogodowa wydała ostrzeżenie przed tornado dla następujących hrabstw we wschodnim Kansas... Ma ono trwać do dziewiątej. Ostrzeżenie dotyczy także obszaru Kansas City. Dynamika tej nawałnicy jest naprawdę imponująca...

Zabrała tacę do okienka w ścianie, gdzie kelnerki zostawiały brudne naczynia, które potem zbierał personel kuchenny. Kiedy mieszkała w Nowym Jorku, pojęcie ostrzeżenia przed tornado było jej obce, lecz odkąd wróciła na środkowy zachód, cały ten rytuał szybko stał się tak znajomy, jak gdyby nigdy nie wyjechała. Wiosna przyszła, długo wyczekiwana, przynosząc dłuższe dni i ulgę ciepła po gryzącym chłódzie i wyjąłym wietrze, jednakże wiosenna pogoda bywała zmienna: ciepło

jednego dnia, zimno następnego, a chmury goniły się po niebie w tę i z powrotem. W zeszłym tygodniu znowu nagle spadło siedem centymetrów śniegu. Teraz powietrze było ciepłe i wilgotne, a ciemne burzowe chmury kłębiły się na horyzoncie.

Baczne obserwowanie pogody leżało w naturze wszystkich mieszkańców środkowego zachodu i południa.

- Ostrzeżenie przed tornado aż do dziewiątej - zaśpiewała w kierunku załogi w kuchni.

- Boże - mruknęła inna kelnerka, Denise, po czym wytarła ręce i sięgnęła po telefon komórkowy. - Joshua miał spędzić wieczór z jednym ze swoich kumpli. Lepiej upewnij się, że wpuścił koty do domu.

- Kotom nic nie będzie - odparła Andie bez namysłu. - Lepiej przypomnij mu, żeby wyłączył piec.

- Piec? Joshua nie gotuje... Och! - Oczy się jej zaokrągliły, kiedy dostrzegła, że Andie jak gdyby wyłączyła się, a to stanowiło nieomylny sygnał, który nauczyli się rozpoznawać. Cassie wygadała sekret i opowiedziała swoim kumpelkom o doświadczeniu Andie, a niektóre z nich zapytały o to koleżanki Andie. I choć wcześniej większość z nich respektowała niejako paranormalne zdolności Andie, teraz święcie wierzyły w każde jej słowo.

Denise gwałtownie nacisnęła przycisk na telefonie.

-Poczta głosowa! - mruknęła z poirytowaniem. Zamiast zostawić wiadomość, napisała synowi SMS; nastolatki nie potrafią powstrzymać się od ich czytania, podczas gdy z łatwością ignorują pocztę głosową.

Telefon Denise zadzwonił dwie minuty później.

- Nie, nie mam w domu ukrytej kamery - powiedziała po wysłuchaniu wściekłego nastolatka, który piał tak głośno, że Andie, stojąc trzy metry dalej, słyszała go świetnie. - Ale to doskonały pomysł, dziękuję, że mi podpowiedziałeś. Maszeruj natychmiast to domu i upewnij się, czy piec jest wyłączony, słyszysz? Natychmiast! Joshua, jeśli piśniesz choć jedno słowo, nie tylko wrócisz do domu, ale też w nim zostaniesz! Zrozumiano? Możesz powiedzieć „tak”. - Mrugnęła porozumiewawczo do Andie. - Dzięki. Teraz sądzi, że albo wszędzie mam kamery, albo zdolności telepatyczne. Tak czy inaczej, zastanowi się dwa razy, zanim zrobi coś, czego nie powinien robić.

- Cieszę się, że mogłam pomóc.

Z pewnym zdumieniem Andie uzmysłowiła sobie, że naprawdę dobrze się z tym czuje. Lubiła pomagać innym w niewielkich problemach, choć zapobieżenie

pożarowi, który mógłby strawić cały dom Denise, pewnie nie kwalifikowało się jako „niewielki problem”, nie dla Denise.

Podobało się jej, że pracuje, żeby zarobić na życie. Fizycznie też czuła się świetnie i to nie tylko jak na kogoś, kto został nadziany na drzewo i umarł, lecz w ogóle lepiej niż czuła się od lat. Miała sporo ruchu, dużojadła i świetnie spała. Gdyby jeszcze tylko znalazła sposób na wykorzystanie tych dwóch milionów na własne cele, życie byłoby lepsze, ale sumienie jej nie pozwalało.

Ktokolwiek powiedział, że pieniądze są źródłem zła, mylił się. Pieniądze są okej; pieniądze są dobre. Lepiej jest je mieć, niż nie mieć. Zło bierze się z wnętrza człowieka, nie z pieniędzy. Jakżeby chciała wykorzystać przynajmniej część tych dwóch milionów, kupić sobie ładny dom i dobry samochód. Lecz za każdym razem, kiedy już prawie przekonała samą siebie do tego pomysłu, jakiś cholerny głosik wewnątrz mówił: „Nie, nie da rady”.

Pieniądze leżały więc na koncie i każdego dnia kusily ją; wiedziała, że musi się ich pozbyć, zanim nadejdzie ten moment słabości, kiedy wewnętrzny, cholerny głosik będzie miał przerwę na kawę czy co tam. Jakże chciała, żeby tym jednym, jedynym razem zrobienie tego, na co miała ochotę, i zrobienie czegoś dobrego były jednym i tym samym.

Ach, trudno. Nadal miała biżuterię, a tej nie ukradła, więc sprzedanie jej i wykorzystanie tych pieniędzy nie powinno stanowić problemu. Kwota oczywiście nie sięgnie dwóch milionów, ale mimo to zapewni poczucie bezpieczeństwa - chyba że wewnętrzny głos podpowie, żeby zwróciła to, co wcześniej wydała z tych dwóch milionów. Czasem człowiekowi brak szczęścia. Dobre postępowanie wcale nie jest łatwe.

Około piątej po niebie przetoczyła się burza; zazwyczaj była to pora wzmożonego ruchu, gdyż ludzie wracali z pracy, lecz teraz kurtyny deszczu trzymały wszystkich w samochodach, które sunęły wolniutko po autostradzie i bocznych uliczkach. Zatrzymanie się i przeczekać mogłoby być lepszym wyjściem, ale nikt nie chciał wysiąść i przemoknąć. Klienci, którzy już byli w środku, siedzieli i nie ruszali się z miejsca, dopijali resztki kawy albo decydowali się na kolejny kawałek ciasta. Nowych gości nie przybywało. Ogólnie rzecz biorąc, zarówno pracownicy kuchni, jak kelnerki, wszyscy mieli czas, żeby odetchnąć.

Burza za burzą przetaczała się nad miasteczkiem i choć tornado ich ominęło w ostatniej chwili, gromy i błyskawice naprawdę robiły wrażenie. Potężne zygzaki światła przecinały niebo, a na parkingu niesione wiatrem śmieci latały niczym

pociski. Andie zawsze lubiła burzę, więc kiedy tylko mogła, podchodziła do okna i wyglądała na zewnątrz.

Z nadejściem zmroku pogoda uspokoiła się nieco, deszcz ustawał, a ruch w restauracji się wzmógł. Matka natura nie zakończyła jeszcze pokazu fajerwerków: ostatnia armia burz przemaszerowała dramatycznie nad okolicą, choć te nie były już tak imponujące. Jedna wyjątkowo jasna i długa błyskawica rozświetliła niebo i Andie automatycznie wyjrzała przez okno.

Gdyby ten mężczyzna szedł w stronę restauracji, nie zwróciłaby na niego uwagi. Ale on po prostu stał, jak głaz, gdy wokół szalała nawałnica. Nie mogła rozpoznać rysów jego twarzy, gdyż miał na sobie długi płaszcz przeciwdeszczowy i był tylko mrocznym cieniem, lecz mimo to poczuła skurcz w żołądku. Wstrzymała oddech i wiedziała już. Tak reagowała tylko na jednego mężczyznę. Jednego na świecie.

Zmusiła się do odwrócenia od okna, jakby nie dostrzegła nic nadzwyczajnego. Chciała uciec z wrzaskiem, lecz pamiętała, co się stało ostatnim razem, kiedy wpadła w panikę.

Stał tam i tylko patrzył, jak mówiła jej Cassie przed miesiącem o człowieku, którego wtedy widziała. A więc już wtedy ją obserwował. Od jak dawna wie, gdzie mieszka? Przynajmniej od miesiąca, tego była pewna. Na co więc czeka? Dlaczego nie zrobił jeszcze żadnego ruchu?

Nie potrafiła tego zrozumieć. Może bawi się nią? Jak kot z myszą. Może gra w jakąś dziwną grę, czekając, jak długo zajmie jej wypatrzenie go. Gdyby zaczęła uciekać, rzuciłby się na nią.

Kiedy następna błyskawica przecięła niebo, nie potrafiła powstrzymać się i spojrzała na parking, lecz ciemna postać zniknęła. Nikt nie stał w deszczu, nikt jej nie obserwował, nikt nie prowokował błyskawic, żeby go trafiły. Prawie mogłaby pomyśleć, że wszystko się jej przywidziało - prawie, gdyby nie to, że Cassie także go widziała i gdyby nie to, że nerwy miała napięte i ściśnięty żołądek.

Zmusiła się do zbierania zamówień, napełniania szklanek i filiżanek, sprzątanania okruszków. Cały czas zastanawiała się, co może oznaczać jego obecność? Stawiła czoła paru faktom, których unikała od ostatnich ośmiu miesięcy.

Kiedy jej zmiana dobiegła końca, odszukała Glenna, który pracował dłużej niż ktokolwiek inny. Trudno jest znaleźć dobrego kucharza, a Glenn nie chciał zatrudnić byle kogo. Miał zbyt wielu klientów, na których mu zależało. Jeśli nie dawał rady zatrudnić dwóch kucharzy, którzy sprostałyby jego wymaganiom, sam pracował na dwie zmiany.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Andie ściągnęła fartuszek i wrzuciła do kosza z praniem. - Na osobności. Możesz poświęcić mi chwilę?

- Czy wyglądam, jakbym mógł poświęcić chwilę? - burknął, a jego mięsista twarz lśniła od potu. Rzucił okiem eksperta na dwie karteczki z zamówieniami przypięte do sznurka przed nim. - To zajmie mi tylko minutę, poczekaj na mnie w biurze.

Poszła do biura i opadła na krzesło. Jaka ulga, gdy waga całego ciała już nie przygniata stóp. Wyciągnęła nogi i odgięła stopy tak mocno w tył jak tylko mogła i poczuła, jak ściągną Achillesa najpierw napinają się, a potem rozluźniają. Pokręciła stopami w kostkach, potem rozluźniła mięśnie barku i pomasowała kark. Boże, była zmęczona; miała dość uciekania, dość oglądania się przez ramię. Istniał tylko jeden sposób, żeby się od tego uwolnić.

Glenn wszedł pospiesznie do biura i zamknął drzwi.

- Okej, o co chodzi?

- Zauważyłam na parkingu takiego jednego gościa - zaczęła historię od środka. - Śledzi mnie prawie od roku i teraz znów mnie znalazł. Muszę wyjechać.

Glenn poczerwieniał.

- Pokaż mi faceta, a ja już nim się zajmę - warknął.

- Nie możesz mnie przed nim obronić - odparła łagodnie. - Nie sądzę, żeby nawet dwudziestoczwierogodzinna ochrona zdołała go powstrzymać. Jedyne, co mogę zrobić, to starać się wyprzedzić go o krok.

- Zgłosiłaś to na policję?

- Wiesz, że zakaz zbliżania się nie jest wart papieru, na którym go drukują - powiedziała ironicznie. - Nawet gdyby go złamał, a gliny by go na tym złapały, jest to drobne wykroczenie, czy coś takiego. Nie znam właściwego terminu. Zakaz zbliżania się jeszcze nigdy nie powstrzymał nikogo, kto chce zrobić innemu krzywdę.

Przetrawił w milczeniu to, co powiedziała, i chcąc nie chcąc, przyznał jej rację.

- Cholera, nie chcę cię stracić. Zrobiła się z ciebie niezła kelnerka. Dostarczasz tu też niejakej rozrywki. Wiesz, dokąd chcesz jechać?

Andie przez chwilę nie potrafiła pogodzić się z myślą, że dostarcza innym rozrywki, lecz w końcu przyjęła do wiadomości, iż jest coś zabawnego w groźeniu facetom, że nadzieje się ich klejnoty na widelec.

- Nie wiem. Będę jechać przed siebie, dopóki nie znajdę jakiegoś bezpiecznego miejsca. Zgubię go na jakiś czas, ale on potrafi odnajdywać ludzi. - Doskonale wiedziała, dokąd zamierza pojechać, ale lepiej dla Glenna, żeby jak najmniej wiedział.

Wstał ociężale z fotela i podszedł do elektronicznego sejfu za biurkiem. Zasłaniając ciałem wyświetlacz, wstukał kod; mechanizm zaszczekał i zamek otworzył się z kliknięciem.

-Masz to, co ci jestem winien - powiedział, odliczając gotówkę z dziennego utargu. - Jedź ostrożnie i niech cię Bóg prowadzi. - Znowu się zaczerwienił, a potem pochylił się i szybko cmoknął ją w policzek. -Jesteś dobrą kobietą, Andie. A jeśli kiedyś uda ci się wrócić w te strony, zawsze czeka tu na ciebie praca.

Andie uśmiechnęła się i objęła go mocno, impulsywnie; łzy zakręciły się jej w oczach.

- Będę o tym pamiętać. Ty też uważaj na siebie. - Urwała nagle, a jej wzrok stracił ostrość, kiedy patrzyła na niego, przez niego. - Musisz zmienić rutynę - wypaliła. - Przestań zawozić kasę do nocnego depozytu po drodze do domu.

- Cholera, a niby gdzie mam ją zawozić? Bank jest po drodze, a przecież nie mam za wiele czasu...

- To się zorganizuj. I przez następny tydzień korzystaj z innego oddziału.

Otworzył usta, a potem zacisnął wargi w wąską, niezadowoloną kreskę.

-Masz jedną z tych swoich wizji? - spytał podejrzliwie.

-Ja nie wiem wizji - mówiła tonem ostrym, takim jakiego on użył. - To zwykły głos rozsądku. Cholernie ryzykujesz, zanosząc pieniądze do tego samego depozytu, w tym samym banku, noc w noc. Wiesz, że mam rację. Podejmij właściwą decyzję, to nikt cię nie zastrzeli.

Sądziła, że w rzeczywistości dostanie coś w łeb i będzie miał wstrząs mózgu, ale strzelanina brzmiała groźniej i może potraktuje ją poważniej. Nadal nie wyglądał na przekonanego, więc mruknęła:

-Dobrze, bądź osłem.

Wyszła z biura, zanim się rozplakała. Naprawdę lubiła tego starego, upartego osła i nie chciała, żeby spotkało go coś złego. Ale, koniec końców, decyzja należała do niego.

Mam dość własnych problemów na głowie, myślała, brnąc do explorera. Inna kelnerka z drugiej zmiany też właśnie wychodziła, więc nie była sama na parkingu i podejrzewała, że na razie nic jej nie grozi. Nie widziała go nigdzie, ale też nie spodziewała się go zobaczyć. Zniknął. Tak samo jak wyczuwała jego obecność, tak samo była wyczulona na jej brak. Nie wiedział, że go zauważyła, i kocisko poszło gdzieś, żeby się zdrzemnąć, pewne, że myszka została w norce.

Czuła się dziwnie... spokojna, teraz, kiedy już podjęła decyzję. Najpierw będzie musiała zająć się rozdzieleniem tych dwóch milionów dolarów, bo jeżeli zginie, to

pieniądze zostaną na wieki w banku i nikt z nich nie skorzysta. Szpital Świętego Judy zawsze chętnie przyjmie darowiznę, a to pomoże chorym dzieciakom. No i proszę. Decyzja podjęta. Było to takie proste, że aż zdziwiła się, dlaczego to wszystko tak długo trwało.

Druga decyzja, którą podjęła, wynikała z przekonania, że dopóki Rafael żyje, dopóty nie może czuć się bezpieczna. Przez niego zabójca będzie węszył za nią, a w tym czasie on sam będzie sprowadzał narkotyki do Stanów, zabijał ludzi i kosił kasę. Nie mogła mu na to pozwolić.

Mieszkając z nim, była tchórzem; zawsze starała się odwracać wzrok, żeby nie dostrzec żadnych dowodów, które mogłyby zostać użyte przeciwko niemu. Celowo ignorowała okazje, by dowiedzieć się więcej o jego interesach. Nie chciała nic wiedzieć, więc teraz nie miała żadnych informacji, które mogłaby przekazać FBI i przyczynić się do aresztowania zbira. Rafael miał dość pieniędzy, żeby walczyć z systemem prawnym, a nawet jeśliby przedstawiono mu oskarżenie, dzięki koneksjom jego sprawa ciągnęłaby się latami.

Znała go jednak, wiedziała, jaka brutalność kryje się pod jego doskonale skrojonymi garniturami i nienaganną fryzurą. Znała go aż za dobrze i zasady światka, w którym rządził. Gdyby ją zobaczył, gdyby wiedział, że żyje i jest tuż pod jego nosem, dostałby szalu. Nic by go nie powstrzymało przed zabiciem jej.

Mogłaby liczyć na ochronę FBI. Miała taką nadzieję, nie pewność. Tak czy inaczej, musiała zrobić wszystko, żeby powstrzymać Rafaela, ukrócić jego interesy. To była cena nowego życia - a równie dobrze może jej przyjdzie zapłacić życiem.

Rozdział 25

Wydawało mu się, że go nie zauważyła. A raczej wiedział, że go zauważyła, lecz nie sądził, żeby go rozpoznała. Natychmiast wrócił do samochodu, złorzecząc sobie, że był dość głupi, by stanąć w czasie burzy na parkingu, gdzie każdy błysk mógł go oświetlić i zdemaskować. Czuł nieodpartą potrzebę, żeby ją obserwować, i w końcu ta potrzeba z nim wygrała. Widział, jak Drea śmieje się, a on nagle zrozumiał, jak

bardzo chce znowu usłyszeć ten dźwięczny śmiech. Stał tam przez jakąś minutę, a za moment błyskawica rozświetliła mrok, Andie obróciła się w stronę okna i dostrzegła go.

Parking był oświetlony, lecz deszcz zdawał się pochłaniać większą część światła. Zaparkował daleko, w głębokim cieniu pomiędzy dwiema ciężarówkami, na terenie zajmowanym wyłącznie przez klientów jadłodajni. Miał dobry widok na jej wnętrze. Opuścił szyby na tyle, żeby świeże powietrze wpadało do samochodu i okna nie parowały, po czym usadowił się niewidoczny w mroku i czekał. Spodziewał się, że wybiegnie w deszcz, lecz ona zwyczajnie wróciła do pracy, więc pozwolił sobie na chwilę relaksu, sądząc, że jednak go nie rozpoznała. Potem do głosu doszedł instynkt: czy chciał podejmować takie ryzyko? Odpowiedź zdecydowanie brzmiała: nie.

Nigdy nie chciał, aby dowiedziała się, że on ją obserwuje, czuwa nad nią. Śmiertelnie się go bała i miała po temu powód. Nie chciał znowu jej przerazić, zadawać cierpienia. Teraz doszedł do wniosku, że chyba nie ma innego wyboru. Musiał się z Andie zobaczyć, przekonać ją do siebie, zanim ona znów ucieknie.

Nie zdołałaby się od niego uwolnić, chyba że pozbyłaby się telefonu i samochodu jednocześnie, a on nie mógłby wpaść na jej trop w inny sposób. To było mało prawdopodobne. Ale tylko zameczy się uciekając i nigdzie nie osiadając na stałe. Drea była kobietą, która potrzebuje domu, przyjaciół, życia, w którym czułaby się normalna i bezpieczna. Nie chciał, żeby żyła w strachu; nie chciał, by sądziła, że musi uciekać przed śmiercią.

Co zrobi, jeśli porzuci pracę? Czy zacznie zmykać, jak zając, czy też będzie udawać, że go nie widziała? Postara się go zmylić, osłabić czujność? Druga opcja wymagałaby żelaznych nerwów, ale ona już raz spanikowała i skończyło się to wypadkiem. Nie powinien zapominać, że jest piekielnie inteligentna. Uczyła się na własnych błędach i z pewnością nie popełni tego samego po raz drugi.

Gotów był założyć się, że wróci do domu. Pewnie poświęci explorera, zostawi go na podjeździe, spakuje kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wymknie się we wczesnych godzinach rannych. Z pewnością trzyma gdzieś grubszą gotówkę, na wszelki wypadek, gdyby musiała zostawić wszystko w biegu; zawsze planowała z wyprzedzeniem.

Spojrzał na zegarek. Jej zmiana skończy się za kilka godzin, a on nie chciał zostawiać samochodu z wypożyczalni zaparkowanego na ulicy na tak długo ani tak wcześnie wieczorem. Ludzie jeszcze nie spali, ciągle oglądali telewizję. Światła zaczęły gasnąć w oknach dopiero, kiedy wiadomości o dwudziestej drugiej dobiegną

końca, ponieważ mieszkańcy tych okolic nieczęsto oglądali programy Leno czy Lettermana. Wtedy wykona swój ruch. Na razie miał dobry punkt obserwacyjny. Jeśli cierpliwość jest cnotą, to przynajmniej tą jedną mógł się pochwalić.

Około dwudziestej drugiej trzydzieści wyczekał moment, kiedy Andie stała odwrócona plecami do okien, zapalił silnik i powoli wyjechał. Dotarłszy do jej domu, postawił samochód na ulicy niedaleko od jej ganku i przespacerował się kawałek. Mżyło, mógł więc przysłonić twarz kapturem płaszcza przeciwdeszczowego. Będzie musiał bardzo uważać, żeby nie nakapać wodą w miejscach, w których ona może to zauważyć.

Zazwyczaj wchodziła frontowymi drzwiami; światło na ganku zostawiała włączone. Próg kuchenny był nieosłonięty, dwa niezadaszone, rozsypujące się betonowe stopnie już były mokre, więc nakapanie na nie niczym nie groziło. Drzwi sztormowe ochraniały te wewnętrzne, drewniane, i były zamknięte na zamek. Otworzył go w pięć sekund. Wewnętrzne drzwi miały tylko zamek w klamce, który nie powstrzymałby dziesięciolatka i otwarcie go nie zajęło mu więcej, niż otwarcie drzwi sztormowych. Wszedł do środka, zdjął mokry płaszcz przeciwdeszczowy i wstawił go do małej pralni tuż obok kuchni, po czym wytarł mokre ślady.

W niedużym bliźniaku nie było zbyt wiele miejsc, gdzie mógłby się schować. Nie chciał, żeby zobaczyła go od razu po przestąpieniu progu, bo natychmiast dałaby nogę na ganek i nawiała. Chciał, żeby weszła do środka, zamknęła drzwi, bo to ją spowolni i da mu dość czasu, żeby ją schwycić, porozmawiać z nią.

Z logistycznego punktu widzenia małe mieszkanie było koszmarem. Frontowe drzwi otwierały się bezpośrednio do niewielkiego salonu, gdzie meble stały podosuwane do ścian. Pojedyncza lampa, którą Andie zostawiała zapaloną, rzucała dość światła, żeby rozjaśnić całe pomieszczenie. Dalej był mały korytarzyk, jeśli można go tak nazwać; wystarczająco długi, żeby znalazła się w nim szafa wnękowa. Podejrzał, że ta przestrzeń niegdyś należała do salonu, lecz zamieniając dom na bliźniak, dokonano przeróbek. Korytarzyk nie miał drzwi, prowadził wprost do kuchni, która była jeszcze bardziej ciasna, gdyż jej część została przeznaczona na pralnię. Obok znajdowały się łazienka i sypialnia, obie tak małe, że ledwie dało się tam wcisnąć wszystkie niezbędne przedmioty.

Kiedy go zobaczy, chciał znaleźć się między nią a najbliższymi drzwiami. Będzie musiał być dostatecznie blisko, żeby zacisnąć jej dłoń na ustach, zanim wrzaskiem postawi sąsiadów na nogi, a ci z kolei zadzwonią po policję.

Będzie przerażona, przynajmniej na początku; nie podobało mu się to, ale nic nie mógł poradzić. Musi go wysłuchać.

Najlepsze miejsce będzie w kuchni, pod ścianą. Przejdzie tuż obok niego, ale nie było tu żadnych drzwi, za które mógłby się schować, żadnej komody. Nigdy nie włączała światła w kuchni; szła do sypialni i włączała je dopiero tam, potem wracała i gasiła lampę w salonie. Jeśli teraz też tak będzie, zaczeka, aż dojdzie prawie do sypialni, bo wtedy stanie między nią a drzwiami.

Wiele rzeczy mogło pójść nie po jego myśli. Jeśli się przestraszy, może włączyć światło w kuchni. Będzie musiał uważać i szybko reagować na każdy jej ruch. Będzie walczyć bez względu na wszystko, bo miała naturę wojownika. Nigdy się nie poddawała. Musi ją opanować tak, żeby nie zrobić jej krzywdy, dopóki nie przestanie walczyć i nie zacznie go słuchać. Nigdy w życiu nie musiał się powstrzymywać, sam koncept był mu obcy. Jeśli walczył, walczył, żeby wygrać. Teraz nie będzie mógł oddawać ciosów. Ona natomiast nie będzie cierpieć z powodu podobnych ograniczeń, więc powinien przygotować się na poniesienie szkód. Męczyło go to, że będzie musiał tak bardzo ją przerazić, lecz gdzieś w głębi czaiło się coś, co musiał zaakceptować: oczekiwanie.

Zostawiłby ją w spokoju do końca życia, gdyby tak się sprawy potoczyły. Ale stało się inaczej i - nareszcie - znowu będzie mógł jej dotknąć, trzymać blisko, nawet jeśli tylko chwilę. Zamknął oczy na piekące, przesywające wspomnienie, jak jej mięśnie pulsowały, kiedy szczytowała, obejmując go. Przez cztery godziny należała do niego, obejmowała ramionami, jej nogi opasywały mu biodra.

Przez krótką chwilę znowu będzie mógł jej dotknąć. Nie miał żadnych złudzeń, co się stanie, kiedy już się uspokoi i zrozumie, że on naprawdę nie chce wyrządzić jej krzywdy. Czy potem będą się kontaktować, czy nie, zależy wyłącznie od niej - ale on i tak wiedział, jak to wszystko się potoczy.

Zerknął na zegarek. Miał jeszcze dwadzieścia minut, może pół godziny. Gdyby chciał wiedzieć, gdzie Drea jest w tym momencie, mógł wyciągnąć laptopa z samochodu i namierzyć lokalizatory, które podrzucił do jej samochodu i telefonu. Nie, tym zajmie się, jeżeli ona nie pojawi się w domu na czas.

Usadowił się na krześle w kuchni i czekał.

Andie dwukrotnie przejechała obok domu, zanim skręciła na podjazd. Nie dostrzegła nic podejrzanego, ale nie wiedziała, jakim samochodem on jeździ, więc nie mogła namierzyć jego wozu. Wszystkie samochody zaparkowane wzdłuż ulicy były ciemne i ciche i o ile mogła zauważyć, puste.

Wracając do domu, podejmowała ogromne ryzyko. Wiedziała o tym. Zakładając, że to jego Cassie dostrzegła na parkingu, w ciągu ostatniego miesiąca mógł pojechać

tu za nią niejedyn raz. Możliwe, że wiedział, gdzie ona mieszka już wcześniej. Musiała jednak odzyskać biżuterię i odrobinę gotówki, bo z czego miałyby żyć? Zrozumiała, że znowu będzie musiała kupić fałszywe dokumenty i znowu wyda mnóstwo kasy.

W mroku nic się nie poruszało, panowała cisza; żaden pies nie szczekał, ostrzegając, że pomiędzy opłotkami czai się obcy. Pomyślała, że równie dobrze mogłaby odjechać. Mogła też wejść do środka. Musiała wejść do środka. Albo tam był, albo go tam nie było. Mógł się czaić za tym ogromnym dębem albo nie.

Zebrała się na odwagę, odetchnęła głęboko, złapała torebkę i wysiadła z explorera. Zwykle zamykała drzwi na klucz, ale tym razem nie zrobiła tego, na wypadek gdyby musiała uciekać i liczyła się każda sekunda. Żółte światło na ganku zamiast działać uspokajająco sprawiało, że poczuła się nieswojo, jakby tylko ona była na widoku; wygrzebała klucze z torebki i wreszcie otworzyła drzwi.

Obskurny mały salonik wyglądał normalnie. Stała, wsłuchując się w ciszę, ale nie wylapała żadnego dźwięku, nic, żadnego skrobienia czy sapania. W tym momencie zdała sobie sprawę, że i tak nic by nie usłyszała. Był mistrzem w swoim fachu. Serce waliło jej tak mocno, że wątpiła, czy zdoła cokolwiek usłyszeć przy tym szumie krwi w uszach. Czuła ucisk w piersi i oddychała z trudem. Tak się działo za każdym razem, kiedy o nim myślała. Nie musiał tu nawet być, a ona i tak czuła śmiertelny strach.

Torebkę z biżuterią trzymała w szufladzie komody. Pójdzie tylko do sypialni, złapie świecidełka, wrzuci kilka ubrań do walizki i wyjdzie. Spędzi tu najwyżej dwie minuty, a każda sekunda, którą spędziła, stojąc w bezruchu, była sekundą straconą. Odetchnęła i poszła szybko w stronę sypialni.

Twarda dłoń zakryła jej usta, czyjeś ramię chwyciło ją wpół i trzymając w żelaznym uchwycie, pociągnęło do tyłu. Nie usłyszała nawet cienia szmeru ani nie poczuła ruchu powietrza, dosłownie nic, co mogłoby ją ostrzec. Po prostu nagle znalazł się tu, za nią, i krew uderzyła jej do głowy.

- Drea - szepnął.

Rozdział 26

Gęsta szara mgła opanowała jej umysł i zablokowała racjonalne myślenie. Zareagowała niczym dzikie zwierzę; nie mogła wyrwać się z żelaznego uścisku, szarpnęła się, chcąc uwolnić usta, żeby wrzasnąć, ale kneblował je mocno. Dławiąc się łkaniem, wygięła plecy i kopała, darła pazurami, waliła łokciami na oślep, szarpnęła głową w tył, mając nadzieję walnąć go w szczękę. Ruchy miała nieskoordynowane, każdy powodowany był instynktem królika, który usiłuje uciec z paszczy wilka. Słyszała, że on coś mówi, lecz nic poza pierwszym słowem, jej imieniem, nie miało sensu ani nawet nie rozpoznawała tego jako słów.

Ciemność była wszechogarniająca, zarówno ta w kuchni, jak i ta w jej umyśle. Wiedziała, że zostawiła włączoną lampę w salonie, lecz żadne światło nie docierało aż tu; przerażenie zaślepiło ją na wszystko, z wyjątkiem potrzeby walki, ucieczki. Jakimś cudem zdołała rozluźnić trochę jego uścisk. Kiedy ciężar ciała przeniosła na jedną stopę, straciła równowagę i upadła na podłogę, po drodze zaczepiając o krzesło. Przewróciło się i odsunęło w bok; przetoczyła się, ale nie mogła zerwać na nogi, chciała wrzasnąć, lecz nie miała dość powietrza w zaciśniętych płucach i tylko wydała żalosny, beczący dźwięk.

Rzucił się na nią jak pantera, przygniótł do podłogi ciężarem ciała, rozplaszczając ją pod sobą. Zakrył jej dłonią usta. Rzuciła głową w tył i udało się jej otworzyć nieco usta, na tyle, że mogła go ugryźć. Przy pierwszym draśnięciu zębów zacisnął palce na jej szczęce, dotykając wrażliwego punktu, i ból eksplodował jej w głowie.

Mimo że prawie ją to sparaliżowało, walczyła. Kiedy spróbowała trafić go w głowę, przesunął łokcie tak, że przyszpilały jej ramiona do ziemi i uniemożliwiały ruch. Wiła się, starała się podkulić kolana tak, żeby mogła wykorzystać siłę ud i odepchnąć go do siebie. Szybkim skretem bioder wsunął kolano między jej nogi, powtórzył ten manewr i już miał obie nogi pomiędzy jej udami; przesuwając ciężar ciała z jednego kolana na drugie, szybko podniósł się i rozsunął jej kolana tak, że teraz jej uda bezradnie obejmowały mu biodra. Ciężki tors przygwoździł ją do podłogi.

Z przerażeniem poczuła, że jest podniecony; sztywny członek uwięziony w spodniach boleśnie wbijał się w jej podbrzusze. Przesunął się nieco w dół, tak że nic jej nie uwierało, lecz wolała ból, niż znosić ten jego napór, jakby chciał wejść w nią pomimo materiału dwóch par spodni. Zgwałci ją.

Nie mogła tego znieść, nie mogła znieść, że on miałby skrzywdzić ją w ten sposób. Ze wszystkich mężczyzn tylko jemu udało się jej dosięgnąć. Z taką łatwością przeszedł obok jej murów obronnych i złamał serce, które - mogłaby przysiąc - było nietykalne. Pokazał jej w brutalny sposób, że nie jest tak zimna, jak sobie wmówiła. Świadomość, iż został wynajęty, żeby ją zabić, sprawiła, że Drea straciła panowanie nad sobą. Ale gwałt byłby jeszcze gorszym upodleniem, dowodem kompletnej pogardy. Wolałaby, żeby od razu ją zabił.

Traciła siły, a próby krzyku zamieniły się w bezradne łkanie. Łzy wyciekły jej z kącików oczu i spływały po skroniach we włosy. Nie potrafiła spojrzeć na niego, nie mogła znieść jego widoku; zacisnęła powieki tak mocno, jak mogła.

I w tym momencie usłyszała jego głos.

-Nie skrzywdzę cię. - Czuła poruszające się wargi tuż przy uchu. - Drea, nie szarp się. Nie skrzywdzę cię. Nigdy nie potrafiłbym sprawić ci bólu.

Z początku te słowa były dla niej pustymi dźwiękami; kiedy już je zrozumiała, nie potrafiła pojąć ich znaczenia. Nie sprawi jej bólu? Czy to znaczy, że zabije ją bezboleśnie? Że nie będzie cierpieć?

Jakież to szlachetne z jego strony.

Wściekłość, ratująca życie furia, przebiła się przez jej ból i strach, i jakimś cudem zdobyła się na jeszcze jedną próbę: targnęła głową w bok i wbiła zęby w jedyną część jego ciała, jakiej zdołała dosięgnąć: przedramię, tuż obok grubego nadgarstka. Poczuła w ustach gorąco i metaliczny smak krwi, miała wrażenie, że przygryzła miedziaka.

-Kurwa! - syknął, jakby słowo uciekło mu między zaciśniętymi zębami, i drugą ręką znów nacisnął na to samo wrażliwe miejsce na jej policzku. Od razu mięśnie szczęki rozluźniły się, a on wyciągnął ciało spomiędzy jej zębów. - Zrób mi przysługę - mruknął. - Jeśli będziesz chciała sprawić mi ból, wsadź mi palec w oko, ale nie gryź mnie więcej. Wtedy przynajmniej nie będę musiał zwracać sobie głowy szczepieniem na tężec.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego z oburzeniem. Wpatrywał się w nią z równym ogniem, a dzieliło ich nie więcej niż ćwierć metra, wystarczająco dużo, żeby nie mogła go uderzyć głową, gdyż nadal miała mocno ograniczone ruchy. Mimo wcześniejszego poczucia kompletnej ciemności w kuchni nie było czarno; światło

wpadające z salonu rzucało przyćmioną, jasną smugę na linoleum na podłodze. Dzięki niemu zobaczyła ostre rysy jego twarzy i blask ciemnych oczu.

Cisza wisiała w powietrzu między nimi, napięta i gorączkowa. Zrobił powolny, kontrolowany wdech, po czym wypuścił powietrze w taki sam sposób.

- Posłuchasz mnie teraz? Czy mam cię związać i zakneblować?

Spojrzała na niego zaskoczona. Jeśli chciał ją zabić, powinien był to po prostu zrobić. Nie musiał jej ani wiązać, ani kneblować. Wygrał, była na jego łasce - to znaczy, jeśli był do niej zdolny.

Czyżby jednak... Czy naprawdę mówił poważnie, że nie zamierza jej zabić?

Nie musiał się na nią rzucać, zrozumiała nagle. Mógł ją po prostu zastrzelić, w każdej chwili, jeśli o to rzeczywiście mu chodziło. Do tej pory była absolutnie przekonana, że chce ją zabić, teraz poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Jeśli to, co przyjmowała za pewnik, nie jest prawdą, to jak w takim razie prawda wygląda, u wszystkich diabłów?

Gdyby nie trzymał dłoni na jej ustach, chyba otworzyłaby je ze zdziwienia. Powoli, ostrożnie, skinęła głową raz, w górę i w dół, po czym równie wolno pokręciła nią na boki.

Interpretując te ruchy tak, jak były zamierzone, czyli odpowiedzi na jego pytania w kolejności, w jakiej zostały zadane, powiedział:

- W takim razie skup się. Nie zamierzam cię skrzywdzić w żaden sposób. Jasne? Rozumiesz?

Znowu skinęła głową. Nie rozluźnił uścisku ani na jotę.

- Doskonale. Zaraz pozwolę ci wstać. Potrzebujesz pomocy?

Pokręciła głową, choć szczerze mówiąc, sama nie była pewna. Powoli ją wypuścił i pomasaował punkt akupresyjny, żeby nie doświadczyła przeszywającego bólu w tym miejscu. Przetoczył się na bok i jednym ruchem przykucnął obok, wsunął jej ramię pod plecy i pomógł usiąść.

Kompletnie zaskoczona Andie siedziała w milczeniu na podłodze. Podpierał ją przez chwilę, po czym spytał:

- Wszystko w porządku?

Ponieważ skinęła głową, wstał w ten swój kontrolowany, pełen gracji sposób, podszedł do zlewu, odkręcił kran i wsunął przedramię pod strumień wody.

- Włącz światło - rzucił, nie patrząc na nią.

Nadal zszokowana bez słowa pozbierała się z podłogi, podeszła do drzwi i nacisnęła włącznik. Jasne światło wydawało się teraz zbyt jaskrawe, więc stała tylko, mrugając powiekami. Nie mogła wyjść z szoku - mężczyzna, którego tak się

bała przez ostatnie miesiące, pochylał się spokojnie przy jej kuchennym zlewie i zmywał krew z ręki.

Podeszła trochę bliżej z wahaniem, lecz zatrzymała się parę kroków od niego. Wpatrywała się w ranę na jego ramieniu, na ciemne, purpurowiejące krawędzie w miejscach, gdzie zębami przebiła skórę. W głowie jej zawirowało i musiała schwytać się brzegu blatu, żeby nie upaść. Ona mu to zrobiła, nigdy nie miała w sobie cienia agresji.

Zaczęła dygotać, gdy adrenalina do tej pory buzująca w jej żyłach przestawała działać. Drżenie zaczęło się w kostkach nóg, potem wspięło się do kolan i gwałtownie opanowało nawet jej wnętrzności, tak że teraz cała trzęsła się jak galareta. Zęby szczękały jej niczym kulki do gry turkoczące po chodniku. On cały czas przemywał sobie ramię wodą, choć musiał słyszeć szczekanie jej zębów. Reakcja łańcuchowa spowodowała, że nagle zrobiło się jej zimno, więc założyła ramiona na piersi i zacisnęła szczękę.

-Na-naprawdę będziesz potrzebować szczepionki? - spytała słabym głosem. Ze wszystkich głupkowatych rzeczy, dlaczego musiała zadać właśnie to pytanie - sama siebie nie rozumiała.

-Nie - odparł krótko. - Mam wszystkie szczepienia.

Przyglądała mu się pogrążona w morzu zdumienia, po raz trzeci tego dnia. Nie mógł mówić o szczepieniach wieku dziecięcego, na ospę, odrę czy co tam, a jedynym innym rodzajem szczepień, jakie przychodziły jej do głowy, były szczepienia na wściekliznę dla zwierząt. Nic tu nie miało sensu; albo nadal była w szoku, albo znalazła się w równoległym wszechświecie. Stawiałaby na to drugie, bo niemożliwe, żeby on tu stał w jej kuchni. Krawędzie rzeczywistości zacierały się w jego obecności; miał tak silną osobowość, że zdawał się przyciągać do siebie całą uwagę, niczym magnes metal.

- Sz-szczepienia? - wyjąkała. Znow zrobiła z siebie idiotkę.

- Potrzebne przy wyjazdach do innych krajów.

Poczuła się jak kretyńka. Oczywiście wiedziała, że mądrzy ludzie, wyjeżdżając do krajów Trzeciego Świata, pilnują, żeby mieć komplet szczepień. Znowu zawstydziała się tego, że skupia się na tak przyziemnych sprawach jak to, czy ma ważne szczepienia. Zmiana w jej rzeczywistości była jednak tak gwałtowna i drastyczna, że nie potrafiła jej objąć umysłem i mogła analizować tylko drobne fragmenty.

Przyglądała mu się; był wysoki, miał szerokie, muskularne barki. Krótkie rękawy ciemnozielonej koszulki polo odsłaniały umięśnione ramiona, lecz nie

musiała widzieć jego mięśni, żeby wiedzieć, jak jest silny. Dobrze się ubierał; koszula w spodniach, czarny pasek, czarne spodnie w kant, czarne buty o miękkich podeszwach, czyste, mimo że wcześniej padało. Prawie z tęsknotą przyglądała się jego gęstym, ciemnym włosom, nadal krótko obcięty, ciemnemu cieniowi zarostu na szczęce; pamiętała szczegóły jego wyglądu, lecz odświeżenie wspomnień powodowało jednocześnie ból i ulgę.

Znała zapach jego ciała, jak gdyby czuła go każdego dnia, jak gdyby budziła się, a on spał obok. Znała tembr jego głosu, niski i lekko chropowaty. Znała smak jego pocałunków; znała miękkość jego warg, kształt, długość i grubość jego członka. Wiedziała, że przerażał ją bardziej niż ktokolwiek inny - ale nie znała jego imienia. Nie chciał, żeby wiedziała o nim aż tyle i prędzej szlag ją trafi, niż spyta jeszcze raz, choć ból tej niewiedzy czasem niemal ją dusił. Stąd brała się przynajmniej połowa jej strachu. Bała się go nie dlatego, że był zimny i śmiertelnie niebezpieczny, lecz dlatego, że z jakiegoś szalonego powodu potrafił złamać jej serce; zawsze o tym wiedziała.

Musiała go spytać. Miała świadomość, jak to się skończy, znów poczuje ból, ale musiała spróbować; jeżeli tym razem nic jej nie odpowie, będzie wiedziała, że ma przestać go pragnąć i tęsknić za niemożliwym. Może nie zmusi się do obojętności, lecz nie będzie żyć głupią nadzieją, która sprawi, że gapi się na niego jak nastolatka na rockmana.

- Nie wiem, kim jesteś - szepnęła urywanym, złamanym głosem.

Spojrzał na nią przelotnie, po czym oderwał kawałek ręcznika papierowego z rolki przy zlewie i zaczął osuszać rękę.

-Simon Goodnight.

Była tak zaskoczona, że wypaliła:

-To nie jest twoje prawdziwe imię! - I niemal wybuchnęła śmiechem, a potem prawie się rozplakała, bo on odpowiedział na jej pytanie. Przetarła oczy i otarła łzy, które wydostały się na policzki.

Wzruszył ramionami.

- Na razie to jest moje imię. Dokładnie tak samo jak na razie ty jesteś Andie Pearson.

- Andie to moje prawdziwe imię. Cóż... Właściwie to Andrea. Kiedy byłam mała, wszyscy wołali na mnie Andie.

- Ja też naprawdę mam na imię Simon - odpowiedział, wycierając krew, która ciągle zbierała się na powierzchni ranek.

Czyli naprawdę nie nazywał się Goodnight; ucieszyło ją to, bo to nie najlepsze nazwisko i trudno z nim pewnie żyć. Dlaczego je wybrał? Powodowany jakimś pokrętnym poczuciem humoru? A może było tak nieprawdopodobne, że stanowiło kolejną warstwę kamuflażu? O mało znowu się nie roześmiała. Zapomnijcie o Smithach i Jonesach; Buttsi Goodnight brzmiało jak zespół wodewilowy, i co z tego?

Potem popatrzyła na krew na ręczniku i śmiech zamarł jej na ustach.

-Potrzebujesz szwów. Zabiorę cię do szpitala;

- Sam sobie poradzę, kiedy już stąd wyjdę - odparł, zbywając jej niepokój.

- Jasne, zachowuj się jak na Rambo! - warknęła; odwróciła się do poobijanej lodówki i szarpnięciem otworzyła drzwi zamrażalnika. Wyciągnęła paczkę zamrożonego groszku i rzuciła w jego kierunku. Obserwował ją, prawdopodobnie ze strachu, czy nie zrobi czegoś, na co on nie miałby ochoty, więc nie był zaskoczony i z łatwością przechwycił lecący groszek. - Przyłóż to do ran, bo napuchną tak, że nie będziesz w stanie udowodnić mi, jaki jesteś twardy.

Wyglądał na rozbawionego; nie chodziło o to, że się uśmiechnął, ale przez moment kąciki jego oczu zmarszczyły się nieco.

-Nie jestem aż tak twardy. Używam spreju przeciwbólowego, żeby najpierw znieczulić miejsce.

Czyli wcześniej już się zszywał. Zanim zdołało to do niej dotrzeć, skinął głową w kierunku stołu.

-Usiądź, musimy porozmawiać.

Odruchowo chciała usiąść na najbliższym krześle, lecz on ujął ją pod ramię lewą ręką, podniósł przewrócone krzesło prawą. Postawił je po przeciwnej stronie stołu, oparciem do ściany; popchnął ją na nie delikatnie, a sam usadowił się naprzeciwko. To stawiało go pomiędzy nią, a drzwiami, może miał taki wyuczony odruch, lecz tym razem jego działanie było celowe na wypadek, gdyby się wkurzyła i chciała uciec. Andie nawet o tym nie myślała - z wyjątkiem pożaru domu, nic nie byłoby w stanie zmusić jej do ruchu.

Obrócił się i odchylił na krześle na tyle, żeby sięgnąć po ręcznik, który powiesiła na uchwycie jednej z szafek. Owinął nim paczkę groszku, położył prowizoryczny opatrunek chłodzący na stole i oparł na nim rękę.

-Rzuciłaś pracę? - spytał.

-Owszem. - Nie miała powodu tego ukrywać. Przeraziło ją i zirytowało, że miał tak doskonałą intuicję, że domyślał się jej ruchów, zanim zdążyła je wykonać. To nie była partia warcabów, wyłożonych na planszy, z ograniczoną liczbą pionków i ruchów. Mogłaby zrobić wszystko. Mogłaby pojechać prosto na lotnisko albo wsiąść

do samochodu i ruszyć przed siebie; wcale nie musiała tu wracać. Ale ze wszystkich prawdopodobnych scenariuszy, on jakimś cudem wiedział dokładnie, co robi i czekał tu na nią.

- Może dasz radę ją odzyskać. - Zerknął na nią, a ciemne, opalizujące oczy w ułamku sekundy zarejestrowały wszystko. - Nie musisz uciekać. Salinas uważa, że nie żyjesz.

Andie znowu otoczyła się ramionami, przykryła łokcie dłońmi i starała się zagrzać. Cały czas czuła lodowate zimno, lecz przynajmniej nie szczykała zębami.

-W takim razie dlaczego mnie wytropiłeś? Dlaczego mnie śledziłeś?

- Nie wytropiłem ciebie - odparł chłodno. - Zawsze wiedziałem, gdzie jesteś.

- Zawsze? - powtórzyła. - Jak to możliwe?

- Pojechałem za tobą, kiedy wypisali cię ze szpitala.

Naprawdę? Cały ten czas był za jej plecami? Zamrużyła powiekami; światło z żarówki wiszącej pod sufitem nagle okazało się zbyt jaskrawe. Nagle to ona doznała olśnienia.

-To ty zapłaciłeś moje rachunki w szpitalu! - oskarżyła go, tonem tak pełnym niechęci, jak gdyby strofowała go za wcisnięcie się do kolejki w sklepie, w okresie świątecznym.

Wykonał nieokreślony gest dłonią, lekceważąc jej oskarżenia.

- Dlaczego? - domagała się odpowiedzi. - Stać mnie było na to. Wiesz, że mam pieniądze.

- Nie chciałem, żeby jego kasa ratowała ci życie. - Powiedział to z taką intonacją i takim naciskiem, jakby zamawiał hamburgera, lecz jego ciemne oczy ponownie spoczęły na niej z palącą intensywnością. Nie wiedziała, co myśli, lecz nagle poczuła, że musi zmienić pozycję, a powolne gorąco roztapia chłód jej ciała.

- Ale... dlaczego? Zatrudnił cię, żebyś mnie zabił. Gdyby nie wypadek, zrobiłbyś to... Wiem, że byś to zrobił. Ty też to wiesz! - Ostatnie słowa wypowiedziała podniesionym głosem, więc urwała, żeby nie zacząć na niego krzyczeć.

- Może. Nie wiem. - Usta miał ponuro zaciśnięte. - Mógłbym ci powiedzieć, że nigdy nie podjąłem się tej roboty i wcale bym nie skłamał. Ale nie wiem, co by się stało, gdybyś nie miała tego wypadku. Choć chciałbym cię zapewnić, że nie zrobiłbym tego, nie mogę przysiąc.

- Dlaczego nie wzięłeś tego zlecenia? - Wiedziała, że za bardzo naciska, ale nic jej to nie obchodziło. Irytował ją, może najbardziej dlatego, że siedział taki chłodny, opanowany, podczas gdy ona ledwie trzymała nerwy na wodzy i czuła się tak, jakby

lada moment miała się zerwać z krzesła i wybiec z wrzaskiem na ulicę. - Byłam dla ciebie niczym. Nadal jestem dla ciebie niczym.

Obserwował ją z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jak zawsze, co tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

- Ile ci zaoferował? Za mało? O to chodziło?

- Dwa miliony - odparł spokojnie. - Pieniądze nie były problemem.

Dwa miliony! Poczwała, jak powietrze uchodzi ze świstem z jej płuc.

Rafael zaoferował za jej głowę sumę, którą mu ukradła. A przecież musiał wiedzieć, że nigdy nie odzyska tamtej kasy, z powodu pogmatwanych praw bankowych i podatkowych. Wiedział, że koniec końców będzie w sumie cztery miliony w plecy. Wpatrywała się w mężczyznę siedzącego naprzeciw niej i zastanawiała się, jak to możliwe, że od razu nie przyjął kontraktu.

- W takim razie na czym polegał problem? - nalegała.

Wstał, z westchnieniem odsunął krzesło. Oparł jedną dłoń na stole, a drugą wsunął jej pod włosy na karku i pocałował ją mocno w usta. Poczwała pustkę w głowie i zamarła w bezruchu, nadal trzymając się za łokcie. Głowę miała odchyloną w tył jego uściskiem, usta otwarte i poddane naciskowi jego warg. Poczwała jego język i przyjęła go oszołomiona, powitała i ostrożnie dotknęła czubkiem własnego.

Puścił ją i usiadł z powrotem. Nie poruszając się, Andie wpatrywała się w stół. W ciszy słyszała tykanie zegara, szum lodówki, stłumiony chrobot maszyny do lodu, która wyrzuciła właśnie kostki do pojemnika. Ironia tej sytuacji polegała na tym, że ona, która zawsze wiedziała, jak poradzić sobie z mężczyznami, co powiedzieć w danej sytuacji, żeby obrócić ją na swoją korzyść, teraz zapomniała języka. Nie miała pojęcia, jak się zachować i wątpiła, żeby ten mężczyzna kiedykolwiek komukolwiek dał sobą kierować. Siedziała w bezradnej ciszy i odmawiała spojrzenia na niego.

- Zdaje się, że pomyliłaś się co do tego „niczego”. - W jego tonie nagle pojawiła się ponura nuta.

Rozdział 27

Kiedyś odczułaby euforię, słysząc, jak przyznaje niechętnie, że jednak darzy ją jakimś uczuciem. Teraz mogła tylko myśleć: dlaczego właśnie teraz? Dlaczego musiał pojawić się właśnie w tej chwili, kiedy wreszcie podjęła wszystkie decyzje i wytyczyła sobie cel. Nigdy nie zakładała posiadania mężczyzny na własność, poza tym nie wiedziała przecież, czy właśnie coś takiego jej oferuje. Stwierdził fakt, co najmniej dwuznaczny. W jego życiu nie było miejsca dla kobiety, przynajmniej nie na stałe, a jeżeli ona kiedykolwiek znajdzie czas i miejsce dla związku, jeżeli przeżyje to, co postanowiła zrobić - nie zgodzi się na nic poza stałym układem.

Od miesięcy radziła sobie bez faceta i podobała się jej ta samotność, miała wrażenie, że wreszcie, stopniowo odnajduje siebie. Nie była niczyją dziewczyną, niczyją ozdobą ani towarzyszem; należała tylko do siebie. Czas, kiedy bez wahania poszłaby za Simonem - musi przyzwyczać się do tego imienia - minął. Pomiędzy nimi stały teraz śmierć i ponowne przebudzenie, i świadomość, że choć nadal jest tą samą osobą, ma całkiem inne poglądy. Szczęście i bezpieczeństwo, których tak pragnęła, znalazła w sobie samej; nie było to nic, co ktokolwiek mógłby jej ofiarować.

Nagle przypomniała sobie, że on towarzyszył jej w chwili śmierci, gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego. Pamiętała go, to spojrzenie pełne... czego? Czegoś, czego nie potrafiła pojąć. Powiedział coś wtedy, lecz wspomnienie tych słów zatarło się we wspomnieniu czegoś większego, tego przeraźliwie jasnego światła, a i tak nie było dość ważne. Najważniejsze, że on wiedział, co się stało. Wiedział, że umarła. Zabrał jej rzeczy i zostawił ją tam... Więc dlaczego wrócił? Po wszystkim, co zobaczył, jak mógłby choć podejrzewać, że przeżyła?

- Umarłam - powiedziała bez emocji.

Uniósł lekko brwi, jakby zaledwie nieco zdziwiony gwałtowną zmianą tematu.

- Wiem.

- W takim razie dlaczego mnie odszukałeś? Większość ludzi po śmierci zostaje pogrzebana, to wszystko. Nigdy nie powinieneś był się dowiedzieć, że nadal żyję.

- Miałem swoje powody.

Powody, których nie zamierzał jej wyjawiać, to jasne. Zirytowana wsunęła obie dłonie we włosy, zgarnęła je w tył z twarzy i pociągnęła mocno, jak gdyby nacisk na skórę głowy miał uporządkować myśli. Poznała po jego lekko zmrużonych oczach, że chce, aby zmieniła temat, lecz jakoś nie potrafiła.

- Wiedziałeś, że nie żyję. Bez wątplenia. Ty nie popełniasz takich błędów. Więc nie jesteś ani trochę ciekaw, jakim cudem siedzę tu przed tobą? Bo ja jestem ogromnie ciekawa, dlaczego ty tu jesteś, jeśli nie po to, żeby mnie zabić? Nie kupuję

tej bzdury, że nagle stałam się dla ciebie ogromnie ważna. Raz wystarczy, pamiętasz?

- Ja nie miewam dziewczyn na stałe - odparł tonem pozbawionym wyrazu. - W tym kontekście raz wystarczy. Ale to nie znaczy, że mi się nie podobałaś. Byłem twardy przez cztery godziny, pamiętasz?

O tak, pamiętała każdy szczegół, każde wrażenie, tak wyraziście, że zdawała się wrócić do tamtego momentu. Poczuła, że ciepło zalewa jej policzki.

- To był tylko seks. To nie ma nic wspólnego z tym, o czym mówię.

- Zazwyczaj nie - przytaknął, obdarzając ją jednym z tych małych prawie-uśmiechów, który u każdego innego byłby głośnym parsknięciem śmiechem.

Twarz jej spąsowiała. Zirytowana, gdyż naprawdę chciała się czegoś dowiedzieć, a on rozpraszał ją rozmową o seksie, walnęła pięścią w stół, a dźwięk rozniósł się po kuchni jak wystrzał.

- Skup się na temacie. Dlaczego mnie odszukałeś? Jak się zdradziłam?

- W Internecie przeszukałem gazety, żeby się przekonać, czy zostałam zidentyfikowana. Zamiast tego dowiedziałem się, że przeżyłaś.

- A jaka to różnica, czy mnie zidentyfikowali, czy nie?

- Byłem ciekaw.

Zdecydowanie mało odkrywcza odpowiedź, zwłaszcza że czekała na coś bardziej dodającego otuchy. Zawsze, zawsze powinna pamiętać, że on działał na zupełnie innym poziomie niż większość ludzi.

- Ale nie powiedziałaś Rafaelowi?

- Dlaczego miałbym mu powiedzieć? Ty przeżyłaś, a on o niczym nie wiedział, więc zostawiłem wszystko, jak było.

- Ale dlaczego zawracałeś sobie głowę śledzeniem mnie? Zapłaciłeś za mnie rachunek w szpitalu, a to by wystarczyło aż nadto. Dlaczego nie poszedłeś sobie spokojnie własną drogą i nie dałeś mi żyć swoim życiem? - Wystrzeliła w niego te pytania i musiała dostać odpowiedź, choćby miała ją z niego wytrząść; z drugiej strony podejrzewała, że gdyby spróbowała to zrobić, rezultat mógłby być ciekawy.

- Od czasu do czasu sprawdzałem, czy wszystko z tobą w porządku. Gdybyś mnie dziś nie dostrzegła, nie przyszedłbym tu. Zobaczyłaś mnie, więc musiałem zostać i przekonać cię, że nie masz powodu uciekać.

- A co cię obchodzi, czy ze mną wszystko w porządku, czy nie? Mam, cóż... miałam... pracę, mam pieniądze. Mogłeś sprawdzić raz i odpuścić sobie. - To ona powinna sobie odpuścić, a nie czepiać się tego tematu, lecz nie potrafiła. Na powierzchni jego odpowiedzi wydawały się satysfakcjonujące, lecz miała niejasne

przecucie, że kryje się pod nimi coś więcej. Nie był zwykłym człowiekiem; odpowiadał tylko przed sobą samym, żył poza granicami prawa i nie powodował się zwykłymi ludzkimi uczuciami. Może sprawdzał, jak się jej wiedzie dokładnie z powodu, który podał, a może z jakiegoś innego, którego powinna się obawiać.

Nie odpowiedział natychmiast; obserwował ją w irytującym milczeniu, przez na wpół opuszczone powieki. Kiedy pochwycił jej spojrzenie, prawie podskoczyła, tak była zdenerwowana intensywnością jego wzroku.

- Patrzyłem, jak umierasz - powiedział cicho. - Nie mogłem zrobić nic, żeby cię uratować. Nie mogłem ci pomóc. Straciłaś przytomność, nie mogłem nawet powiedzieć ci, jak bardzo mi przykro. Ani że nigdy nie chciałem, żeby do tego doszło. Ale patrzyłem na twoją twarz i widziałem twoją minę, kiedy spojrzałaś poza mnie i dostrzegłaś... coś innego. Coś, co musiało być najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałas. Wyszeptałaś „Anioł”, i umarłaś.

- Pamiętam twoją twarz - powiedziała cichutko. - I światło za twoimi plecami.

- Siedziałem z tobą przez chwilę. Dotknąłem twojego policzka. Nie miałaś pulsu, nie oddychałaś, twoja skóra stawała się coraz chłodniejsza. Zadzwoiłem na pogotowie i czekałem, aż usłyszę syreny. Dopiero potem odjechałem. Nie mówimy tu o paru minutach. Drea..

- Andie - poprawiła cicho. - Nie jestem już Drea.

- Nie żyłaś przynajmniej przez pół godziny. I nie byłaś zanurzona w lodowatej wodzie, żeby to spowolniło wszystkie życiowe funkcje, jak pompowanie tlenu do mózgu. Niemożliwe, żeby sanitariusze cię ocucili, nawet nie próbowali. Zaczęłaś oddychać sama z siebie, blisko godzinę po tym, jak umarłaś, do wszystkich diabłów! Nie masz żadnego uszkodzenia mózgu, nawet najmniejszego. Więc teraz ja muszę uwierzyć w cud, bo jesteś żyjącym, chodzącym, mówiącym, oddychającym cudem. A to oznacza, że gdzieś tam czeka na nas coś więcej. Tak?

Wspaniały uśmiech rozświetlił jej twarz.

- Tak - odparła po prostu.

- W takim razie przyzwyczaj się do tego, słonko, bo cud ma teraz ochroniarza. Na stałe.

Siedziała przy stole w kuchni długo po jego wyjściu. Rozmawiali jeszcze trochę, a kiedy on poczuł, że uwierzyła jego zapewnieniom, wyszedł. Zrozumiała, że nie musi się go bać znacznie wcześniej, ale on z natury był nieufny i wolał mieć pewność.

Miała taki mętlik w głowie, że nadaremnie próbowała uporządkować myśli. Przede wszystkim poczuła ogromną ulgę: Rafael sądzi, że ona nie żyje. Już nigdy

więcej nie musiała się nim martwić. Nie wysłał Simona jej tropem; nawet nie próbował ścigać. Była wolna.

Wolna! Po raz pierwszy w całym swoim dorosłym życiu, może po raz pierwszy w całym życiu, czuła się naprawdę wolna. Sądziła, że jest wolna, kiedy zostawiła Rafaela, lecz dopiero teraz zrozumiała różnicę. Bycie wolnym polegało na czymś więcej niż wyborze jedzenia czy wyjściu z roli słodkiej idiotki.

Teraz mogła być szczęśliwa.

Nigdy nie była szczęśliwa, nawet jako dziecko. Z całą pewnością nie brakowało jej trosk. W dzieciństwie miała dość jedzenia, żeby napełnić żołądek, i dość ubrań, żeby nie marznąć, lecz zawsze wyczołgiwała się ze szkolnego autobusu i brnęła jak najwolniej po podjeździe jakiegokolwiek domu, który jej rodzina w danej chwili zajmowała, ponieważ nigdy nie wiedziała, co tam zastanie. Czy jej rodzice będą się kłócić, zbyt pijani, żeby się przejmować, że ich dzieci usłyszą, jak wyzywają się od kurew i sukinsynów? Czy na kolację będzie coś więcej niż tylko to, co sama zdoła sobie znaleźć? Czy ojciec nie rzuci się na nią po drodze do łazienki i nie popchnie jej na podłogę tylko dlatego, że stanęła mu na drodze?

A potem miała już inne zmartwienia. Czy facet, z którym jej matka właśnie sypiała, znów nie zechce wcisnąć jej ręki pod spódniczkę, kiedy tylko matka się odwróci? Raz próbowała jej o tym powiedzieć, tylko po to, żeby usłyszeć, żeby przestała być jak jej pierdolony ojciec i skończyła z tymi kłamstwami. Po tym została ekspertem w omijaniu własnego domu, kiedy którykolwiek z przyjaciół matki w nim przebywał, i w uciekaniu przez okno w mgnieniu oka, jeśli któryś z nich przyszedł, a ona była sama. W wieku dwunastu lat wyspecjalizowała się do perfekcji w uciekaniu, chowaniu się, radzeniu sobie ze wszystkim.

Uciekła od nich, to prawda, ale nigdy nie czuła się wolna - aż do tej pory.

Miała przed sobą przyszłość, nie przyszłość pozbawioną zmartwień czy kłopotów, lecz przyszłość nieprzesłoniętą cieniem Rafaela czy strachem, że ją odnajdzie. Z początku potrafiła skupić się tylko na poczuciu wolności, przenikającej do kości uldze, że nie będzie musiała spędzić reszty życia, oglądając się przez ramię, albo oferować swojego życia jako przynęty w pułapce na Rafaela.

Po trzeciej nad ranem wyszła wreszcie spod prysznicą i wczołgała się do łóżka, nie potrafiła jednak wyłączyć umysłu i zasnąć. Zbyt wiele rzeczy wydarzyło się w zbyt krótkim czasie; przeszła od absolutnego przerażenia do wyczerpania, przez szamotanie z Simonem do zdumienia, przez pożądanie do ulgi i radości. Odbijała się od jednego uczucia i wpadała na drugie tak szybko, że nie miała nawet czasu zaobserwować choćby jednej reakcji i tego, jakie zmiany oznaczała w jej życiu.

Leżała bezsennie w ciemnościach, wpatrywała się w sufit i od nowa przeżywała wszystko, co się zdarzyło od chwili, kiedy Simon złapał ją po raz pierwszy. Poza ulgą, że nie musi się już bać Rafaela, Simon był teraz dla niej najważniejszy.

Stanowił dla niej dylemat, reprezentował najpotężniejszą pokusę, jakiej kiedykolwiek musiała stawić czoła. Nigdy nie zdołała być wobec niego obojętna. Gdyby kiwnął palcem i powiedział „Chodź ze mną”, nie wie, czy nie zrobiłaby dokładnie tak, jak on chciał - jakoś nie potrafiła znaleźć w sobie siły, żeby mu się sprzeciwić. Był płatnym zabójcą; zaangażowanie się w związek z nim z całą pewnością nie podpadało pod definicję dobrego życia i mądrych wyborów. Ale to nie związek z nim stał się problemem, choć w tej chwili nie mogła nawet myśleć o seksie, bo wcześniej tak okropnie się na tym przejechała. On stanowił problem. To kim i czym był, jaki był... Oto problem.

Nagle przyszło jej do głowy, że powinna oddać go w ręce policji, ale natychmiast wewnętrzności skrzyły się jej ze strachu. Nie wiedziała, czy zdołałaby zrobić mu coś takiego, mimo że postąpiłaby właściwie. Potem zrozumiała, że nie tylko nie zna żadnych szczegółów, które mogłaby podać gliniarzom, a i to, o czym wiedziała, miało miejsce poza terytorium Stanów. Nie była nawet pewna w jakim kraju, czy w jakich krajach przebywał, choć podejrzewała, że władze zdołałyby szybko się tego dowiedzieć, choćby sprawdzając jego paszport. Jeśli miał tylko jeden, a pewnie miał ich więcej. W końcu zawodowo parał się przekraczaniem granic tak, żeby nikt go nie zauważał.

Uświadomiła sobie, że uodpornił się na takie problemy, przynajmniej w tym kraju. Był bezpieczny przed wymiarem sprawiedliwości, gdyż żadne zabójstwo nie mogło zostać mu przypisane. Nawet gdyby zdołała dostarczyć im szczegółowe informacje, gliniarze pewnie nie mogliby znaleźć żadnych dowodów, że przebywał w tym konkretnym kraju, o tej konkretnej porze.

Oddanie go w ręce władz nie miało sensu. Łzy ulgi napłynęły jej do oczu, kiedy to sobie uświadomiła. Nie chciała go wydawać; nie chciała, żeby resztę życia spędził w więzieniu. Może powinna, ale nie była święta, a musiałaby nią być, żeby tak kompletnie zignorować potrzeby swojego serca.

Bardziej komplikowało sytuację to, że choć morderstwo jest chyba najgorszym możliwym uczynkiem, ogólnie rzecz biorąc Simon wydawał się przyzwoitszym człowiekiem niż wszystkie te śmiecie, z którymi umawiała się jej matka. Na skali złego, co się bardziej liczy: morderstwo czy znęcanie się nad dziećmi?

Prawo mówi, że morderstwo. Ale, cholera, na tym świecie żyje tyle ludzi, którzy nie zasługują, żeby po nim chodzić i można spokojnie założyć, że jeśli narkotkowy

baron wynajmował Simona, żeby kogoś sprzątnął, to celem był zapewne jego rywal. Czy to takie złe? Wszystko, co pomniejszało ich zastępy, przyniosło korzyść ludzkości. Czy to, że Simon zabijał dla pieniędzy, nie z potrzeby ulepszenia świata i obniżania populacji drani, czyniło go złym? Motywacja to nie wszystko, bo istnieje mnóstwo ludzi, którzy przy najlepszych intencjach czynią dużo zła.

Nie rozwiąże tego problemu w najbliższą godzinę, a czuła się zbyt zmęczona, żeby martwić się szczegółami. Dobra nowina jest taka, że nie musi nic w tej chwili robić. Nie musi podejmować żadnej decyzji dotyczącej Simona, ani nie musi robić nic w sprawie Rafaela. Jest wolna...

Wróciła myślą do Salinasa.

Więc tylko dlatego, że czuje się bezpieczna, może pozwolić, żeby robił, co chce, żeby importował narkotyki, które rujną ludziom życie, uzależniają i zabijają? I żeby bogacił się na tym procederze? Tylko dlatego, że jest bezpieczna, nie ma żadnego zobowiązania, żeby zakończyć operację Rafaela Salinasa?

Nie. Instynktowna odpowiedź padła szybko. Miała więcej zobowiązań niż ktokolwiek inny na tej planecie, ponieważ żyła z tych pieniędzy i korzystała z nich. Miała wyjątkową pozycję nie tylko dlatego, że znała go tak dobrze, ale też dlatego, że była jedyną osobą, której obecność może sprowokować go do zrobienia czegoś głupiego, czegoś, co da gliniarzom poważne podstawy, żeby go oskarżyć.

Musiała to zrobić. Bez względu na ryzyko, musiała to zrobić.

Jej myśli krążyły wokół Simona. Teraz czuł się odpowiedzialny za nią, chciał ją chronić, co może niezłe pogmatwać jej plany wetknięcia przysłowiowego kija w mrowisko Rafaela. Nie chciała go w to mieszać; to był jej dług, jej zobowiązanie. On jednak zobaczy w tej sytuacji coś kompletnie innego.

Czy będzie starał się ją powstrzymać? Bez wątplenia. Co gorsza, podejrzewała, że zazwyczaj odnosił sukces w każdym przedsięwzięciu, jakiego się podjął. Nie musiała nadto wyteżać wyobraźni, żeby zobaczyć, jak trzyma ją gdzieś w odosobnieniu, albo wywozi z kraju tylko po to, żeby nie dopuścić jej do Rafaela.

Ta sama stara śpiewka, inna zwrotka: musi przed nim uciec.

Pewien, że nie będzie przed nim uciekać, rozluźni się. Może nie od razu; jest czujny i podejrzliwy, i przez kilka następnych dni może obserwować ją z dystansu. Więc zostanie na miejscu, przygotowuje się nieco, uśpi jego czujność do momentu, kiedy poczuje się dość bezpiecznie, żeby wyjechać. Nie wiedziała, kiedy to nastąpi, lecz był tylko człowiekiem; może i twardszym i sprytniejszym niż większość ludzi, ale tylko człowiekiem. Musi jeść, pić, siusiać jak wszyscy. Musi czasem dawać sobie

luz. Przy odrobinie szczęścia, nawet jeśli Simon ciągle się tu kręci, zdoła wsiąść do samolotu i ulotnić się, zanim on zauważy jej nieobecność.

Potrafi ją wysledzić; na razie potrafił przejrzeć każdy jej ruch, każdą próbę zmiany wyglądu i tożsamości. Nie miała nadziei, że Simon nagle zgłupieje, a ona nagle odkryje w sobie zdumiewający talent do uciekania. Lecz potrzebowała tylko paru dni na starcie, może nawet mniej, żeby dotrzeć do Nowego Jorku.

Skontaktuje się z FBI. Rafael musi być pod prawie ciągłą obserwacją, a agenci federalni pewnie są sfrustrowani tym, że nie mogą złożyć do kupy dowodów przeciwko niemu. Z pewnością agent odpowiedzialny za wszystko poślakomi się na sposobność wykorzystania jej w jakikolwiek sposób.

Kiedy już będzie w rękach FBI, znajdzie się poza zasięgiem Simona.

Rozdział 28

Kiedy wrócił do hotelu, Simon natychmiast włączył laptopa i sprawdził, czy Andie nie ruszyła się z miejsca. Chciał przekonać się, czy dotarły do niej jego zapewnienia i czy nie jest już gdzieś w drodze, uciekając rozpaczliwie przed nim. Dobrze - zarówno explorer, jak i telefon komórkowy były tam, gdzie powinny się znajdować, na miejscu, więc może i ona leży w łóżku. Ustawił program tak, żeby wysłał wiadomości na jego komórkę w momencie, kiedy choćby jeden z lokalizatorów zacznie się poruszać. Tak na wypadek, gdyby próbowała mu nawiać.

Chciałby być z nią teraz, lecz kiedy ją pocałował, wyczuł rezerwę i zrozumiał, że ona nie zamierza pójść z nim jeszcze raz tą samą drogą, przynajmniej nie w tej chwili. Nie lubił czekać, lecz nie ma wyboru- przynajmniej przez jakiś czas. Podniósł cierpliwość do rangi sztuki, w trakcie wielu różnych zleceń udoskonalił na podobieństwo broni, zmagając się zarówno z ludźmi, jak i z naturą. Teraz, kiedy odkrył wszystkie karty przed Andie, instynkt podpowiadał mu, że powinien działać szybko i bezwzględnie. Radziła sobie w życiu dzięki temu, że dostosowywała się do mężczyzn, zapominając o swoich potrzebach. Ignorowała swoje preferencje i antypatie do tego stopnia, że niczym lustro pokazywała tylko to, co mężczyzna

chciał zobaczyć. Potrzebowała czasu, owszem, ale potrzebowała także być kochana za to, jaka jest naprawdę. Potrzebowała być adorowana i rozpieszczana; szale się odwróciły i teraz to facet powinien zabiegać o jej względy.

Cierpliwość to tylko inna forma wytrwałości. Może to oznaczało, że jest draniem? Że nie chce wynieść się z jej życia, że nie chce zostawić jej w spokoju po wszystkim, co zrobił, i bólu, który jej zadał. I cóż tego? Wolał być draniem i mieć ją, niż być dżentelmenem i pozwolić jej odejść.

Gdyby nie zareagowała na pocałunek, poradziliby sobie z tą przegraną i zostawił Andie w spokoju. Ale ona aż wierciła się na krześle, a on znał się na kobietach wystarczająco, by wiedzieć, że wspominała, jak się kochali. Znał ją dość dobrze, a po tamtym popołudniu wiedział, jak wygląda, kiedy jest podniecona. Chciała być obojętna, ale nie była, zupełnie tak jak on nie był obojętny na nią. Chciał być; chciał zapomnieć o niej w momencie, kiedy zamknął za sobą drzwi. Po raz pierwszy w życiu nie udało mu się to. Potrafił radzić sobie z rzeczywistością, nie zajmował się kwiatuskami i pobożnymi życzeniami, a to, co między nimi istniało, było prawdziwe - niezbadane i nieznanne, ale prawdziwe.

Uspokojony, że ona przynajmniej na razie nie stara się uciekać, wyciągnął podręczną apteczkę i ostrożnie zdezynfekował rany po ugryzieniu, po czym spryskał całe przedramię, żeby je znieczulić. Środek działał tylko powierzchniowo, lecz wystarczająco zmniejszył ból, żeby założenie szwów dało się znieść. Czasami drzazgi bardziej bolały. Nałożył warstwę antybiotyku na szwy, przykleił kilka samoprzylepnych opatrunków, po czym pieczołowicie spakował niewielką apteczkę, zapamiętując, które zapasy należy uzupełnić. Zabierał ją ze sobą wszędzie i prawdopodobnie kilka razy uratowała mu życie. W tropikach otwarta rana, choćby najmniejsza, bardzo szybko mogła przekształcić się w coś, co zagraża życiu.

Potem, ziewając, połknął garść ibuprofenów i rozebrał się. Wyłączył światło i zaległ jak długi na łóżku. Gdyby jednak postanowiła uciekać, telefon mu to zasygnalizuje i obudzi go. Jednak był prawie pewien, że tej nocy Andie nigdzie się nie ruszy. Nawet jeśli coś chodzi jej po głowie, to pewnie będzie chciała usnąć jego czujność i nigdzie nie pojedzie przez kilka dni. Wiedział, że jest przebiegła, ale nie dorównywała jemu. Zasnął ze świadomością, że przynajmniej na razie miał wszystko pod kontrolą.

Andie spała do późna - wielkie mi zdziwienie - i kiedy wreszcie weszła na wpół śpiąca do kuchni po kawę, było już wpół do dwunastej. Głowa ją bolała, może od nadmiaru adrenaliny we krwi, a może tylko potrzebowała zwykłej dawki kofeiny.

Zazwyczaj wstawiała około ósmej, dzięki czemu miała dość czasu na zakupy i prace w domu, zanim musiała wychodzić do jadalni Glenna. Teraz spóźniła się trzy godziny na poranną kawę.

Wzięła dwie aspiryny i zniosła kubek do salonu. Włączyła telewizor - który kupiła używany - zwinęła się w rogu sofy; przez moment nie chciała nic więcej jak tylko napić się kawy i zaczekać, aż proszki zaczną działać. Obejrzała południowe wiadomości, dowiedziała się, że po południu znowu zapowiadają burze, po czym mimo kawy zasnęła.

Obudziło ją stukanie do drzwi. Może to sąsiad, pomyślała, który dopiero teraz załapał, że wczoraj ktoś strasznie rozbijał się w jej mieszkaniu. Pewnie przyszedł spytać, czy wszystko z nią w porządku. Ona słyszała ich tupanie, więc do nich też dochodziły odgłosy przynajmniej łomotu upadającego krzesła. Ale czy ktoś upewnił się, że to nie włamywacz przyszedł ją okraść? Gdyby usłyszała podobne hałasy, walnęłaby w ścianę i zapytała, czy wszystko w porządku.

Zanim otworzyła drzwi, zatrzymała się i uniósłszy żaluzje, wyjrzała na zewnątrz. Znalazła się oko w oko z Simonem, który stał dokładnie na wprost jej frontowych drzwi. Powietrze uszło jej z płuc z gwałtownym sykiem, taki efekt wywołała jego obecność; zupełnie jakby wyjrzała na dwór i zobaczyła ogromnego wilka. Napotkał jej wzrok i uniósł brwi w niemym pytaniu: „No i co?”

Zaskoczona puściła żaluzję i stała przez minutę niezdecydowana, czy otworzyć mu drzwi, czy nie. Przypuszczała, że już wyjechał z miasta. Co jeszcze miał do roboty?

- Równie dobrze możesz otworzyć - odezwał się z drugiej strony. - Ja się stąd nie ruszę.

- Też mi nowina - burknęła, ale przekręciła klucz i otworzyła drzwi. Wszedł, a lekki uśmiech błędził mu na ustach. - O co chodzi? - spytała, odgarniając włosy z twarzy. Nawet nie miała czasu uczesać się, ale zupełnie się tym nie przejęła.

- Przyszedłem spytać, czy masz ochotę pójść gdzieś na lunch. Zdaje się, że nie - odpowiedział z rozbawieniem.

Andie ziewnęła i wróciła na sofę, podkuliła nogi i wsunęła bosc stopy pod poduszki. Cały czas miała na sobie spodnie od pizamy i podkoszulkę, więc nie, nigdzie się nie wybierała, ani na lunch, ani nigdzie indziej.

- Zdaje się, że nie - powtórzyła jego słowa niczym echo. - Jeszcze nie jadłam śniadania. Dzięki, że pytasz. Czego chcesz?

Wzruszył jednym ramieniem.

- Zabrać cię na lunch. Nic więcej.

Jakby miała w to uwierzyć, choćby przez minutę.

- Jasne! Ty pewnie nawet nie oddychasz bez jakiejś ukrytej motywacji.

- Chodzi tylko o przeżycie. - Uniósł głowę i wciągnął nosem powietrze. - Świeża kawa?

- W miarę. - Sprawdziła, która jest godzina. Spała dłużej, niż się jej zdawało. - Zaparzyłam ją jakąś godzinę temu, więc powinna być okej. - Sama chętnie napiłaby się więcej, więc wstała i poszła do kuchni, zabierając kubek. - Jaka pijesz? - zawołała i sięgnęła do szafki po drugi. Podniosła głos, żeby usłyszał ją w salonie.

- Czarną - odpowiedział tuż za nią; podskoczyła i niemal wypuściła kubek z rąk. Jego dłoń wystrzeliła, żeby go złapać i zamknęła się na jej nadgarstku. Natychmiast uwolniła się z jego uścisku, uniosła dzbanek z kawą z grzałki i napełniła oba kubki.

- Naucz się chodzić głośniej - powiedziała na koniec.

- Mogę gwizdać.

- Wszystko jedno. Tylko już nie podkradaj się tak do mnie. - Była bardziej wytracona z równowagi, niż sama przed sobą przyznawała; nie chciała, żeby on o tym wiedział, bo przez chwilę przypomniała sobie aż nadto wyraźnie, jak podszedł do niej od tyłu na balkonie Rafaela i kochał się z nią w tej pozycji, nawet nie obracając jej. Wtedy nie mógłby dobitniej dać jej znać, że uważa ją wyłącznie za ciepłe ciało, a jednak dała się uwieść niesłychanej rozkoszy i w ciągu szalonego popołudnia wbiła sobie do głowy, że mogłby ją zabrać z sobą. Nadal piekło ją upokorzenie, że odmówił.

Postawiła kubek i odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Idź sobie - powiedziała prosto z mostu. - Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Bo wczoraj cię pocałowałem?

- Bo jesteś tym, kim jesteś, a ja jestem tym, kim jestem. Wiem, kim byłam wcześniej, ale od czasu wypadku nie miałam nikogo... - Cholera, przecież wiedział o tym; cały czas ją obserwował. - Uważam, że samotność jest dla mnie najlepsza. Nie potrafię podejmować właściwych decyzji, jeśli idzie o mężczyzn. Smutne, ale prawdziwe.

- Nie proszę cię o żadną decyzję. Musisz jednak jeść, prawda? Chodźmy na lunch. Albo na śniadanie. Zawsze możemy pójść na naleśniki. - Mówił łagodnie i nie natarczywie, i gdyby nie pilnowała się, mogłaby dać się zwieść temu podstępnemu poczuciu bezpieczeństwa. Jakie zło mogłoby się czaić w restauracji z naleśnikami? Ale rzecz w tym, że przy nim nie istniało poczucie bezpieczeństwa. Ona nie była przy nim bezpieczna. Powód krył się zarówno w nim, jak i w niej samej.

Pokręciła głową.

- Nie chcę nigdzie z tobą iść.
- Jeśli się zgodzisz, odpowiem na wszystkie twoje pytania.

Zamarła, wściekła na siebie, gdyż ta propozycja była nazbyt kusząca, żeby się jej oprzeć, a on doskonale o tym wiedział. Zdawała sobie sprawę, że powinna trzymać się jak najdalej od niego, lecz wystarczyło, żeby zadyndał przynętą przed jej nosem, a rzuciła się na nią niczym jastrząb na zajaczka. Obserwował ją z rozbawieniem migocącym w oczach i drzeniem w kącikach ust; był przy tym tak cholernie atrakcyjny, rozluźniony i pozbawiony maski obojętności na twarzy, że aż zdrząła pod siłą jego magnetyzmu. Jednak cały czas starała się zachować kontrolę.

- Nie wiem, czy chcę cokolwiek o tobie wiedzieć.
- Jasne, że chcesz. Na przykład to, czy mam tatuaż na tyłku.
- Wcale nie masz tatuażu na tyłku - warknęła, piorunując go wzrokiem.

Widziała jego tyłek, niezły, ale bez przesady; nie pamiętała żadnego tatuażu.

Zaczął rozpinąć pasek.

- Nie! Poczekaj! - zawołała z przestraszeniem. - Nie musisz...

Pociągnął zamek w dół.

Andie straciła wątek.

Odwrócił się, zahaczył kciuki w szlufki dżinsów i ściągnął spodnie. Koszulka układała się na krągłych mięśniach; sięgnął za plecy, podniósł ją i rzeczywiście, wysoko nad prawym pośladkiem miał jakiś abstrakcyjny wzór podobny do dziwnego labiryntu. Palce aż ją zaświerbiły od intensywnej potrzeby sięgnięcia i dotknięcia go, nie z powodu tatuażu, lecz dlatego, że znowu chciała poczuć kształt i chłód jego pośladków.

Zacisnęła dłonie w pięści i spróbowała powiedzieć normalnym głosem:

- Dziwny wzór. Co oznacza?

Podciągnął spodnie, wsadził koszulkę do środka i odwrócił się do niej, zapinając zamek. Wyglądał na rozbawionego.

- Powiem ci przy jedzeniu.

- Cholera - sapnęła, zakręciła się na pięcie i poszła do sypialni, żeby się przebrać.

Wróciła po dziesięciu minutach; umyła zęby, przeczesała włosy i zmieniła pizamę na dżinsy i bluzę wciągana przez głowę. Zostawiła jeden guzik rozpięty pod szyją, bo nie nosiła dekoltoń. Blizna na piersi cały czas przypominała jej, że wszystko uległo zmianie. Nie zawracała sobie głowy choćby najlżejszym makijażem, bo nie chciała zrobić wrażenia ani na nim, ani na kimkolwiek innym. Wsunęła

klapki na nogi, spojrzała na nie pomalowane paznokcie u stóp i prychnęła lekko. Wyglądała zupełnie inaczej niż w dniu, kiedy Rafael oddał mu ją na to popołudnie, lecz jeśli coś mu się nie podoba, może pocałować ją w dupę.

Uśmiechnął się na jej widok prawdziwym, szczerym uśmiechem.

- Jesteś cholernie ładna.

Komplement tak niespodziewany, tak różny od tego, co właśnie sobie myślała, zaskoczył ją totalnie; stanęła jak wryta, z ustami otwartymi ze zdumienia.

- Ja... hm... dziękuję. Ale... czy ty jesteś ślepy?

-Nie - odparł poważnie, jakby pytanie nie było retoryczne. Wyciągnął dłoń i dotknął jej włosów. - Trochę szkoda loków, ale podoba mi się kolor. Nie jesteś teraz tak efektowna, taka sztywna. To dobrze. Twoje usta nadal są... Wszystko jedno.

-Wszystko jedno co? - Bawił się nią jak kot myszą. Wiedziała, ale nie przeszkadzało jej to. Co z jej ustami? Nie powinna pytać, bo odpowiedź z pewnością będzie erotyczna, a ona nie chciała się zapuszczać w te tereny, jednak... co z jej ustami?

-Powiem ci przy jedzeniu.

Dopiero kiedy usiedli przy stoliku w IHOP, mieli menu w dłoniach, a parującą kawę przed sobą, przypomniała sobie, że obiecała odpowiedzieć na każde jej pytanie, ale... nie przysięgał wcale mówić prawdy. Zirytowana, że nie wyłapała tego wcześniej, położyła kartę dań z trzaskiem na stole.

- Odpowiedź na każde pytanie to jedna rzecz, ale czy powiesz mi prawdę?

- Oczywiście - odrzekł z taką łatwością, że wiedziała, iż dała się nabrać.

-Kłamiesz.

On także odłożył menu.

- Andie, zastanów się. Niby co mógłbym teraz przed tobą ukrywać? Albo ty przede mną?

- Skąd mam wiedzieć? Gdybym wiedziała wszystko o tobie, nie musiałabym zadawać ci pytań.

-Masz rację.

Uśmiechnął się do niej. Wolałaby, żeby tego nie robił. Kiedy się uśmiechał, zapomniała, że jest płatnym zabójcą, że zamiast krwi ma w żyłach lód. Nie pamiętała, że odchodząc, zranił ją bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Lecz teraz myślała także o tatuażu na jego tyłku i o tym, jak mogła go nie zauważyć?

-Więc co oznacza twój tatuaż?

-Nie mam pojęcia. To dziecinna naklejka. Przyłożyłem ją dziś rano.

Właśnie piła kawę i zakrztusiła się; przycisnęła dłoń do nosa i ust, starając się nie zachlapać kawą całego stolika. Kiedy tylko zdołała przełknąć, wybuchnęła śmiechem. Sprytnie nabrał ją i nakłonił do zrobienia tego, co chciał.

-Oszukiwałeś! A ja dałam się naciągnąć. Wiedziałam, że nie masz tatuażu!

Podeszła do nich kelnerka z notesikiem i długopisem w ręce.

-Zdecydowali państwo, na co macie ochotę?

Andie zamówiła jajecznicę z bekonem i tosty, a Simon wybrał to samo, lecz dodał jeszcze dwie babeczki. Kiedy tylko zostali sami, odstawiła kubek, żeby nie narobić sobie znowu wstydu i nie zapluć się kawą, gdyby się okazało, że chowa jeszcze jakąś niespodziankę w rękawie albo w spodniach.

Chciała mu zadać wiele pytań, lecz nie śmiała, gdyż nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedzi na nie. Teraz, kiedy się zastanowiła, to, że może mu zadać każde pytanie, a on na każde odpowie, było nieco ciężące. Byłoby to przytłaczające z każdym, ale przy tym mężczyźnie czuła się tak, jak gdyby szturchała kijem tygrysa, a to, że tygrys dał jej pozwolenie, wcale nie gwarantowało, że cała operacja jest bezpieczna.

Dla swojego spokoju, zaczęła od prostych rzeczy.

-Ile masz lat?

Uniósł brwi ze zdumienia na tak dziwny wybór pytania.

- Trzydzieści pięć.

- Kiedy masz urodziny?

- Pierwszego listopada.

Zamilkła. Chciała spytać go o prawdziwe nazwisko, ale może lepiej nie. Miał mroczniejsze sekrety niż ona.

-O co chodzi? - spytał, kiedy nie usłyszał następnego pytania. - Chciałaś wiedzieć, ile mam lat i kiedy się urodziłem?

-Nie, nie o to chodzi. To jest trudniejsze, niż się spodziewałam.

- Chcesz wiedzieć ile miałem lat, kiedy pierwszy raz kogoś zabiłem?

- Nie. - Pospiesznie rozejrzała się wokół, czy ktoś nie podsłuchuje, lecz mówił tak niskim głosem, że nikt nie patrzył na nich z przerażeniem.

- Siedemnaście - ciągnął beznamiętnie. - Odkryłem, że mam naturalny talent do mokrej roboty. Rzuciłem to jednak w zeszłym roku. Siedziałem w kaplicy szpitalnej i płakałem, bo właśnie stałem pod drzwiami twojego pokoju i słyszałem twoją rozmowę z pielęgniarką. Wiedziałem, że nie tylko żyjesz, ale że jesteś jakimś cudem cała. Od tamtej pory nie podjąłem się żadnej roboty.

Rozdział 29

A niech go szlag trafi. Niech go szlag. Niech go szlag.

Andie przeklinała go przez następne dwa dni, nie tylko dlatego, że choć wcale go nie widziała, czuła, że on kręci się tu, ciągle ją obserwuje. Była wściekła dlatego, że po tym jak obnażył przed nią duszę, zakochała się w nim. Ze wszystkich nietrafionych pomysłów w jej życiu zakochanie się w płatnym zabójcy, nawet takim, który właśnie przeszedł na emeryturę, musiało znaleźć się na szczycie listy głupot. Gdyby kiedykolwiek chciała zweryfikować, czy powinna trzymać się z daleka od romantycznych związków i czy potrafi podejmować właściwe decyzje dotyczące mężczyzn, oto doskonały dowód.

Nie rozplakała się, choć miała na to ochotę. Dokonał tego chwytającego za serce wyznania tak spokojnie, tak zwyczajnym tonem, że udało się jej opanować. Po jakimś czasie zdołała zadać mu więcej pytań, na przykład o to, skąd pochodzi (urodził się w bazie wojskowej w Niemczech) i czy ma rodzinę (był jedynakiem, a oboje rodzice nie żyli). Nawet gdyby miał jakąś rodzinę i tak wybrałby życie samotnika. Ona też żeglowała samotnie i doskonale wiedziała, jak to jest nikomu się nie zwierzać, nikomu nie ufać. Nadal nikomu nie ufała, przynajmniej nie zanadto. Odkąd osiedliła się w Kansas City, nie nawiązała żadnych bliższych przyjaźni, a powinna, lecz na tym poziomie dokładnie go rozumiała.

Był nietypowy na wiele sposobów. Nie interesował się żadnym profesjonalnym sportem, co rozumiała; sporty zespołowe nie są zbyt atrakcyjne dla samotnika. Nie miał ulubionego koloru i nie przepadał za ciastem. Może postrzegał preferencje jako słabość, która może zostać wykorzystana przeciwko niemu i celowo oddzielił się od wielu sympatii i antypatii, dzięki którym ludzie określają siebie i wytyczają granice; może zawsze miał ten dystans między sobą a wszystkimi wokół.

A jednak wyciągnął do niej rękę i to więcej niż raz. Tego popołudnia, które dzielili, zobaczył, jak bardzo jest przerażona i uspokoił ją czułością, uwiódł przyjemnością. Kochał się z nią, choć wtedy żadne z nich nie postrzegało tego w ten sposób. Kiedy miała wypadek, został z nią i patrzył, jak umiera, czuwał nad nią, dopóki nie zjawili się inni.

Nigdy nie śnił się jej ten wypadek, czasami tylko wracała myślami do mglistych wspomnień śmierci. Najpierw widziała oślepiające światło, jakimś cudem jednocześnie czyste i wyraziste, a potem znajdowała się już w tym cudownym miejscu. Jej wspomnienia sprowadzały się do szczegółów, takich jak zapachy i dotyk, lecz co się działo między nimi, było jakoś słabo zarysowane i rozmyte. Może dlatego, że siedziała teraz naprzeciw niego, wpatrywała się w jego twarz i zmuszała do wspomnień, zobaczyła nagle całą tę scenę, jakby wszystko rozgrywało się tu i teraz. W myślach usłyszała jego szept: „Boże, kochanie” i zobaczyła, że dotyka jej włosów. Obserwowała, jak czeka z nią. Nie spoglądała bezpośrednio na swoje ciało, jakby otaczała je jakaś zasłona, lecz jego widziała, och, jak wyraźnie. Widziała jego cierpienie, które starał się opanować, i ból, który ledwie był w stanie zaakceptować.

Ból niczym błyskawica znów rozdarł jej pierś i nagle zrozumiała, dlaczego przetrząsał gazety w poszukiwaniu wzmianki o wypadku. Chciał dowiedzieć się, gdzie jest pochowana, żeby położyć kwiaty na jej grobie.

- Andie. - Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń w swoją, chropawą. - Gdzie jesteś?

Wewnątrz rozpadła się na kawałeczki, lecz zdołała pozbierać się i wrócić, oderwać się od wspomnień, których nie chciała mieć. Przyniosła z sobą kolejny kawałek układanki potrzebny do zrozumienia mężczyzny, który siedział teraz naprzeciw niej, który starał się zbliżyć do niej, który zgodził się odkryć przed nią swoje sekrety i odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Nie potrafiła zmusić się do zadania kolejnych i resztę posiłku dokończyli w milczeniu. Obserwował ją znowu z nieprzeniknioną miną, choć nie mogła powiedzieć, żeby wcześniej był szalenie ekspresyjny. Pozwolił sobie na okazanie niejakiego rozbawienia i czasami zatrzymywał spojrzenie na jej ustach, a wtedy w jego oczach płonął ogień. Lecz poza tym nic, co myślał, czy czuł nie przedostawało się na powierzchnię.

Zabrał ją do domu i wszedł za nią na ganek, ale trzymał się nieco na dystans, co podpowiedziało jej, że nie zamierza wchodzić do środka, nawet gdyby go zaprosiła. Nagle poszedł na drugą stronę bliźniaka i ostro zapukał do drzwi. Co on wyprawia? Zmarszczyła brwi i przyglądała mu się ciekawie. Piętnaście sekund później znów zastukał. Nikt nie podszedł otworzyć drzwi.

- Co ty wyprawiasz?

- Upewniam się, że nikogo nie ma w domu. Samochodu nie ma, ale jedno z nich mogło zostać. - Tymi zdaniem potwierdził tylko jej podejrzenia, że obserwował ją dostatecznie często, żeby wiedzieć, że druga połowa bliźniaka zajmowana jest

przez małżeństwo; najwyraźniej nie podglądał jej dość często, żeby zorientować się, że oboje pracowali na drugą zmianę i rzadko bywali w domu po godzinie pierwszej.

- No i co? Co to ma za znaczenie?
- Ludzie są wścibscy. Słuchają, kiedy nie powinni.
- No i?
- No i to nie jest ich sprawa.

Zdziwiona, kompletnie w ciemnościach, obserwowała, jak wyjmuje portfel, a z niego plastikową kartę.

-Na wypadek, gdybyś miała kłopot z wyciągnięciem pieniędzy - powiedział, podając jej.

Jej stare prawo jazdy.

Wpatrywała się w nie, w zdjęcie na nim i palce jej drżały, kiedy wyciągnęła rękę. Myślała, że Drei już nie ma, że nie żyje, nawet jeśli nie została pochowana, ale oto ona, znowu: burza długich blond loków, perfekcyjny makijaż, lekko nieobecne spojrzenie. Nie była już tą osobą. Większość ludzi musiałaby uważnie przyjrzeć się zdjęciu, żeby znaleźć podobieństwo między twarzą Drei a jej własną.

- Chcę oddać pieniądze Szpitalowi Świętego Judy - powiedziała. - Mam tu konto bankowe. Zamierzałam zrobić na nie przelew elektroniczny, a potem pójść do banku, wziąć od nich czek kasjerski i wystawić go na szpital. Numer IP transferu byłby inny, ale mam hasło i... - Umilkła. Trajkotała, nie zwracając uwagi na to, co mówi. Na pewno wiedział o numerach IP i przelewach elektronicznych, choć pewnie swoje pieniądze trzymał na zagranicznych kontach. Nie spodziewała się żadnych kłopotów z przelewem, ale zastanawiała się, czy aby nie uprzedzić pani Pearson o swoich planach. Zwracając jej stare prawo jazdy, Simon dał jej gwarancję, że nie będzie mieć najmniejszych problemów z podjęciem pieniędzy, nawet jeśli pani Pearson nie pracowała już w banku.

- Dziękuję - szepnęła, ściskając mocno dokument, choć nigdy więcej nie chciała oglądać tej fotografii. - Dlaczego je zatrzymałeś?

Nie odpowiedział na pytanie; najwyraźniej jej carte blanche w tym terenie straciła ważność wraz z wyjściem z restauracji.

-Muszę złapać samolot - powiedział tylko i zostawił ją na ganku samą. Obserwowała go, jak odjeżdża, po czym weszła do domu, usiadła na kanapie i rozmyślała dobre dwie godziny.

Miał samolot do złapania, a to dobre. Ani przez chwilę mu nie uwierzyła.

Nie widziała go od tamtej pory, lecz nauczyła się, że to jeszcze nic nie znaczy. Był tam gdzieś, czaił się, nadal ją sprawdzał. Nie ufał, że mu nie ucieknie, chociaż zadał sobie wiele trudu, żeby ją przekonać, że nie musi się go obawiać.

W tej sprawie, przynajmniej, wierzyła mu. Była bezpieczna. Mogła żyć jawnie, mogła przestać oglądać się przez ramię i zacząć robić wszystko, co tylko zechce. Z drugiej strony rozsądnie byłoby omijać Nowy Jork przynajmniej tak długo, jak Rafael żyje, albo dopóki nie znajdzie się w więzieniu. Szansa spotkania konkretnej osoby w tak wielkim mieście jest nieprawdopodobnie mała, ale dziwniejsze rzeczy się zdarzały; była tego chodzącym dowodem.

Najwyraźniej nie miała dość rozsądku, gdyż właśnie szykowała się na wycieczkę do Nowego Jorku. Najpierw jednak musiała wymknąć się swemu ochroniarzowi z powołania.

Najlepszym sposobem na zapewnienie Simona, że zamierza zostać w tej okolicy, byłoby wrócić do Glenna i poprosić, żeby przyjął ją do pracy; uczyniłby to z pewnością. Niestety, była to jedyna rzecz, której nie mogła zrobić: naprawdę zamierzała wyjechać w ciągu kilku dni i nie chciała zwodzić Glenna.

Zamiast tego skupiła się na interesach. Zatelefonowała do pani Pearson, która wyraziła głęboką ulgę. Kiedy od czasu jej ostatniego spotkania z Andie na koncie nie było żadnych operacji, zaczęła się martwić; jej e-maile także pozostawały bez odpowiedzi. Obawiała się, że stało się coś złego. Faktycznie coś się stało, lecz Andie nie zamierzała wdawać się w szczegóły. Gawędziły przez parę minut i w pewnym momencie Andie zdawało się, że pani Pearson wspomniała, iż będzie mieć wnuczkę, która urodzi się za kilka miesięcy. Ale kiedy powiedziała: „Gratuluję wnuczki”, pani Pearson aż sapnęła ze zdumienia.

- Skąd pani wiedziała, że spodziewamy się wnuczki?

- To pani mi o tym powiedziała - odparła Andie niepewnie. - Czyż nie?

- Nie, nie powiedziałam ani słowa. Jeszcze przez miesiąc nie dowiemy się, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- Och. Mogłabym przysiąc... - Urwała i pospiesznie starała się pokryć wpadkę, ponieważ nie chciała wdawać się w tłumaczenia. - Nie, właśnie przypomniałam sobie, kto mówił mi o wnuczce. Przepraszam, jestem dziś strasznie zakręcona. Chyba muszę się napić kawy.

Skończywszy rozmowę, zrobiła przelew, a potem od czasu do czasu sprawdzała, czy kwota już pojawiła się na jej koncie. Gdy poświadczony czek był już w drodze do szpitala za pośrednictwem FedExu poczuła, jakby ogromny ciężar został zdjęty z jej

ramion. Te pieniądze były niczym wrzód na dupie od momentu, kiedy je wzięła, lecz podejrzewała, że tak właśnie powinno być.

Z poczuciem ulgi mieszał się żal. Szkoda, że nie mogła ich zatrzymać. W głębi serca naprawdę chciała być bogata, nawet dzięki ukradzonej forsie - brudnej ukradzonej forsie. Może dostanie ekstra punkty za to, że się jej pozbyła, bo tak bardzo nie chciała tego robić. Bycie cnotliwą było równie upierdliwe jak radzenie sobie z tą ukradzioną kasą.

Ale teraz już pozbyła się szmalu, załatwiła ten problem, więc mogła przejść do kolejnego punktu na liście. Nie miała zbyt wiele gotówki, a będzie jej potrzebować, więc nadszedł czas wykorzystać biżuterię, którą dostała od Rafaela.

Wyciągnęła książkę telefoniczną i wertowała ją w poszukiwaniu handlarza diamentami. Mogła zastawić świecidełka, lecz wiedziała, że w ten sposób odzyska tylko część ich wartości, a to lombard zrobi interes stulecia, bo ona nie miała zamiaru wracać po towar. Chciała sprzedać wszystko, ale nie zamierzała tracić czasu, wystawiając aukcje na eBayu.

Wytyczyła sobie kurs i czuła potrzebę ukończenia dzieła, złapania samolotu do Nowego Jorku i pchnięcia planu do działania. Najwyższy czas.

Tydzień później, z pieniędzmi na koncie - choć nie tak dużymi, na jakie miała nadzieję - i nowo wystawioną kartą kredytową w ręce, zarezerwowała bilet na następny dzień na lot do Nowego Jorku i zaczęła porządkować dom na wypadek, gdyby już nigdy nie wróciła.

Wyczyściła lodówkę, pozbyła się łatwo psującego jedzenia z kuchni. Jeśli nie wróci, nie chciała, żeby właściciel wszedł tu za miesiąc i dostał prosto w nos smrodem gnijących odpadków. Zamiałała, myła, odkurzała, i starała się nie płakać. Sfatygowane meble, które kupiła z drugiej ręki, żeby wyposażyć dom, nie wyglądały zbyt pięknie, a i bliźniak przecież nie należał do niej, lecz był to jej pierwszy prawdziwy dom. Należał tylko do niej; sama wybrała wszystko, od tanich garnków po haftowaną narzutę na łóżko. Lampę do salonu kupiła za pięć dolarów na wyprzedazy prywatnego domu, a miękką narzutę, która leżała na oparciu sofy, za jedynego dolara na innej. Zapach odświeżacza powietrza był taki, jaki jej się podobał, a mydło takie, jakie ona lubiła.

Spakowała ubrania. Nie miała ich wiele, wszystkie szmatki i kosmetyki, które kupiła, zmieściły się w dwóch walizkach. Cieszyła się swobodą, swoją naturalnością - nie robiła makijażu - i tym, że nie musi przejmować się, czy ktoś zobaczy ją niewystrojoną, nie perfekcyjną. Ostatnie pozostałości po trwałej już dawno zniknęły

z jej włosów, które zostawiła naturalne, ciemne. Nie chciała być znowu blondynką; Drea była blondynką. Andie miała brązowe włosy.

Kiedy mieszkanie zostało posprzątane, a walizki spakowane, zostały jej tylko dwie rzeczy do załatwienia. Najpierw pojechała do dużego centrum handlowego, w którym mieścił się sklep z perukami. Żeby przyciągnąć uwagę Rafaela, będzie musiała znów stać się Drea. Jednocześnie chciała w mgnieniu oka ściągnąć perukę i przeobrazić w kogoś, obok kogo przejdzie, nie rozpoznając.

W sklepie nie było wiele peruk, przypominających fryzurę, którą wtedy nosiła. Wybrała dość podobną: nieco dłuższą, o trochę mniej pofalowanych włosach i odcieniu bardziej platynowym niż złotym, ale wystarczy.

Ostatnią rzeczą do zrobienia było wyprowadzenie Simona w pole na wypadek, gdyby cały czas ją obserwował; poszła do sklepu, gdzie zazwyczaj kupowała jedzenie, i nabyła sporo rzeczy, które prędko nie stracą przydatności do spożycia. Zakupy jedzeniowe utwierdzą go w przekonaniu, że Andie zamierza zostać na miejscu. Poza tym gdyby naprawdę wróciła do Kansas City, miałyby już jedzenie na miejscu.

Następnego dnia rano pojechała na lotnisko, zaparkowała explorera na długoterminowym parkingu i rozpoczęła powrót do Nowego Jorku. Miejsce, zarezerwowane w ostatniej chwili, znajdowało się pośrodku ostatniego rzędu w samolocie. Siedziała wciśnięta między przysadzistego dżentelmena, a jego równie dużą żonę, którzy wybrali te miejsca najwyraźniej w nadziei, że nikt nie usiądzie między nimi i będą mieć dla siebie sporo przestrzeni. Mieli pecha podobnie jak ona.

Spędziła nieco ponad trzy godziny, czekając na przesiadkę i dotarła na lotnisko La Guardia wczesnym popołudniem. Znalazła bagaż, przeciągnęła walizki na parking transportu naziemnego i czekała na bus hotelowy. Był chłodny wiosenny dzień, około dwudziestu stopni, lecz odczuwalna temperatura oscylowała wokół piętnastu z powodu chłodnego wiatru.

Kiedy bus podjechał, wsiadły do niego jeszcze cztery osoby, lecz każda wydawała się podróżować samotnie, więc wszyscy jechali w milczeniu w kierunku wieżowców Manhattanu.

Andie uwielbiała to miasto; obserwowała zbliżającą się linię drapaczy chmur. Kochała ludzi, gwar na ulicach, widoki, odgłosy i zapachy. Kansas City żadną miarą nie było małym miasteczkiem, lecz daleko mu do Nowego Jorku. Może, jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, zdoła tu wrócić?

A może nie. Nie da rady znaleźć dobrze płatnej pracy, a Manhattan jest drogi. Pieniądze, które dostała ze sprzedaży biżuterii, nie starczą tu na długo. Będzie

musiała gospodarować oszczędnie, bo nie miała żadnych konkretnych umiejętności ani przygotowania do pracy, a pragnienie rzeczy, na które nie było jej stać, doprowadziło ją do mężczyzny pokroju Rafaela. Od tej chwili będzie się zadowalać tym, na co zdoła zapracować.

Zameldowała się w Holiday Inn i znalazłszy się w maleńkim, obskurnym pokoju wyciągnęła ogromniastą książkę telefoniczną i zaczęła szukać numeru.

- Rząd Stanów Zjednoczonych - mruzczała do siebie, a potem znalazła mnóstwo numerów i zaczęła wodzić palcem w dół strony. Jednocześnie, drugą ręką, włączyła swój telefon komórkowy i czekała, aż złapie sygnał. Potem wstukała numer.

Oto i ona. Znalazł ją. Wreszcie włączyła telefon.

Palce Simona biegały po klawiaturze laptopa, wklepując polecenia. Przeniósł się do San Francisco i pozostawał tu dłużej niż zwykle w jednym miejscu. Teraz, kiedy już nie pracował zawodowo, nie miał potrzeby wiecznego zmieniania adresu. Właściwie nie zapuścił tu korzeni, ale nieco zmodyfikował przyzwyczajenia.

Wyjechał z Kansas City dokładnie tak, jak powiedział Andie. Nie chciał się jej naprzykrzać. Dał jej mnóstwo spraw do przemyślenia, a ona musiała się do nich przyzwyczaić. Śledził ją jednak i czuł ulgę, wiedząc, że większość jej działań zdaje się być rutynowa. Nękało go tylko to, że nie wróciła do restauracji Glenna. Nie zrobiła nic, co mogłoby go zaalarmować, ale cały czas obserwował ją wyjątkowo czujnie.

Telefon komórkowy zabrzączał o świcie, lecz nie od razu go to zaniepokoiło. Kansas City znajduje się w innej strefie czasowej, więc tam był już środek dnia. Wstał jednak i wyszedł na spacer, a kiedy samochód przestał się ruszać na parkingu nieopodal lotniska, Simona oblał zimny pot. Andie wsiadała właśnie do samolotu, a on znajdował się tysiące kilometrów od niej i nic nie mógł na to poradzić. Szlag.

Od wielu miesięcy nie włamał się do żadnego systemu komputerowego, gdyż nie miał takiej potrzeby. Nie wiedział, z jakich linii lotniczych korzystała, co go nieco ograniczało, więc zaczął systematycznie przeszukiwać wszystkie, na wypadek gdyby nie wzięła ze sobą komórki albo nie zawracała sobie głowy włączaniem jej, dopóki nie zacznie jej potrzebować.

Kiedy lokalizator w telefonie dostał zasilanie, natychmiast wpisał do komputera polecenie, które pomogło mu znaleźć jej dokładną lokalizację. W chwili, gdy na ekranie komputera pojawiła się mapa, Simon poczuł, że na jego skórze zbiera się lodowaty pot.

Była w Nowym Jorku.

Rozdział 30

Następnego ranka Andie przeszła przez barykady i kontrole bezpieczeństwa na Federal Plaza. Otrzymała identyfikator gościa, dowiedziała się, gdzie ma poczekać, a na koniec została wprowadzona do niewielkiego gabinetu. Kiedy weszła, agent specjalny Rick Cotton wstał i potrzęsnał dłonią, którą mu podała. Miał przyjemny, pewny uścisk, niezbyt mocny, ale i niezbyt wymoczkowaty; z drugiej strony nie widziała, co miałyby być w nim tak specjalnego.

Był w średnim wieku i nieco siwiał, choć ciało miał wysportowane, a wyraz twarzy spokojny i miły. Po zachowaniu innych, kiedy przebywali w jego towarzystwie, wywnioskowała, że jest powszechnie lubiany, lecz brakowało mu tej iskry, która sprawia, że człowiek trzęsie światem. Siła osobowości Simona dominowała wszędzie tam, gdzie się znajdował, podczas gdy Rick Cotton przechodził ledwie zauważony.

-Proszę usiąść, panno Pearson. - Wskazał gestem poobijane krzesło o prostym oparciu. - Jeśli się nie mylę, pani wiadomość mówiła, że znajduje się pani w posiadaniu informacji na temat kogoś o nazwisku Rafael Salinas?

Gdyby rozgrywał to bardziej tajemniczo, sam chyba nie wiedziałby, jak odcyfrować swoje słowa. Chciał, żeby pierwsza odkryła karty, nie ma problemu.

-Nie nazywam się Pearson - odparła. - Nazywam się Andrea Butts. Kiedyś posługiwałam się imieniem Drea Rousseau i przez dwa lata mieszkałam z Rafaelem Salinasem.

Zanim zdołał się opanować, zauważyła, że jest zszokowany. Zamrugał szybko, zagapił się na nią.

-Miałam wtedy długie blond loki - odpowiedziała przyjaźnie.

- Chwileczkę - odparł i podniósłszy słuchawkę telefonu, wykręcił numer wewnętrzny. - Drea Rousseau jest w moim biurze - rzucił do telefonu, po czym odłożył słuchawkę.

Siedział w milczeniu, ona także. Naprawdę nie miała pojęcia, czy na cokolwiek przyda się FBI. Albo oni jej, lecz było to jedyne miejsce, żeby choć zacząć. Zaproponowanie swojej osoby w charakterze przynęty miało sens tylko wówczas, jeśli ktoś obserwował pułapkę, w przeciwnym razie przynęta będzie tylko posiłkiem. Może nic nie będzie w stanie zrobić Rafaelowi, ale przynajmniej próbuje.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna o płowych włosach.

-Panno Rousseau - zaczął. - Nazywam się agent specjalny Brian Hulsey. Obecnie to ja prowadzę śledztwo przeciwko Rafaelowi Salinasowi. Czy pozwoli pani ze mną do biura?

Andie zawahała się, przechyliła głowę i obserwowała go przez chwilę. Nie zapukał, wchodząc do pokoju Cottona, i zauważyła lekki nacisk na słowo „obecnie”. Było to kompletnie niepotrzebne, chyba że chciał zwrócić uwagę na agenta, który poprzednio zajmował to stanowisko. Polityka wewnętrzna z domieszką ego i popisywaniem się władzą doszła do wniosku. Agent Cotton miał przyjemną minę i chyba się nie przejął. Nie miał wybujałego poczucia własnej ważności, nie był zainteresowany władzą.

-Nie - odparła, przeciągając lekko słowo; podjęła decyzję. - Będę rozmawiać z agentem specjalnym Cottonem.

Agent specjalny Hulsey przypomniał uprzejmie:

- Pani mnie nie zrozumiała. Agent Cotton nie prowadzi już tego dochodzenia...
- Ależ wszystko rozumiałam - odpowiedziała chłodno. - Angielski jest moim ojczystym językiem i znam w nim wiele słów. - Angielski był także jedynym językiem, jakim władała, lecz on nie musiał o tym wiedzieć.

Oblał się rumieńcem.

-Przepraszam. Nie zamierzałem sugerować...

-Że jestem głupia? Nie ma sprawy. Wielu mężczyzn popełniło ten błąd. - Obdarzyła go słodkim uśmiechem, który, jeśli zwróciłby na to uwagę, powinien zmrozić mu krew w żyłach. - Rafael Salinas był jednym z nich.

-Zapewniam panią, panno Rousseau...

-Butts - sprostowała, kładąc nacisk na spółgłoski. - Naprawdę nazywam się Andrea Butts. Zdawało mi się, że wiecie o tym.

-Oczywiście, ja...

Nie pozwoliła mu dokończyć choćby jednego zdania, odkąd wszedł i przedstawił się, więc nie miało sensu zaczynać teraz.

-Agent Cotton - powiedziała twardo. - Nikt inny. Wasz wybór.

No i proszę, tyle jeśli idzie o spadanie z nieba. Mógł albo zrzec się swojej funkcji na rzecz Cottona, albo być odpowiedzialnym za stratę informatora, który potencjalnie mógłby doprowadzić do upadku Rafaela Salinasa raz na zawsze. Pierwszy z wyborów to podważenie jego autorytetu - tak już na to patrzył - ale drugi mógłby zabić jego karierę.

-Ustałę to z zastępcą dyrektora - mruknął z niechęcią i wyszedł z pokoju, zostawiając drzwi za sobą otwarte.

Andie wstała i zatrzasnęła je za nim.

-Nie spodobał mi się - zwierzyła się Cottonowi, po czym wróciła na miejsce.

Agent specjalny Cotton pozwolił sobie na uśmiezek, zanim wyraził swoją opinię:

- To dobry agent.

- Tak założyłam, bo w przeciwnym razie nie pracowałby w Nowym Jorku, ale dokładnie to samo mogę odnieść do pana. - Agenci daliby się posiekać za przydzielenie do pracy w jednym z dużych miast, a Nowy Jork i Waszyngton znajdowały się na szczycie listy marzeń, tam, gdzie wszystko się działo i wszyscy ich widzieli.

- Pracuję z zespołem szalenie inteligentnych ludzi. Łatwo jest wyglądać dobrze, kiedy wszyscy wokół bardzo się starają.

Andie wyczuła, że gotów był oddać zasługi tym, którzy na nie zapracowali, podczas gdy Hulsey nie. Decyzja, żeby trzymać się Cottona, usatysfakcjonowała ją.

-Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym zadzwonić po kolegę, który pracował ze mną nad sprawą Salinasa - powiedział, znów sięgając po telefon. - Nazywa się Xavier Jackson i jest geniuszem w swojej robocie. Miał pecha, że przydzielili go do mnie, ale nadal czasem rozmawiamy, choć nie pracujemy już nad tą sprawą.

Andie domyśliła się, że zostali odsunięci od śledztwa, gdyż nie zdołali dostarczyć żadnych konkretnych dowodów, a mogłaby się założyć o wszystko, że Hulseyowi nie wiedzie się lepiej. Nic dziwnego, że tak bardzo chciał z nią rozmawiać; dzięki niej mógłby odnieść zwycięstwo i może wszystko, czego potrzebował, żeby wreszcie popchnąć sprawę przeciwko Rafaelowi do przodu, to jeden konkretny dowód.

Rozmawiała niezobowiązująco z Cottonem, podczas gdy czekali na geniusza Jacksona. Jakies piętnaście minut później rozległo się uprzejme stukanie do drzwi, a potem chwila ciszy, dopóki Cotton nie rzucił podniesionym głosem:

- Proszę!

Xavier Jackson był młodszy od Cottona, może w jej wieku, szczupły, ciemny, dość przystojny, o lekko egzotycznych rysach i oliwkowej skórze. I lepiej ubrany niż większość agentów FBI, których spotkała w budynku: chociaż miał na sobie obowiązkowy garnitur i białą koszulę, dobrał krawat w kolorze głębokiej, ciemnej czerwieni w delikatny wzór, który - kiedy się uważniej przyjrzała - wyobrażał wystylizowane konie, zaznaczone ciemniejszym kolorem. Zamiast płaskiego kwadratu złożonej chusteczki z kieszonki w marynarce wystawały mu subtelne fałdy czerwonej materii pasującej do krawata. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał bardziej elegancko, a ruchy miał odrobinę szybsze niż większość agentów. Mówił z nierozpoznawalnym akcentem, niczym dobry prezenter telewizyjny. Wyraz jego oczu przypominał rekina, do Ottona odnosił się z należyty szacunkiem.

Żaden z nich nie umrze w najbliższej przyszłości.

Zrozumiała to, wyłuskała to proste przekonanie z powietrza, jak gdyby znalazła jabłko dyndające tuż przed jej nosem; nie widziała jednak potrzeby, żeby im o tym wspominać. Jackson uważał, że jest kuloodporny, Cotton zaś marzył tylko o emeryturze i czasie, który będzie mógł spędzić z żoną na robieniu rzeczy, które sprawiają mu przyjemność. Żadne myśli o śmierci nie mąciły im spokoju ducha, więc nie chciała zaczynać tematu.

Jackson patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę jest pani Drea Rousseau?

Roześmiała się, na co on dodał natychmiast:

- Okej, rozpoznaję ten śmiech. - Oczy błyszczały mu z ciekawości. - Myślałem, że pani pewnie nie żyje. Pani zwyczajnie zniknęła.

- Celowo - zapewniła go. - Nie chciałam dać się zabić.

- Salinas chce panią sprzątnąć?

- Chciał. Jednak kiedy wyjechałam z miasta, miałam wypadek samochodowy, a gazety mylnie podały, że zginęłam na miejscu. To tak naprawdę uratowało mi życie, bo Rafael odwołał swoje psy gończe. - Był tylko jeden pies gończy i to on zdał Rafaelowi raport o jej śmierci, lecz jej bajeczka o tym, co się zdarzyło, wydawała się bardziej przekonująca niż fakty.

- Więc on uważa, że pani nie żyje - mruknął Cotton. - Jest pani bezpieczna. Dlaczego wróciła pani do miasta, na jego teren?

- Bo jeśli wiem cokolwiek, co pomoże wam zbudować sprawę przeciwko niemu i pomoże wsadzić go do więzienia, nie powinnam martwić się o siebie. On sprowadza tony narkotyków do tego kraju. Rafael jest sprytny - dodała. - Możecie nigdy nie

zdożyć dowodów przeciwko niemu, chyba że ktoś wam pomoże. Ja mogę się wam przydać. Nie jestem pewna, czy się uda, ale chcę spróbować.

- Zna pani jego księgowego? Prawdziwego, nie tego, który robi jego księgi pod publikę?

Pokręciła głową. Znajomość księgowego oraz jej lub jego lokalizacji byłaby gwoździem do trumny dla całej maszynierii Rafaela.

- Nigdy nie usłyszałam jego nazwiska. Nie uważał przy innych sprawach - na przykład przy hasle do konta w banku - ale nie przy tym. Nie sędzę też, żeby znał go którykolwiek z jego ludzi. Rozmawiali przy mnie o różnych rzeczach, ale nigdy nie wspominali ani księgowego, ani ksiąg rachunkowych.

- Czy kiedykolwiek zniknął, nie zabierając ze sobą żadnego ze swoich ludzi? - Tu włączył się Jackson.

- Nie, o ile mi wiadomo. Choć mógł wychodzić z domu w towarzystwie swojego ochroniarza i zostawiać go gdzieś później. Ale jak już powiedziałam, nigdy o czymś podobnym nie słyszałam. Rafael ma paranoję na tle wychodzenia gdziekolwiek samemu. Zdaje mu się, że na ulicach aż roi się od jego rywali, którzy chcą go wykończyć. Chce być zawsze, wszędzie otoczony ciałami innych.

Obaj zarzucili ją pytaniami dotyczącymi wszelkich szczegółów, jakie tylko przychodziły im do głowy. Rozmawiali przez wiele godzin, Andie podawała im wszystkie informacje, które tylko zdołała sobie przypomnieć, lecz w końcu wpadła niemal w rozpacz, gdyż nic nie wydawało się być wystarczające. Tego się właśnie obawiała, że będzie trzeba uciec się do bardziej desperackich kroków.

- Jest jedna opcja, o której muszę wam wspomnieć - powiedziała, kiedy nawet obaj agenci zaczęli tracić nadzieję. Wyglądało na to, że ich złota sposobność do złapania Salinasa zapewne spali na panewce. - To nie byłoby oskarżenie federalne, ale chodzi przecież o to, żeby zmusić Rafaela do zamknięcia interesów i zdjąć go z ulicy, tak? Jemu kompletnie odbije na mój widok... Po pierwsze, powinnam nie żyć. Po drugie, kiedy odchodziłam... zabrałam mu coś szalenie ważnego. - Tak, mogła z ręką na sercu powiedzieć, że dwa miliony miały dla niego szczególne znaczenie. Z drugiej strony równie ważny dla kogoś pokroju Salinasa był afront, na który go naraziła. Kiedy się nad tym zastanowić, to może zraniona duma bolała go najbardziej. Przekonał sam siebie, że jest w niej zakochany, a ona rzuciła mu to w twarz. - Jeśli tylko zdoła, zabije mnie na miejscu. Jak więc możemy to wykorzystać przeciwko niemu?

- To nie zadziała - powiedział Jackson cicho, kiedy Drea Rousseau wyszła. Szalenie odmieniona Drea, lecz bez wątplenia ona. - Nawet gdybyśmy użyli cywila

jako przynęty, na co prokurator okręgowy nigdy nie pozwoli, usiłowanie zabójstwa nie jest objęte takim wyrokiem, żeby zdjąć faceta z ulicy i zamknąć na dłużej, nie wiadomo, czy w ogóle trafiłby do więzienia.

- Wiem. - Cotton pokiwał głową. Głos miał zmęczony. - Wiem. Nadal nie mamy jak go przygwoździć, nawet z jej pomocą. A niech Bóg broni, żebyśmy użyli jej jako przynęty, a on ją zastrzelił na ulicy. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Andie zatrzymała się na lunch w jakiejś jadłodajni, lecz była tak zawiedziona, że ledwie zdołała przełknąć zupę, którą zamówiła. Sądziła, że wróci do Nowego Jorku i w krótkim czasie przy pomocy agentów federalnych albo wsadzi Rafaela za kratki, albo sprzątnie ze świata. Szczerze mówiąc wyobrażała sobie raczej ten drugi scenariusz, z efektowną strzelaniną, która rozkręciłaby powolne dzienne wiadomości i w której Rafael by zginął. Teraz, po zastanowieniu się, naprawdę nie potrafiła powiedzieć, jakim cudem taki scenariusz w ogóle przyszedł jej do głowy. To nie przypominało nagłego przecucia, które czasem miała wobec innych; nigdy nie widziała nic dotyczącego siebie samej.

Jej plan, jeśli można go nazwać planem, miał szalony rozmach, ale niewiele szczegółów. Teraz, kiedy tu przyjechała, czuła się wyjątkowo głupio. Nie przemyślała żadnych konkretów, a to do niej zupełnie niepodobne. Pokręciła głową. Nie była dzielna ani szalona, nie miała zadatków na bohaterkę, lecz nosiła w sobie przekonanie, że ten plan się powiedzie. Mimo że nie miała pojęcia, jak do tego doprowadzić. Co się z nią dzieje, u wszystkich diabłów?

Chyba że naprawdę miała tu umrzeć - chyba że jej śmierć będzie jedyną drogą, żeby zamknąć Salinasa na dobre.

Nic nie widząc, wpatrywała się w ulicę, w niekończący się strumień przechodniów. Nie bała się śmierci, lecz martwiła się, czy była dość dobra, żeby zasłużyć na powrót do tego miejsca, gdzie przebywał Alban. Bardzo starała się, żeby być lepsza, pracować ciężko na życie, przestać wykorzystywać urodę i seks, żeby dostać to, na co miała ochotę... Ale minęło dopiero osiem miesięcy. Osem miesięcy przeciwstawione piętnastu latom nie miało chyba zbyt wiele wagi. Gdyby teraz umarła, czy miałaby dość plusów na koncie, żeby to coś zmieniło?

Może jej śmierć, ostateczna śmierć, ma być prawdziwym testem? Nie ma większego dobra nad życie i inne takie tam. Gdyby do tego doszło i gdyby jej śmierć miała być tym, co doprowadzi do upadku Rafaela, chciała to zrobić. Jakoś znajdzie w sobie odwagę.

Ale, och, nie chciała zostawiać Simona. Pomimo wszystkiego z przeszłości, to, co było teraz między nimi, wydawało się nowe i drżące, ledwie poznane. Mimo jego przeszłości, mimo że powtarzała sobie, że to najgorszy wybór na koniec wszystkich złych decyzji, chciała przyłożyć dłonie do jego szczęki szorstkiej od zarostu, spojrzeć w ciemne opale oczu i obserwować, jak na miejscu pustki pojawia się czułość.

Chciała mieć czas, żeby go poznać, naprawdę poznać. Pragnęła czegoś więcej niż powierzchownej wiedzy, którą uraczył ją wtedy w IHOP podczas sesji pytań i odpowiedzi. Chciała opowiadać mu głupiutkie dowcipy i obserwować, jak się śmieje, chciała dzielić z nim posiłki i być przy nim, kiedy zamienia się z mężczyzną zszywającego własne rany w kogoś, kto pozwala innym pomóc sobie.

Był taki samotny. Gdyby umarła, co by się z nim stało? Czy zostałby na ścieżce, którą niedawno wybrał, czy wrócił do dawnego życia? Nie wierzyła, że jest tak wyjątkowa, że on już nigdy nie znalazłby miłości na świecie, ale pytanie brzmiało: czy by jej szukał? Czy spróbowałby ją znaleźć? Czy też wzniósłby wokół siebie jeszcze wyższe mury niż wcześniej? Znała odpowiedź na te pytania, bo widziała, jak kompletnie odciął się od niej tamtego popołudnia, które spędzili razem, jak odmówił podania jej choćby swego imienia. Nie chciał też, żeby go całowała; pamiętała, jak zamarł w bezruchu, prawie ją odepchnął. Ale nie uczynił tego; coś w nim pragnęło być tulone i całowane, a kiedy już odwzajemnił jej pocałunki, poczuła się jak nigdy wcześniej. Nikt nigdy nie całował jej tak głęboko ani tak wyłodniałe.

Gdyby nie dostrzegła go na parkingu przed restauracją, gdyby nie poszedł do jej domu i nie pocałował jej tam, pewnie już zawsze myślałaby o nim z bólem i żalem, z którego nie byłaby w stanie się otrząsnąć, ale nie tęskniłaby za nim. Myśl o nim nie sprowadzałaby na nią smutku, że musi zrobić to, co powinna zrobić.

Skończywszy zupę, wyszła z jadłodajni i poszła przez miasto do Holiday Inn, w którym się zatrzymała. Droga nie była zbyt długa; musiała przejść zaledwie kilka krótkich przecznic. Sama wsiadła do trzeczającej windy i pojechała na swoje piętro. Na końcu korytarza zobaczyła zaparkowany wózek pokojówki, a z otwartych drzwi dobiegał szum odkurzacza.

Włożyła kartę do czytnika, otworzyła drzwi i zamarła w bezruchu.

-Nie krzycz. - Tuż przed nią pojawił się ogromny cień Simona; minę miał nieprzeniknioną.

Przełknęła mocno w tej samej chwili, kiedy on wciągnął ją do pokoju, przekręcił zamek w drzwiach, a potem zaciągnął zasuwę.

-Co ty tu robisz? - warknął.

-To mój pokój. Właśnie miałam ci zadać to samo pytanie. - Przełknęła głośno, rzuciła torebkę na podłogę, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję. Łzy paliły ją w oczach i prawie się rozpląkała, lecz zamruwała szybko, żeby je powstrzymać. Gdyby wcześniej nie myślała o nim, o tym, jak bardzo go pragnie, może zdołałaby się opanować, ale ulga na dźwięk jego głosu i uczucie twardego ciała przyciśniętego do niej była zbyt silna, tęsknota zbyt blisko powierzchni. Może wkrótce umrzeć i wcześniej chciała go mieć jeszcze raz. Wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego ust; jęknęła cicho, czując jego smak i niezapomnianą miękkość warg.

Wcześniej, kiedy go całowała, wahał się, lecz nie tym razem. Jego ramiona zacisnęły się wokół niej i obrócił się, na wpół niosąc ją, a na wpół popychając przed sobą obok łazienki, przez główną część pokoju...

... na łóżko.

Przerwał pocałunek po to tylko, żeby sięgnąć w dół, schwycić róg narzuty i ściągnąć ją z łóżka na podłogę, a potem padł na materac i pociągnął Andie za sobą.

W jego pocałunkach czaiła się ta sama gorączka, ten sam głód, które pamiętała. Przykrył ją swoim ciężarem, wcisnął w materac, a ona objęła go nogami. Przesunęła udami w górę jego bioder. Powoli ocierał się o nią sztywnym członkiem, nawet kiedy odchylił się na tyle, żeby zdjąć z niej płaszcz.

- Lepiej, żebyś była tego pewna - zamruczał, napotykając jej spojrzenie. - Stąd nie ma powrotu.

Intensywność uczucia w jego zmrużonych oczach wstrząsnęła nią, paliła. Ujęła jego twarz w dłonie, tak jak sobie wyobrażała, że to uczyni, i zaryzykowała.

- Kocham cię, Simonie. - Chciała powiedzieć to przynajmniej raz, na wypadek gdyby nie nadarzyła się jej druga szansa. Chciała, żeby wiedział, że jest kochany, uwielbiany, że nie jest sam.

Zawahał się wtedy, ramiona gwałtownie mu zadrżały i odmówiły podtrzymania ciężaru ciała. Opadł na nią i oddychając ciężko, przycisnął czoło do jej czoła.

- Nie musisz tego mówić - powiedział cicho; coś w jego głosie było tak pokornego, że złamało jej serce.

- Ale to prawda. Kiedy nie chciałeś wziąć mnie z sobą, rozpadłam się. Nie mogłam przestać płakać. - Delikatnie głaskała go po włosach. - Ledwie mogłam myśleć. Bolało mnie to tak bardzo, że musiałam przekonać Rafaela, że jestem zdruzgotana, bo zrozumiałam, że on mnie nie kocha. I że ty powiedziałaś, że za dużo ze mną kłopotu i że w ogóle mnie nie tknąłeś.

Podarwał głowę i wpatrywał się w nią, nos w nos.

- Chcesz powiedzieć, że to kupił? - spytał z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Mam talent do kłamania - odparła z rozbawieniem.

- Cholera. Wiedziałem, że jesteś dobra, ale to jest światowa klasa.

- Dziękuję. - Roześmiała się i podniosła głowę, żeby znów posmakować tych delikatnych warg. Poczula, jak wyginają się w uśmiechu i serce się w niej ścisnęło.

Delikatnie przygryzł jej brodę, pogładził obejmujące go uda, przesunął dłoń wyżej.

- Wskoczmy z tych ubrań. Przez jakiś czas muszę się z tobą kochać.

- Jak długo to jakiś czas? - Zaczęła rozpinąć guziki bluzki, lecz porzuciła ten wysiłek, żeby zająć się guzikami jego koszuli. O wiele bardziej wolała poczuć pod palcami jego skórę niż swoją własną. - Chcesz pobić własny rekord?

- Chcesz powiedzieć więcej niż cztery godziny? - Pokręcił głową z uśmiechem. - Nie zdołam. Nie tym razem. Co powiesz na jakieś dwadzieścia minut?

- Leniuch. Wiem, że stać cię na więcej. - Nie potrzebowała dwudziestu minut; uniosła biodra i ocierała się o niego, szukając twardej krawędzi. Pięć minut wystarczy. Czula napięcie w każdej komórce ciała na wspomnienie uczucia, które ogarnęło ją, kiedy wchodził w nią ostatnim razem. Jego członek był dość gruby, żeby czuła się mocno rozciągnięta, nawet wtedy; jak będzie teraz, po wielu miesiącach życia w celibacie? Sądziła, że jej popęd seksualny zanikł, bo od czasu wypadku ani razu nawet nie myślała o seksie. Dopóki on nie pojawił się w jej kuchni, a ona zrozumiała, że nie zanikł, lecz zapadł w sen zimowy, bo była przejęta innymi sprawami.

Rozpięła guziki jego koszuli i wyciągnęła ją ze spodni. Szeroka płaszczyzna piersi, porastające ją delikatne włoski, wszystko ją podniecało. Rozpostarła palce i przycisnęła dłonie płasko do jego ciała tak, że delikatne włoski łaskotały wewnątrz jej dłoni. Jej palce znalazły niewielkie, płaskie monety jego brodawek o maleńkich czubkach, które stwardniały, kiedy tylko je pogłaskała. Na jego kości policzkowe wypłynął ciemny kolor; oparł się nad nią i pozwolił jej bawić się do woli.

Dość tego. Naprawdę podobała się jej klatka piersiowa Simona, lecz to, czego pragnęła najbardziej, schowane było w spodniach. Zsunęła dłonie do zamka w spodniach i nieomal go rozerwała.

- Uważaj - zdołał wydusić, lecz zaraz uratował się, zanim jej niecierpliwe ruchy zdołały go skrzywdzić.

- Posuń się - mruknęła. - Daj mi go.

- Powoli. Możesz mieć wszystko... Cholera. Zaczekaj chwilę.

- Nie. Pospiesz się.

- Zdejmij ubranie.

Przetoczył się na bok, a ona niecierpliwie podniosła się na kolana, rozdzierając materiał, aż pozbyła się wszystkiego. Kiedy tylko ściągnęła z siebie dżinsy i bieliznę, rzuciła je na bok i dosiadła Simona, skoncentrowana na czymś, co przynosi znacznie większą przyjemność.

- Kocham się, Simonie. - Wzięła jego członek i wprowadziła między swoje nogi. Celowo posługiwała się jego imieniem, żeby uświadomić mu, że to jego kocha, mężczyznę, nie tylko seks. Gorące oczekiwanie sprawiło, że mięśnie jej brzucha ścisnęły się. Opadła w dół, wystarczająco, żeby nabrzmiała główka wcisnęła się w nią. Ciężki nacisk palił jej ciało, które ustępowało, otwierało się, dopasowywało wokół niego. Bolało, ale nic jej to nie obchodziło. Nacisnęła mocniej, pragnęła więcej, lecz mimo wszystko, na przekór sobie, wycofała się nieco.

W jego gardle wezbrał głuchy grzmot; złapał ją za biodra i pociągnął na siebie krótkim, mocnym ruchem, który sprawił, że znalazł się w niej aż po sam koniec. Odrzucił głowę w tył i zamknął oczy, rozkoszując się tym momentem penetracji. Potem przestał aż tak wpijać w nią palce, rozluźnił się i uśmiechnął z rozkoszą.

- Proszę. Nie żałuj sobie, kochanie. Jest cały twój.

RS

Rozdział 31

Po co tu przyjechałaś? - spytał.

- Jak mnie znalazłeś? - odparowała.

Leżeli nadzy na zmiętej kołdrze wśród porzucanych poduszek, ospali, zrelaksowani, i wreszcie skłonni skoncentrować się na czymś innym niż tylko wciskanie ciała w ciało. Tulił ją, przyciskał jej głowę do swojego ramienia, jakby nie potrafił przestać jej dotykać.

Dla obojga było to nowe doświadczenie, ta kompletna radość, którą może dać przebywanie z drugim człowiekiem. Andie także nie potrafiła przestać go dotykać, zdumiona tym, jak szybko wszystko się między nimi zmieniło. Zachwycona, że teraz może go całować, przytulać twarz do jego szyi, wdychać cudowny zapach i ciepło

jego skóry. Od czasu do czasu miała poczucie oderwania od rzeczywistości: naprawdę była tu z nim? Jej ciało z radością zaakceptowało jego obecność, lecz umysł nie potrafił się jeszcze dopasować do tej nagłej zmiany. Mężczyzna, przed którym uciekała z przerażeniem przez tyle miesięcy, teraz jest jej kochankiem. Nie tylko jej kochankiem, ale i miłością jej życia. Jakkolwiek złym pomysłem by to było, musiała przyznać, że go kocha. Nie dzielili swobody wieloletniej znajomości, chodzenia na randki, poznawania wszystkich szczegółów i dziwactw drugiej osoby, preferencji i gustów. Zamiast tego, ile razy się spotykali, ich kontakt był namiętny i pełen wybuchowych emocji, a żadne z nich nie miało doświadczenia, jak sobie z nimi radzić. Oboje byli nowicjuszami.

Czuła się jak na rauszu. Oszołomiona nim, seksem, ulgą i radością, i bólem, wszystkim zlanym w jedno. Kiedy ją dotykał, czuła się wielbiona - ona, Andie Butts/Drea Rousseau - której nikt nigdy w życiu nie wielbił, nie kochał ani nie cenił. Świadomość, że on ją ceni, że troszczy się o jej przyjemność, jej wygodę i dobro, oszałamiała.

Równie niepokojąca była głębia i siła jej uczuć dla niego. Zrobiłaby wszystko, żeby go chronić, żeby się o niego troszczyć i wygładzić wszelkie nierówności na jego drodze. Jeżeli ona czuła tak względem niego, mogła się tylko domyślać, jak takie emocje będą wyglądać odwrócone względem niej u człowieka, który był ucieleśnieniem słowa „intensywność” i który posiadał instynkt drapieżnika. Jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że Andie chce zaryzykować własne życie? Nie za dobrze, podejrzewała. Żaden mężczyzna, nawet przeciętny, nie zniósłby tego najlepiej, a on nie należał do przeciętnych, żadną miarą.

Będzie musiała mu powiedzieć, dlaczego przyjechała do Nowego Jorku. Nie chce go oszukiwać. Ta nowa, cudowna rzecz między nimi nie zasługiwała na to; ale nie teraz. Na razie, jeśli jego zdaniem nadszedł czas udzielania odpowiedzi na trudne pytania, ona chciała dostać odpowiedź na swoje. Zanim jego reakcja na jej pomysł kompletnie wytrąci ją z równowagi.

Odchyliła głowę na jego ramieniu, popatrzyła mu w twarz i głośno analizowała jego opcje.

- Nawet jeśli masz jakąś pluskwę na explorerze, to doprowadziłaby cię tylko na parking przy lotnisku - myślała na głos. - Nie wiedziałeś, z jakich linii lotniczych korzystałam, jakim lotem, czy gdzie poleciałam. Podejrzewam, że jesteś niezłym hakerem, ale...

- Jestem doskonałym hakerem - wtrącił bez cienia próżności, czy przechwałki w głosie, zwyczajnie stwierdzając fakt.

-Mógłbyś to sprawdzić, ale zajęłoby ci to wiele czasu, chyba że ślepym łutem szczęścia znalazłeś mnie w pierwszej bazie danych, do której się włamałeś. A nawet kiedy już dowiedziałeś się, że przyleciałam do Nowego Jorku, musiałeś znaleźć mnie w mieście. Biorąc pod uwagę, jak wiele jest tu hoteli i moteli oraz to, że nie wiesz, pod jakim nazwiskiem się zameldowałam... Nie ma ludzkiej siły, żebyś mnie odszukał, posługując się tylko komputerem. Nie tak szybko.

Nic nie odpowiedział; z zainteresowaniem obserwował, jak rozpracowuje całą sytuację.

- Masz jakieś urządzenie naprowadzające... na mnie. To jedyne wytłumaczenie. Masz je na mnie, nie na explorerze.

- Mam też jedno na samochodzie - przyznał bez cienia skruchy.

- Więc gdzie jest drugie?

- Pomyśl logicznie. - Usta drgały mu z rozbawienia. - Sama znajdziesz odpowiedź.

- Musiałoby to być coś, co zawsze mam z sobą. Torebka? Kobiety ciągle zmieniają torebki... Coś w torebce. O cholera... komórka!

- Technologia GPS to istny cud. Mogę cię zlokalizować z przybliżeniem do paru metrów, a za pomocą komputera mogę ustalić twój dokładny adres. Na przykład, po co poszłaś do budynku FBI?

- Żeby porozmawiać z FBI, oczywiście. - Przy słowie „oczywiście” przewróciła oczyma, żeby się z nim podroczyć. Podejrzała, że nigdy w życiu nikt się z nim nie droczył, a on potrzebował trochę rozrywki. - Jak udało ci się zainstalować nadajnik GPS w moim telefonie? Kiedy się do niego dobrałeś?

- Wiele miesięcy temu. Wszedłem do twojego mieszkania wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spałaś.

Wszedł do jej mieszkania, do jej sypialni - bo zawsze trzymała torebkę blisko siebie, pod ręką, na wszelki wypadek - a ona nawet o tym nie wiedziała. Gdyby niespodziewany błysk gromu nie oświetlił go na parkingu zajazdu Glenna, nigdy nie dowiedziałaby się, że czuwa nad nią niczym anioł stróż, że choć trzyma się z daleka, pilnuje, żeby nic złego się jej nie stało. Dzięki Bogu za tę błyskawicę; dzięki niej był tu teraz i mogła go obejmować.

- Nie musiałaś przyjeżdżać do Nowego Jorku, żeby porozmawiać z FBI - wytknął jej. - Mają biuro okręgowe w Kansas City.

- Ale tam nie ma agentów, którzy obserwowali Rafaela. Musiałam przyjechać tu.

- FBI ma telefony.

- Simon, musiałam przyjechać tutaj.

- Tu jest dla ciebie niebezpiecznie - mówił, ignorując ton jej głosu, który sugerował, żeby lepiej darować sobie ten temat. Przekreślił się na bok, tak że ich ciała przylegały teraz do siebie na całej długości. - Mimo że masz inną fryzurę, mimo że nie mieszkasz w jego części miasta...nie powinno cię tu być. Na ulicach kręci się z tysiąc ludzi, którzy w ten czy inny sposób są zaangażowani w interesy z Salinasem. Wielu z nich znasz z widzenia. FBI ich obserwuje, a oni obserwują FBI. Salinas mógł już otrzymać wiadomość, że kobieta, która jest do ciebie szalenie podobna, poszła porozmawiać z federalnymi.

Naprawdę nie przyszło jej do głowy, że ktoś z tłumu na ulicy mógłby robić zdjęcia każdemu wchodzącemu i wychodzącemu z budynku, choć powinna była o tym pomyśleć. Z pewnością obce interesy zaangażowane w szpiegostwo i wywiad nie pogardziłyby takimi informacjami. Rafael - owszem, mogła sobie wyobrazić, że posunie się i do tego. Nie zaszedł tak daleko w narkotykowym światku dzięki temu, że zanieczyścił szczegóły. Nie ufał nikomu, nawet wewnątrz własnej organizacji.

Simon ujął jej podbródek w dłoń i unióśł twarz ku sobie tak, żeby móc obserwować, jak zmienia się jej mina.

- Po raz trzeci, dlaczego tu przyjechałaś? - Jego dłoń została na jej policzku, odgarnęła kosmyk włosów za ucho.

- Wiesz dlaczego. - Westchnęła i odwróciwszy głowę, wtuliła twarz w jego dłoń. - Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc go zamknąć. Przez całe rano rozmawiałam z dwoma agentami. Staralam się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów.

- Dlaczego dorwanie właśnie Salinasa jest takie ważne? Wiele osób handluje narkotykami. To szumowiny, on też jest szumowiną. Jest gorszy od niektórych, ale przy innych wygląda na świętoszka.

A to dopiero przerażająca myśl. Andie wzdrygnęła się lekko.

-Jego znam. Innych nie. Poza tym sama czerpałam korzyści z handlu narkotykami, kiedy z nim żyłam. Muszę za to zadośćuczynić. Muszę to naprawić. - Nie powie mu, że zaofiarowała się jako przynęta w pułapce, którą FBI mogłoby zastawić. Agenci Cotton i Jackson nie byli do tego zbyt entuzjastycznie nastawieni, z różnych powodów, i jeśli nic miałoby z tego nie wyjść, nie ma co na próżno denerwować Simona. Podejrzewała, że denerwowanie Simona może się okazać szalenie niebezpieczne - nie dla niej, ale nie chciała, żeby sprzątnął cały budynek na Federal Plaza.

Jeśli - i to mało prawdopodobne - Cotton i Jackson uknują jakiś plan, będzie musiała mu powiedzieć. Zaufanie nie przychodziło jej łatwo, a jemu nawet trudniej. Nie będzie wykorzystywać czegoś tak delikatnego i świeżego.

Ale dziś nie miała mu nic do powiedzenia. Przez resztę dnia i przez noc nie miała nic ważniejszego do zrobienia jak tylko być z nim. Może nie będzie im dane wiele czasu razem, więc chciała wykorzystać go jak tylko może.

Nastroj Andie zmienił się z koszmarnego przygnębienia w olśniewającą radość z bycia z Simonem. Usnęli, po czym znowu się kochali; wtedy popołudnie zamieniło się już w wieczór i Andie poczuła, że jest głodna. Wzięli prysznic - wspólnie - w zwyczajnej, lekko poplamionej wannie i poszli w dół uliczki do włoskiej restauracji.

Simon nie wziął ze sobą torby, więc włożył to ubranie, które miał wcześniej na sobie. Andie nie rozpakowała się powodowana przekonaniem, że jej walizki są czystsze niż półki w szafie, więc odciągnęła suwak jednej z nich i zaczęła szukać czystej bielizny. Pudełko z peruką przyciągnęło jej wzrok, więc pospiesznie narzuciła na nie koszulkę. Dzięki Bogu, że nie wyjęła peruki, aby ją rozczesać, pudełko było stosunkowo niewielkie i...

- Co to takiego? - spytał Simon głosem bez wyrazu, niespodziewanie wyrastając tuż nad jej ramieniem. Sięgnął do walizki i w dwóch palcach podniósł koszulkę, którą narzuciła na pudełko.

- Koszulka - odparła Andie, choć doskonale wiedziała, że wcale nie o to pytał.

Nic nie odpowiedział. Wyjął pudełko z walizki i otworzył je, wyciągnął z niego perukę i potrząsnął nią tak, że długie złote loki rozsypały się swobodnie. Podniósł ją, a syntetyczne pukle owinęły się wokół jego przedramienia.

-To nie dokładnie ten sam kolor, ale całkiem blisko - odezwał się nadal tym płaskim, celowo obojętnym tonem; obracał perukę na wszystkie strony i przyglądał się jej uważnie. - I jest za mało kręcona. -Upuścił ją z powrotem do walizki, po czym spojrzał na Andie zmrużonymi oczami. Był tylko jeden powód, dla którego mogłaby mieć przy sobie blond perukę i oboje o tym wiedzieli. - Prędzej szlag i kurwica mnie strzela, niż pozwolę ci bawić się w przynętę w jakiejś pieprzonej pułapce, o której marzą federalni.

Andie wyprostowała ramiona. Wierzyła, że postępuje słusznie, więc musiała wytrwać przy swojej decyzji.

- Federalni o niczym nie marzą. To ja zasugerowałam takie rozwiązanie... a oni je odrzucili. - Nie powiedziała mu, że to nie jego interes, co ona zamierza zrobić, bo

był to jego interes, dokładnie tak samo jak on nagle stał się jej interesem. Dała mu to prawo w momencie, kiedy powiedziała, że go kocha.

- I dobrze. Do tej pory nie zabiłem nikogo, kto pracowałby dla wymiaru sprawiedliwości, ale zawsze jest czas zacząć.

Gdyby ktokolwiek inny powiedział coś podobnego, można by bezpiecznie założyć, że przesadza i zwyczajnie musi się wyszumieć. Nie w przypadku Simona. Stwierdził fakt i miał dowody na poparcie tego oświadczenia. Andie złapała go za rękę; pozwolił jej na to, lecz nie odwzajemnił uścisku.

Ujęła jego dłoń w obie swoje i przytuliła do piersi, tuż nad blizną, która biegła od jej obojczyka aż do końca żeber. Godzinę wcześniej całował tę bliznę z czułością matki całującej niemowlę i wiedziała, że oboje myślą o tym, co się jej przydarzyło i jakim jest cudem.

- Muszę za to zapłacić - powiedziała cicho. - To miało swoją cenę, a częścią tej zapłaty jest to, że zrobię, co w mojej mocy, żeby powstrzymać Rafaela. Nie mogę odejść i nic nie zrobić tylko dlatego, że zakochałam się w tobie. Niczego tak nie pragnę, jak spędzić z tobą resztę życia, żeglując po oceanach, czy cokolwiek chcesz teraz robić. Ale muszę spłacić ten dług. Muszę zasłużyć na drugą szansę.

- Zasłuż na nią w jakiś inny sposób. Pracuj w kuchni dla biednych. Oddaj wszystkie pieniądze organizacji charytatywnej...

- To już zrobiłam. Zanim tu przyjechałam.

- Załatwiasz wszystkie sprawy na wypadek, gdybyś miała nie przeżyć?

W jego słowach słychać było tnący sarkazm, lecz Andie odparła tylko:

- Owszem. - Wzdrygnął się. Trwało to ułamek sekundy, mogłaby przypuszczać, że się jej przywidziało, lecz знаła prawdę i serce jej się ścisnęło. - Nie chcę zrobić nic, co mogłoby mnie oderwać od ciebie. Jutro jestem umówiona na kolejne spotkanie z agentami i obiecuję... przysięgam... że jeśli istnieje inny sposób, nie będę narażać się na niebezpieczeństwo.

- To mi nie wystarcza. Nie chcę, żebyś się do niego zbliżała, bez względu na to, czy dzięki temu spędzi choćby godzinę w więzieniu, czy umrze wolny i szczęśliwy w wieku dziewięćdziesięciu lat. Raz już patrzyłem, jak umierasz. Nie dam rady zrobić tego po raz drugi. Nie zrobię tego, Andie.

Wyciągnął dłoń z jej rąk, obrócił się i podszedł do okna, choć widok z niego nie był nazbyt interesujący: wąska uliczka i tył innego budynku. W milczeniu skończyła się ubierać. Nie mogła powiedzieć nic, co by go pocieszyło, chyba że miałaby skłamać, lecz - o ironio - ona, zawodowa kłamczucha, nie potrafiła się zmusić, by

złamać jego zaufanie w ten sposób. Obiecała mu tyle, ile mogła i teraz zostało tylko mieć nadzieję.

Poszli na piechotę do restauracji, gdzie jedli w milczeniu, ale nie w ciszy pełnej napięcia, po prostu oboje powiedzieli wszystko, co mieli do powiedzenia i dalsza dyskusja na ten temat do niczego nie prowadziła. Jednocześnie Andie nie miała ochoty na błahe rozmówki o pogodzie, on zaś nie lubił rozmawiać o pogodzie. Nie chciała też robić planów na przyszłość, gdyż mogło się jeszcze okazać, że nie będą mieć wspólnej przyszłości, i przez to wszystko nie miała wiele do powiedzenia.

Lecz kiedy wracali do hotelu, trzymał ją za rękę, a potem rozebrali się prawie do naga i oparli się o poduszki, oglądali w łóżku telewizję. Zasnęła w połowie programu z głową na jego brzuchu.

Następnego ranka zadzwoniła do agenta Cottona i poprosiła o spotkanie w jakimś innym miejscu niż budynek na Federal Plaza. Ostrzeżenie Simona, że są ludzie, którzy obserwują wszystkich wchodzących i wychodzących stamtąd sprawiło, że czuła się nieswojo, tak samo jak wtedy, kiedy podczas zakupów zauważała, że ochrona w sklepie przygląda się właśnie jej. Choć wiedziała, że nie robi nic złego, nie lubiła być obserwowana; aktywowało to w niej jakiś prymitywny alarm.

Jeszcze bardziej niepokoiło ją to, że Rafael może opłacać jednego z pracowników budynku, żeby mu donosił i już wie, że kobieta podająca się za jego była kochankę rozmawiała z agentami. To dałoby mu czas na przemyślenie sprawy i zaplanowanie odwetu, jej zaś odebrałoby przewagę płynącą z jego szoku na jej widok. Jeśli miała się poświęcić, cholera, nie chciała robić tego na darmo.

- Może w Madison Square Park? - zasugerował Cotton. - Będę tam niedaleko, a to dobre miejsce na rozmowę. Będę czekać przy posągu Conklinga o pierwszej.

Simon wyszedł koło dziesiątej, mówiąc, że idzie po swoją walizkę i że niedługo wróci. Nie wiedziała, dokąd poszedł, zaczęła z wyjściem aż minęła dwunasta, ale jego nadal nie było. Napisała mu liściki zostawiła na komodzie. Nie miał karty do drzwi, ale to go poprzednio nie powstrzymało, więc nie martwiła się, że po powrocie zostanie Simon czekającego na nią w korytarzu.

Dzień był cieplejszy niż poprzedni, a wiatr rozganiał okrągłe, białe chmury po niebie, Andie cieszyła się jednak, że ma płaszcz. Wsunęła dłonie do kieszeni i szła szybko, krokiem charakterystycznym dla mieszkańców miast; dotarła do parku jeszcze przed czasem. Poszła w kierunku południowo-wschodniego rogu, gdzie stał pomnik. Nie pamiętała, żeby senator Conkling zrobił coś bardziej nadzwyczajnego,

niż tylko zamarzył na śmierć w burzy śnieżnej w 1888 roku, lecz najwyraźniej to wystarczyło, żeby dostał pomnik.

Agenci Cotton i Jackson czekali już na nią, w płaszczach zapiętych pod szyję, żeby chronić się przed wiatrem.

- Mam nadzieję, że lubi pani kawę - odezwał się Cotton, wyciągając ku niej papierowy kubek. - Przyniosłem też śmietankę i cukier, gdyby pani chciała.

- Czarna wystarczy. - Ciepły kubek był miły dla jej zmarzniętych dłoni; ostrożnie upiła łyżeczkę, nie chcąc poparzyć warg.

- Usiądźmy tam - rzekł Cotton, wskazując na stojącą nieopodal ławeczkę. Podeszli i usiedli, ona między nimi; obaj bali się i jednocześnie mieli nadzieję, że znaleźli rozsądny plan działania.

- Czy przypomniała sobie pani coś jeszcze? - spytał Jackson, bezustannie obserwując otoczenie. Gliniarze, nawet federalni, zawsze mają niespokojne oczy.

- Nie, ale chciałam porozmawiać z wami o planie, który zasugerowałam...

- Nie warto - rzekł cichy głos tuż za jej plecami. - I tak na nic się nie zda.

Obaj agenci FBI drgnęli i obrócili się na siedzeniach, żeby stawić czoło temu, co równie dobrze mogłoby być atakiem. Andie od razu rozpoznała ten głos i zerwała się na równe nogi. Nie spodziewała się go; ujawnienie się dwóm agentom FBI, pozwolenie, żeby przyjrżeli się jego twarzy, naprawdę nie było dobrym pomysłem.

Stał za ich ławeczką z dłońmi wciśniętymi głęboko w kieszenie czarnego kaszmirowego płaszcza i oczami skrytymi za bardzo ciemnymi okularami przeciwsłonecznymi. Nie miała pojęcia, jak zdołał się zbliżyć tak niepostrzeżenie, że żaden z agentów go nie zauważył; nigdzie go nie było widać, kiedy siadali, a znajdowali się tu od może trzydziestu sekund; musiał się ruszać zdumiewająco szybko.

Po krótkiej, wibrującej napięciem ciszy Cotton westchnął i zdjął własne okulary przeciwsłoneczne.

- Rick Cotton agent specjalny - przedstawił się, otwierając okładkę legitymacji identyfikacyjnej. - To jest agent specjalny Xavier Jackson.

- Znam wasze nazwiska. - Nie wyjawiał im swojego, nawet przybranego. Nie wyjął też dłoni z kieszeni. Cotton wykonał drobny gest, jakby chciał podać mu rękę, lecz zorientował się, że uprzejmy gest nie dojdzie do skutku, więc przerwał ruch w połowie.

- Nie mam prawa z nikim rozmawiać o propozycji panny Pearson...

- W porządku. On wie wszystko - przerwała mu Andie. Nie przedstawiła go. Gdyby chciał, żeby agenci poznali jego nazwisko, albo jakiegokolwiek nazwisko, sam

by się im przedstawił. Miała ochotę sapnąć ciężkim, pełnym frustracji sapnięciem. Gdybyż tylko powiedział jej z wyprzedzeniem, że chce przyjść z nią na to spotkanie, i gdyby podał jej jakiegokolwiek nazwisko, wszystko poszłoby znacznie łatwiej.

Agent Cotton nie był zadowolony z obecności Simona.

-To nie najlepsza pora - powiedział do Andie. - Skontaktuję się z panią w sprawie naszego planu. Zdaje się, że uda się nam coś opracować.

Skinął Simonowi głową, po czym wraz z Jacksonem odeszli pospiesznie w stronę ulicy.

Zdumiona, gdyż nie przyszło jej do głowy, że zaakceptują plan, w trakcie wykonywania którego ona może zostać postrzelona, Andie skłoniła głowę i wpatrywała się w swoje stopy, jednocześnie starając się powstrzymać łzy. Nie potrafiła spojrzeć na Simona, nie umiała stawić czoła temu pozbawionemu emocji spojrzeniu.

-Chodźmy. - Wziął ją za rękę i wetknął sobie pod pachę. W drodze do hotelu milczał, choć miał niejedną sposobność, żeby się odezwać. Jasno określił swoją pozycję i nie widział potrzeby, żeby ją powtarzać.

Mimo to czuła się w obowiązku pocieszyć go, jak tylko umiała.

-Wszystko będzie w porządku - zaryzykowała wreszcie, lecz spotkała się tylko ze ścianą milczenia.

Rozdział 32

Idąc z Cottonem w stronę zaparkowanego na ulicy samochodu, Jackson milczał. Był cierpliwy, zaczekał, aż zamknął drzwi i zapną pasy.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Cotton miałby z premedytacją wyprowadzać w pole Dree Rousseau - trudno było mu myśleć o niej jako o „Andie” - i mówić, że plan użycia jej jako przynęty ma jakiegokolwiek szanse powodzenia. Gdyby Salinas się ukrywał, a oni mieli za zadanie wyciągnąć go z kryjówki, może wtedy tak... ale nie w tej sytuacji. Fizycznie mogli go dostać w swoje ręce w każdej chwili. Problem polegał na zyskaniu dowodów

przeciwko niemu, których nie zdoła odeprzeć, a poza nakręceniem filmu, jak Salinas ją zabija, nie mieli jak posłużyć się nią. Biuro nie zgodzi się na użycie owieczki ofiarnej, więc cały pomysł nie miał szans.

Cotton przyglądał się ulicy, ludziom wokół nich, a na koniec spytał łagodnie:

- Nie poznałeś go?
- Poznałem? A powinienem?
- To ten facet z balkonu.

Jackson spojrział na niego ze zdumieniem. „Facet z balkonu” jak go nazywali, przez wiele miesięcy był dla nich powodem głębokiej frustracji. Zwyczajnie zniknął, a oni nigdy nie odkryli, jak to zrobił. Jackson odchylił się w tył na fotelu i w myślach porównywał mężczyznę, jakim go zapamiętał, z tym, którego dopiero co miał przed oczami, w parku.

- A niech mnie szlag. Dobre oko, Cotton. - Zabębnił palcami o udo. - Pewnie była z nim cały czas.

Przynajmniej taką żywił nadzieję. Nigdy by się nikomu do tego nie przyznał, ale miał do niej słabość. Kiedy związała się z Salinasem, żałował jej, gdyż przypominała śliczną, bezużyteczną lalkę, którą Salinas wyciągał, kiedy tylko miał ochotę się zabawić, lecz poza tym nie okazywał jej większego zainteresowania. Kimkolwiek był ten facet z balkonu, kochała go. Jackson, zatwardziały realista, rozpoznawał to, co miał przed oczami. Kiedy pojawił się tuż za ich plecami, cicho niczym duch, obaj z Cottonem omal nie padli na cholerny zawal, lecz kiedy ona odwróciła się ku niemu - promieniała - mimo że zdesperowana, promieniała. Zupełnie jakby w jej świecie właśnie wyszło słońce. Może wkurzyła się odrobinę, ale cieszyła się na jego widok, tak czy inaczej.

Zmieniła się i nie chodziło tylko o to, że miała krótsze, ciemniejsze, proste włosy. Nie chodziło też o to, że przestała się ubierać wyzywająco. Jakoś bardziej przyciągała wzrok, lecz nie chodziło o ciało. Teraz miała coś w oczach, spokój, którego wcześniej w nich nie było. Czasami jej uwaga wrywała się do czegoś na horyzoncie; raz nawet odwrócił się, żeby sprawdzić, co widzi za jego plecami, lecz nic nie zauważył. Kiedy wrócił do niej spojrzeniem, z powrotem była na nim skoncentrowana. To kolejna rzecz: kiedy patrzyła na kogoś, naprawdę go widziała, dostrzegała wszystko, co głębokie i osobiste. Kiedy patrzyła tak na niego, musiał walczyć z gwałtowną potrzebą sprawdzenia, czy nie rozpiął mu się rozporek, bo dlaczego miałyby mu się przyglądać tak intensywnie?

Domyślenie się, co chodziło po głowie tamtemu facetowi, było jeszcze trudniejsze. Cholera, twarz nawet mu nie drgnęła, a te diabelskie ciemne okulary

też nie pomagały. Ekspresją przypominał manekina na wystawie sklepu. Lecz kiedy Jackson się obejrzał, zobaczył, jak on ujmując ją za rękę i wkładając ją sobie pod ramię. Coś w tym geście podpowiedziało Jacksonowi, że uczucie pomiędzy nimi jest wzajemne.

Jackson cieszył się z tego przez wzgląd na nią. Z rozmowy, którą odbyła z Salinasem tamtego wieczoru na balkonie, wiedział, że oddał ją drugiemu mężczyźnie jak zwykłą dziwkę. Wiedzieli, że okropnie ją to poruszyło. Potem, następnego dnia, zniknęła. Uważali, że to niemożliwe, nie mogła wyprowadzić się, gdyż śledzili ruchy każdego, kto wchodził, czy wychodził z tego budynku. Ostatni raz widzieli ją, jak wsiada do samochodu z jednym ze zbirów Salinasa, a kiedy wrócił, już jej z nim nie było.

Gdy przepadła, w zachowaniu Salinasa zaszły ogromne zmiany i Jackson zastanawiał się, czy nie została zabita, a jej ciało porzucone gdzieś, z powodów, których tylko mógł się domyślać. Teraz nagle połączył dwa inne fakty.

- Hej! Pamiętasz to spotkanie, które Salinas odbył w Central Parku? Nie mogliśmy sfotografować tego drugiego gościa. Pamiętasz? Zdaje mi się, że to był on... facet z balkonu.

Cotton rozważał to przez chwilę, wygrzebując z pamięci niewiele szczegółów, jakie mieli na człowieka, z którym spotkał się wtedy Salinas, po czym skinął głową.

- Zdaje się, że masz rację.

Czego mogło dotyczyć ich spotkanie, mogli się tylko domyślać. Rozważając ciąg tamtych wydarzeń, Jackson doszedł do wniosku, że Drea zostawiła Salinasa i odeszła z tym drugim mężczyzną. Salinas nie miał pewnie pojęcia, gdzie ona jest. Może zaaranżował to spotkanie, żeby spytać albo nawet zatrudnić tego drugiego do odnalezienia jej. Biuro nie wiedziało, kim jest ten człowiek ani czym się zajmuje, lecz możliwości było bez liku.

Jackson nie potrafił oprzeć się wyzwaniu; nigdy tego nie umiał. Jego bystry umysł począł przebiegać wszystkie te możliwości, sprawdzać je w obliczu faktów, które znali; część odrzucił natychmiast, inne rozwinął. Zajął się tym tak bez reszty, że przez długi czas nie zauważył, że Cotton nie odpowiedział na jego pytanie.

Simon czuł, jak ogarnia go chłód jego dawnego kompana, Śmierci. Nie należał do ludzi, którzy bez przerwy zastanawiają się nad wyborami, których dokonali; identyfikował opcje, analizował je, wybierał najlepsze wyjście i szedł dalej. Jednakże ten wybór pozostawił w nim gryzącą gorycz. Nie chodzi o to, że żałował decyzji, bo jej nie żałował, nie potrafił. Ale nie podobała mu się. Był wściekły, że został do niej

zmuszony, choć podjąłby taką samą nawet bez interwencji z zewnątrz. Ochroni Andie, kropka. To była podstawa.

Zabrał ją z powrotem do Holiday Inn i odprowadził do pokoju; musiał się przekonać na własne oczy, że jest bezpieczna, że nikt nie włamał się do środka. Potem ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją, długo, wolno, smakując ją i czując, jak jej dotyk go uspokaja.

-Mam sprawę do załatwienia - powiedział, wreszcie odrywając od niej usta. Pragnął zabrać ją do łóżka i zatracić się w gorącym uścisku jej ciała, ale dyscyplina zwyciężyła. - Nie czekaj na mnie. Nie wiem, jak długo mi to zajmie.

Patrzyła na niego niebieskimi oczami, które pociemniały z troski.

- Nie idź - powiedziała nagle, choć nie miała pojęcia, o co chodzi. Zauważył, że jej instynkt, zawsze wyjątkowo dobry, teraz wkroczył w inną rzeczywistość. Jak gdyby wiedziała o rzeczach, o których nie mogła wiedzieć. Czy zdawała sobie sprawę z tego, jak często i długo wpatrywali się sobie w oczy, aż czasem czuł, że ich tożsamości się zacierają? Pewnie nie. Na wiele sposobów nadal należała do tego świata - trochę poirytowana, trochę niecierpliwa, cholernie seksowna - ale od czasu do czasu odchodziła gdzieś daleko, nie w głąb własnych myśli, lecz w przestrzeń, a po powrocie zawsze wyglądała trochę bardziej promiennie.

Cokolwiek by o tym sądzić, rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny. Zupełnie jakby miała bezpośrednie połączenie z jego myślami.

-Wrócę najszybciej, jak będę mógł - obiecał, całując ją. - Poczekaj na mnie. Nie pozwól, żeby te dupki z FBI do czegoś cię namówiły, dopóki nie wrócę. Przrzeknij mi to.

Zmarszczyła ciemne brwi i już otworzyła usta, żeby zbesztać go, że śmie się domagać przyrzeczeń od niej, kiedy sam nie chce honorować jej prośby. Przyłożył palec do jej warg, a w kącikach jego oczu pojawił się uśmiech.

-Wiem - mruknął. - Obiecaj mimo wszystko.

Zmrużyła oczy, a potem odwróciła się i spojrzała na zegar.

-Podaj mi konkretny czas. Nie kupuję tych bzdur, że masz sprawy do załatwienia i nie wiesz, jak długo ci zejdzie. Dwie godziny? Pięć?

- Dwadzieścia cztery - odparł.

- Dwadzieścia cztery?!

-To zdecydowany limit. Teraz obiecaj. - Dwadzieścia cztery godziny to nie przesada; będzie musiał wykorzystać każdą z nich. - To dla mnie bardzo ważne. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. - To do niej dotarło, bo go kochała. Kochała

go. Zszokowało go to, było nierzeczywiste, a jednak tak prawdziwe, że wstrząsnęło nim do głębi.

Ponieważ go kochała, przystała.

- Dobra, obiecuję. - Choć wcale się jej to nie podobało. Pocałował ją jeszcze raz i wyszedł, stał na korytarzu, dopóki nie usłyszał szczęku łańcucha w drzwiach i zgrzytu zasuw. Zanim doszedł do windy, już wykonywał najbardziej istotny ze wszystkich telefonów.

- Mówi Simon - powiedział, kiedy tylko Scottie odebrał. - Potrzebuję przysługi, pewnie już ostatniej w życiu.

- Co tylko ci trzeba - odpowiedział tamten natychmiast, ponieważ to tylko dzięki Simonowi odzyskał swoją córeczkę całą i zdrową. - I to tylko twoja decyzja, czy będzie ostatnia, czy nie. Zawsze ci pomogę, czego tylko ci trzeba.

Wyjaśnił, o co mu chodzi, a Scottie pomyślał przez minutę i odparł:- Masz jak w banku.

To z głowy, zaczął analizować sytuację w znacznie drobniejszych szczegółach. Dwoma rzeczami niezbędnymi do zabicia kogoś są broń i sposobność. Wszystkie szczegóły podpadają pod te dwie główne kategorie. Zdobycie broni nie stanowiło problemu; zdobycie dobrej broni, której nikt nie wytropi, też nie byłoby trudne, gdyby miał dość czasu. Tym razem tego akurat nie miał. Zazwyczaj spędzał wiele dni, rozpracowując szczegóły, logistykę. Tym razem musiał działać szybko, a potem złapać Andie i zniknąć z kraju, póki jeszcze mógł.

To też go wkurzało. Nie podobało mu się, że będzie zmuszony do wyjechania ze Stanów, a zdawał sobie sprawę, że jeśli się do tego weźmie, może już nigdy nie wróci. Jeśli tylko wszystko dobrze rozpracuje. Czas pokaże.

Gdyby nadal miał mieszkanie w tym samym budynku co Salinas, byłoby po problemie, ale zrezygnował z niego wiele miesięcy wcześniej, przeniósł się do San Francisco. Podobnie nie miał czasu na zapoznanie się z codzienną rutyną Salinasa, więc będzie musiał sam zainicjować spotkanie. Wyciągnięcie go na miasto nie będzie trudne, bo Salinas sam już próbował skontaktować się z nim w sprawie kolejnego zamachu. Teraz już nigdy się nie dowie, jak wysoko drań zamierzał dojść; wruszył ramionami, bo to już nie miało znaczenia. Salinas nie dożyje tej chwili. Gdzieś na świecie ktoś inny pożyje trochę dłużej.

Będzie musiał dorwać go na ulicy, a to znacznie zwiększało ryzyko. Na szczęście pogoda mu sprzyjała, gdyż nadal było dość chłodno, ludzie chodzili w płaszczach. Minus polegał na tym, że nie tylko będzie musiał mieć ze sobą broń, ale dodając tłumik, zwiększy jej długość, a tym samym widoczność.

Konieczność stłumienia dźwięku dodawała inne komplikacje do jego planu. Po pierwsze, oddanie strzału z pistoletu znaczyło, że będzie musiał zbliżyć się do Salinasa, a tego zawsze otaczali ludzie. Z powodu mechaniki działania, tłumik zamieni broń półautomatyczną w jednostrzałowiec, gdyż blokuje mechanizm zamka, nie pozwalając mu się cofnąć. Robota w bliskim dystansie, więc będzie potrzebować możliwości oddania większej liczby strzałów, na wypadek gdyby ludzie Salinasa byli dość dobrze wyszkoleni, żeby działać mimo zamieszania i początkowego zaskoczenia. Albo będzie musiał zdobyć zaawansowany technologicznie tłumik, który pokona ten problem, albo będzie musiał zdecydować się na użycie innej broni.

Im bardziej stłumi dźwięk strzału, tym trudniej będzie im namierzyć lokalizację strzelca. Weźmie broń mniejszego kalibru, z tylnym zanikiem, żeby lufa była nieruchoma; to skuteczniej stłumi dźwięk. Nigdy jeszcze nie widział prawdziwego pistoletu, który można by wyciszyć do hollywoodzkich standardów. Jednak na ulicy zawsze panuje hałas, więc w rezultacie trudno będzie od razu rozpoznać w odgłosie huk wystrzału. Większość przechodniów nie będzie zdawać sobie sprawy, że właśnie usłyszeli wystrzał, gdyż nie będzie to ani ciche kasznięcie, które znają z filmów, ani głośny huk zwykłego strzału. Kiedy Salinas padnie, a jego ludzie rzucą się go ochraniać, przechodnie doznają lekkiego szoku. Albo zaczną się tłoczyć wokół, żeby zobaczyć, o co chodzi, albo będą się oglądać bez przerywania kroku. Ludzie Salinasa będą bardziej zwracać uwagę na tych, którzy idą, domyślając się, że gdzieś pośród nich kryje się strzelec i stara się uciec. On jednak będzie dokładnie w środku, między nimi, tuż pod ich nosem.

Ale pomiędzy tą chwilą a obecną, miał przeogromną ilość rzeczy do zrobienia.

Po południu Rafael Salinas wyszedł ze swojego domu otoczony zwykłą grupką siedmiu ludzi. Kierowca zaparkował samochód tuż przy krawężniku, silnik pracował. Jeden z jego ochroniarzy, z długimi włosami związanymi cienkim rzemykiem, wyszedł pierwszy, obracając głowę we wszystkie strony. Przyglądał się ulicy i przechodniom, choć większość uwagi zarezerwował dla przejeżdżających samochodów. Nie dostrzegł nic podejrzanego, nie obrócił się, skinął tylko lekko głową i kolejnych siedmiu mężczyzn wyszło z budynku. Rafael Salinas szedł między sześcioma goryłami, którzy własnymi ciałami zagrodzili ruch na chodniku, żeby bez problemu mógł przejść od drzwi budynku do otwartych drzwi samochodu. Ludzie zawahali się, usiłowali go obejść, niektórzy warczeli: „Z drogi”, albo i gorzej, ale wszystko to zostało zignorowane. Jeden z przechodniów, zgięty wpół staruszek wspierający się na lasce, zachwiał się i prawie upadł.

Ulicą przetoczył się autobus, a z rykiem silnika Diesla złało się ciche „pop”. Rafael Salinas potknął się, wyciągnął rękę, jakby chciał się podeprzeć. Drugie „pop” tuż po pierwszym sprawiło, że kilka osób obejrzało się z ciekawością, zastanawiając się, co to za dźwięk. Salinas upadł, a z szyi łukiem wyprysnął mu szkarłat.

Ten, który jako pierwszy wyszedł z budynku, zorientował się, że coś jest nie tak i obrócił się pospiesznie, natychmiast dobywając półautomat spod poły marynarki.

Pop.

Pierwszy mężczyzna zatoczył się w tył na kierowcę, a na jego piersi pojawiła się czerwona plama. Broń wypadła mu z nagle bezwładnej dłoni i poleciała na chodnik. Ludzie zrozumieli, że coś jest nie tak, a kilka krzyków przeszło beładnie powietrze; zaraz potem, gwałtownie, piesi rzucili się do ucieczki, a niektórzy zanurkowali na płyty chodnika. Staruszek o lasce został popchnięty na ziemię i wyładował tuż obok tylnego zderzaka samochodu Salinasa, na wpół na jezdni, na wpół na chodniku. Laska znalazła się dobre kilka metrów od jego wyciągniętej ręki. Na poznaczonej zmarszczkami twarzy pojawił się wyraz zdumienia, kiedy czołgał się w stronę swej laski, tylko po to, żeby rozciągnąć się jak długi na chodniku, kiedy nie starczyło mu sił.

- Tam! Biegiem! - Jeden z goryli wskazał na ulicę, gdzie młody mężczyzna biegł w tłumie, starając się jak najszybciej oddalić z miejsca zdarzenia. Dwaj ludzie Salinasa rzucili się za nim. Wszyscy mieli już wyciągniętą broń; mierzyli w kogo popadło, okazując kompletny brak przygotowania do pracy w tłumie. Okrzykli Rafaela Salinasa, jak gdyby chcieli go chronić, mimo że na własne oczy widzieli, co się stało. Czerwony strumień przestał już ciec z jego gardła; serce zabiło mu tylko parę razy po tym, jak dosięgła je pierwsza kula. Drugi strzał, spowodowany przez nagły ruch Salinasa w przód, trafił go w szyję. Staruszek usiłował pozbierać się z chodnika.

- Moja laska - zaskowyczał. - Moja laska!

-Masz tu swoją pieprzoną laskę - warknął jeden ze zbirów i posłał mu ją kopniakiem. - Wynocha stąd, dziadku!

Staruszek ujął laskę drżącą dłonią w rękawiczce i z trudem podniósł się na nogi. Pokuśtykał pomiędzy samochody i zatrzymawszy się w bezpiecznej odległości, przyglądał im się, jakby nie rozumiał, co się właśnie zdarzyło.

- Co tu się dzieje? - spytał kilkakrotnie. - Co tu się dzieje?

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Rozległy się syreny, kiedy nowojorscy policjanci starali się utorować sobie drogę przez tłum. Staruszek przepchnął się przez ludzi i poszedł sobie w dół ulicy - w stronę, z której wcześniej przyszedł.

Piętnaście minut później funkcjonariusz znalazł narzędzie zbrodni: pistolet z nakręconym na lufę tłumikiem, leżący pod samochodem Rafaela Salinasa.

Simon zadzwonił do Andie na komórkę.

- Pakuj się - powiedział cicho. - Wyjeżdżamy.

- Wyjeżdżamy? Ale...

- Salinas nie żyje. Nie masz powodu, żeby tu zostawać. Teraz pakuj się, bo musimy działać szybko.

Oszołomiona zamknęła telefon. Rafael nie żyje.

Nie była głupia, nie musiał jej tego literować. Przerazona zrozumiała, co Simon właśnie zrobił. Jak ogłuszona zebrała kosmetyki i wrzuciła do walizki; nie rozpakowała się, więc dopakowanie rzeczy zajęło jej ledwie kilka minut.

Nim upłynęło pół godziny, Simon stanął na progu. Kamienna twarz powstrzymała ją przed zadawaniem pytań. Wziął walizki, a ona poszła za nim z miną równie nieprzeniknioną.

Dwie godziny później wystartowali z niewielkiego prywatnego lotniska w New Jersey; Simon w fotelu pilota. Andie nigdy wcześniej nie leciała tak małym samolotem i wcale jej się to nie podobało. Siedziała zdrętwiała, trzymając się kurczowo poręczy fotela, jak gdyby w ten sposób mogła utrzymać samolot w powietrzu. Późno popołudniowe słońce świeciło w boczne okienko; wiedziała, że lecą na południowy zachód.

Im dłużej szybowali bez żadnego wypadku, tym bardziej słabły szpony przerażenia, które ją paraliżowało. Wreszcie zdołała spytać:

- Dokąd lecimy?

- Do Meksyku. Najszybciej, jak możemy.

Przyjęła to, wpatrując się w jego kamienny profil. Nie był na nią zły, lecz odciął się od niej i poczuła się bezradna. Chciała go dosięgnąć.

- Nie mam paszportu - powiedziała na koniec.

- Masz. Jest w mojej torbie.

Znowu zapadła cisza, której nie potrafiła pokonać, nawet kiedy musieli lądować, żeby wziąć więcej paliwa. Życie, które знаła, dobiegło końca i pomyślała, że pewnie już nigdy do niego nie wróci. Simon będzie poszukiwany za morderstwo, a ona nie pozwoli mu ryzykować w sądzie. Zrobił to dla niej, nie pozwoli, żeby cokolwiek jeszcze dla niej poświęcił, choćby minutę wolności, bez względu na wszystko.

Bez względu na wszystko.

- Nie uwierzycie - mruknał technik obracając się na krzeselku. - Ta kamera nie działa.

- Co takiego? - Jackson spojrział na niego z niedowierzaniem. Niemal czuł, jak włosy jeżą mu się z wściekłości. - Chcesz mi powiedzieć, że ze wszystkich kamer w mieście, ta, której nagrania najbardziej potrzebujemy, właśnie nie działa? I nikt tego, kurwa, nie zauważył? Ludzie, jak można nie zauważyć pieprzonego pustego ekranu?!

- Bo ten ekran wcale nie jest pusty - odpalił technik z irytacją. - Nie wpięprzaj mi się do roboty, kolego. - Odwrócił się z powrotem do klawiatury komputera i z furją zaczął wstukiwac komendy. - Proszę, przyjdź i spójrz sam. Widzisz? - Pokazał palcem monitor, po którym maszerowały bialo-czarne postaci.

Jackson zmusił się do opanowania niecierpliwości. Wkurzenie tego człowieka na nic mu się nie zda, a najśmieszniejsze w tym było to, że jego zdaniem ten, który sprzątnął Salinasa, i tak zasługiwał na medal. Nie zamieni tego w osobistą krucjatę, ale musiał poprowadzić dochodzenie.

- To ta kamera?

- Owszem.

- Na moje oko działa - powiedział Jackson, ale powściągnął sarkazm na tyle, że ledwie go było slychać.

- Bo nie zwracasz pan uwagi na szczegóły, agencie specjalny. - Technik równie dobrze radził sobie z sarkazmem jak Jackson. - Masz, spójrz tu. Widzisz, jak ten gość upuszcza walizeczkę? - Zatrzymał akcję, cofnął i puścił jeszcze raz. Jackson obserwował, jak przysadzisty biznesmen usiłuje trzymać napój, jeść hot doga i nieść neseserek, nie przerywając kroku. Kiedy wszystko zaczęło mu uciekać z rąk, pozwolił, by walizeczka upadła mu pod nogi i poleciała po chodniku.

- Widzę. I co z tego?

- Patrz pan uważnie. Przyspieszę nieco.

Technik postukał w klawiaturę, a ludzie zaczęli nagle się zwijać niczym mrówki. Dziesięć sekund później znowu nacisnął jakieś klawisze i wszystko zwolniło do normalnego tempa. Jeszcze kilka sekund i Jackson znowu obserwował, jak tłusty jegomość nie radzi sobie z walizeczką.

- Cholera - mruknał. - Niech to szlag! Leci w kółko!

- Owszem. Ciagle w kółko. Ktoś dobrał się do systemu, do taśm i zmajstrował je tak, że lecą w kółko. Ktokolwiek to zrobił, jest w tym naprawdę dobry. Tyle mu przyznam...

- Dzięki za pomoc - powiedział cicho Cotton, obdarzając Jacksona dziwnym spojrzeniem. - Panie...

- Jensen. Scott Jensen.

- Dziękujemy, panie Jensen. Wrócimy do pana, gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania, ale domyślam się, że na razie i tak ma pan ręce pełne roboty.

- Nie ma sprawy. - Scottie Jensen obrócił się do swojej klawiatury.

Jackson spojrział na Cottona zaskoczony, że ten nie podąża ścieżką, którą zdecydowanie warto byłoby prześledzić, lecz szybko ukrył reakcję. Kiedy w milczeniu wracali do samochodu, rozmyślał nad czymś intensywniej.

To, co przyszło mu do głowy, było nieprawdopodobne - cholernie nieprawdopodobne. Rick Cotton, którego znał, wszystko robił zgodnie z zasadami, był tak prawy jak tylko się dało. Nie miał żadnych dowodów, a gdyby choć wspomniał o swoich podejrzeniach, wszyscy w Biurze wyśmialiby go. Miał tylko instynkt, lecz ten krzyczał w głos.

Nic jednak nie powiedział, nie w tej chwili. W milczeniu wrócili na Federal Plaza, tam dopełnili odpowiednich formalności. W głowie cały czas obracał wszystkie szczegóły, niuanse twarzy, które wyłapał, zastanawiał się nad ramami czasowymi. Nic nie mógł udowodnić - cholera, nie wiedział, czy chce cokolwiek udowodniać ani czy udowodniłby, gdyby mógł - wiedział jednak, co się zdarzyło; czuł to w kościach.

Podobnie jak Cotton.

Zaczekał do końca dnia. Cotton pojechał do domu, do żony, a Jackson zjadł obiad na mieście, pospacerował trochę, absorbując nieustanny ruch i światła wokół. Za rogiem zawsze czaiło się coś nowego - nowi ludzie, nowe sprawy. Więcej spraw związanych z ludźmi, jeśli się nad tym zastanowić.

Podjąwszy decyzję, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Kiedy usłyszał głos Cottona, powiedział:

- To on to zrobił, prawda? Wiedziałeś, że tak się stanie.

Cotton milczał chwilę, po czym spytał bardzo spokojnie:

- O czym ty mówisz?

Jackson rozłączył się, gdyż nie chciał mówić nic więcej. Jeszcze trochę pospacerował, z rękami głęboko w kieszeniach. Z minuty na minutę noc robiła się coraz chłodniejsza, ale on chciał jeszcze trochę pochodzić.

Przed wszystkim musiał podjąć decyzję. Czy powie cokolwiek? Natychmiast usłyszał w głowie pewne: „Cholera, nie ma mowy”. Nic nie mógł udowodnić, nawet gdyby bardzo chciał, a przecież nie chciał.

Facet, który sprzątnął Salinasa, zasługiwał na medal, nie dochodzenie. Zrobił to, żeby chronić kobietę, którą kochał, i - cholera - było w tym coś szlachetnego, może nie? Cotton od razu coś wyczuł, już w chwili, kiedy ich spotkanie z Drea zostało przerwane. Sam puścił maszynę w ruch, sugerując, że FBI może zechcieć użyć ją jako przynętę. To wierutna bzdura: Jackson doskonale o tym wiedział, przecież nigdy nie było nawet takiej opcji. Jediną szansą na zbudowanie sprawy przeciwko Salinasowi z jej pomocą byłoby, gdyby kompletnie odbiła mu szajba i zabił ją - a facet z balkonu wiedział o tym. Kochał ją i nie chciał ryzykować jej życia, więc wziął sprawę w swoje ręce.

Skąd Cotton wiedział, że tamten jest zdolny do czegoś podobnego? Plan był dość śliski, a wykonanie go wymagało nie tylko wielkich, ale wręcz spizowych jaj. Nawet nie znali jego nazwiska, nic o nim nie wiedzieli. Nie mieli odcisków placów, które mogliby sprawdzić, ani zdjęcia, które umiejscowiłoby go w pobliżu całego zajścia. Ale Cotton rozgryzł go podczas jednego, krótkiego, jakże krótkiego spotkania i wycelował tę chodzącą ludzką broń prosto w Rafaela Salinasa.

W tej jednej chwili Rick Cotton zdołał przekroczyć jego własne zdolności i Jackson potrafił tylko zasalutować mu w myślach.

- Niezły jesteś - zamruczał cicho w noc.

Tej nocy Rick Cotton spał jak dziecko. Wkrótce przejdzie na emeryturę po długiej i niczym niewyróżniającej się karierze, lecz ten jeden raz wykroczył poza własne ograniczenia i dobrze się z tym czuł. Posunąłby się jeszcze dalej, zrobiliby, co w jego mocy, żeby udaremnić jakiegokolwiek śledztwo. Ci dwoje zasługiwali na szansę na szczęście, a on już dopilnuje, żeby ją dostali.

Czasami istnieje różnica między prawem a sprawiedliwością i czasami sprawiedliwość musi wykroczyć poza granice prawa. Dowodem na to był fakt - pomyślał tuż przed zaśnięciem - że pracuje w Departamencie Sprawiedliwości, nie Departamencie Prawa... a sprawiedliwości stało się dziś zadość.

Kilka ostatnich dni minęło im w napięciu, jakby nie wiedzieli, jak mają się do siebie odnosić; Andie podejrzewała, że naprawdę nie wiedzą. Na jednym poziomie łączyła ich głęboka intymność; ich znajomość była naznaczona dramatyzmem i pasją oraz głębokim bólem. Na nieco bardziej przyziemnym poziomie nadal niewiele o sobie wiedzieli i tylko czas zdołała to naprawić. Na razie stąpali ostrożnie wokół czegoś, co na jej gust przypominało słońca pośrodku pokoju: nie mówili o nim, ani nie zwracali na niego uwagi, ale oboje robili wszystko, żeby go omijać.

Nie wiedziała, co on myśli czy czuje. Zawsze był skryty - oto niedopowiedzenie roku - ale odkąd wyjechali z Nowego Jorku emocjonalnie odgradził się od niej murem. Bolało ją, że przebywając w jego towarzystwie, nie może go dotknąć, ale bycie bez niego bolałoby ją jeszcze bardziej. O, fizycznie mogła dotknąć go bez trudu, lecz umysłowa bariera między nimi przypominała jej to popołudnie w apartamencie Salinasa, kiedy tak desperacko chciała go dosięgnąć, a on ją odepchnął.

Teraz знаła go znacznie lepiej i wiedziała, że nie ma powodu się go obawiać - nawet wręcz przeciwnie. Bez względu na wszystko, ten mężczyzna bez wahania stanąłby na drodze każdego zbliżającego się kuniej nieszczęścia.

Obserwowała go pewnego popołudnia, jak opiera ramię o framugę drzwi, stoi w bezruchu i przez długi czas patrzy na morze; serce ścisnęło się jej z bólu. Był taki samotny, tak bardzo skłonny ponieść wszelkie ryzyko, żeby tylko ją chronić. A jednak kiedy tylko je poniósł, odsunął się od niej. Czy obwiniał ją o to, że zmusiła go do zabicia, kiedy przysiągł, że nigdy już tego nie zrobi?

Wiedziała, jak sama by się czuła, gdyby ktoś zmusił ją do czegokolwiek, co nie pozwoliłoby jej na powrót do tego cudownego miejsca czystej radości, gdzie mogła znowu spotkać syna. Czułaby się zgorzkniała i samotna, jak gdyby nie widziała już sensu, żeby więcej się starać. Czy z tym właśnie teraz borykał się Simon?

Wpatrywała się w jego plecy i starała się odgadnąć, w jakim jest nastroju, starała się wyczuć go, lecz pozostawał wciąż zamknięty przed nią, tak jak ona sama. Był zbyt blisko, podejrzewała; nie potrafiła nic wyczytać o jego przyszłości, podobnie jak nie potrafiła wyczytać swojej.

Ze słońcem za jego plecami nie widziała rysów jego twarzy. Otoczyła go chmura białego światła, dzięki której jego cienka, biała koszulka stała się przezroczysta i odsłaniała przed nią szczupłe, umięśnione ciało. Wpatrywała się w niego, czując, jak krew odpływa jej z głowy i aż zachwiała się na nogach... Świat wokół powoli rozplynął się, dopóki nie zostało nic poza nim i światłem.

Już raz kiedyś stanął między nią a śmiercią, jego ból i miłość osłoniły ją i może nawet wysłały sygnał, który przeważył szalę na jej korzyść. Kochała i była kochana. Jej miłość do dziecka stała się najistotniejszym czynnikiem, który zdecydował, że dostała drugą szansę, lecz miłość Simona do niej na pewno została odczytana.

Byli połączeni; to, co ona robiła, wpływało na niego, a jego działania wpływały na nią. Gdyby ktoś spytał, czy zakochała się w nim tego pierwszego popołudnia, które razem spędzili, zaprzeczyłaby bez wątpienia. Prawda jednak wyglądała tak, że już wtedy czuła wiążącą ich nić i dlatego tak strasznie się go bała. Rozpoznała go,

jakimś cudem, na jakimś molekularnym poziomie, który nie ma nic wspólnego z logiką, i wiedziała, że on zmusi ją, żeby zaryzykowała miłość. Gdyby tego nie zrobił, czy byłaby tu, teraz? Czy nie starczyłoby tej miłości, żeby wypełnić pustkę, którą w sobie miała?

I na odwrót, czy kochając go, nie osłaniała go jednocześnie, tak jak on osłaniał ją? Kochał i był kochany. Jaką różnicę robi to w jego życiu? Zaryzykowałaby stwierdzenie, że już w tej chwili ta różnica jest ogromna. Ale miłość przypomina agresywne zajmowanie terenu, coraz większego i większego obszaru, aż chwasty nie mają jak żyć. Z powodu miłości przestał sprzedawać swoje usługi jako płatny zabójca. Z powodu miłości starał się - a ona wyczuwała, jak ogromnego wysiłku dokonuje - żeby otworzyć się przed nią, wpuścić ją za żelazne tarcze, które odgradzają go od reszty świata. Znacznie bardziej komfortowo czuł się w samotności, ale dla niej gotów był opuścić ten bezpieczny teren i resztę życia przeżyć na widoku niczym niechroniony.

Dla niej gotów był znowu zabić i nie miał nic przeciwko zapłaceniu za to ceny tak długo, jak długo to on ją płacił, nie ona.

Chyba nie wydała żadnego dźwięku, sapnięcia, czy westchnienia, ale on wiedział, że stoi za nim. Nie starała się do niego podkraść, a domek i tak był malutki, tak mały, że pewnie wiedział, gdzie jest w każdej chwili. Jednakże był na nią tak wyczulony, że obrócił się i już spał mięśnie, gotów do działania, kiedy tylko zidentyfikuje źródło jej niepokoju. Zobaczył, że chwieje się na nogach, blada niczym ściana i dotarł do niej kilkoma pospieszonymi krokami; objął ją mocno, podtrzymał.

- Co się dzieje? Źle się czujesz? - Mówiąc to, już podnosił ją z podłogi i tulił w ramionach. Teraz nie było między nimi żadnego dystansu, żadnej rezerwy w ciemnych oczach, które potrafiły być tak lodowate.

- Nie, wszystko w porządku. - Objęła go za szyję i przytuliła się; dwa ruchy, które mogą wydawać się tym samym, lecz mają dwa zupełnie inne cele. - Kocham cię, Simonie Goodnight. Simonie Smith. Simonie Jones. Simonie Brown. Simonie Johnson, jakkolwiek miałbyś na imię. Bez względu na wszystko, kocham cię.

Przytulił ją mocniej i dostrzegła, że coś się w nim rozluźnia, że ciężar staje się odrobinę lżejszy.

- Bez względu na wszystko? Nawet jeśli naprawdę nazywam się Clarence albo Homer, albo Percy?

- No, wtedy będę musiała to przemyśleć - zażartowała i natychmiast nagrodił ją jego niewielki uśmiech.

- Cross - powiedział tak spokojnie, że przez ułamek sekundy nie zrozumiała znaczenia tego, co powiedział.

- Cross? Naprawdę? Poważnie?

- Poważnie.

Potarła policzkiem o jego ramię.

-Dziękuję - powiedziała, gdyż zaufanie, które okazał jej tym prostym zdaniem, było niesłychane. - Możesz mnie już postawić. Nic mi nie jest.

-Wyglądasz, jakbyś miała się przewrócić.

-Nie. Wiesz, jak czasem dociera do ciebie, jak bardzo kogoś kochasz i zdaje ci się, że nie możesz tego znieść? O tak. - Przycisnęła usta tuż pod jego szczęką; uwielbiała zapach jego skóry, chłód, który czuła pod wargami i życiodajne ciepło tuż pod, spodem.

Wpuścił ją z objęć i pozwolił, żeby jej nogi opadły na ziemię, lecz tylko przesunął nieco ramiona i przycisnął ją mocno do siebie; pochylił głowę, żeby ją pocałować. Wspięła się na palce, żeby spotkać go w pół drogi i zacisnęła mu dłonie na karku, głaszcząc skórę pod kołnierzykiem. Poczowała krawędź wypukłości w jego spodniach, a gorąca mieszanka podniecenia i oczekiwania zafalowała w jej żołądku. Choć spali razem, odkąd tu przyjechali, nie kochał się z nią ani razu, a ona nie potrafiła pokonać tego dystansu między nimi.

Teraz jednak zrobiła to bez trudu. Był blisko, w jej ramionach. Przesunęła dłonie z jego karku w dół, przez klatkę piersiową i brzuch, aż dotarła do dżinsów. Odsunęła suwak i przekonała się, że nie ma nic pod spodem. Mruczając do siebie z radości, objęła go obiema dłońmi i aż zadrżała, słysząc jego gardłowy pomruk.

Jednym ruchem podniósł ją w powietrze i oderwał jej dłonie od siebie.

-Łóżko czy kanapa? - spytał.

-Łóżko. - O, pewnie że łóżko; do zrobienia wszystkiego, co chodziło jej po głowie potrzebowała dużo miejsca.

Zaniósł ją do małej, skapaniej w słońcu sypialni i rzucił na ogromne łóżko, które zajmowało większość przestrzeni w niewielkim pokoju. Śmiała się i starała ściągnąć dżinsy, mimo że nadal podskakiwała na materacu. Ściągnął koszulę i spodnie, a ponieważ nie musiał robić nic więcej, skoncentrował uwagę na niej i pomógł jej pozbyć się reszty ubrań.

Sama nie miała na sobie wiele; było tu zbyt gorąco, żeby nosić warstwy. Dżinsy, bielizna, bluzka to wszystko, co mogła znieść. Ściągnął jej koszulkę przez głowę i natychmiast nakrył dłońmi jej piersi.

- Są takie śliczne - zamruczał, przesuając kciukami po brodawkach i sprawił, że zaczerwieniły się i stwardniały pod jego dotykiem.

Dzięki niemu znowu czuła się ładna; patrzył na nią tak, jak gdyby chciał ją wylizać od stóp do głowy. Nigdy nie czuła się atrakcyjna, choć lustro przekonywało ją, że jest. Czasami wyglądała rewelacyjnie, ale czuła się bezwartościowa. Jednak kiedy Simon ją dotykał, widziała jego czułość i wiedziała, że jest w niej coś cennego, co wymyka się rozumowi. Wiedziała, czuła, że jest ładna.

Rozsunął jej nogi, wsuwając biodra w zagłębienie między udami. Westchnęła z zadowolenia. Nie miała nic przeciwko grze wstępnej, lecz cieszyła ją jego niecierpliwość, nacisk, poczucie, że się rozciąga, kiedy on wciskał się w jej nieprzygotowane ciało. Jej nogi zadrżały, obejmując go, a potem zeszywniały, kiedy wyszła mu naprzeciw i wzięła głęboko w siebie.

Magia. Kochanie się z nim było niczym magia od samego początku. Jej ciało szybowało z rozkoszy. Z czystej, bezwładnej radości, bo na tym właśnie polegała różnica - to nie był seks ani pieprzenie się, ale kochanie... Zachwycało ją przebywanie z nim, nie działały żadne mechanizmy obronne. I poddała mu się.

Przemierzyła drogę do orgazmu w takim tempie, że świat by jej zawirował, gdyby on nie trzymał jej w tak mocnym uścisku. Kiedy już przejaśniło się jej w głowie, a ciało zrelaksowało w kompletnej rozkoszy, odwzajemniła mu się, obejmując mocno ramionami i nogami. Zeszywniał, zadrżał i zatracił się w doznaniach.

Zasnęli na krótko, a kiedy Andie się obudziła, poczuła dyskomfort płynący z tego, że nie użyli prezerwatywy. Większość mężczyzn byłaby szczęśliwa, nie musząc zakładać ubranka, lecz Simon nie był jak większość mężczyzn. Zastanawiała się, czy marzy o gromadce dzieci. Serce jej się ścisnęło, gdyż jest taki ból, który nigdy, przenigdy nie odchodzi w zapomnienie.

- Nie mogę mieć dzieci - powiedziała w ciszy i zasłoniła twarz ramieniem. Nie chciała widzieć zawodu na jego twarzy.

- Ja też nie - odparł spokojnie.

Zaskoczona leżała jak martwa przez kilka sekund i zastanawiała się, czy dobrze usłyszała. Kiedy już zdołała się ruszyć, zerknęła na niego spod ramienia. Przekonała się, że on obserwuje ją z niejaką ulgą w oczach.

- Co takiego?

- Wieki temu miałem wazektomię. Uważałem, że moich genów nie warto przekazywać dalej.

Pomyślała, że pewnie ma rację, i wybuchnęła płaczem. Niech go szlag, potrafił wycisnąć jej łzy, jak nic innego na świecie. Ale jakie to typowe, że spokojnie

przeanalizował sytuację i podjął kroki, żeby ochronić świat przed swoimi dziećmi. Mogłyby odziedziczyć jego przedziwną kombinację genów odpowiedzialną za talent do zabijania. Jednocześnie mogłyby nie mieć jego opanowania i samokontroli.

- Jak miałam piętnaście lat, musieli mi zrobić hysteroktomię - powiedziała z płaczem... Wstała i poszła do łazienki, wydmuchała nos. Umyła się, potem zmoczyła kolejny ręcznik i zanosła jemu.

- Moimi genami też nie warto się chwalić. - Nadal pociągała nosem. - Tylko cud zmusił mnie do zmiany, a na nie nie można liczyć za często.

- Pewnie tylko z raz w całym życiu.- Uśmiechnął się do niej krzywym, pozbawionym radości uśmiechem. - Ja już mam swój... Ciebie.

Położyła się znowu obok niego, wtuliła mu głowę w ramię i przyłożyła dłoń do jego piersi. Czując mocne, spokojne bicie serca, poczuła się lepiej, bezpieczniej. Jego bliskość zawsze tak już będzie na nią działać. Dzięki łączącej ich więzi czuła się coraz pewniejsza. Miała nadzieję, że choć w połowie wpływa tak samo na niego, bo nie byłoby fair, gdyby czerpała same korzyści, a on musiał tylko dawać i dawać, i nic nie dostawał w zamian.

-Nie spodziewam się wiele - zamruczał; gładził ją po włosach i wpatrywał się w sufit. - Koniec końców... Jeśli skrucza jest wymogiem zbawienia, to pewnie nie będzie mi ono dane. Nie wiem, czy kiedykolwiek do niej dojdę. Mogę zaoferować tylko zemstę, może odkupienie grzechów. Mogę dać wstrzemięźliwość... ale tylko do czasu, kiedy nie znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Wtedy nie ręczę za nic. Niektórych ludzi trzeba było zabić, a ja wykonywałem tę robotę. Więc... to życie, tu z tobą, jest pewnie jedynym, jakie mnie czeka. Ale mi to wystarcza, kochanie. Wystarcza.

Cholerne łzy znowu wypłynęły jej na policzki, ale Andie uśmiechnęła się do niego. Pochyliła się, żeby go pocałować. Serce biło mu mocno pod jej palcami; rozpostarła dłoń nad tym życiodajnym, rytmicznym tętnem.

-Nie spisuj się na straty - poradziła. - Znamy dojścia i wiem, że wszystko powinno się dobrze skończyć.

Jeszcze szmat drogi przed nami, pomyślała, widząc nagle długie lata, żadnych wydarzeń, ale lata, całe długie lata. Mieli czas i mieli siebie nawzajem.